

LAVYRLE SPENCER

DWIE MIŁOŚCI

ROZDZIAŁ 1

1837

Od chwili gdy Rye Dalton po raz ostatni widział się ze swoją żoną, minęło pięć lat, jeden miesiąc i dwa dni. W ciągu tego czasu jedynymi pieszczotami, jakich zaznał, były wilgotne muśnięcia chłodnych ramion morza i jego słone pocałunki.

Już niedługo cię ujrzę, Lauro, pomyślał.

Dwumasztowy szkuner „Omega” brnął ciężko przez fale, omijając mielizny u wejścia do zatoki Nantucket. Wiózł pełną ładownię starannie zaszpuntowanych beczek wielorybiego tłuszczu.

Dłoń Daltona, oparta na relingu bakburty, miała odcień drzewa tekowego, a ogorzała twarz odcinała się ostro od płowej czupryny, wypranej z barw przez słońce i żrące bryzgi wody. Krzaczaste brwi i gęste, długie bokobrody dodawały zadzierzystości jego surowej anglosaskiej twarzy. Mocne nogi bez wysiłku utrzymywały równowagę na chwiejnym pokładzie, a jasne oczy niecierpliwie wypatrywały bliskiego już brzegu.

Tuż przed piaszczystą łachą zrefowali żagle, rzucili kotwicę i załoga czym prędzej skoczyła do łodzi, z podniecenia klnąc jeszcze soczyściej niż zwykle.

Nareszcie w domu!

Spuszczone z dawisów łodzie zaczęły ciąć gładką tafłę zatoki, którą majowe słońce obsypało milionem błyszczących lusterek w kształcie złotych rybek. Oślepiiony Rye zmrużył oczy. Nie mógł rozróżnić poszczególnych twarzy w tłumie na nabrzeżu, ale pewien był, że Laura czeka wraz z innymi. Wieża strażnicza na Brad Point musiała przekazać wieść o przybyciu statku, a w Nantucket nowiny rozchodzą się szybko. „Omega” zresztą stała już na redzie, głęboko zanurzona po udanym rejsie.

Jaskrawe refleksy zbladły, widać było oczekujących ludzi. Kobiety machały mokrymi od łez chustkami. Starzy marynarze zrywali z głów szorstkie wełniane czapki, wspominając ze wzruszeniem dawne rejsy, młodzi zaś chłopcy, którym morze śniło się co noc, rozdziawiali usta, patrząc na swych idoli z podziwem i zazdrością.

Pierwsza barka stuknęła o deski pomostu i na nabrzeżu wybuchła powitalna wrzawa. Narzeczeni padali sobie w objęcia, ojcowie podnosili narodzone pod ich nieobecność dzieci, żony ocierały łzy szczęścia.

Rozległ się głuchy turkot, podobny do pomruku odległej burzy; to sztaurczy toczyli baryłki po drewnianym trapie. Ustawiano je na konnych lorach, stłoczonych przy nabrzeżu, te zaś miały odwieźć ładunek do stojących w porcie magazynów.

Przyjemnie było znów czuć pod nogami solidny, nieruchomy pomost. Rye zarzucił na ramię nieporęczny kuferek, kurtkę wepchnął pod pachę i zaczął przedzierać się przez tłum. Rozglądał się przy tym tęsknie, taksował wzrokiem barwne krynoliny i ściśnięte fiszbinami talie, szukając tak dobrze znanej sobie sylwetki.

Laury Dalton jednak w porcie nie było.

Rye zmarszczył brwi i długim, rozkołysanym krokiem ruszył w stronę miasta, zręcznie mijając ludzi, jak gdyby jego bagaż nie ważył zgoła nic. Odprowadzały go zdumione spojrzenia wszystkowiedzących matron; dwie dzierlatki pospiesznie zaszeptały coś do siebie, przysłaniając usta, zaś sędziwy kapitan Silas, rozparty na swym zwykłym miejscu pod zbiegającą od wichrów ścianą składu sieci, skinął mu w milczeniu głową, pyknął z fajki i chrząknął: „Hm - hm!”

Pozostawiając za sobą gwarny port, Rye mijał drewniane szopy, zalatujące smołą, konopiami i rybą. Z przetwórci tranu bił duszący odór, mieszając się z kłębamii szarego dymu z pieców. Marynarz zignorował te wonie, podobnie, jak nie spostrzegł wielu ciekawskich oczu, które śledziły go ze świecowni, linowni i stolarni na rogu wyboistej uliczki, wiodącej do rynku. Wspięła się ona na zbocze Wesco Hill, przecinając rodzinną osadę Rye'a.

Ach, Nantucket, moja Nantucket!

Zagubiona wśród fal Atlantyku wyspa leżała trzydzieści mil od najbliższego lądu, którym na zachodzie były wapienne klify Martha's Vineyard, a od północy - smagane wiatrem wrzosowiska Cape Cod. Nazywano ją nieraz Szarą Królową Mórza i dziś, gdy drzemała pod kopułą błękitnego nieba, wysrebrzona ścianami domów, które lśniły w słońcu jak nie oszlifowane klejnoty, w pełni zasługiwała na to miano. Brukowane uliczki tonęły w soczystej zieleni świeżych traw, przechodząc za miastem w blade piaszczyste dukty i wąskie ścieżki wysypane muszlami. Słona bryza niosła zapach kwitnących śliw i krzewów woskownicy, a z sadów wybuchały w niebo jasne fontanny kwiecia.

Rye przystanął na chwilę. Zerwał kwiat jabłoni, przytknął go do nosa i zaciągnął się głęboko, jak gdyby w ten sposób mógł nadrobić pięcioletnią nieobecność. Delikatny aromat był dlań tym wspanialszy, że zrodziła go ziemia, nie morze.

Białe muszle przegrzebka chrzęściły pod nogami. Radował się ich dźwiękiem, zapachem jabłoni i widokiem dobrze znanej okolicy. Oto każdy krok zbliżał go do domu.

Lewa odnoga ścieżki wspięła się na wzgórze Quarter Mile; prawa, węższa, wiodła na niewysoki pagórek, gdzie rozsiadł się typowy dla Nantucket niski dom z szarych, nie malowanych desek, wypolerowanych przez słony wiatr tak, że każda lśniła jak szlachetna perła. Małe szybki okien osadzono w drewnie - ich ołowiane ramy przetopiono na kule

kilkadziesiąt lat temu w czasie wojny o niepodległość. Białe okiennice otwierały się niby rozpostarte ramiona, wpuszczając do środka piękny, wiosenny dzień.

Przed drzwiami stały rzędem doniczki pelargonii - ulubionych kwiatów Laury. Młody żywopłot otaczał dom od zachodu, gdzie do ściany tuliła się nakryta spadzistym dachem przybudówka. Rye przyjrzał jej się ze zdziwieniem. Nie było jej, gdy odjeżdżał.

Dzwon na wieży kościelnej wybił południe, wzywając mieszkańców osady na posiłek. Odkąd Rye sięgał pamięcią, ten sam dzwon odzywał się pięćdziesiąt dwa razy na dobę, lecz dziś jego echo budziło w sercu drżenie; zdawało mu się, że bije specjalnie dla niego.

Zszedł ze ścieżki, chcąc podkraść się bez hałasu. Przez otwarte drzwi doleciał go zapach gotowanej stawy. Nagle poczuł wdzięczność, że Laura czeka w domu, zamiast publicznie witać go na nabrzeżu. Odstawił kuferek, przygładził palcami niesforne włosy, spadające mu na twarz jak kłęb wodorostów, stłumił westchnienie i stanął w progu.

Przez chwilę nie widział nic poza smugą światła, wpadającą do izby. Milczał, lecz miał wrażenie, że z dala słyszał bicie jego serca.

Laura pochylała się nad wielkim kuchennym piecem, ubrana w prostą niebieską sukienkę i biały płócienny fartuch, przez rąbek którego przytrzymała właśnie wiszący nad ogniem sagan. Nuciała pod nosem, wtórował jej szczeł łyżki, którą mieszała w garnku.

Rye poczuł zawrót głowy. Patrzył na ciężki węzeł orzechowych włosów, smukłe plecy, zarys bioder osłoniętych białym płótnem. Przez chwilę miał wrażenie, że wyszedł stąd wczoraj. Napawał się znajomą prostotą tej sceny, cieszył myślą, że oto wrócił do swojego domu, do swej kobiety - takiej kobiety!

Laura nakryła garnek i odłożyła łyżkę na gzyms okapu. W wyobraźni widział kształt jej piersi, kawową barwę oczu, wykrój warg...

Spotniała dłonią zastukał cicho w futrynę.

Laura Dalton obejrzała się zaskoczona. Pod słońce widziała tylko sylwetkę wysokiego mężczyzny, trzymającego coś pod pachą i stojącego w rozkroku, jak gdyby wiał silny wiatr.

- Słucham pana? - wytarła ręce w fartuch, przysłoniła oczy i z wahaniem postąpiła parę kroków do drzwi. Kiedy jasna smuga dotknęła brzegu jej sukni, zatrzymała się nagle. Poznała niebieskawe oczy, jasne włosy i usta... pierwsze usta, jakie ją całowały.

- Rye? Cały dom zawirował nagle wokół niej. Z niedowierzaniem wyjąkała raz jeszcze:

- Rye, to ty? Uśmiechnął się niepewnie.

- Lauro.... - wzruszenie ścisnęło go za gardło - tylko tyle masz mi do powiedzenia po pięciu latach?

- Rye... mój Boże, ty żyjesz? Rzucił kurtkę na ziemię i wyciągnął ręce. Laura pofrunęła wprost w jego ramiona. Podniósł ją i mocno przytulił do piersi.

Nie, nie! - chciała krzyknąć, zamknięta w uścisku, który omal nie zgruchotał jej kości, przytulona do szorstkiej, pasiastej, pachnącej morzem koszuli. Zamknęła oczy i znów otworzyła je szeroko, jakby nie dowierzając. To naprawdę Rye! Jej Rye! Odruchowo objęła twarde, szerokie barki, przygarnęła go czule. Był mocno zbudowany, ciepły i żywy - naprawdę żywy! Głowa Laury bez wahania oparła się na ciepłym, zarośniętym policzku, a tylko w oczach zapiekły ją łzy.

Po chwili Rye odsunął ją lekko od siebie, stwardniałymi dłońmi objął wokół jej twarz i pełne, ciepłe, znajome wargi odnalazły jej usta. Całował Laurę zachłannie, z natarczywością, która rosła w nim przez pięć lat. Oto się odnaleźli, tulili do siebie w słodkiej gorączce, od której ich serca zataczały się jak pijane, tracąc poczucie czasu, spychając te pięć lat w niepamięć.

Rye postawił ją na ziemi, wciąż obejmując niczym bezcenny skarb, zaglądał jej w oczy i powtarzał szeptem: „Lauro, ukochana...” Potem oparł czoło o jej głowę, przymknął znużone powieki i pił jej zapach, bliskość, wodził dłońmi po plecach, jak gdyby chciał przypomnieć sobie każdy mięsień jej ciała.

Po chwili Laura delikatnie uniosła jego twarz. Badała ją wzrokiem i opuszkami palców, odkrywała nieznane dotąd zmarszczki, które czas wyrysował na jego smagłej cerze. Setki dni w pełnym słońcu rozjaśniły mu nie tylko włosy, lecz nawet błękit oczu.

Teraz oczy te patrzyły na nią z bliska, przenikały na wylot. Stwardniała od lin dłoń spoczęła na jej policzku, wciąż jeszcze zaróżowionym od ognia; druga osunęła się na pierś, jak gdyby ostatecznie chciała się upewnić, że to nie sen, że nareszcie jest w domu.

Laura odruchowo przyłgnęła do niego i nakryła dłonią jego dłoń, czując, jak przyspiesza jej serce i wzmagają się oddech. Dopiero po chwili z zakłopotaniem ujęła tę śmiałą męską dłoń, złożyła w jej wnętrzu pocałunek i przytuliła do twarzy, na której nadal mieszały się strach i ulga.

- Och, Rye, Rye... - szepnęła z rozpaczą. - Myśleliśmy, że nie żyjesz...

Rye pogładził jej włosy, opadające ciężkim węzłem na kark. Zastanawiał się, dokąd sięgną, kiedy je rozpuści. Szorstkie, pełne zadr palce wplątały się w jedwabiste, tak dobrze znane pasma, o których tylekroć śnił. Ponownie zamknął żonę w objęciach i zapytał:

- Nie dostałaś żadnego z moich listów?

- Listów? - powtórzyła bezmyślnie, oswobodzając się z uścisku, choć była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

- Pierwszy zostawiłem w muszli żółwia na Wyspie Karola... Na skale jednej z wysp Galapagos znajdowała się duża biała skorupa żółwia, znana wszystkim wielorybnikom na świecie. Każdy powracający do Nowej Anglii statek zawijał tam, by zabrać marynarskie listy, które trafiały następnie do osad takich jak New Bedford lub Nantucket. Mijały miesiące, ale większość w końcu trafiała we właściwe ręce.

- Nie dostałaś go? - Rye wpatrzył się w ciemne, czarno oprawne oczy, o których myśl pomogła mu przetrwać tysiąc sztormów i bezpiecznie zawinąć do macierzystego portu.

Laura potrząsnęła tylko głową.

- Napisałem go zimą trzydziestego trzeciego - Rye zmarszczył z zakłopotaniem brwi. - Następny podałem przez bosmana z Sag Harbor, kiedy na Filipinach spotkaliśmy „Stafford”. A jeszcze jeden wysłałem z Portugalii... tak, były co najmniej trzy. Żaden nie doszedł?

Laura znów w milczeniu potrząsnęła głową. Atrament źle znosił morską wodę. Rejsy były długie, losy statków niepewne. Istniało tysiąc powodów, dla których nigdy nie dostała listów Rye'a. Teraz mogli jedynie spoglądać na siebie bezradnie.

- Dowiedzieliśmy się... mówiono, że „Massachusetts” zatonął razem z całą załogą - Laura dotknęła twarzy Rye'a, jak gdyby chciała się upewnić, że nie jest duchem. Dopiero teraz spostrzegła kilka drobnych znamion, z których jedno zniekształciło nieco zarys jego ust, nadając im dziwnie kpiarski wygląd. Przez ułamek sekundy miała złudne wrażenie, że Rye się z niej naśmiewa.

Dobry Boże, pomyślała. Boże, jak to możliwe?

- Nim jeszcze minęliśmy Horn, z pokładu zwiąło trzech ludzi - rzekł powoli Rye. - Strach ich obleciał na myśl o przeprawie. Zawinęliśmy więc do Chile, żeby zamustrować kilku harpunników i trafiliśmy prosto na epidemię ospy. Po jedenastu dniach ja też zachorowałem. - Przecież przed wyjazdem szczepili cię krowianką!

- Widać miałem pecha... W istocie ówczesna metoda szczepienia, polegająca na tym, iż do naciętej skóry przykładano wydzielinę chorych krów, nie zawsze zapobiegała wystąpieniu choroby, znacznie jednak łagodziła jej przebieg.

- Tak właśnie myślałem, schodząc na ląd: że mam pecha - ciągnął Rye. - Później, gdy się dowiedziałem, że „Massachusetts” wpadł na skały koło Galapagos i od razu poszedł na dno... - westchnął na wspomnienie zmarłych towarzyszy. W oczach miał zadumę świadczącą, iż bliskość śmierci i na niego wywarła znaczny wpływ. Po chwili wzruszył ramionami i wrócił do terażniejszości. - Kiedy spadła mi gorączka i znikła wysypka - podjął - musiałem zczekać na następny statek, który będzie potrzebował bednarza. Zabrałem się na Wyspę Karola, bo tam zawsze jest punkt zborny, no, i tu miałem szczęście. Trafiła się „Omega”,

podpisałem kontrakt i ruszyłem na Pacyfik, przekonany, że o wszystkim dowiesz się z mojego listu.

Och, Rye, najdroższy, myślała z rozpaczą Laura. Jak ja ci to powiem?

Patrzyła na tę szczupłą, przystojną twarz, licząc wzrokiem ślady po ospie. Znalazła siedem i z trudem zdołała się powstrzymać, by nie dotknąć ustami każdego po kolei. Wiedziała, że ciężkie przeżycia podczas rejsu będą dla Rye'a niczym w porównaniu z tym, co go dopiero czeka.

Jego gęste, niesforne włosy o barwie włókien młodej kukurydzy zawsze wyglądały tak, jakby przed chwilą zmierzwił je wiatr - nawet, gdy Rye świeżo się uczesał. Przygłodziła je dłonią, niezdolna oprzeć się pokusie, by - choć ten jeden raz - wskrziesić dawne chwile. I natychmiast utonęła wzrokiem w jego oczach, których wspomnienie prześladowało ją w dniach żałoby. Wystarczyło wówczas, że stanęła w progu i spojrzała na wietrzne, pogodne niebo, i od razu przypominała sobie barwę oczu mężczyzny, którego utraciła.

Spuściła wzrok. Nie mogła się pogodzić, iż tyle wycierpiał i tyle jeszcze będzie musiał przejść, choć nie było w tym jego winy.

Zanim wyjechał, pokłócili się nie na żarty. Obiecywał, że ten pierwszy rejs będzie zarazem ostatnim, a gdy odbierze swą bednarską „działkę”, czyli udział w zyskach, będzie im o wiele łatwiej związać koniec z końcem. Laura błagała, by nie wypływał, mógł przecież zostać w Nantucket i pracować w warsztacie ojca. Majątek niewiele dla niej znaczył. Ale Rye się uparł. Tylko ten jeden rejs, powtarzał. Roztaczał przed nią wizję profitów, jakie przypadną mu w udziale, jeśli połów okaże się udany. Jego nieobecność miała trwać około dwóch lat i Laura nie mogła znieść myśli o tak długim rozstaniu. Niestety, wielorybnicy z Nantucket nie mogli już, jak dawniej, napełniać baryłek tuż pod własnym nosem. Świat żądał tranu, fiszbinów i ambry, woskowatej substancji używanej do wyrobu perfum. Nadal znajdowano je w głębinach morza, z roku na rok jednak w pogoni za stadami wielorybów musieli wypływać coraz dalej.

- Nie było cię przez pięć lat! - zawołała z gniewem. Rye ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- Nie żałuję, Lauro. „Omega” wróciła z pełniuteńką ładownią! Czy wiesz, ile pieniędzy...

Przerwał mu cichy dziecięcy głosik:

- Mamo?

Laura wzdrygnęła się nerwowo, przykładając dłoń do serca. Rye obrócił się i zmartwił. W drzwiach stał płowy malec, nie sięgający mu nawet do pasa.

Zerkał nieśmiało na nieznanego, trzymając palec w kąciku uroczo wykrojonych ust. Fala szczęścia zalała serce Rye'a. To mój syn, myślał. Słodki Jezu, mam syna! Spojrzał pytająco na Laurę, ale ona zdawała się unikać jego wzroku.

- Gdzie byłeś, Josh? Josh, pomyślał z radością Rye. Po dziadku, moim ojcu.

- Czekałem na tatusia.

Laura wpadła w panikę. Usta jej wyschły, dłonie zwilgotniały. Powinna była wyjaśnić wszystko zaraz na początku! Ale jak powiedzieć mężczyźnie coś takiego?

Twarz Rye'a, jeszcze przed chwilą promienna, zmieniła się nie do poznania, jak gdyby ktoś nagle stał z niej uśmiech. Jego spojrzenie żądało wyjaśnień. Laura z ociąganiem otworzyła usta, ale nim zdążyła wykorzystać szansę, na ścieżce zachrząściły kroki i w drzwiach pojawił się krępy, mocno zbudowany mężczyzna. Ubrany był niemal urzędowo: w czarny surdut, misternie związany biały krawat i prążkowane spodnie, przytrzymywane w pasie przez niewidoczne szelki, a dołem naciągnięte strzemiączkami pod podeszwę buta, tak, że na całej długości nogawek nie było najmniejszej zmarszczki. Przybysz zdjął kapelusz i powiesił go na haku wprawnym, wielokroć przećwiczonym ruchem. Dopiero wtedy zobaczył ich dwoje, zastygłych jak posągi. Jego dłoń, sięgająca już guzików palta, nagle znieruchomiała.

Laura z trudem przełknęła ślinę. Twarz przybysza zbieleła jak ściana. Rye patrzył to na niego, to na nią, to na hak z kapeluszem. W izbie było tak cicho, że bulgot gulaszu wydawał się głośniejszy niż ryk północno - wschodniego szkwału.

Rye odczuł mdlący strach, gorszy niż wtedy, gdy opływali Horn, miotając się w paszczekach dwóch wściekłych oceanów, które niejeden statek rozdarły na strzępy.

Nowo przybyły oprzytomniał pierwszy. Przyoblekł twarz w powitalny uśmiech i ruszył naprzód z wyciągniętą ręką.

- Rye! Na Boga, chłopie, czyżby morze nie mogło cię strawić i wypłuło z powrotem?

- Dan, jakże się cieszę, że cię widzę - rzekł odruchowo Rye, uświadamiając sobie, iż jeśli jego podejrzenia są słuszne, słowa te są wierutnym kłamstwem. - Ano, nie było mnie na „Massachusetts”, gdy ten całował dno. Wysadzili mnie wcześniej, miałem ospę.

Nawet przyjazny uścisk nie zdołał rozluźnić napiętej atmosfery. Byli przyjaciółmi, znali się od dziecka, teraz jednak patrzyli na siebie jak obcy, tym bardziej, że żaden nie był całkowicie pewien, co się właściwie dzieje.

- Ocaliłeś życie... dzięki ospie? - wyjąkał wreszcie Dan Morgan, parskając śmiechem.

Rye mu zawtórował, wkrótce jednak znów zapadła niezręczna cisza. Laura w popłochu zerknęła na Josha, który przyglądał im się ze zdumieniem.

- Umyj buzię i ręce, zanim siądziesz do stołu.

- Ale, mammo...

- Proszę bez dyskusji. No, idź - popchnęła go łagodnie i dziecko znikło za tylnymi drzwiami, odprowadzane spojrzeniem obu mężczyzn.

Atmosfera była tak gęsta jak całun mgły, który pokrywa Nantucket średnio przez ćwierć roku. Rye rozejrzał się i po raz pierwszy dostrzegł, że stół na krzyżakach nakryty jest na trzy osoby. W izbie był jeszcze jeden, mniejszy stół z wiśniowego drewna; znajdował się w głębi, a obok niego wyściełany fotel i taboret z wikliny, obciążony taką samą materią. Łóżko, które stało tu niegdyś, zniknęło. Jego miejsce zajęła przenośna zamykana alkowa, której rozsunięte drzwi pozwalały dojrzeć szereg drewnianych żołnierzyków stojących na baczność u wezłowia - a zatem na pewno zajmował ją chłopiec. Spojrzenie Rye'a powędrowało w stronę drzwi do przybudówki, wyciętych w ścianie na lewo od kominka. Zauważył narożnik znajomego małżeńskiego łóża.

Z trudem przełknął ślinę.

- Wpadłeś na lunch? - spytał ostrożnie.

- No, owszem... - Dan wyraźnie nie wiedział, co począć z rękami.

Obaj mężczyźni patrzyli na Laurę, błagając ją wzrokiem, by wzięła na siebie ciężar sytuacji. Nastroj był isticie pogrzebowy. Na ironię zakrawało, iż tak właśnie przyjęto wieść, że Rye Dalton cudem pozostał wśród żywych.

Głos Laury brzmiał nieswojo, policzki jej pałały, palce splatały się nerwowo.

- Rye... - odezwała się wreszcie - my... myśleliśmy, że nie żyjesz.

- My?

- Dan i ja.

- Dan i ty - powtórzył głosem bez wyrazu. Laura błagalnie zerknęła na Dana, lecz temu najwyraźniej całkiem odjęło mowę.

- No i? - warknął Rye, z każdą sekundą coraz bardziej przerażony.

- Och, Rye - na twarzy Laury odbiła się litość. - Mówili, że z „Massachusetts” nikt się nie uratował. Dziennik pokładowy także poszedł na dno.

Stali bez ruchu, tworząc idealny trójkąt, co w danej sytuacji miało wręcz symboliczny wydźwięk. W końcu Dan zaproponował cicho:

- Może byśmy usiedli? Lecz Rye, jako człowiek morza, zwykł był przyjmować dopustę losu na stojąco.

- Czy sprawa wygląda... tak jak wygląda? - spytał zaczepnie, omiatając szybkim spojrzeniem wszystkie oznaki świadczące, iż Dan nie wpadł tu tylko z wizytą. Potem spojrzął

na żonę. Zaciskała dłonie tak kurczowo, że kostki palców były białe jak śnieg. Ciemne oczy błyszczały od powstrzymywanych łez i malował się w nich głęboki żal.

- Tak, Rye - przyznała. - Dan i ja wzięliśmy ślub.

- Boże!... - Rye opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Laura miała ochotę podbiec doń, utulić, cierpiała bowiem równie mocno, jak on. Chciała krzyknąć: „Ach, co za nieszczęście!”, lecz przecież obok stał także i Dan - wypróbowany, najlepszy, ukochany przyjaciel. Dan, dzięki któremu udało jej się przetrwać ciężkie chwile; który w obliczu tragedii stał się jej podporą i dał jej wolę życia. Ten, kto pomagał jej w tysiącu spraw i zadań, jakim samotna, brzemenna kobieta nie mogła podołać. Ten wreszcie, kto pokochał dziecko Rye'a jak własne, a biorąc ją za żonę stał się dla Josha ideałem ojca.

Chłopiec wpadł właśnie do izby z mokrą po myciu buzią. Podbiegł wprost do Dana i objął go za nogi, zadzierając głowę z radosnym uśmiechem, którego widok rozkrwawił serce Rye'a Daltona.

- Mama zrobiła dzisiaj to, co lubisz - zaświergotał. - Zgadnij, co?

Rye patrzył, jak Dan Morgan gładzi włosy malca, wygładzając sterczący czubek, który zresztą natychmiast podniósł się z powrotem.

- Zagramy w zgadywanki po kolacji, synu - bąknął bez zastanowienia Dan, po czym poczerwieniał i zerknął ukradkiem na zbolałą twarz Rye'a.

Bładobłękitne oczy oceniały chłopca. Ile może mieć lat? - zastanawiał się gorączkowo Rye. - Cztery? Nie miał żadnej pewności. Czyj jest? Mój czy Dana? Obejrzał się na Laure, zadając jej wzrokiem to samo pytanie.

Napięcie wciąż rosło i Laura czuła się jak lina, którą dwie drużyny przeciągają między sobą. W gardle ją dławiło, w głowie miała pustkę i odnosiła dziwne wrażenie, że cała ta farsa wcale jej nie dotyczy, że wszystko to spotkało kogoś innego. W końcu górę wziął konwenans i jej usta same ułożyły się w słowa: „Będzie nam bardzo miło, jeśli zjesz z nami obiad, Rye”. Jakże dziwnie to zabrzmiało! Zapraszała go do jego stołu, w jego własnym domu!

Rye omal nie parsknął gorzkim śmiechem. Przez pięć lat na morzu jadał twarde jak podeszwa suchary, soloną rybę i całkowicie niestrawny gulasz z suszonych jarzyn, pocieszając się myślą o pierwszym obiedzie, jaki dostanie w domu. A teraz, gdy jego nozdrza wypełnił aromat dania, o jakim śnił po nocach, nie mógł przecież ot, tak, po prostu zasiąść do niego wraz z Laurą i jej drugim mężem!

Zerwał się na nogi. Czuł palącą potrzebę, by opuścić ten dom i wszystko w spokoju przemyśleć. Chłopczyk wciąż mu się przyglądał, uniemożliwiając zadanie jakiegokolwiek pytania.

- Dziękuję, Lauro, ale jeszcze nie widziałem się z rodzicami - wykrztusił. - Pójdę się przywitać.

Oni będą znać prawdę - pomyślał.

Laura nieco przybladła i wymieniła z Danem ukradkowe spojrzenie.

- Odprowadzę cię *kawałek*.

- To zbyt czyste. Doskonale pamiętam drogę.

- Idź z nim, Lauro - wtrącił szybko Dan. - Ja w tym czasie nałożę obiad.

Przez krótką, trudną do zniesienia chwilę, Rye zastanawiał się, czy ma dać znak Laurze, aby wyszła pierwsza, czy też upierać się, że pójdzie sam.

Josh zadarł głowę i spojrzał na Dana.

- Mamusia idzie na spacer z tym panem?

- Tak, ale niedługo wróci - odparł Dan.

- A kto to jest? - indagował malec, jeszcze pogarszając niezręczną sytuację.

- Na imię ma Rye i jest moim... naszym starym przyjacielem. Josh zmierzył wzrokiem wysokiego nieznanego w spłowiałym od słonej wody przyodziewku i butach nasiąkniętych wielorybim tłuszczem, którego mowa - prędko, pełna skróconych, niezrozumiałych sylab - różniła się od języka, jaki słyszał w domu.

- Rye? - powtórzył. - Śmieszne imię.

Rye uśmiechnął się z wysiłkiem, szukając własnych rysów w każdym piegu, geście, każdej minie chłopca.

- Śmieszne, prawda? - przyznał. - Noszę je dlatego, że moja mama nazywała się Ryerson, kiedy jeszcze była panną.

- Mój kolega Jimmy nazywa się Ryerson - oświadczył Josh. Zatem to twój kuzyn, o ile oczywiście jesteś moim synem - pomyślał mężczyzna, kierując wzrok na Laurę, lecz również i tym razem nie doszukał się w jej oczach odpowiedzi, kobieta bowiem przykłękała, zwracając się do synka:

- Usiądź teraz grzecznie z... tatusiem do stołu i już jedzcie. Za chwilę będę z powrotem.

Słyszając własne wahanie przed słowem „tatuś”, Laura poczuła wstyd. Dobry Boże, co też ja wyprawiam? - pomyślała. Kątem oka dojrzała, że Rye schyla się po porzuconą kurtkę i staje przy drzwiach w wyczekującej pozie.

Dan patrzył za nimi ze ściągniętą twarzą. W dzieciństwie ganił na bosaka po wydmach, wolni od trosk i szczęśliwi. Z głębin pamięci wypłynął jego własny głos, wówczas wysoki, łamiący się falset:

„Lauro, chodź sprawdzić, czy dojrzały poziomki!”

Laura natychmiast ogląda się za Ryem:

„Rye, Rye, chcesz pójść z nami?”

Rye zerka na nich przez ramię.

„Nie, wolę iść na Altar Rock. Może jakiś statek zawija do portu.”

Decyzja Laury jest taka, jak zawsze:

„Idę z Ryem. Zresztą i tak za wcześnie na poziomki.”

Dan wlecze się za nimi z rękami w kieszeniach, marząc, by choć raz Laura posłuchała jego, a nie Rye'a.

Rye podniósł rzucony na ścieżce kuferek i ruszył obok Laury. Oboje uparcie wbijali wzrok przed siebie, lecz ona doskonale widziała jego poznaczone słonymi zaciekami mankiety, a on jej zdobioną pasmanterią spódnicy. Minęła wieczność, nim oddalili się na tyle, by nikt z domu nie mógł ich usłyszeć. Wtedy dopiero Rye zapytał bez wstępów:

- Czy Josh jest moim synem?

- Tak. - Laura nagle odczuła wielką radość, że może mu to powiedzieć, choć komplikowało to jeszcze bardziej dostatecznie już trudną sytuację.

Stopy Rye'a nagle wrosły w ziemię. Kuferek zsunął się z barku i wylądował z chrzęstem niemal dokładnie pośrodku rozdroża. Po lewej stronie drogi jabłoniowy sad zachłystywał się kwieciami. Kępki krokusów kiwały główkami w słońcu. Niżej lśniły wody zatoki, tak samo błękitne i rozświetlone jak w tej chwili oczy Rye'a.

- Naprawdę jest mój? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Naprawdę - szepnęła, a błogi, drżący uśmiech rozjaśnił na chwilę jej twarz.

Na twarzy Rye'a natomiast malowała się cała gama odczuć, wśród których prym wiodło oszołomienie. Cofnął się o krok i z rozmachem usiadł na swoim kufierku, z trudem łapiąc oddech, jak gdyby nagle uderzenie szkwału zważyło go z nóg.

- Mój - oznajmił białym muszłom na ścieżce. - Mój - powtórzył, spoglądając na nią ze zdziwieniem, jakby spotkało go coś niepojętego.

Sięgnął po jej rękę. Nie mogła jej cofnąć, tak samo, jak nie mogła odwrócić pokrętnych wyroków losu. Silna, smagła dłoń objęła drobniejszą, jakże bardziej kruchą dłoń Laury, przyciągnęła ją bliżej i oparła się na jej biodrze. Ładunek uczuć, bijących z oczu Rye'a, zdawał się grozić, iż serce mu pęknie. Rye pociągnął ją jeszcze bardziej ku sobie, jęknął cicho i ukrył twarz na jej łonie.

- Och, Lauro...

Górą śmignęły dwie skrzeczące mewy, Laura jednak ich nie dostrzegła, bo na widok

tej jasnej, rozwichrzonej czupryny, wtulonej tuż pod jej piersią, łzy stanęły jej w oczach.

- Rye, proszę cię...

Podniósł ku niej udręczone spojrzenie.

- Od jak dawna jesteś jego żoną?

- W lipcu miną cztery lata.

- Cztery lata - powtórzył, starając się odepchnąć nieproszone obrazy intymnych przeżyć tych dwojga. - Cztery lata - warknął, miętosząc rąbek jej spódnicy. - Jak coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć? A Josh o niczym nie wie?

- Nie.

- Nigdy mu o mnie nie opowiadałaś? - rzucił zdławionym głosem.

- Właściwie... nie miałam zamiaru tego przed nim ukrywać. Po prostu... Dan był przy nim od urodzenia, ba, jeszcze wcześniej. Josh nauczył się kochać go jak... ojca.

- Chcę, żeby wiedział. Chcę znowu mieszkać w tym domu wraz z wami, z żoną i synem, jak pan Bóg przykazał!

- Zrozum, Rye, musisz dać mi trochę czasu - twarz Laury wykrzywiła się do płaczu, głos jej się załamał. - To... to wszystko dotknęło nas tak nagle... nikt się przecież nie spodziewał...

- Ile czasu? - przerwał niecierpliwie.

Popatrzyła mu w oczy, jakby w pierwszej chwili nie pojęła, o co pyta. Widząc jego rozpacz i determinację, odwróciła wzrok. Nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć.

- Czekałem na ten dzień pięć lat, a ty prosisz mnie o czas. Jak długo mam jeszcze czekać?

- Ja... nie... - kątem oka spostrzegła jego bliskie usta. - Proszę cię, Rye...

- Prosisz? O co prosisz? - Rye powoli ujął ją za łokieć.

- Ktoś może nas zobaczyć... - Laura spłoniła się, oczy jej błyszczały, z półotwartych ust dobywał się przyspieszony urywany oddech.

- No to co? Jesteś moją żoną.

- Nie dlatego tu przyszłam.

- A ja właśnie dlatego - rzekł chrapliwie, przyciągając ją do siebie. Szybkim spojrzeniem omiótł szczyt pagórka, aby sprawdzić, czy nie widać ich z domu. - Na Boga, Lauro, czekałem pięć lat! Nie zdajesz sobie sprawy, jak za tobą tęskniłem? I co dostaję w zamian? Jeden pocałunek, gdy liczyłem na tak wiele... - jego oczy rozplomieniały ją, głos kusił.

- Mam ochotę wziąć cię tu, zaraz, i do diabła z Danem, do diabła z całym światem. Chodź do mnie.

Był coraz bliżej, szeroka dłoń szukała wygięcia jej talii. Szarpnął Laureę ku sobie i w chwili, gdy ich biodra się zetknęły, nie mogła nie zauważyć, iż męskość Rye'a rozkwitła jeszcze bujniej niż otaczający ich sad. Całował ją zachłannie, stanowczo i zaborczo, zdobywał jej usta w sposób nie dający cienia wątpliwości, że gdyby mu pozwoliła, bez wahania wprowadziłby swoje słowa w czyn.

Jego język tańczył zmysłowo w jej ustach, palce błąkały się po jej ciemnych włosach, wychwytyjąc zawarte w nich słoneczne ciepło. Niczego nie pragnął bardziej, niż zobaczyć jej włosy rozpuszczone, zmierzwiłone, rozpostarte wachlarzem na trawie w chwili, gdy posiadzie Laureę tak, jak o tym marzył.

Objął jej plecy, lecz tu natknął się na nieoczekiwaną przeszkodę. Tułów Laury od łopatek aż poniżej krzyża zakuty był w pancerz z tej samej substancji, za którą Rye wypłynął na dalekie morza i w efekcie utracił ukochaną żonę - z fiszbinu.

- Niech piekło pochłonie wszystkie wieloryby! - zaklął zdławionym głosem, wodząc palcami po twardych wstawkach gorsetu.

Laura nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- W tej chwili powinniśmy im być wdzięczni - szepnęła, po raz pierwszy przyznając, że również go pragnie. Mimo to cofnęła się stanowczo.

- Przestań, Rye! W każdej chwili ktoś może tutaj przyjść.

- I zobaczy, że całuję własną żonę. Chodź tu, jeszcze z tobą nie skończyłem.

Laura jednak wymknęła się zręcznie.

- Nie, Rye. Musisz zrozumieć, że nic z tego, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Sytuacja jest jasna. Ja pierwszy zostałem twoim mężem.

- Za to Dan był nim dłużej - stwierdziła, by zaznaczyć że nie chce skrzywdzić Dana.

Zmysłowe podniecenie nagle gdzieś ulotniło.

- Czy to znaczy, że masz zamiar z nim zostać?

- Na razie tak. Musimy najpierw porozmawiać, omówić...

- Jesteś moją żoną! - Rye zacisnął pięści. - Nie pozwolę, żebyś żyła z innym!

- Ja również mam w tej sprawie coś do powiedzenia i na pewno pochopnie nie odejdę od Dana. Trzeba rozważyć dobro Josha i... - Laura załamała ręce i zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem. W końcu stanęła przed nim twarzą w twarz i prychnęła: - Od niemal czterech lat trwaliśmy w przekonaniu, że nie żyjesz. Chyba nie oczekujesz, że w ciągu godziny da się wszystko zmienić?

Szczęki Rye'a zadrgały, kiedy chmurnym wzrokiem spojrział ku zatoce Nantucket.

- Jeśli chcesz z nim zostać - rzekł lodowatym tonem - wystarczy jedno twoje słowo i -

na Boga! - nie będę na to patrzeć. Wyłynę na następnym wielorybniku, jaki opuści port.

- Tego nie powiedziałam. Prosiłam tylko, żebyś dał mi trochę czasu. Zgoda?

Spojrzał na nią, z trudem powstrzymując się, by jej nie objąć, nie pocałować, jeszcze i jeszcze raz. Skinął sztywno głową i znów odwrócił wzrok.

Znad brzegu dobiegł odległy dźwięk portowego dzwonu. Wszechobecny szum morza tworzył muzyczne tło, niesłyszalne dla ludzi, którzy całe życie spędzili przy wtórze uderzeń fal o brzeg. Krzyki mew i huk portowych młotów były również częścią tej muzyki, wchłanianej tak po prostu, jak zapach łąk, mokradeł albo słonej bryzy.

- Rye?

Odwrócił się z ociąganiem. Laura położyła mu dłoń na ramieniu, czując, jak pod skórą tężeją twarde mięśnie.

- Wyszłam z tobą, bo chcę ci coś powiedzieć, zanim zejdiesz do miasta.

Rye nadal nie patrzył jej w oczy.

- Niestety... mam złe wieści. Spojrzał na nią szybko.

- Złe? - powtórzył z przekąsem i zaśmiał się sucho. - Gorsze od tego, co dziś usłyszałem?

Och, Rye... - westchnęła w duchu Laura, bliska łez. - Nie zasłużyłeś na taki smutny powrót.

- Skoro wybierasz się do rodziców... powinieneś wiedzieć! Rye zaczął odwracać głowę - sztywno, jak gdyby już odgadł. Dłoń Laury zacisnęła się na jego ramieniu.

- Twoja matka... Nie zastaniesz jej w domu, Rye.

- Nie? A gdzie? Musiał się już domyślić, ciężko jednak było to wypowiedzieć!

- Na Quaker Road - dodała szybko.

- Na Quaker Road - powtórzył, mimowolnie zerkając w tamtą stronę.

- Tak. - Oczy Laury napełniły się łzami. Serce pękało jej na myśl, że to ona musi zadać mu kolejny cios. - Zmarła ponad dwa lata temu. Twój ojciec pochował ją na cmentarzu kwaków.

Nagle drzenie przebiegło całe jego ciało. Okręcił się na pięcie; wbił ręce w kieszenie i wyprostował ramiona, walcząc o zachowanie panowania nad sobą. Przez łzy widziała spłowiałe od słońca włosy, które spadły na kołnierz, gdy Rye wznosił głowę ku błękitnemu niebu. Z zaciśniętej krtani wyrwał mu się okrzyk:

- Czy cokolwiek jeszcze będzie takie samo? Przepeliło ją współczucie. Chciała mu pomóc, chociaż trochę ulżyć. Czując jej dłoń na plecach, Rye załkał krótko raz, potem drugi.

- Przekłete wieloryby! - krzyknął. To prawda, pomyślała, czując, jak dygoczą jego

szerokie barki.

Przeklęte wieloryby! W pogoni za nimi nie liczyło się życie, szczęście ani miłość. Wyżej ceniono tran, fiszbin, ambre. Żaglowce latami włóczyły się po siedmiu morzach, podczas gdy na łodzi umierały matki, rodziły się dzieci, a niecierpliwe dziewczęta brały innych mężów.

...Ale za to w domach jarzyły się światła. Damy skrapiały się perfumami, których zapach utrwalą ambra, i udawały, że gorsety na fiszbinach są dostateczną zbroją dla ich cnoty, ponieważ wyniosła królowa zza Atlantyku wprowadziła modę na pruderię, niosącą się jak zaraza przez lądy i morza.

To okrucieństwo losu przełamało rezerwę Laury. Objęła go ramionami i przytuliła czoło do jego pleców.

- Kochany, tak mi przykro...

Gdy przestał płakać, zadał jej tylko jedno pytanie:

- Kiedy się znów spotkamy?

Nie wiedziała, co odrzec, by ulżyć mu w cierpieniu.

Majowy wiatr, nieczuły na ludzkie troski, pijany zapachem kwiecica i morskiej wody, zmierzwił włosy Rye'a, po czym pognał dalej osuszać burty kolejnego statku, sposobiącego się do wypłynięcia w rejs. Niósł ze sobą woń dymu znad przetwórnicy, które ludziom z Nantucket przynosiły nie tylko bogactwo, lecz także cierpienie.

ROZDZIAŁ 2

Wielorybnictwo było krosnem splatającym wątek morza i osnowę ładu, aby stworzyć materię nazwaną Nantucket. Większość mieszkańców wyspy mniej lub bardziej bezpośrednio zawdzięczała mu chleb. Działo się tak od schyłku siedemnastego wieku, kiedy to niewielki statek z Nantucket złowił pierwszego kaszalota.

Sama wyspa wydawała się stworzona przez naturę specjalnie na ośrodek tej nowej gospodarczej siły napędowej amerykańskich kolonii, leżała bowiem na szlaku wędrówek wielorybów, ponadto zaś posiadała duże naturalne kotwiczowisko, które bez wielkich modyfikacji mogło być wykorzystane jako port. W rezultacie wzdłuż Wielkiej Przystani rozsiadło się miasteczko, wznosząc się nieomal wprost z morskich fal.

Półow kaszalotów był tu nie tylko rzemiosłem, lecz i tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Synowie kapitanów obejmowali własne statki. Podobnie przekazywali swój fach synom żaglomistrze, takłownicy biegli w sztuce splatania lin windujących w górę ciężkie płachty żagli, cieśle i rzeźbiarze figur dziobowych, bez których żaden okręt nie mógł liczyć na to, iż szczęśliwie zawinie znów do portu. Schodzącego z pokładu kowala w następnym rejsie zastępował przy kowadle jego syn.

Tak było i z Josiahem Daltonem. Sam bednarz w piątym pokoleniu, wyuczył swoje dziecko solidnej roboty i pewnego dnia pożegnał je w porcie jak żegnano kolejno wszystkich młodych Daltonów.

Beczki robiono na stałym lądzie, przewożono je jednak w częściach i składano stopniowo w miarę potrzeby. Dlatego też bednarz mógł wykonywać swój fach na okręcie, podejmując ryzyko dla wysokiej stawki, bowiem jego „dola” - czyli udział w zysku - ustępowała jedynie zarobkom kapitana, pierwszego oficera i bosmana.

W swoim czasie Josiah Dalton sam zarobił trzy znaczne udziały, ale i ucierpiał od niewygód rejsu, toteż teraz dłuwał swoje beczki pewnie zakotwiczony na stałym lądzie.

Grzbiet zgarbił mu się w ciągu długich lat, które przesiedział okrakiem na zydlu, ciągnąc do siebie ciężkie stalowe ostrze. Stwardniałe dłonie pokrywała sieć sinych, wypukłych żył. Nieproporcjonalnie umięśniony tors nadawał Josiahowi pokraczny wygląd małpy, twarz jednak miał łagodną, pooraną zmarszczkami na wzór słoików drewna, w którym pracował. Lewy kącik ust, zajęty nieodłączną fajką z korzenia wrzосу, bez przerwy wykrzywił się jakby w uśmiechu. Lewe oko, trwale przymrużone, przyćmił wonny dym, który wciąż je owiewał i chyba z biegiem czasu nadał oku nieco swojej barwy. Siwe włosy bednarza wiły się jak drewniane strużyny, spadające mu z kolan.

Rye przystanął w otwartych drzwiach warsztatu, zajął do środka i przez chwilę sycił się obrazami, dźwiękami i zapachami, wśród których się wychował. Pod ścianami stały stopy gotowych wyrobów - pękających baryłek, spłaszczonych na bokach skopków oraz beczulek owalnego kształtu, które nie turlały się samopas po rozkołysanej ładowni okrętu. Klepki rozpoczętych beczek sterczały z obręczy niczym płatki stokrotek, w cebrze zaś moczyły się następne. Na ścianie równym rzędem wisiały dwuręczne skrawaki, pod nimi zaś, w tym samym miejscu co zawsze, stał kamień szlifierski. Deszczułki i noże do frezowania leżały wysoko na półce, z dala od wilgotnego klepiska, o co zawsze dbał Josiah.

Bednarz siedział okrakiem na zydłu i strugał klepkę, od czasu do czasu poprawiając ją w uchwycie. Nogi zagrzebane miał w stosie świeżych wiórów.

Postarzał się, pomyślał Rye ze smutkiem.

Dostrzegłszy kątem oka czyjś cień, Josiah obejrzał się. Powoli uniósł spracowaną dłoń, by wyjąć fajkę z ust. Jeszcze wolniej przełożył nogę ponad zydłem i wstał. Naraz jego oczy zabłysły i zwilgotniały na widok syna, który stał w drzwiach, wysoki i barczysty.

Wszystkie powitalne słowa, układane w duchu na wypadek, gdyby mieli się jeszcze zobaczyć w tym życiu, teraz gdzieś im uciekły. Josiah zdobył się w końcu na banalną uwagę:

- Wróciłeś - jego głos niebezpiecznie zadrżał.

- Ano... - głos Rye'a także nabrał podejrzanie niskich tonów.

- Pływałeś na „Omedze”? Rye w odpowiedzi tylko skinął głową. Milczeli. Stary wpatrywał się w młodego, młody chciwie rozglądał się dokoła. Były takie dni, kiedy powątpiewał, czy dane mu będzie ujrzeć ten dom. Dopiero po chwili ruszył ku ojcu z wyciągniętymi ramionami. Uścisnęli się mocno niczym dwa niedźwiedzie, bo mięśnie Rye'a także okrzepły przy pracy - nadal bez słowa, uśmiechając się rzewnie.

Tę właśnie porę wybrała sobie stara, żółta suka z siwiejącą mordą, by radośnie skomlać rzucić się do nóg Rye'a.

- Łajba! - wykrzyknął. Padł na kolana i zaczął drapać ją za uchem. - Co ty tu robisz?

Nareszcie, myślał stary. Od ilu lat śnił mi się ten obraz!

- Ano - rzekł na głos - po twoim wyjeździe przestało jej się podobać na wzgórzu, więc postanowiła czekać na ciebie tu i nigdzie indziej. No i czekała, biedula, pięć lat.

Stary labrador wychodził ze skóry, żeby sięgnąć jęzorem jego twarzy. Rye uchylił się ze śmiechem, potem jednak zmienił zdanie i pozwolił się polizać.

Pamiętał płowe, ledwie żywe szczenię, któremu udało się dopłynąć do brzegu z wraku okrętu. Rye natychmiast uznał je za swoją własność i dał mu na imię Łajba.

Teraz, słysząc radosny pisk, myślał: „Przynajmniej ona nic się nie zmieniła”.

Ojciec przyglądał im się bacznie, zagryzając cybuch. Żałował, że jego żona nie dożyła tej chwili.

- A więc stara kostucha jednak cię nie dopadła - stwierdził lakonicznie i cicho zachichotał, żeby pokryć wzruszenie.

- Ano, nie - Rye podniósł głowę, nie przestając drapać psa za uchem. - Próbowala, jak mogła, ale tuż przed katastrofą musiałem zejść ze statku. Zaraziłem się ospą.

- Rozumiem - cybuch zawisł w powietrzu, wycelowany wprost w twarz Rye'a. - Ciężko chorowałeś?

- Wystarczająco ciężko, by dzięki temu ocalić życie.

- To prawda - prychnął Josiah, przyglądając się synowi spod zmrużonych powiek.

Rye wstał, podparł się pod boki i rozejrzał po warsztacie. - Trochę się tu zmieniło - zauważył.

- Sporo. Spojrzeli sobie w oczy, zasmuceni figlami, jakie spletał im los w ciągu minionych lat.

- Wychodzi na to, że obaj straciliśmy żony - dodał z powagą marynarz. Rozczarowany pies trącał go w kolano, ale Rye nie reagował. Na twarzy ojca zauważył świeże zmarszczki, po których toczyły się łzy.

- Już wiesz? - Josiah pieszczotliwie potarł rozgrzaną fajkę.

- Wiem - odparł cicho Rye.

Pies stanął na tylnych łapach, omal nie zbijając go z nóg. Rye machinalnie pogłaskał złocisty łeb, tak samo, jak jego ojciec bezwiednie tarł swą fajkę.

- Bez matki to już nie ten sam dom - zauważył.

- Cóż, miała dobre życie, choć umierała w smutku, myśląc, że spocząłeś w morzu. Nigdy do końca się nie otrząsnęła po usłyszeniu tej wieści. Tak sobie jednak myślę, że już od dawna wie, że uszedłeś z życiem - Josiah uśmiechnął się melancholijnie.

- Co się stało?

- Wilgoć... wilgoć i ziąb. Dostała zapalenia płuc i w trzy dni było po wszystkim. Trzęsły nią dreszcze, choć przy tym była rozpalona jak piec. Byliśmy bezsilni. Wiesz, jaka Szara Pani potrafi być w marcu. - Josiah mówił bez gniewu. Każdy, kto urodził się na wyspie, znał jej mgliste kaprysy i przyjmował je jako dopust, z którym trzeba żyć... a czasami umrzeć.

- Prawda, na przedwiośniu wredna z niej suka - przytaknął Rye. Ojciec westchnął i klepnął go w ramię.

- Cóż, przywykłem już do samotności, na ile w ogóle można się z tym pogodzić. Ale ty... - Josiah nie dopowiedział myśli i badawczo przyjrzał się synowi.

Rye odwrócił wzrok w stronę okna.

- Rozumiem, że byłeś już na wzgórzu? - spytał Josiah.

- Byłem - pełne usta Rye'a zacisnęły się w wąską kreskę.

- Ja straciłem tylko jedną kobietę, ty dwie... Rye znów zacisnął usta, tym razem z determinacją.

- Na razie - rzucił. - Mam zamiar poprawić ten wynik o połowę.

- Wzięła z nim przecież ślub.

- Myślała, że nie żyję!

- Wszyscy tak myśleliśmy, chłopcze.

- Cóż, jednak żyję i będę o nią walczył.

- A co ona o tym sądzi?

Rye przypomniał sobie pocałunek Laury i jej pospieszną rejteradę.

- Chyba jeszcze nie doszła do siebie po wstrząsie. Kiedy wszedłem do domu, wzięła mnie za upiora. Ale, na Boga, dowiodłem jej, że nie jestem duchem!

Josiah zachichotał cicho i pokiwał głową, widząc, jak smagła twarz syna powleka się rumieńcem.

- Co do tego, chłopcze, gotów jestem iść o zakład. Widzę jednak, że zholowałeś tu na dół swój kuferek i pewnie masz zamiar dzielić ze mną koję.

- Sprowadziłem się do Łajby, nie do ciebie, stary złośliwco, daruj więc sobie ten uśmiezek i przestań się natrzęsać!

Josiah ryknął śmiechem, omal nie gubiąc fajki.

- Nic się nie zmieniłeś, Rye. Założę się, że twoja baba ma teraz nie lada szkopuł: co zrobić z tym swoim zapasowym mężem? Dobra, chłopcze, ształuj graty, bo i ja, i Łajba chętnie przyjmimy cię do kompanii. Od dwóch lat w tym domu zalega martwa cisza, więc nawet twój niewyparzony jęzor będzie nam miłą odmianą - Josiah wycelował fajkę w nos Rye'a i dodał: - Oczywiście, póki nie przeciągniesz struny.

Spojrzeni na siebie jak równy z równym - starzejący się ojciec i syn, który wyrósł wyższy i silniejszy niż on.

W domu na wzgórzu Laura wciąż drżała na wspomnienie pocałunku Rye'a. Gdy tylko zniknął za zakrętem ścieżki, miała wrażenie, że to był sen. Widok Dana jednak przywrócił ją do rzeczywistości, to zaś oznaczało, że trzeba będzie pogodzić się z dziwaczną prawdą i uporać z jej konsekwencjami.

Zatrzymała się w progu, przymykając oczy, i przycisnęła dłoń do kołającego serca, nim weszła do środka.

Dan siedział nad nietkniętym talerzem, opierając brodę na splecionych palcach. Powiódł za nią wzrokiem, kiedy szła przez izbę. Spojrzenia jego orzechowych oczu towarzyszyły jej zawsze, odkąd sięgała pamięcią. Teraz jednak najchętniej zostałaby sama.

Stała przy stole, nie wiedząc, co powiedzieć. Czy ten milczący, strapiiony mężczyzna jest nadal jej mężem? Patrzył na jej ręce i Laura nagle zdała sobie sprawę, że nieświadomie gniecie pasek fartucha. Spuściła ręce i usiadła na ławie naprzeciw Dana. Miała wrażenie, że jej nerwy są z cienkiego szkła, które zaraz prysnie. W izbie panowała trudna do zniesienia cisza. Docierały tu tylko zwykłe odgłosy wyspy: brzęk młotów, krzyki mew, dzwony rozkołysanych pław oraz odległy świst parowca z Albany, który właśnie przybijał do nabrzeża.

Laura pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Minęło kilka długich minut nim znów odważyła się spojrzeć na męża. Bawił się łyżką, przyciskał ją do stołu i kręcił nią, jak gdyby chciał wywiercić dziurę w blacie.

Kiedy zauważył, że na niego patrzy, odłożył łyżkę, a jego dobrze utrzymane dłonie leżały płasko na stole. Potem westchnął, chrząknął i powiedział:

- Cóż...

No, odezwij się - besztala się Laura w duchu. Ale od czego zacząć?...

Dan odchrząknął ponownie i usiadł prosto.

- Gdzie jest Josh? - spytała cicho.

- Spalaszował obiad i poszedł się bawić.

- Nic nie jadłeś - zauważyła, zerkając na jego talerz.

- Nie byłem głodny - bąknął, unikając jej wzroku.

- Dan... - Laura wyciągnęła rękę, ale dłoń Dana nie wybiegła jej na spotkanie; spoczywała bezwładnie jak drewniana kłoda.

- Nie wygląda na nieboszczyka - wykrztusił niezręcznie. Laura splotła ręce na kolanach, wpatrując się w talerz, który Dan dla niej przygotował.

- To prawda - przyznała.

- Długo tu był?

- Tu? - nie zrozumiała.

- W tym domu.

- Wiesz, kiedy „Omega” przybiła do portu.

- Niezbyt dokładnie. Nikt mnie nie uprzedził, że z pokładu zszedł Rye Dalton. Zabawne, prawda?

Laura ponownie nakryła dłonią jego dłoń.

- Och, Dan, przecież między nami wszystko zostało po staremu... Wyrwał rękę, zerwał się na równe nogi i odwrócił twarz.

- To dlaczego czuję się tak, jak gdyby ziemia nagle usunęła mi się spod stóp?

- Dan, proszę cię...

Obrócił się na pięcie i postąpił krok w jej stronę.

- Siedzę tu, przy jego stole, w jego domu, z jego...

- Dan, przestań!

Słowa: jego żoną wibrowały w powietrzu tak wyraźnie, jak gdyby zdążył je wypowiedzieć na głos. Wszystko, co tu się znajdowało, należało kiedyś do Rye'a Daltona - i sprzęty, i ludzie. Dan Morgan nie potrafił pogodzić się z tym, że jego przyjaciel gotów upomnieć się o swoją własność.

- Chodź tu, usiądź i skończ obiad - powiedziała Laura. Opuścił ręce i spojrzał na nią bezradnie.

- Muszę wracać do kantoru. Czy będziesz... czy dasz sobie radę?

- Oczywiście - wstała, żeby odprowadzić go do drzwi i podała mu surdut. Dan zdjął z haka kapelusz, ale zamiast go włożyć, niezdecydowanie powiodł palcem wzdłuż ronda. Serce Laury ścisnęło się z żalu.

Dan zrobił krok w stronę drzwi, zatrzymał się, wciągnął głęboki oddech, potem zawrócił i przycisnął ją do piersi tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Do zobaczenia przy kolacji - szepnął udreńczonym głosem. Laura bez słowa skinęła głową. Dan oderwał się od niej i szybko wyszedł z domu.

Idąc wysypaną muszlami ścieżką niemal po śladach Rye'a, uświadomił sobie, że w ten właśnie sposób - krok za Ryem - idzie przez całe życie.

Gdy wyszedł, z oczu Laury popłynęły łzy. Wróciła do izby pełnej przedmiotów przypominających dziwny splot losów ich trojga. Widelec Dana wciąż leżał na stole; pięć lat temu Rye jadał tym samym widelcem. W alkowie stał rząd drewnianych żołnierzyków, którymi w dzieciństwie bawił się Dan Morgan. Skrzynkę na warzywa zrobił Rye dla matki Dana. Fotel został kupiony przez Dana wkrótce po ślubie z Laurą, za to stojący obok niego taboret był weselnym prezentem dla Laury i Rye'a.

Wbrew woli Laura zajrzała do bokówki, spoglądając na łóżko. To w nim wraz z Ryem poczęli syna, w nim rodziła Josha i obok niego siadał Dan, kiedy odwiedzał ją w połogu. Oglądał różowy, rozwrzeszczany tłumoczek i mawiał: „Chłopak kropka w kropkę poda się do Rye'a.” Wiedział, że Laura to właśnie chce usłyszeć. Tak, łóżko było jakby symbolem łączących ich więzi. Korzystali z niego wszyscy troje. Sterczący róg wezgłowia, rzeźbiony na

kształt kokosa służył jako wieszak na męskie surduty. Na toczonej poręczy Laura zaciskała dłonie tak w ekstazie, jak w bólu.

Poczuła skurcz w gardle i odwróciła wzrok.

Który z nich - myślała - jest nadal moim mężem? Cokolwiek miała jej przynieść przeszłość to pytanie nurtowało ją najbardziej.

Pół godziny później Laura знаła odpowiedź. Wyszła z gabinetu Ezry Merrilla, jedynego prawnika na wyspie, z uczuciem, że nie jest w stanie powrócić do wypełnionych wspomnieniami domu. Choć była dorosła i sama miała dziecko, pragnęła pobiec i schronić się w ramionach matki.

Zostawiła Josha u Ryersonów i skręciła w Brimstone Street, do domu rodziców. Znów opadły ją wspomnienia: biegali tu w trójkę na długo przedtem, nim złączyły ich jakiegokolwiek przysięgi. Miała ochotę porozmawiać z kimś, kto znał ich historię od samego początku.

Przekraczając próg, Laura zdała sobie sprawę, że u Dahlii Traherne nie znajdzie pomocy.

Dahlia nie potrafiła kierować własnym życiem, cóż dopiero udzielać rad innym. Urodzona malkontentka, wychodziła na swoje, narzekając bez przerwy na błahe problemy; gdy ich zabrakło, wymyślała nowe.

Jej mąż, Elias, był żaglomistrzem. Urodził się na wyspie i przez całe życie zszywał płótna, ale nigdy pod nimi nie popłynął, bo na najmniejszą wzmiankę Dahlia dostawała kolejnego ataku urojonej choroby i musiał przysięgać, że jej nie opuści. Zmarł, kiedy Laura miała dwanaście lat, i mówiło się wówczas, że to własna żona wpędziła go do grobu. Bardziej złośliwi twierdzili wręcz, iż konał z radością, że się od niej uwolni. Powiadano także, że po śmierci męża Dahlia Traherne powinna była krócej trzymać córkę, by ta nie włóczyła się po wydmach z chłopakami, co w żadnym razie nie uchodzi dziewczęciu, zwłaszcza, gdy matka nawet palcem nie kiwnie w tej sprawie. Niektórzy wszakże znajdowali usprawiedliwienie słabego charakteru Dahlii, stwierdzając lakonicznie: „Cóż, ona nie pochodzi z wyspy.”

W istocie, Dahlia urodziła się na kontynencie, choć przeżyła w Nantucket trzydzieści dwa lata. Jednakże nawet po upływie dalszych stu nie uznano by tu jej za swoją. Przybysze na zawsze pozostawali „tymi z lądu”. Być może właśnie ów lekceważący dystans sprawił, że Dahlia zupełnie straciła pewność siebie i stała się bezwolną, kwękającą istotą.

- O, Laura! - jęknęła boleśnie, witając córkę. - Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj, kochanie.

- Mamo, czy mogłabym z tobą porozmawiać? Dahlia wyczuła, że jej córka boryka się z jakimś problemem, i zawahała się, jak gdyby miała opory przed wpuszczeniem jej za próg.

Ale Laura wyminęła ją i weszła do środka, z ciężkim westchnieniem opadła na ławę przy stole i odezwała się drżącym głosem.

- Rye żyje. Dahlia poczuła kłujący ból w skroniach.

- O, nie... - jęknęła.

- Wrócił do Nantucket.

- O Boże! Ale dlaczego... co... - dłonie Dahlii bezwiednie uniosły się do czoła, nim jednak zdążyła czmychnąć po lekarstwo, Laura zaczęła mówić. Na długo przed końcem opowieści rozterka Dahlii ustąpiła przerażeniu.

- Chyba nie masz zamiaru się z nim... spotykać, kochanie? Laura przyjrzała się siedzącej naprzeciw kobiecie, czując, że opadają jej ręce.

- Już się z nim widziałam. Zresztą nie da się go unikać na tak małej wyspie jak Nantucket.

- Ale... co na to Dan? Laura oparła się pokusie wykrzyknienia: „A ja się nie liczę?!”

i odparła bezbarwnym głosem:

- Dan też już go widział. Rye przyszedł do domu.

- Do domu, o Boże! - ręce Dahlii przeniosły się ze skroni na drżące wargi. - Co ja powiem sąsiadom?

Brak pewności siebie zawsze zatruwał Dahlii życie. Laura uświadomiła sobie, że szaleństwem z jej strony było oczekiwanie od matki porady w sytuacji, gdy zarówno pewność, jak poczucie bezpieczeństwa ucieleśniał Dan, będący ostoją ich obu, odkąd Rye Dalton odpłynął w siną dal. W opinii Dahlii Rye zostawił jej córkę „na lodzie”.

- Rozmawiałam już z Ezrą Merrillem - przyznała Laura, podnosząc strapione oczy. - Dan nadal jest moim prawowitym mężem. Ale... ale ja wciąż żywię uczucia dla Rye'a.

- Sza! - syknęła spłoszona Dahlia. - Nawet o tym nie wspominaj, jeśli nie chcesz mieć jeszcze więcej kłopotów. Nie powinnaś się była w ogóle z nim spotykać!

- Ależ mam - Laura czuła coraz silniejszą irytację. - Dom, w którym mieszkam, należy do Rye'a. Josh jest jego synem. Jak mogłabym zabronić mu wstępu?

- A co będzie, jeśli wszystko ci zabierze? To było typowe dla Dahlii Traherne: w takiej sytuacji myślała o majątku.

- No wiesz, mam - Laura zerwała się i zaczęła krążyć po pokoju.

- Lauro, kochanie, nie denerwuj się tak. Dan powinien ci kupić waleriany...

- Nic mi nie jest! Lecz dla kobiety, która w obliczu nieprzyjemności zdolna była zapaść na każdą chorobę, sprawą pierwszej wagi było znalezienie odpowiedniego lekarstwa. Podeszła do córki, zamierzając przytknąć jej dłoń do czoła, Laura jednak usunęła się zrećnie.

- Mamo, proszę cię, przestań. Nieomal widać było, jak na cierpiętniczej twarzy Dahlii żłobi się kilka nowych zmarszczek. Widząc, że matka nie jest w stanie jej pomóc, ani nawet współczuć, Laura omal nie wybuchnęła płaczem.

Och, mamo, gdybyś tylko mogła mnie pocieszyć...

Ale Dahlia nigdy nie umiała rozproszyć jej obaw. Laura klęła się w duchu, co ją opętało, iż w ogóle tu przyszła. Ten nerwowy dygot mógł co najwyżej wszystko pogorszyć. Toteż Laura wcale nie była zdziwiona, gdy jej matka opadła na krzesło i jęknęła:

- Och, Lauro, kochanie, strasznie boli mnie głowa. Czy mogłabyś mi podać krople anyżowe? Są tam, na półce - słowem towarzyszył gest omdlewającej dłoni. - Proszę... zmieszaj je... z wodą - dokończyła, z trudem łapiąc powietrze.

Laura zmuszona była więc zatroszczyć się o osobę, u której szukała pomocy i oparcia, a zanim wyszła, ją także potwornie rozboleła głowa. Wróciła do siebie i przez resztę dnia oddawała się wspomnieniom, z obawą myśląc o przyszłości.

Wróciwszy z pracy, Dan podejrzliwie omiótł wzrokiem izbę, jak gdyby spodziewał się zastać w niej Rye'a. Powiesił surdut i w milczeniu patrzył na Laurę krzątającą się przy kuchni. Mimo że obydwójce starannie unikali jakiegokolwiek wzmianki o Rye'u Daltonie, napięta atmosfera utrzymała się do końca posiłku.

Wieczorem Josh z niezawodną dziecięcą intuicją zadał pytanie, które przepełniło czarę. Dan siedział nad rejestrem przy małym dębowym biurku, gdy chłopczyk oparł mu się na kolanach i zapytał:

- Dlaczego mama tak się dziś przestraszyła, kiedy ten pan tu był? Pióro Dana zgrzytnęło na papierze i znieruchomiało, podobnie jak szydełko w dłoni Laury.

- Czemu nie spytasz mamy? - zaproponował, obserwując twarz Laury oblewającą się rumieńcem. Był ciekaw, co zaszło między tymi dwojgiem, kiedy Rye Dalton złożył tu wizytę.

Josh pogalopował do matki i wdrapał się jej na kolana.

- Boisz się tego pana, mamusiu?

- Nie, kochanie, wcale się go nie boję - Laura zmierzwiła mu włosy.

- Ale zrobiłaś takie wielkie oczy i odskoczyłaś od niego, jakbyś się sparzyła.

- Byłam zdziwiona, a nie przestraszona. Rozmawialiśmy, to wszystko. - Poczucie winy sprawiło, że rumieniec jeszcze się pogłębił. Czują, że Dan się jej przygląda. Pochyliła się gorliwie nad robótką, jak gdyby musiała skończyć ją w terminie. - Sądzę, że już czas, byś odprowadził swoich żołnierzy na półkę, a sam wskoczył w koszulkę i położył się spać - dodała.

- Chcecie z tatą porozmawiać o dorosłych sprawach? - domyślił się malec.

Laura nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Josh był bystrym, dowcipnym chłopcem i nawet jeśli czasem besztala go za te dociekliwe uwagi, zawsze czyniła to ze śmiechem. Teraz od Dana dzielił ją mur skrępowania, który wyrósł już wcześniej, nim wtrącił się Josh, a gdy nadeszła pora snu, uczucie to stało się nieomal dotkliwie namacalne. Laura miała wrażenie, że stąpa po ostrych rybackich haczykach. Co gorsza istniała jeszcze kwestia rozbierania.

Większość dam w owym czasie miała pokojówki. Zarówno suknie, jak gorsety sznurowane były z tyłu i nie dało się ich ani włożyć, ani zdjąć bez pomocy. Laura nie była zachwycona, kiedy Dan nalegał, by kupowała sobie takie właśnie stroje, ale był tak wściekle dumny, iż może ją utrzymać na odpowiednim poziomie, że w końcu uległa i teraz dwa razy dziennie musiała prosić go o pomoc. Stało się to częścią ich wieczornego rytuału, tak naturalną, jak zdmuchnięcie ostatniej świecy.

Dziś czuli się niezręcznie. Dan postawił świecę na komodzie, rozwiązał krawat i przewiesił go przez oparcie łóżka. To samo zrobił z koszulą. Laura, ściśnięta jak faszerowany indyk, nagle zbuntowała się przeciwko babskiej doli. Dlaczego kobiety musiały nosić tak absurdalnie niewygodną odzież? Mężczyznom nie groziły podobne udręki.

Jakżeby chciała dyskretnie zrzucić szmatki, włożyć nocną koszulę i wśliznąć się pod kołdrę! Niestety, było to niewykonalne.

- Dan, czy mógłbyś rozwiązać mi gorset? Ku jej przerażeniu, twarz Dana pokryła się purpurą. Szybko obróciła się do niego tyłem. Po nieomal czterech latach rozbierania jej Dan wciąż się rumienił!

Rozpiął jej mosiężne haczyki na plecach i rozwiązał tasiemkę, przewleczoną przez oczka z tyłu gorsetu. Szło mu dziś niesporo; mruzczał coś pod nosem. Uwolnwszy się w końcu z sukni, położyła gorset na cedrowym kufrze i rozpięła halkę, zostając jedynie w zapinanych z przodu na guziczki pantalonach i koszuli ściągniętej satynową wstążką.

Zakładki koszuli, wgniecione przez cały dzień w ciało, pozostawiały ścieżki czerwonych, potwornie swędzących zmarszczek. Dawniej Dan często śmiał się z niej, gdy kładła się do łóżka i niemal natychmiast zaczynała się drapać.

Dziś jednak w milczeniu, zwróceni do siebie tyłem, ubierali nocne koszule. Milczeli również wtedy, gdy legli pod kołdrą, wdychając pozostały w powietrzu aromat świeżo zgaszonej świecy. Z zewnątrz dobiegał szum fal, niezmordowanie bijących o brzeg, a bliżej klekot lelka, który zawsze poprzedza jego nocny koncert. Laura, nasłuchując, leżała w ciemności, spięta równie jak Dan. Powtarzała sobie, że przecież często zasypiali razem nawet się nie dotykając. Dlaczego dziś tak się bała?

Usłyszała, że Dan przełyka ślinę. Boki ją swędziały, ale zmusiła ręce do bezruchu.

Cisza dłużyła się, aż w końcu, kiedy lelek zakrzyczał po raz setny, Laura ujęła męża za rękę. Chwycił się jej dłoni jak liny ratunkowej i ścisnął tak mocno, że kostki palców lekko zatrzęszczały. Doleciał ją szelest puchowej poduszki i niewyraźny dźwięk, na poły ulgi, na poły rozpacz.

- Boję się, Lauro.

Miała wrażenie, że ostry cierń przeszył jej serce.

- Niepotrzebnie - bąknęła, choć ona też się bała.

Nagle stanęło im przed oczyma wiele rzeczy, o których nigdy ze sobą nie mówili.

W dzieciństwie bawili się zawsze we trójkę. Później jednak stało się oczywiste, że Laura wpatrzona jest wyłącznie w Rye'a. Kiedy wieść o jego o śmierci dotarła na Nantucket, Dan cierpiał wraz z nią. Spacerowali smaganą wiatrem plażą, doświadczając tej szczególnej rozpacz, właściwej żałobnikom, którzy nie mają nawet ciała do oplakania. Bezradnie poszukiwali dowodu nieuchronności śmierci, odebranego im przez zachłanny ocean, który za nic miał ludzką potrzebę ukojenia ducha.

W tych niespokojnych, burzliwych dniach rozpacz Dana wygasła szybciej niż ból Laury, bowiem wraz ze śmiercią Rye'a otwierała się przed nim droga do serca ukochanej kobiety. W okresie tym żył pod brzemieniem winy, nienawidząc się za to, iż odczuwa ulgę.

Laure zdobył przede wszystkim dlatego, że stał się jej niezbędny.

Któregoś dnia zbudził ją stuk siekiery. Na podwórku zastała Dana rąbiącego drewno na zimę. Kiedy przyszły chłody, zjawił się ponownie z furą wodorostów, którymi obłożył fundamenty domu, by ochronić je przed wdzierającymi się wszędzie podmuchami ostrego wichru. Gdy coraz bardziej zaawansowana ciąża zaczęła dawać się Laurze we znaki, Dan bywał codziennie, żeby nacerpać wody, nanieść drewna; przynosił jej świeże pomarańcze i kazał odpoczywać z nogami w górze, kiedy doskwierały jej bóle w krzyżu. Patrzył w jej smutne oczy... i milczał. To on pobiegł po akuszerkę, sprowadził jej matkę, a potem chodził nerwowo przed domem - tak, jak ojciec dziecka. To Dan siadywał przy jej łóżku, zaglądał w powijaki Josha i obiecywał, że zawsze znajda go przy sobie, ilekroć będzie potrzebny Laurze lub jej synowi.

Przyzwyczała się więc, że może liczyć na jego pomoc we wszystkich męskich sprawach, a Dan pomagał aż nazbyt chętnie - na długo przedtem, nim poprosił ją o rękę. Osiedli w małżeństwie tak naturalnie, jak zbielałe deski dawnych okrętów osiadają na brzegach Nantucket przy wysokim przypływie. Druga miłość Laury nie była może pełna wielkiej namiętności, lecz na pewno wyrosła na poczuciu wspólnoty i bezpieczeństwa.

Jak w większości małżeństw, jedna ze stron kochała mocniej, i w tym przypadku był

to Dan. Mimo to i on czuł się pewnie, bo zabrakło rywala, który ongiś zagarnął Laurę dla siebie. Teraz Laura należała do niego i kochała go. Nigdy nie analizował tej miłości, nie dopuszczał myśli, że znaczną jej część stanowiła wdzięczność - nie tylko za pomoc, fizyczną i materialną, lecz i za to, że kochał Josha jak własnego syna i był tak dobrym ojcem, jak gdyby sam go spłodził.

Gdy jednak tego dnia Dan Morgan wszedł do domu i zastał w nim Rye'a poczuł, że jego małżeństwo chwieje się w posadach.

Dławiły go pytania, których nie chciał zadawać, bo po prostu bał się usłyszeć odpowiedź. Jednego wszakże nie mógł powstrzymać, choć serce wypełniały mu złe przecucia. Pieszczotliwie potarł kciukiem dłoń Laury, przełknął ślinę i napiętym, nieswoim głosem rzucił w mrok:

- Co robiliście dziś z Ryem, kiedy mnie nie było?

- Co robiliśmy? - głos Laury również brzmiał nienaturalnie.

- Josh twierdzi, że kiedy wszedł, odskoczyłaś od Rye'a.

- Nie... nie wiem. Byłam zdenerwowana, to chyba jasne. Nie co dzień odwiedza cię... nieboszczyk.

- Przestań kluczyć, Lauro. Dobrze wiesz, o czym mówię.

- Niepotrzebnie pytasz, bo to bez znaczenia.

- Całował cię, tak? - kiedy Laura nie odpowiedziała, rzucił: - Miałaś wypisane to na twarzy.

- Och, Dan, naprawdę robisz z igły widły. Zupełnie mnie zaskoczył, a poza tym zwyczajnie chciał się ze mną przywitać. - Laura próbowała zbagatelizować sprawę, czując w głębi serca, że nie mówi całej prawdy.

- A później, kiedy poszłaś go odprowadzić?

- Dan, proszę cię.. Ścisnął jej dłoń tak, że zabolalo.

- Czy za drugim razem też chciał się przywitać? Dan nigdy dotąd nie był o nią zazdrosny, ale też nigdy nie dawała mu do tego powodu. Ta gwałtowna reakcja nieco ją przestraszyła i Laura gorączkowo szukała stosownej odpowiedzi.

- Dan, na miłość boską, zmiądzysz mi rękę! Wchodząc tu, Rye nie wiedział, że wzięliśmy ślub.

- Zamierzał zająć miejsce twego... męża?

- Teraz ty jesteś moim mężem - powiedziała łagodnie w nadziei, że go udobrucha.

- Jednym z dwóch - rzucił cierpko. - Tyle, że ja dzisiaj nie dostałem buziaka.

- Bo nie poprosiłeś - rzekła jeszcze czulej. Oparł się na łokciu i pochylił nad nią.

- Nie będę prosił - wyszeptał ze złością. - Sam wezmę sobie to, do czego mam prawo.

Usta Dana gwałtownie wpiły się w jej usta, jak gdyby chciał ją ukarać za to, czemu nie była przecież winna. Całował ją z wściekłą determinacją, by wygnać Rye'a z jej myśli, z jej życia, z jej przeszłości, choć równocześnie wiedział, że to niemożliwe.

Jego język brutalnie penetrował jej usta. Szarpnęła się, urażona, dając mu do zrozumienia, jak bardzo jest grubiański.

Dan ze skruczą porwał ją w ramiona i tulił do siebie, szepcząc urywanie:

- Lauro, Lauro, przepraszam, nie chciałem cię zranić, ale tak się boję, że znowu cię stracę, gdy wreszcie cię zdobyłem po tych wszystkich latach. Kiedy go zobaczyłem, poczułem się tak, jak... Pamiętasz? Biegałaś za nim jak pies, który łasi się o pieszczotę... Powiedz, że go nie sprowokowałaś... proszę, obiecaj, że nie pozwolisz mu znów się uwieść...

Nigdy dotąd się nie przyznał, że przez cały czas był zazdrosny o Rye'a. Laurze zrobiło się go żal; przesunęła dłoń na jego kark, by przygładzić mu włosy. Trzymała go w objęciach, całowała w czoło. Zamknęła oczy, uświadamiając sobie nagle, jak kruchym okazał się jego świat teraz, gdy Rye wrócił. Mimo to bała się składać obietnice, nie będąc pewna, czy zdoła ich dotrzymać.

Wypowiedziała jedyne słowa, które mogła rzec z czystym sumieniem:

- Kocham cię, Dan. Nigdy nie miałeś powodu w to wątpić.

Zadrzał. Jego dłonie zaczęły błądzić po jej ciele, a ona zapragnęła, by zwłaszcza dziś z nią nie współżył. Natychmiast zalały ją wyrzuty sumienia. Nigdy dotąd nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby mu odmówić. Sumiennie pieściła jego kark i plecy, powtarzając sobie, że to ten sam Dan Morgan, z którym dzieliła łóżko od ponad trzech lat, że pojawienie się Rye'a Daltona nie daje jej prawa, by go odepchnąć.

A jednak chciała go odepchnąć. Bóg świadkiem.

Poczuła jego dłoń, zadzierał do góry jej nocną koszulę. Zrozumiała, jak bardzo potrzeba mu czegoś, co pozwoli mu odzyskać utraconą wiarę w siebie. Otworzyła się przed nim i obejmowała go mocno, gdy jęczał szczytując. Nigdy by się nie przyznała, iż spełniając ten najbardziej naturalny akt małżeński czuła się niewierną innemu mężczyźnie.

Rye Dalton leżał na wznak, wbijając wzrok w sufit. Nie mógł się przyzwyczaić do pustki, jaka zapanowała w domu, gdy zabrakło w nim matki. Każdy znajomy sprzęt przywodził ją na myśl; każdy przypominał o troskliwości jej pracowitych rąk...

Pierwszy domowy obiad był o wiele lepszy od marynarskiej stawy, nie dorównywał jednak smakołykom przyrządzanym przez matkę... i Laurę. Prycza, na której sypiał jako chłopiec, choć szersza od koi na „Omedze”, nie umywała się do obszernego, miękkiego łóżka z

różanego drewna, w którym zamierzał spędzić dzisiejszą noc... z Laurą. Kładł się przygotowany na ciągłe kołysanie, do którego przywykł w ciągu pięciu lat. Posłanie było nieruchome, co kompletnie wybiło go ze snu. Na zewnątrz, zamiast świstu wiatru w takielunku, słyszał stukot końskich kopyt na bruku, coraz rzadsze głosy, trzask bata, brzęk zamykanych drzwiczek ulicznej latarni. Dźwięki te - skądinąd wcale nie dokuczliwe - raziły go obcością.

Wstał i podszedł do okna. Wychodziło na południe, gdyby było jasno, widziałby stąd dach swojego domu, bowiem drzewa na wyspie karłowaciały pod naporem wichru i tylko nieliczne wyrastały wyżej od budowli wzniesionych przez człowieka.

Była jednak noc i szczyt wzgórza tonął w bezksiężycowym mroku.

Na myśl, że Laura dzieli z Danem ich małżeńskie łóżko, bolesny harpun przeszył jego serce.

Z kąta pokoju dobiegł szmer, a po chwili nosowy głos Josiaha:

- Rozmyślanie o niej nie pomoże ci zasnąć, chłopcze.

- Tyle to i ja wiem. Ale on... on ją teraz bierze w moim łóżku, a ja tkwię tu jak kołek i mogę co najwyżej łykać ślinkę.

- Jutro będziesz miał dość czasu, żeby powiedzieć jej, co czujesz.

- Nie muszę jej mówić. Wie.

- Dostałeś więc kosza, czy tak? Rye oparł się łokciami o parapet.

- Mniej więcej - warknął, rozdrażniony od nowa. - Chłopak myśli, że Dan jest jego ojcem, a ten chyba naprawdę go kocha. Słowem twardy orzech do zgryzienia.

- Widziałeś malca?

- Tak.

Nieprzerwany szept oceanu przeniknął przez szorstkie ściany domu. Rye stał bez ruchu, wpatrując się w ciemny kwadrat okna. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie słychać było dumę:

- Ładny brzdąc.

- Usta ma po babce.

Rye zerknął w stronę ojca, lecz w ciemności nie mógł dostrzec jego twarzy.

- Ja straciłem żonę - rzekł wolno - a ty wnuka. Przyprowdziła go choć raz, żeby mógł cię poznać?

- A tam, jakizby interes miała do bednarza... Morganowie zresztą hołubią go bardziej niż rodzzonego.

Rye wspominał czasy, gdy dom rodziców Dana był dla niego tak samo otwarty, jak

własny.

- Co u nich słyhać? - spytał. - Zdrowi?

- Jak rzepy.

Na chwilę zapadła cisza.

- A Dan... - bąknął po chwili Rye - chyba dobrze zarabia, że stać go na te frymuśne meble?

- Pracuje w kantorze u starego Starbucka.

- Josepha Starbucka? - prawie krzyknął Rye.

- Tego samego.

Joseph Starbuck był właścicielem floty wielorybniczej, w której skład wchodziła i „Omega”. Najbardziej ubodła Rye'a myśl, że gdy on tułał się po oceanach, żonę zabrał mu ktoś, kto pozostał na lądzie, aby liczyć to, co on wyłowił.

- Widziałeś te trzy nowe domy przy głównej ulicy? - ciągnął stary. - Nazywają je „Ceglówkami”. Starbuck postawił je dla swoich synów. Sprowadził architekta aż z Europy. Ostatnio niezłe się wzbogacił. „Bohater” i „Prezydent” też wróciły pełne po burty, a Starbuck spodziewa się, że załoga „Trzech Braci” również go nie zawiedzie.

Rye słuchał jednym uchem. Żałował dnia, w którym skusił go zarobek - a był on pokaźny, bo doła bednarza, równająca się jednej sześćdziesiątej udziału w zysku, wyniosła niemal tysiąc dolarów. Ale te pieniądze nie mogły odkupić Laury. Wiedział, że niczego jej nie brakuje; Dan dbał zarówno o nią, jak i o dziecko. Rye przełknął ślinę, spoglądając przez okno w kierunku, gdzie znajdował się jego dom. Znow przyszło mu na myśl łóżko w dobudowanej alkowie.

Do kroćset! - pomyślał. - A ja tymczasem spiam na dziecinnej pryczy i jem to, co upichci mój staruszek.

Ale to się zmieni, poprzysiągł sobie w duchu. Już niedługo!

ROZDZIAŁ 3

Nazajutrz rano Nantucket spowiła mgła. Jej wilgotne macki obwącziwały nogi przechodniów niczym gończe psy, po czym cofały się bezgłośnie, aby dać im przejście. Gęste kłęby pokrywały bruk warstewką wilgoci, nadając mu czarny połysk, i kołysały się nad głową Rye'a, gdy szedł do kantoru Josepha Starbucka. Woda zbierała się na brzegach żelaznego poidła dla koni i spływała na ziemię z nierytmicznym pluskiem, któremu wszechobecna mgła nadawała osobliwy, melodyjny ton. Stukot pazurów nieodstępnej Łajby zdawał się być echem spadających kropel.

Mimo tej przygnębiającej aury Rye Dalton z zadowoleniem pławił się w luksusie, jakim była dla niego świeża, sucha odzież po latach noszenia wytłuszczonych, nasiąkniętych słoną wodą drelichów.

Miał na sobie obszerny wełniany sweter, który wiele lat temu zrobiła na drutach Laura. Gruby golf miękko otulał szyję i ocierał się o bokobrody. Ich barwa i faktura niewiele zresztą odbiegała od tweedowej wełny, zaś biegnący wzdłuż rękawów warkocz zdawał się podkreślać kształt potężnych mięśni. Czarne wełniane marynarskie spodnie nie były wszyte w pasek, lecz sznurowane po obu stronach bioder, tworząc na brzuchu jakby klapkę, pod którą teraz Rye wcisnął zziębnięte ręce. Szedł długim, rozkołysanym krokiem, roztrącając mgłę, która z oburzeniem kłębiła się za nim.

Ceglana ściana budynku kantoru niknęła w tumanie, odcinały się na jej tle tylko śnieżnobiałe drzwi, okiennice i szyld, sterczący sztywno pod ołowianym niebem. Pies przysiadł na zadzie, wiedząc, że przyjdzie mu czekać na pana pod drzwiami.

Wewnątrz panował gwar i bieganina, jak zawsze, gdy do portu zawinął wielorybnik. W piecu trzaskał ogień i nie czuło się tu wiosennego chłodu. Rye pozdrawiał niezliczonych znajomych, kierując się do biura Josepha Starbucka - jowialnego, grubokościstego mężczyzny, który na jego widok pospieszył go przywitać.

- Dalton! - wykrzyknął, ściskając dłoń Rye'a z siłą żelaznych cęgów. - Nieźle spisałiście się w tym rejsie, chłopcy! Dolar piętnaście za galon! Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić!

- Ano, i nasze boki tłuścieją na wielorybim sadle - zachichotał Rye.

- I jak tam? - zagadnął Starbuck, unosząc ciekawie brwi. - Postanowiłeś zostać szturem ładowym, czy też zaciągniesz się na następny rejs?

Rye obronnym gestem uniósł w górę obie dłonie.

- O, nie, ten jeden raz mi wystarczy. Chętnie będę pleśniał w ojcowskim warsztacie do

końca moich dni, byle tylko czuć pod nogami stały ląd.

- Nie mogę powiedzieć, żebym ci się dziwił, choć przyznasz chyba, że zarobek jest niezły. Na pewno nie dasz się skusić... powiedzmy, za jedną piętnastą udziału? - Starbuck podszedł do zajmującego większą część pomieszczenia ogromnego biurka, zerkając przy tym chytrze na twarz Rye'a.

- Nie - rzekł ten. - Nawet za jedną piętnastą. Ostatni rejs kosztował mnie dostatecznie drogo.

Starbuck zmarszczył brwi i zatknął kciuki w kieszenie kamizelki, przyglądając mu się z powagą.

- Słyszałem, młodzieńcze, i bardzo ci współczuję. Trudno to nazwać udanym powrotem do domu. Co to się porobiło.... - westchnął. - Oprócz tego przyjmij nasze kondolencje z powodu śmierci matki - dodał.

- Dziękuję panu.

- Jak się czuje ojciec?

- Nie gorzej niż zwykle, a klepki tnie tak szybko, że ta fujara, nasz terminator, nie nadąza ich zbierać.

Starbuck roześmiał się pogodnie.

- Skoro nie mogę cię zwabić na mój statek, może zdołam ci wcisnąć zamówienie na beczki?

- A, to i owszem, panie Starbuck, z przyjemnością.

- Świetnie! Przyślę wam agenta, żebyście się dogadali co do ceny. Jeszcze dziś przed wieczorem.

- Zgoda.

- Domyślam się, że przyszedłeś po wypłatę.

- To prawda.

- Będziesz musiał się spotkać ze swoim... przyjacielem, Danem Morganem - rzekł zmieszany Starbuck. - Jest u mnie głównym księgowym. Urzęduje na piętrze.

- Tak właśnie słyszałem.

Starbuck zmierzył go badawczym wzrokiem, ale Rye tylko uprzejmie skinął głową, a wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Wobec tego poczęstował go cygarem za dziesięć centów, lecz Rye grzecznie odmówił. Starbuck przyciął koniec i po chwili wydmuchnął kłąb wonnego dymu.

- Cóż, Dalton - rzekł - ta robota ma swoje dobre i złe strony. Człowiek opuszcza dom w najlepszej wierze, mając na względzie dobrobyt rodziny, ale bywa, że dostaje łupnia. Ani to

wina Morgana, ani moja, cóż, kiedy, do kroćset, czuję się odpowiedzialny!

Starbuck huknął pięścią w wytartą poręcz twardego fotela i zmienił temat.

Moja żona wydaje w sobotę obiad, żeby uczcić powrót „Omegi”. Przyjdiesz, nieprawdaż?

- Z przyjemnością - Rye wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zwłaszcza, jeśli pańska szanowna małżonka nie zatrudni w kuchni mojego staruszka.

Mimo lekkiego tonu tej rozmowy, Joseph Starbuck doskonale wiedział, jakim ciosem musiała być dla Rye'a wiadomość, że najlepszy przyjaciel odebrał mu żonę. Nie trzeba było zbytnej przenikliwości, żeby się domyślić, iż nie chodzi tu bynajmniej tylko o kuchnię Laury. Starbuck nie mógł tu pomóc, ale ponieważ był przyzwoitym człowiekiem, myśl o Rye'u uwierała go jak cierń. Postanowił osobiście dopilnować, aby Daltonowie nie stracili na zamówionych przez niego beczkach.

Dan Morgan siedział na wysokim stołku za wyposażonym w liczne przegródki biurkiem. Rozłożone na blacie księgi oświetlała latarnia sztormowa z wklęsłym zwierciadłem, w której płonęła świeca. Nantucket tonęło w wielorybim tłuszczu, niewiele go jednak zużywano na wyspie. Powiadano: „Po co palić coś, co można sprzedać z zyskiem?”

Słyszając kroki dudniące o podłogę z sosnowych, nasączonych tłuszczem desek, Dan uniósł głowę. Pióro, które trzymał w dłoni, zawisło w powietrzu, a mina także wyraźnie mu zrzędała. Podniósł się jednak na powitanie gościa.

Rye stanął przed biurkiem, rozstawiając nogi, i zatknął kciuki za pas. Ta marynarska poza, taka butna i niewzruszona, sprawiła, iż Dan nagle poczuł się nieswojo. Do tego jeszcze uświadomił sobie, że Rye jest od niego o pół głowy wyższy.

Rye również taksował w duchu przeciwnika. Po pięciu latach Dan wciąż zachował jędrną, młodzieńczą sylwetkę. Ubrany był w elegancki surdut z czesankowej wełny, na szyi miał nieskazitelnie zawiązany fular, a jego smukły tors obejmowała kamizelka w prążki. Ubiór ten świadczył o względnym dostatku i dyskretnej chęci podobania się. Rye był ciekaw, czy Laura równie jak jej małżonek pyszni się jego elegancją.

Wyciągnął rękę, tłumiąc zazdrość. Przez moment myślał, że Dan nie zdobędzie się na uprzejmość. Lecz po chwili dłoń Dana krótko zacisnęła się na jego dłoni. Uścisk ten wzbudził wspomnienia wieloletniej przyjaźni, tęsknotę, by ją odnowić, a także świadomość, że to niemożliwe.

- Witaj, Dan - odezwał się marynarz.

- Witaj, Rye. Ich dłonie rozłączyły się i opadły. Inni urzędnicy krążyli wokół, pozornie zajęci własnymi sprawami, rzucali jednak ku nim ciekawe spojrzenia, przez co musieli mieć

się na baczności.

- Przyszedłem po swoją działkę. Dan stwierdził w duchu, że Rye nie tylko zmęźniał. Mówił teraz twardym, dosadnym staccato, skracając głoski na wzór marynarzy.

- Oczywiście. Zaraz wypiszę czek. Jedną chwileczkę. Siadł z powrotem na stołku, wyjął długi rejestr i wciągnął do niego następną pozycję. Spoglądając z góry na jego ręce, Rye przypomniał sobie, jak setki razy łowili razem ryby, łapali żółwie w stawie albo wykopywali małże podczas odpływu. Potem wspólnie piekli połów nad ogniskiem, często razem z Laurą. Kształtne dłonie szybko pisały w rejestrze elegancką angielską rotundą i Rye naraz zdał sobie sprawę, że poznały one ciało Laury tak dobrze, jak własne. Konflikt pomiędzy starą przyjaźnią a świeżą rywalizacją wytrącił go z równowagi. Ech, przyjacielu, pomyślał, czy doprawdy musiałeś stać się moim wrogiem?

- Widzę, że dbasz o Laurę - powiedział cicho, żeby nikt ich nie usłyszał. - Dziękuję.

- Nie masz za co dziękować - odparł Dan, nie podnosząc wzroku. - Czego się spodziewałeś? - dodał wyzywająco. - To przecież moja żona.

Obaj świetnie zdawali sobie sprawę, że w nadchodzącym starciu nie obejdzie się bez ofiar.

- Będę o nią walczyć - oświadczył Rye.

- Nie radzę - Dan ujął czek w palce. - Prawo jest po mojej stronie. Zostałeś uznany za zaginionego na morzu. W takich przypadkach zachodzi prawne domniemanie śmierci, tak więc legalnie Laura jest moją żoną.

- Nie traciłeś czasu, żeby to sprawdzić, co?

- Ani dnia.

A zatem będę musiał stoczyć walkę, myślał Rye, rozczarowany tym, czego się dowiedział. Skoro jednak Dan aż tak się fatygował, widać wcale nie jest pewien uczuć Laury.

- Wytaczamy armaty, czy tak, przyjacielu? - zapytał ze smutkiem.

- Ujmij to jak chcesz. Nie oddam ci ani Laury, ani mego syna - rzekł bez ogródek Dan.

A zatem tak miało być. Rye jednak nie zamierzał odejść bez ostatniego słowa.

- Ucałuj ich oboje ode mnie, dobrze? - rzucił, chowając czek do kieszeni i obrócił się na pięcie.

Na zewnątrz jego sztuczna wesołość zgasła, a zastąpił ją posepny mars, który jeszcze bardziej się pogłębił, gdy Rye rzucił okiem w stronę Crooked Record Lane. Łajba uniosła złożony na łapach pysk i ospale dźwignęła się na nogi. Rye w pierwszej chwili zdawał się jej nie dostrzegać, lecz później zatarł dłonie i przemówił miękko:

- Wiesz, malutka, zdaje się, że ona jest teraz naprawdę jego żoną. Co my teraz

zrobimy, piesku?

Suka patrzyła na niego cierpliwie, oczekując komendy. W końcu mężczyzna oderwał wzrok od domu Laury Morgan i ruszył w przeciwnym kierunku. Towarzyszył mu cichy stukot psich pazurów.

Nie uszli jednak nawet dziesięciu jardów, kiedy we mgle rozległy się czyjeś kroki. Rye podniósł głowę i stanął jak wryty.

Zachary Morgan wychudł i wyłysiał, a oczy otaczała mu siateczka zmarszczek, które tego pochmurnego dnia uderzały białością w spalonej na mahoń twarzy. Przez chwilę obaj milczeli, zmieszani, potem jednak górę wzięła wzajemna sympatia. Rye ruszył do przodu z wyciągniętą ręką.

- Witaj, Zach.

Ojciec Dana podał mu szorstką, twardą dłoń rybaka, który przez całe życie ciągnął liny i sieci. Palone słońcem i moczone w słonej wodzie ręce przybrały barwę peklowanej szynki.

- Witaj, Rye - odrzekł, miażdżąc mu dłoń w uścisku. - Słyszałem, że żyjesz. - Jego wzrok uciekł na moment w stronę kantoru, gdzie pracował Dan, po czym, jakby nieco zawstydzony, Zach spojrzał rozmówcy w oczy. - Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyłem.

- Ano, i ja się cieszę, tego możesz być pewien. Dobrze znów stać na twardym lądzie.

To jednak, czego żaden z nich nie dopowiedział, wzniosło między nimi mur. W przeszłości wzajemnie lubili się i cenili. Teraźniejszość postawiła obu w trudnej sytuacji.

Zach pochylił się, żeby podrapać psa za uchem.

- Stare psisko szczęśliwe, że pan wrócił, co? Dawno cię nie widziała. - Pies stanowił wyśmienity pretekst, żeby zmienić temat, ale tylko na chwilę. Kiedy Zach się wyprostował, znów znać było po nim zmieszanie. - Współczuję ci z powodu śmierci matki, Rye.

- Cóż... Wszystko się zmienia, prawda? Ich oczy spotkały się i przemówiły do siebie bezgłośnie. Teraz mój syn jest twoim wnukiem - myślał Rye - a jego matka twoją synową. Nie będę już cię odwiedzał jak kiedyś...

- Ojciec mówił mi, że twoja małżonka wciąż zdrowa jak rydz.

- Ano, ona się nie zmienia.

Między nimi ziała pustka, pustka stworzona przez pięć lat rozstania. A kiedyś mieli sobie tyle do powiedzenia...

- Nie wypłynąłeś dzisiaj - bardziej stwierdził niż spytał Rye.

- Mgła jest za gęsta.

- To prawda.

- Cóż...

- Pozdrów ode mnie Hildę.

- Nie omieszka. A ty Josiaha. Nie powiedzieli sobie nic, choć zarazem powiedzieli wszystko.

Mówili: „Zrozum, mnie też nie jest łatwo. I ja kocham ich oboje.” Potem obrócili się do siebie plecami i ich kroki wsiąkły w mgłę. Rye zobaczył jeszcze, że Zach wchodzi do kantoru, przypuszczalnie po to, by pogadać z synem o tym dziwnym kapryśnym losie.

Mglista sceneria potęgowała ponury nastrój Rye'a. Oboje z psem wlekli się ze zwieszonymi głowami. Drewniane domki przy cichych uliczkach wtapiały się w szary tuman i tylko ich malowane okiennice barwiły nieco ten smutny dzień. Niebieskie zarezerwowano wyłącznie dla kapitanów statków wielorybicznych, inni mieli do wyboru całą gamę kolorów. Ciasne ogródki otoczone były płotami z palików przeplatanych żebrami wielorybów. W pobliżu przetworni unosił się w powietrzu odór rozkładającego się tranu. Niepodobna było od niego uciec; przygniatał go do wyspy całun mgły.

Wieloryby! Zdawały się być wszędzie i nagle przygnębiony Rye zapragnął uwolnić się od nich.

Szukając pocieszenia w samotności, skierował się na podmokłe tereny przy Cyplu Branta. Zapadlisko rozpościerało się niczym morze zieleni, dając schronienie tysiącom gatunków ptaków. Nawet teraz mgła przesycona była ich świergotem. W wysokich kępach żurawin, gdzie żerowały, słychać było ciągły szelest i trzepot skrzydeł; dzięki zaś białym, ruchomym kłębowi, cała ta scena przypominała obraz ze snu. Ile razy trójka młodych przyjaciół przychodziła tutaj szukać gniazd i ptasich jaj? Rye pamiętał, jacy byli wówczas. Na pierwszy plan wysunęła się twarz Laury; nie wczorajsza, zaskoczona i zmieszana, lecz taka, jak wtedy, gdy po raz pierwszy budząca się w niej kobiecość odkryła w nim mężczyznę. Potem wyobraził ją sobie w białym kuchennym fartuchu. Laura z łyżką w dłoni odwraca się od ognia, do izby wpada z impetem ich syn...

Ogarnęła go rozpaczliwa samotność. Szedł przez mokradła, z całej siły pragnąc, by dało się cofnąć czas.

Zatrzymał się na wysokim brzegu, zasłanym łodygami zeszłorocznych traw, chylącymi się pod ciężarem kropel. Z dołu dochodził niesłabnący szum uderzających o brzeg fal. Mgła kłębiła się wokół jego kolan, ograniczając widoczność; wychylały się z niej tylko zabudowania stoczni. „Omega” przechodziła właśnie kapitalny remont. Niczym złowionego wieloryba wyciągnięto ją na brzeg, przechylono na bok i ułożono na szkieletowym rusztowaniu. Robotnicy roili się na kadłubie jak mrówki, zeskrobując namuł, wzmacniając

złącza, wymieniając nadgniłe deski. Już zbijano sześć nowych łodzi wielorybnych z cedrowego drewna, które miały zawisnąć na dawisach „Omegi”, a tymczasem w linowni splatano konopie na stały takielunek i manilę na ruchomy. Z nich później powstawał skomplikowany układ want, szotów i sztagów, dzięki którym statek mógł wyruszyć w rejs. W szwalni na poddaszu przy Water Street migąły igły i marszpicke; szyto nowe żagle.

Samotny mężczyzna z psem w zasepieniu obserwował z góry jeden z etapów owego nieprzerwanego cyklu, będącego podstawą istnienia wielorybniczego imperium, jakim było Nantucket. Zacisnął ze złością pięści.

Niech was piekło pochłonie! Straciłem przez was żonę!

Przyjrzał się leżącej u jego stóp „Omedze”, zastanawiając się, czy nie powinien raczej zaciągnąć się na następny rejs, zamiast snuć się po wyspie i przyglądać małżeńskiemu pożyciu Laury i Dana.

Potem jednak rysy jego twarzy stwardniały. Obrócił się na pięcie i podążył tą samą nadbrzezną ścieżką, którą przyszedł, zostawiając za sobą krzyki mew i uderzenia młotów w suchym doku.

Dan o tej porze siedzi w pracy - pomyślał. - Laura będzie sama.

Wydłużył krok, a nie odstępujący jego nogi pies puścił się za nim truchtem.

Laura Morgan podświadomie spodziewała się gościa. Jednakże, gdy zapukał do drzwi, wzdrygnęła się i przycisnęła dłoń do serca.

Odejdź - pomyślała. - Ja się ciebie boję!

Pukanie rozległo się ponownie i Laura przygryzła drżącą dolną wargę. Rezerwowanie ruszyła ku drzwiom, lecz gdy się otwarły, skamieniała w miejscu. Rye stał przez chwilę w progu. Dłonie zatknięte miał za pas, a cały ciężar ciała oparty na jednej nodze. Miliony wrażeń, zbyt szybkich, by je pochwycić, zatańczyły jej w głowie. Inaczej się teraz trzyma. Ma na sobie sweter, który mu zrobiłam. Powinien przystrzyc włosy. On też spędził bezsenną noc.

- Witaj, Lauro - rzekł bez uśmiechu, ale też bez śladu skrępowania.

I znów stało się to, co działo się za każdym razem od chwili, gdy skończyła czternaście lat - na jego widok ogarnęła ją niebiańska radość. Teraz jednak temperował ją rozsądek.

- Witaj, Rye - Laura przezornie nie ruszyła się z progu.

- Musiałem przyjść.

Podświadomie odnotowała, że gdzieś na szerokich morzach nauczył się również inaczej wymawiać słowa - jakby pospiesznie, łykając samogłoski. W jakiś sposób dodawało mu to uroku; wносиło aurę nieznanego. Laura zacisnęła palce na drzwiach, ale nie spuściła

wzroku.

- Obawiałam się tego - powiedziała. Na słowo „obawiałam” Rye zmarszczył czoło i zacisnął usta. Laura zauważyła znamię po ospie na górnej wardze i powstrzymała się, by nie dotknąć go palcem.

Przyglądał się jej, jak gdyby była rzadkim diamentem, a on złotnikiem, który w myśli wybiera rodzaj szlif.

Ona patrzyła na niego jak na ducha, który lada chwila zaszczeka łańcuchami. Mgła tworzyła odpowiednie tło, potęgując wrażenie, iż Rye Dalton unosi się w powietrzu i zaraz porwie go wiatr. Białe pasma miękko krążyły wokół jego nóg, jakby czekały, co się teraz stanie.

- Czy mogę wejść?

Cóż za pytanie, pomyślała. W końcu to jego dom. Na dworze było zimno i mokro, a za jej plecami buzował ogień. Mimo to zawahała się. Zerknęła nerwowo na ścieżkę, po czym opuściła rękę.

- Na chwileczkę... - bąknęła niepewnie.

Gdy Rye zrobił krok do przodu, pies odruchowo ruszył za nim. Powstrzymała go komenda:

- Zostań.

Dopiero teraz Laura spostrzegła starego labradora. Schyliła się z uśmiechem, żeby go pogłaskać.

- Jak się masz, staruszek! - przykucnęła w drzwiach, biorąc psa pod brodę i drapiąc po łbie. Jej suta perłowszara spódnica rozłożyła się na podłodze, przykrywając buty Rye'a, który stał w progu i z dziwnym wyrazem twarzy patrzył na pochyloną głowę Laury. Psa zatem przyjęła serdeczniej niż jego...

- Wreszcie przyszedłś mnie odwiedzić, głuptasie... - Laura zachichotała, uchylając się przed mokrym jęzorem. - Nie musisz moknąć na dworze, malutka. Twoje posłanie wciąż tu jest.

Rye ledwie się powstrzymywał, żeby nie porwać swojej żony w ramiona i nie zażądać, by i jego powitała tak, jak na to zasłużył.

Laura podniosła się i wprowadziła go do środka. Zamknawszy drzwi przystanąła, patrząc, jak Łajba węszy, robi dwa kółka i wali się z rozmachem na wytarty dywanik z pełnym zadowolenia mruknięciem.

Rye ponownie wepchnął ręce za pasek, jak gdyby tylko tam mogły być bezpieczne.

- Pies został przywitany czulej niż jego pan - rzekł ochryple. Laura spuściła wzrok,

lecz na nieszczęście padł on na dłonie Rye'a. Poczowała falę zdradzieckiego gorąca.

- Pamięta stare kąty - szepnęła.

- Myślałem o tobie, Lauro.

Palce Rye'a chwyciły ją za łokieć, lecz usunęła się na bok.

- Nie rób tego - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Jego dłoń na ułamek sekundy zawisała w powietrzu, po czym opadła. Westchnął:

- Mogłem przewidzieć, że to powiesz. Laura obejrzała się nerwowo przez ramię i szepnęła:

- Josh śpi. Rye poderwał głowę. Na jego twarzy odmalowała się tęsknota.

- Mogę go zobaczyć? Laura niezdecydowanie splotła dłonie.

- Oczywiście - bąknęła w końcu, jak gdyby z przymusem.

Rye lekkim krokiem przemierzył pokój i pochylił się nad dzieckiem. Na kominku żwawo buzował ogień i przez dłuższą chwilę słychać było tylko osypujący się żar. Ojciec w milczeniu patrzył na swe uśpione dziecko.

Rye... Och, Rye... - powtarzała w duchu Laura, walcząc z chęcią, by wreszcie wykrzyknąć swój ból. Rye z wolna wyprostował się, podszedł do drzwi dobudówki i zajrzał do środka. Jego wzrok prześliznął się po izbie i zatrzymał na łóżku.

Laura poczuła ssanie w dołku. Owładnęła nią dziwna mieszanka uczuć: obawa, tęsknota i... czułość. Przyglądała się szerokim barkom Rye'a, okrytym swetrem, który wiele lat temu zrobiła dla niego. Zdawały się całkowicie wypełniać drzwi do alkowy. Zastanawiała się, czy celowo włożył ten właśnie sweter. W szczególny sposób podkreślał on surową męskość Rye'a, budząc w niej całą gamę niepokojących doznań.

Rye z nieprzeniknioną miną zmierzył wzrokiem łóżko, a potem powoli obrócił się i spacerowym krokiem przeszedł się po głównej izbie. Przejechał palcem po gzymsie kominka, przystanął to tu, to tam, lustrując zarówno znajome, jak i nowe sprzęty. Zakończywszy inspekcję, stanął przed nią na szeroko rozstawionych nogach.

- Widzę zmiany - zauważył.

- W ciągu pięciu lat są one nieuniknione.

- Wszystkie? - w jego głosie pojawiła się ostrzejsza nuta. Wyciągnął do niej rękę, ale Laura uchyliła się.

- Rye, byłam dziś u Ezry Merrilla - wyrzuciła z siebie, stwierdzając z ulgą, iż oświadczenie to odwróciło uwagę Rye'a od spraw ciała. Cofnął rękę.

- Ty też? - zdziwił się. - To jest was dwoje.

- Jak to: dwoje.

- Zdaje się, że Dan był u niego wczoraj. Wczoraj, powtórzyła w duchu Laura. Wczoraj?

- Oznajmił mi to dziś rano, kiedy spotkaliśmy się w kantorze - wyjaśnił Rye, widząc jej skonsternowaną minę.

- A zatem już wiesz?

- Tak. Wiem jednak i to, że prawo nie może dyktować mi uczuć.

Odwróciła się, by nie widzieć jego udreńczonych oczu. Kątem oka zobaczyła, że podnosi dłoń, by pogłaskać ją po policzku.

- To wszystko jest takie zagmatwane, Rye.

- Wygląda na to, że także i ciebie prawo nie jest w stanie do niczego zmusić.

Stała przed nim twarzą w twarz.

- Nie mówię o uczuciach, a o faktach. Jestem jego żoną, czy tego nie rozumiesz? Ty... nawet nie powinienes tu przychodzić! - wypaliła, pochylając się doń w podnieceniu.

- Mówisz jak desperatka, Lauro - rzekł Rye z lodowatym spokojem.

Laura natychmiast wyprostowała się.

- Rye, muszę cię poprosić, żebyś stąd wyszedł i nie pojawiał się dopóki tego wszystkiego nie rozwikłamy. Dan był... był wczoraj bardzo zdenerwowany, a gdyby znów cię tu zastał, ja... ja... - Laura zająknęła się i urwała, patrząc na silną krzywiznę jego szczęki, gdzie bokobrody nieomal dotykały grubego golfu swetra, nadając mu zuchowaty i bardzo niepokojący wygląd. - Proszę cię... - dokończyła słabo.

Przez moment wydawało jej się, że Rye eksploduje. Zamiast tego rozluźnił się - być może znużony wysiłkiem włożonym w opanowanie się - i przyznał jej rację.

- Pójdę już - powiedział. - Ale... skoro mały śpi...

Jego spojrzenie powędrowało w stronę łóżka Josha, potem wróciło do Laury, i zanim zdążyła przewidzieć, co zrobi, postąpił krok naprzód i złapał ją za tył głowy, pociągając ku sobie. Jego usta nachyliły się do jej warg. Laura oparła dłonie o jego pierś i natychmiast poczuła, jak dziko dudni w niej serce. Próbowała się uwolnić, ale trzymał ją tak bezlitośnie, że kościane spinki wbiły jej się w skórę głowy. Nim zdążyła się wyrwać, język Rye'a znalazł już drogę do jej ust.

- Rye, to...

- Cicho... - rzeki łagodnie. Tą nagłą zmianą nastroju zmieszał ją do reszty i odruchowo przestała się opierać. - Za chwilę... za chwilę pójdę. - Objął ją mocniej i gwałtownie przytulił, jakby dla kontrastu szepcząc miękko: - Sza!...

Stała z czołem opartym o jego podbródek, zaciskając palce na szorstkiej wełnie

swetra, jak gdyby tylko to ratowało ją przed utonięciem. Drżeli teraz oboje, i ona, i Rye.

- Kocham cię, Lauro - rzekł gardłowo, a pod nią ugięły się kolana. - Josh... - przełknął ślinę - Josh jest podobny do mojej matki - dokończył zdławionym głosem i tak samo nagle, jak nagle ją pocałował, obrócił się ku drzwiom, rzucając przez ramię komendę dla psa: -
Idziemy!

Lecz Łajba, oczywiście, była już przy drzwiach. Po chwili Laura Morgan została sama, rozpaczliwie żałując, że nie mogła pójść za nim tak, jak to zrobił pies.

ROZDZIAŁ 4

W sobotni wieczór okna domu Josepha Starbucka rozjarzyły się jasno światłem lamp wypełnionych tranem, co zważywszy, że przyjęcie odbywało się z okazji szczęśliwego powrotu wielorybników, było ze wszech miar odpowiednie.

Kiedy Laura Morgan przestąpiła próg, wydało jej się, iż wchodzi do krainy baśni, pełnej sztucznego blasku, jakim po zmroku mogło się poszczycić niewiele domów w Nantucket. Światło kandelabrow odbijało się w woskowanych dębowych podłogach i wypolerowanej poręczy schodów. Na zastawionym jadłem stole w głównym salonie umieszczono mniejsze lampy, których płomyki budziły drżące iskry w kryształowych wazach z ponczem, korzennym piwem i winem, zaprawionym słodką śmietanką. Wiszące na ścianach kinkiety wydobywały z cienia kwiatowe barwy jedwabnych sukien, rozpiętych na obręczach, przez co ubrane w nie damy zdawały się sunąć jak na łyżwach.

Dan był posepny i zamyślony przez cały wieczór, począwszy od chwili, gdy pomógł Laurze zasznurować gorset i zapiąć suknię. Zauważył, że wygląda atrakcyjniej niż zwykle, zaś jej kształtne piersi omal nie rozsadzą ciasnego stanika. Na jego twarzy pojawił się kwaśny grymas i tam już pozostał.

Suknia bynajmniej nie była wyzywająca, bowiem sztywna kryza drobnych falbanek prawie całkowicie przysłaniała dekolt. Laura nieraz mawiała ze śmiechem, że wygląda w niej jak szalupa. Istotnie, kształt kryzy przywodził na myśl burty płaskodennej łodzi, a wrażenie to jeszcze potęgowały naszyte z przodu bryty, mieszczące fiszbinowe listwy, które usztywniały stanik i pozwalały mu zachować fason. Nikt jednak nie mógłby przeoczyć tego, że owo wymyślne dzieło sztuki krawieckiej stanowi tylko oprawę dla ładnej, młodej i nader apetycznej kobiety.

Uszyto je z jedwabiu w połyskliwe kremowe prążki, wyszywanego w drobne bukieciki róż na tle zielonych listków. Suto marszczony rękaw ujęty był w łokciu różową wstążką, spod której kipiał muślin. Obrazu dopełniały przypięte na ramionach sztuczne kwiaty.

Suknia podkreślała delikatną urodę Laury: drobny podbródek i nos, a także zachwycające usta podobne nieco do sercowatego listka bluszczu. W małej twarzy ocienione długimi rzęsami piwne oczy wydawały się jeszcze większe. Wrażenie to potęgowały włosy spięte na czubku w skomplikowany węzeł, przetykany cienkimi różowymi wstążkami. Końce włosów, ufryzowane w anglezy, zwisały luźno nad uchem, zza którego wychylała się kolejna jedwabna róża. Drobniejsze loczki otaczały twarz Laury bursztynową

aureolą.

Ówczesna moda podkreślała kobiece kształty. Wydłużona talia i bufiasta spódnica sprawiała, że tęgie panie wyglądały jak baryłki, chude - niczym tyczki, ale te, które - jak Laura Morgan - miały odpowiednią figurę, przypominały drezdeńskie lalki z porcelany.

W tej chwili jednak Laura nie czuła się szczęściarą. Ściśnięta w pasie jak klepsydra, miała uczucie, że za chwilę przełamie się w pół. Szeroka fiszbinowa listwa przy każdym pochyleniu dźgała ją w żołądek, przy każdym zaś oddechu - w pierś. Przyprawiało ją to o mdłości, nie mówiąc już o irytacji.

Zawsze podczas towarzyskiej gali Laura klęła w duchu niewygodny pancerz, w którym musiała występować. Tego wieczoru miała obowiązek uśmiechać się serdecznie i beztrąsko, była to bowiem kolacja w interesach, jak powiedział Dan, co oznaczało, że zaproszono wszystkich ważniejszych pracowników Starbucka, a prócz nich także gości honorowych, jak kapitan Blackwell, dowódca „Omegi”, lub Christopher Capen i James Child - murarz i cieśla, których dziełem były „Trzy cegłówki”.

Mówiono głównie o sukcesie „Omegi” i postępie robót przy budowie domów. Laura z przymusem słuchała Annabel Pruitt, żony jednego z agentów Starbucka. Dama ta miała zwyczaj rozgłaszać nowiny, nim jeszcze zdążyła to uczynić lokalna gazeta. To, że cegłę do budowy domów sprowadzono aż z Gloucester, niewiele obchodziło Laurę, nastawiła jednak ucha, gdy rozmowa raptownie zboczyła na inne tory.

- Podobno pan Starbuck zaferował Rye'owi Daltonowi potężną dołą, aby popłynął w następnym rejsie „Omegi” - rzuciwszy ten smaczny kasek, pani Pruitt powiodła jastrzębim wzrokiem od Laury do jej męża.

Laura poczuła, jak dłoń Dana, dotąd niedbale wspierająca jej łokieć, zaciska się mocniej. Było jej duszno; pospiesznie rozejrzała się za otomaną, tym ohydny meblem dla mdlejących kobiet - wymyślonym oczywiście przez mężczyzn, którzy nie musieli paradować zesnurowani jak indyk na Święto Dziękczynienia! Lecz w następnej chwili palce Dana boleśnie wpiły się w jej ramię i szarpnęły tak mocno, że wino bryznęło przez brzeg kieliszka.

- Ależ, Dan! - wykrzyknęła odskakując, by nie poplamić sukni. Fiszbin dotkliwie ukłuł ją w żołądek. W tej samej chwili, podążając spojrzeniem za wściekłym wzrokiem Dana, spostrzegła coś, co w pełni wyjaśniło jego zachowanie, a zarazem w pewnym stopniu usprawiedliwiło katusze, jakie znosiła, by wyglądać ślicznie. W holu witał się z gospodarzami Rye Dalton. Serce omal nie wyskoczyło Laurze z piersi. Mimo woli wytrzeszczyła oczy, bo tym razem marynarski ubiór poszedł w odstawkę - Rye odziany był jak z żurnala.

Miał na sobie długie, wąskie, ciemnozielone spodnie i frak z wysokim kołnierzem w

tym samym kolorze. Karbowane brzegi klap stanowiły najnowszy krzyk mody. Długie, wąskie rękawy sięgały poniżej nadgarstków, częściowo zakrywając opalone dłonie. Ogorzała twarz Rye'a zdawała się jeszcze ciemniejsza przy śnieżnobiałym fularze, owiniętym ciasno wokół szyi i związanym w niewielką kokardę, w połowie ukrytą pod dwurzędowym frakiem.

Jak kaczor nieomylnie odnajdzie w stadzie swoją towarzyszkę, tak Rye od razu dostrzegł Laurę w tłumie gości. Jego spojrzenie przyprawiło ją o zawrót głowy. Zapomniała o niewygodzie i obolałych mięśniach; myślała tylko o tym, jak ładnie wygląda w nowej sukni. Błękitne oczy Rye'a niemal namacalnie prześliznęły się po jej ciele. Laura nagle zdała sobie sprawę, że rozdziawia usta, zamknęła je więc pośpiesznie.

Nie widzieli się od czterech dni i Laura nie spodziewała się go tu dziś zastać. Nie przypuszczała też, że będzie rozglądał się za nią tak otwarcie, ani że ukłoni się jej prawie w drzwiach, zanim jeszcze lokaj odbierze od niego kapelusz.

Odruchowo przysłoniła płonące policzki kieliszkiem, Dan jednak zauważył tę wymianę spojrzeń. Z kwaśną miną złapał ją za łokieć, obrócił tyłem do drzwi, po czym objął w tali gestem posiadacza, co rzadko czyniono publicznie w tym miasteczku, gdzie wciąż obowiązywały purytańskie cnoty Ojców Założycieli.

Zdając sobie sprawę, że Rye im się przygląda, Dan nachylił się dyskretnie do ucha żony.

- Nie spodziewałem się, że dziś tu będzie, a ty?

- Ja? Niby skąd?

- Nie wiem. Może cię uprzedził... - Dan przyglądał się Laurze bacznie, próbując z jej miny wyczytać, czy ma rację.

- Nie widziałam go... od poniedziałku - skłamała. W rzeczywistości całowała się z nim we wtorek.

- Gdybym wiedział, że go tu spotkam, zostalibyśmy w domu.

- Nie bądź śmieszny, Dan. Mieszkamy w tym samym mieście i od czasu do czasu na pewno będziemy się z nim spotykać. Nie możesz przecież trzymać mnie pod kluczem, będziesz musiał po prostu mi zaufać.

- Och, ufam ci Lauro. To jemu nie ufam. Nim podano kolację, minęło następne pół godziny. Do tego czasu ze zdenerwowania Laurę rozboleły krzyże, a także głowa. Starła się zapomnieć, że Rye jest w pokoju, ale było to niewykonalne. Ilekroć odwracała się, by zamienić z kimś słowo, Rye niezmiennie znajdował się na linii jej wzroku. Włosy miał teraz schludnie przystrzyżone, bokobrody jednak pozostawił; nie wiadomo dlaczego nadawały mu one wygląd awanturnika. Jawnie gapił się na Laurę, pozwolił sobie nawet na bezczelny

uśmieszek, a raz - nie była pewna - zdawało jej się, że przesyła jej całusa. Równocześnie jednak podniósł do ust kieliszek i całus - jeżeli to był całus - utonął w ponczu.

Był dziś w nastroju do diabelskich figli; nastroju, który Laura tak dobrze знаła!

Przy obiedzie - jak gdyby gospodyni celowo chciała ją pognębić - zostali z Danem usadzeni dokładnie naprzeciw Rye'a i młodej, gadatliwej blondynki nazwiskiem DeLaine Hussey, potomkini pierwszych osadników na wyspie.

Panna Hussey natychmiast zarzuciła Rye'a pytaniami o rejs, wyraziła współczucie z powodu choroby, obejrzała znamiona po ospie i oświadczyła, że w niczym nie ujmują mu one urody. Stwierdzeniu temu towarzyszył uśmiech tak kokieteryjny, że Laura natychmiast pożyczyła jej w duchu, aby sama zaraziła się ospą! Ale Rye - niech go diabli! - gładko przełknął pochlebstwo i uśmiechnął się z zadowoleniem, a drobna blizna na policzku sprawiła, że uśmiech ten był jeszcze bardziej pociągający niż zwykle.

Panna Hussey bez zwłoki przeszła do tematu, który sprawił, że krew Laury przybrała temperaturę bliską wrzenia.

- Rejs „Omegi” trwał pięć lat - zaszcebiotała. - Długo pana nie było w Nantucket.

- To prawda - przyznał Rye.

Podnosząc do ust łyżkę gorącej zupy z małży, Laura czuła na sobie jego wzrok, dołożyła jednak starań, by przypadkiem go nie napotkać.

- Na pewno pan zatem nie wie - ciągnęła blondynka - że tutejsze panie założyły lożę masonską?

Laura zbyt mocno dmuchnęła na zupę, skutkiem czego kilka kropel wylądowało na obrusie. DeLaine Hussey miała Rye'a na oku, odkąd Laura sięgała pamięcią, i z pewnością nie zamierzała tracić czasu teraz, gdy wszyscy już wiedzieli, że Rye nie zamieszkał z powrotem w domku na wzgórzu.

- Nie, nie słyszałem o tym - odpowiedział uprzejmie.

- Ach, teraz, gdy „Omega” wróciła z pełnymi baryłkami, na pewno nie raz usłyszysz pan o tej organizacji.

- Nie rozumiem, co mają z nią wspólnego pełne ładownie „Omegi”.

- Nasze masonki, panie Dalton, poprzysięgły sobie nie przyjmować zalotów ani też oświadczyń mężczyzny, który jeszcze nigdy nie złowił wieloryba.

Laura sparzyła się w język i omal nie przewróciła szklanki z wodą, usiłując pospiesznie ochłodzić usta.

Panie Dalton, paradne! - pomyślała ze złością. - Znają się od dziecka. Do czego ta wydra zmierza?

Gdy zebrano talerze, uświadomiła sobie, że nie powinna była zjadać całej zupy, lecz podsluchana rozmowa zajęła ją do tego stopnia, iż zapomniała o niebezpieczeństwie. Fiszbiny już przyprawiały ją o męki; cóż, kiedy właśnie wniesiono główne danie: pieczeń cielęcą z marchewką i gotowanymi w ziołach ziemniakami.

Nie miała wyboru: kiedy przyszła jej kolej, musiała wziąć swoją porcję. Cielęcina jednak przyprawiała ją o mdłości, podobnie jak toczący się naprzeciw flirt.

Panna Hussey z zapalem wdała się w szczegóły doktryny towarzystwa ideowych dam, aż w końcu Rye zmuszony był spytać:

- Czy jest pani również członkinią tej grupy, panno Hussey? W tej samej chwili Laura omal nie udławiła się kęsem mięsa, albowiem coś ciepłego wśliznęło się pod jej spódnicę i pieszczotliwie otarło się o łydkę. Stopa Rye'a!

Był to ich stary znak, zapowiadający miłosne igraszki po powrocie do domu.

- W rzeczy samej, również jestem masonką, panie Dalton - pisnęła DeLaine Hussey.

Co za tupet! - pomyślała Laura. - A równocześnie jak gdyby nigdy nic gawędzi z tą kokietką!

Z trudem opanowała zmysłowy dreszcz. DeLaine Hussey tymczasem wachlowała czernionymi rzęsami i wlepiała sarnie oczy w Rye'a.

- A pan? - spytała niewinnie. - Czy zabił pan już wieloryba, panie Dalton?

Rye wybuchnął śmiechem, odchylając się w krzesło, po czym z galanterią skłonił się ku swej towarzysze.

- Nie, panno Hussey, i zapewne pani o tym wie. Jestem bednarzem, nie harpunnikiem - dodał z uśmiechem, podczas gdy jego stopa oparła się na krzesło między kolanami Laury. Tym razem Laura podskoczyła nerwowo i kęs cielęciny uwiązał jej w gardle. Zakrztusiła się głośno.

Dan opiekuńczo poklepał ją po plecach i skinął na lokaja, aby podał jej wody.

- Już dobrze? - zapytał.

- W porządku - wychrypiła, próbując odzyskać zimną krew. Ciepła stopa łechtala ją w uda, nie pozwalając ich zewrzeć.

Na nieszczęście kaszel zwrócił na nią uwagę gospodyni. Pani Starbuck zmartwiła się, że Laura tak mało zjadła, i zaczęła się dopytywać, czy pieczeń na pewno jej smakuje. Rada nie rada, Laura zmuszona była włożyć do ust następny kawałek i przełknąć go.

W tej samej chwili Rye uśmiechnął się do niej zdawkowo i poprosił o sól. Widział, jak cierpi, gdyż doskonale pamiętał jej nienawiść do gorsetów.

Ku swemu zaskoczeniu, Laura poczuła trzykrotne stuknięcie w kolano. Po drugiej

stronie stołu Rye, na pozór zajęty rozmową o bednarstwie, odciął ze swej porcji dwa kawałki mięsa, jeden zjadł, a drugi ukradkiem wrzucił pod stół, gdzie natychmiast zajęły się nim dwa perskie koty Starbucka.

Laura uniosła serwetkę do ust, żeby ukryć uśmiech. Była mu jednak wdzięczna i przy najbliższej okazji poszła za jego przykładem, co oszczędziło jej krępujących wyjaśnień, gospodyni zaś przykrości.

Na deser podano przekładany masą tort rumowy, który kotom nie smakował - Rye skwitował to wzruszeniem ramion, na co Laura omal nie parsknęła śmiechem. Musiała więc zjeść choć połowę porcji i poczuła się bardzo niewyraźnie.

Gospodarze powstali z miejsc i po minie Rye'a Laura domyśliła się, że szuka pod stołem zgubionego buta. Pozwoliła mu się trochę pomęczyć, wsuwając trzewik głębiej pod swoje krzesło, podczas gdy inni goście stopniowo udawali się do salonu. Przez moment nawet rozważała pozostawienie go tam, ale odkryty obciążałby ją tak samo jak Rye'a, więc gdy Dan stanął za nią, by odsunąć jej krzesło, pospiesznie kopnęła but z powrotem. W chwilę później mars na czole Rye'a rozpogodził się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W salonie grał teraz kwartet smyczkowy. Kilka par tańczyło, inne spacerowały, wymieniając uwagi z resztą gości. Grupka panów wyszła na cygaro; wśród nich Dan, który nie miał ochoty zostawiać Laury samej, nie wypadało mu wszakże odmówić pracodawcy. Najpierw jednak szybkim rzutem oka upewnił się, iż Rye nadal tkwi w szponach DeLaine Hussey, co pozwalało mieć nadzieję, że nie będzie niepokoił Laury.

Laura tymczasem miała dość problemów i bez Rye'a Daltona. Uzmysłowiła sobie mianowicie, że jeśli natychmiast nie rozluźni gorsetu, to albo zemdleje, albo zwymiotuje.

Tak pośpiesznie, jak to tylko było możliwe bez ściągania na siebie powszechnej uwagi, wymknęła się tylnymi drzwiami, wdychając pełną piersią chłodne nocne powietrze. Było ono jednak przesycone wilgocią i niewiele jej pomogło. Do tego w sadzie unosił się odór dziegciu, którym wysmarowano pnie drzew dla ochrony przed robactwem. Laura uniosła krynolinę i bardzo nieelegancko pognąła między jabłonie, gdzie silny zapach kwiecia tylko pogorszył jej mdłości. Bezskutecznie starała się dosięgnąć haczyków na plecach, choć wiedziała, że sama nie da sobie rady. Łzy piekły ją pod powiekami. Zgięła się w pół pod drzewem.

W tym samym momencie czyjeś chłodne palce musnęły ją w obłany zimnym potem kark i szybko zaczęły rozpinać haczyki.

- Po jaką cholere nosisz te dziwactwa, skoro tak się w nich męczysz? - rozległ się poirytowany głos Rye'a.

Laura walczyła z odruchem wymiotnym i nie była w stanie dobrać głosu. W końcu udało jej się wykrztusić:

- Pospiesz się!

- Kretyńskie wymysły! - mruknął. - Powinnaś mieć więcej rozumu, kobieto!

Szarpnął sznurówkę i prędko zaczął ją rozluźniać. Po chwili Laurze udało się zaczerpnąć pierwszy od trzech godzin łyk świeżego powietrza.

- A żebyś... żebyś smażył się w piekle przez całą wieczność, Rye'u Daltonie... ty i tobie podobni... za te fiszbiny do gorsetów... przez które kobiety cierpią takie męki! - wysapała ze złością w przerwach między kolejnymi haustami powietrza.

- Jeśli mam smażyć się w piekle, wolałbym lepszy powód - rzekł, wsuwając jej dłonie pod gorset.

- Przestań! - wyrwała mu się. Tym razem kropla przepełniła czarę. Koszmarny los, na jaki skazał ją wypływając w rejs, tortury, jakie znosiła w fiszbinowym pancerzu, wreszcie ów ostentacyjny flirt, którego była świadkiem - wszystko to stworzyło mieszkankę wybuchową, nad którą nie była już w stanie zapanować. - Przestań! - syknęła wściekła. - Jakie masz prawo wracać tu po... pięciu latach, a do tego zachowywać się tak, jakby *nic się nie zmieniło!*

Rye także nie zdołał nad sobą zapanować.

- Wypłynąłem dla ciebie! Po to, żebyś miała...

- Błagałam cię, żebyś nie wyjeżdżał! Na diabła mi był ten... ten twój śmierdzący tran! Chciałam mieć przy sobie męża!

- No i oto jestem! - odszczeknął sarkastycznie.

- Och... - Laura zacisnęła pięści, bliska furii. - Wydaje ci się, że to takie proste, co? Zaczepki pod stołem, jak gdybym nie miała poważniejszych problemów niż ten, czy zrzucić trzewik. Sam widzisz, w jakim jestem stanie!

- Tak, za to mnie nic nie dolega! Z pogardą odwróciła się do niego plecami.

- Chwała Bogu, już czuję się lepiej. Dziękuję za pomoc, panie Dalton - wycedziła, naśladując DeLaine Hussey. - Lepiej niech pan już wraca, zanim ktoś zacznie wędnać z tęsknoty za panem!

- Teraz rozumiesz, co czuję za każdym razem, kiedy widzę cię z Danem? Nie w smak ci widok twego męża z inną?

Doskoczyła do niego.

- A żebyś wiedział, że nie w smak! Tylko, że teraz wiem, iż nie mam najmniejszego prawa się obrażać. No, idź już, nie każ jej czekać!

- A co mnie obchodzi DeLaine! Poza tym, mogę chyba porozmawiać w sędzie z

własną żoną? Widzisz w tym coś złego?

- Rye, Dan na pewno nie byłby zachwycony... W tej samej chwili posłyszeli wołanie:

- Lauro! Jesteś tam?

Odwróciła się, żeby odpowiedzieć, lecz Rye szybko złapał ją za łokieć i zakrył jej usta, szepcząc cicho do ucha:

- Cicho!

- Muszę się odezwać - szepnęła z bijącym sercem. - Wie, że wyszliśmy na dwór.

Obiema rękami chwycił ją za głowę, przyciskając jej ucho do swoich ust.

- Tylko spróbuj, a powiem mu, że masz rozpięty gorset, bo zabawialiśmy się tu pod drzewem.

Wyszarpnęła mu się ze złością, sięgając bezradnie do luźnych sznurówek. Równie dobrze mogła oszczędzić sobie trudu. Rye stał obok, bezczelnie szczerząc zęby.

- Lauro, czy to ty? - głos Dana był coraz bliższy. - Gdzie jesteś?

- Pomóż mi! - szepnęła błagalnie, słysząc kroki. Dan był już w sadzie. Niedaleko trzasnęła gałąź.

- Nigdy w życiu! - odparł szeptem Rye.

W panice złapała go za rękę, uniosła spódnicę i uciekła, ciągnąc go za sobą. Biegli przez sad, klucząc między wilgotnymi pniami, przemykając przez mgłę, tłumiącą odgłosy. Co za głupota, co za dziecinada! Dla Laury jednak najważniejsze było, żeby Dan nie przyłapał jej tu na pół rozebranej w towarzystwie Rye'a.

Sad był rozległy. Labirynt osnutych wilgocią jabłoni przechodził w szpalery pigw, a jeszcze dalej śliw. Mgła okrywała wszystko, zacierała ich sylwetki, poruszające się w mroku niczym widma. Krynolina Laury mogła udawać obsypaną kwieciami gałąź, przygiętą do ziemi pod naporem nieustannych morskich wiatrów.

W końcu Laura zatrzymała się zdyszana, przyciskając rozpiętą suknię do piersi, i zaczęła nasłuchiwać. Tu nie docierały nawet dźwięki orkiestry. Otaczał ich szczelny mur pigw, wyściełany kłębami wirującej mgły. Tutaj nikt nie mógł ich dostrzec ani usłyszeć.

Laura wciąż ścisnęła rękę Rye'a, czując pod kciukiem jego przyspieszony puls. Wypuściła ją gwałtownie i zaklęła:

- A niech cię wszyscy diabli!

Ale Rye najwyraźniej odzyskał dobry humor.

- To tak mi dziękujesz za to, że pomogłem ci rozpiąć gorset?

- Mówiłam ci już, że muszę mieć czas na przemyślenie paru spraw.

- Dałem ci pięć dni. Wymyśliłaś coś?

- Pięć dni! No właśnie! Jak mam rozwikłać taki ambaras w ciągu pięciu dni?

- Na razie postanowiłaś zwabić mnie do sadu. Pamiętasz, jak w dawnych czasach chowaliśmy się tu przed Danem? - Przysunął się jeszcze bliżej. Jego oddech również był przyspieszony po biegu.

- Robiliśmy to tuż pod jego nosem.

- Wcale nie dlatego wyszłam - zaprotestowała zgodnie z prawdą.

- W takim razie dlaczego? - Szerokimi dłońmi objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Odruchowo chwyciła go za nadgarstki, ale Rye nie dał się zbić z tropu. Pieszczotliwie powiódł dłońmi po jej biodrach. Jego głos mieszał się z miękką mgłą, kusząc i wabiąc. - Pamiętasz tamte czasy, Lauro? Pamiętasz, jak to było? W pełnym słońcu... nadziei i przerażeniu, że Dan nas znajdzie i...

Położyła mu dłoń na ustach.

- To nieuczciwe - powiedziała z wyrzutem, ale wspomnienie już ożyło. Zamiast się uspokoić, oddychała teraz szybciej niż po biegu.

Widząc, że zamysł się powiódł, Rye pocałował dłoń, nakrywającą mu usta. Laura natychmiast ją cofnęła. Skorzystał z tego, by rzec:

- Lepiej powiem ci to od razu, kobieto. Nie mam zamiaru grać uczciwie. Nie cofnę się przed niczym, żadnym nieczystym chwytem, żeby cię odzyskać. A na początek dosłownie ubrudzę ci suknię błotem, jeśli jej zaraz nie zdejmiesz.

Wsunął dłonie pod gorset i przyciągnął ją do siebie tak, że biodrami oparła się o jego biodra, a jej piersi musnęły jego surdut. Laura odwróciła twarz.

- Jeżeli cię pocałuję, czy pozwolisz mi wrócić?

- A jak myślisz? - odparł ochryple, wodząc ustami po jej szyi i gryząc ją leciutko, przez co całe ciało Laury przenikał rozkoszny dreszcz.

- Myślę, że mój mąż mnie zabije, jeśli natychmiast nie wrócę - odrzekła, lecz mówiąc to, przechyliła głowę tak, że jej usta znalazły się teraz o cal bliżej jego ust.

- Tamten mąż. Ten zabije cię, jeśli to zrobisz - szepnął niemal wprost w jej rozchylone wargi. Pachniał cedrem, winem i przeszłością. Rozpoznała ten zapach, przez co podziałał na nią jeszcze mocniej. Cisza zdawała się otulać ich coraz ciaśniej, tak ogromna i całkowita, że w jej obliczu uderzenia serca brzmiały niczym wystrzały z dział. Pierwszego dnia, kiedy ją pocałował, była zbyt wstrząśnięta, aby się opierać. Za drugim razem zwyczajnie ją zaskoczył. Jeśli teraz pozwoli mu się pocałować, Rye domyśli się, że właśnie tego chce.

- Raz - szepnęła. - Tylko raz, a potem naprawdę muszę wracać. Obiecuj, że mi zasznurowiesz gorset - dodała błagalnie.

- Nie - odparł wyzywająco. - Żadnych obietnic. Rozsądek nakazywał jej się wycofać, lecz Rye bez wielkiego trudu skłonił ją do zmiany zdania. Po prostu dotknął wargami kącika jej ust.

Znajomy dreszcz powrócił, świeży i mocny jak zawsze. Rye miał w sobie właśnie to „coś”, o czym będąc z Danem Laura usilnie starała się zapomnieć. Można nazwać to techniką, doświadczeniem, wprawą - razem uczyli się całować i Rye doskonale wiedział, co lubi Laura. Ich oddechy mieszały się. Rye musnął koniuszkiem języka kącik jej ust, jak gdyby chciał poczuć ich smak, nim zanurzy się w pełni. Lubiała, gdy podniecał ją powoli i czekała teraz z odchyłoną głową, oddychając z wysiłkiem, podczas gdy Rye obejmował jej szyję, pieszcząc kciukiem zagłębienie pod brodą. Kciuk krążył leniwie, bez pośpiechu. W ślad za nim posuwał się czubek języka. W ciele Laury stopniowo rozprzestrzeniał się pożar.

Wspomnienia zalały ją gorącą falą... Miała piętnaście lat i pozwalała mu całować się w spiżarni, skromnie zaciskając usta i powieki... W rok później robili to na poddaszu szopy na łodzi - wtedy wiedziała już, do czego służy język... Byli prawie dojrzały, uczyli się budzić w sobie pożądanie, a potem ekstazę...

- Pamiętasz starą szopę Hardesty'ego, Lauro? - wymruczał Rye, jakby czytał w jej myślach. Potem objął ustami jej usta, sprawiając, że ożyły tamte dawne dni. Jego język zapraszał jej język do tańca, na tyle właśnie ciepły, wilgotny, zaborczy, a zarazem pełen wahania, aby wymazać teraźniejszość i zabrać ją na wycieczkę w przeszłość.

Zadrzała. Rye wyczuł jej drzenie i przyciągnął ją do siebie. Ciepła, wścibska dłoń zapuściła się za rozchylony dekolt sukni zwisającej luźno z ramion. Przeczuwając, że Rye lada moment zedrze z niej tę suknię, Laura szybko zarzuciła mu ręce na szyję. Fiszbinowe listwy i liczne zaszewki spełniły swe zadanie: Rye nie miał szans pieścić jej bardziej intymnie. Krynolina, ściśnięta między ich nogami, sterczała do tyłu, jak gdyby rozwiewał ją sztormowy wiatr.

Lecz prawdziwy huragan szalał w sercu Laury. Pocałunek nabrał żaru, był teraz słodkim, gorącym oddaniem dwojga ust, które nareszcie wyzbyły się wstydu. Laura ze zgrozą uświadomiła sobie, jaka przepaść dzieli pocałunki Rye'a od tych, jakimi musiała się zadowalać w pożyciu z Danem. Myśl ta powinna była ją otrzeźwić, przypomnieć, że nie może posuwać się tak daleko z mężczyzną, który nie jest już jej mężem, ale zamiast tego Laureę ogarnęło dzikie uniesienie. Zdała sobie sprawę, że od lat porównywała pieszczoty Dana z tymi, które porywały ją do bram niebios, za którymi tak tęskniła...

W tym momencie poczuła się nielojalna wobec Dana i nieco oprzytomniała. Miała szczerą nadzieję, że Rye zadowoli się pocałunkiem, bo jej opór słabł w zastraszającym

tempie, a Rye wciąż wodził dłońmi po jej obnażonych plecach - tylko dlatego, że dalej nie mógł sięgnąć.

Oderwał się od jej ust i wyszeptał dziko:

- Lauro... na Boga, kobieto, czy sprawia ci przyjemność zadawanie mi cierpień? - Ujął jej rękę i położył na swoim nabrzmałym członku. - Pięć lat byłem na morzu. Jak długo każesz mi jeszcze czekać?

Fala gorąca przebiegła całe ciało Laury. Próbowwała wyrwać rękę, ale Rye trzymał ją mocno. Przez spodnie czuła żar bijący z jego ciała. Ponownie złapał ją za szyję, przycisnął gwałtownie do siebie i zaczął całować, rytmicznie wsuwając język między jej wargi, tak jak wiele lat temu, w starej szopie na łódzie. Ocierał się o jej dłoń, wymuszając pieszczotę, każdym drgnieniem ciała błagając ją, by - skoro już nie może mieć jej całej - dała mu rozkosz, której tak pragnął.

Macki mgły wiły się nad ich głowami, nocne powietrze przepęłniał uwodzicielski zapach kwiatów. Ich oddechy szemrały ochryple z pożądania, niczym morskie fale wdzierające się na brzeg.

- Błagam cię Lauro - szeptał Rye, nie odrywając warg od jej ust. - Tak długo mnie nie było...

- Nie mogę! - jęknęła, wyszarpnęła rękę i schowała twarz w dłoniach. - Nie mogę - powtórzyła, tłumiąc szloch. - Dan mi ufa.

- Dan! - warknął Rye. - Dan i Dan! A co ze mną? - Głos drżał mu z wściekłości. Chwytał ją za ramię i pociągnął ku sobie tak gwałtownie, że musiała wspierać się na palce. - Ja też ci ufałem! Wierzyłem, że będziesz na mnie czekać, kiedy tkwiłem na tej... tej nędznej krypie, nurzałem się w smrodzie zjełczanego tranu i gnijących ryb, jadłem kluski z zarobaczonej mąki i codziennie wachałem tuziny niedomytych ciał, w tym własne! - Jego palce zacisnęły się mocniej i Laura skrzywiła się. - Czy masz pojęcie, jak bardzo tęskniłem za zapachem twojego ciała? Na samą myśl o tobie ogarniało mnie szaleństwo. - Odsunął ją prawie z niesmakiem. - Kiedy w czasie ciszy leżeliśmy w dryfie, zdani na łaskę bezwietrznego nieba, mijał dzień za dniem, a ja wciąż myślałem o tych zmarnowanych latach, które powinienem był spędzić z tobą. Ale chciałem zapewnić ci lepsze życie. Dlatego to zrobiłem!

- I pewnie myślisz, że mnie było dobrze? - krzyknęła w zaciętrzewieniu. Łzy ciekły jej po policzkach. - Kiedy patrzyłam, jak wypychasz swoje rzeczy do kuferka, a potem żagle zniknęły za horyzontem i nie byłam pewna, czy jeszcze cię zobaczę! Wiesz, jak się czułam, kiedy odkryłam, że noszę twoje dziecko, a zaraz potem dowiedziałam się, że dziecko nigdy

nie zobaczy ojca? - głos Laury zadrżał. - Miałam chęć cię zabić, Rye, zabić cię za to, że zginąłeś, nie pytając mnie o zdanie! - w gorzkim śmiechu Laury zabrzmiała nutka obłędu.

- Nie traciłaś czasu! Szybko znalazłaś sobie kogoś na moje miejsce!

- Byłam w ciąży! - wrzasnęła, zaciskając pięści.

- Ze mną, ale jemu rzuciłaś się w ramiona!

- A do kogo miałam się zwrócić? Nie, ty tego nie zrozumiesz! Czy kiedykolwiek brzuch spęczniał ci jak balon, tak, że z trudem mogłeś się poruszać, nie mówiąc o zamiataniu, noszeniu drewna albo wiader z wodą? Kto miał to robić, kiedy cię nie było?

- Mój najlepszy przyjaciel - rzucił Rye gorzko.

- Był także moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, co bym bez niego poczęła. Nie musiałam go prosić, sam przychodził, ilekroć był potrzebny i możesz mi wierzyć lub nie, ale robił to nie tylko z miłości do mnie, lecz także dla ciebie!

- Daruj mi tę teatralną mowę, Lauro. Dan przychodził, bo nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zaciągnie cię do łóżka. Wiesz dobrze o tym - wycedził zimno Rye.

- Jesteś podły!

- Przecież od dawna wiedziałaś, co do ciebie czuje!

- Próbuję ci wytłumaczyć, co przeżyliśmy na wieść o twojej śmierci... bo cierpieliśmy oboje! Kiedy się okazało, że „Massachusetts” poszedł na dno z całą załogą... Bez końca chodziliśmy po wydmach powtarzając sobie, że to nie może być prawda. To znowu staraliśmy się pogodzić z tym, że już nie wrócisz... Zupełnie się załamałam, zachowywałam się tak, jak moja matka i sama do siebie czułam obrzydzenie, ale nic nie mogło przemóc tej potwornej rozpacz. W końcu zaczęło mi być obojętne, czy żyję... przestałam nawet myśleć o dziecku, które miałam w łonie. Najgorzej było po pogrzebie... - głos jej się załamał. - O mój Boże, ten pogrzeb... z pustą trumną...

- Lauro... - Rye zbliżył się do niej, ale odwróciła się do niego plecami i ciągnęła:

- Nie zdołałabym przetrwać tego... tego koszmaru, gdyby nie Dan. Moja matka okazała się zupełnie bezradna, jak się pewnie domyślasz. Nie była w stanie mi pomóc nawet przy narodzinach Josha. To Dan był mi podporą. Dan siedział przy mnie, gdy zaczęły się bóle, potem zdenerwowany czekał pod drzwiami, a w końcu wszedł do środka, by mi powiedzieć, że mały jest podobny do ciebie, bo czuł, że tymi słowami przywróci mnie do życia. To on - twój najlepszy przyjaciel - obiecał mi, że zawsze, w każdej sytuacji, oboje z Joshem możemy na niego liczyć. I dlatego mam wobec niego dług wdzięczności - Laura urwała na moment - podobnie jak ty.

Rye przez dłuższą chwilę patrzył na jej plecy. Potem podszedł i niezbyt delikatnie

zaczął sznurować jej gorset.

- A jak mam go spłacić? - rzucił, przestając na chwilę ciągnąć za sznurówki. - Tobą?

Laura zadrżała. Czego mógł od nich oczekiwać Dan? Z pewnością nie potajemnych schadzek i pocałunków.

- Musisz zrozumieć - odezwała się stanowczo. - Od dnia narodzin Josha Dan był dla niego ojcem. Jest moim mężem trzy razy dłużej, niż ty nim byłeś. Nie mogę tak... tak po prostu odepchnąć go od siebie, nie zważając, co czuje.

Poczuła mocniejsze szarpnięcie, po czym tkanina ponownie się rozluźniła, podczas gdy Rye zmagał się z tasiemką.

- Kiepsko mi to idzie... Z pewnością Dan ma więcej wprawy - dodał oskarżycielskim tonem.

Wciąż był zły - na nią i na splot okoliczności, który tak brutalnie skomplikował im życie. W końcu poradził sobie z gorsetem, potem z suknią, nadal jednak trzymał ręce na jej biodrach.

- Czy to znaczy, że zamierzasz z nim zostać? - spytał. Laura przymknęła ze znużeniem oczy i wzięła głęboki oddech.

Wcale nie była bliżej rozwiązania problemu niż Rye.

- Na razie tak - powiedziała. Jego ciepłe dłonie zsunęły się z jej bioder.

- I nie będziesz się ze mną spotykać?

- Nie w taki sposób... nie... - zająknęła się i urwała, niepewna, czy zdoła mu się oprzeć.

Zgrzytnął zębami, z trudem zachowując panowanie nad sobą.

- Jeszcze zobaczymy, szanowna pani Morgan! - syknął, obrócił się na pięcie i zniknął we mgle.

ROZDZIAŁ 5

Od owego przyjęcia Laura i Dan niewiele się do siebie odzywali. Dan milczał jak głaz, coraz częściej przy tym miał urażoną minę, której widok budził w Laurze nieustające poczucie winy. Zapytana, czy była z Rye'm, nie ośmieliła się skłamać. Dan zniósł to nad podziw spokojnie, zauważył bowiem jej zaczerwienione oczy i domyślił się, że nie zaszło między nimi nic zdrożnego. Łzy Laury oznaczały jednak, że Rye nadal nie jest jej obojętny. Napięcie rosło.

Pewnego ciepłego, słonecznego dnia w końcu maja, gdy zachodzące słońce zawisło tuż nad oceanem jak dojrzały melon, Laura przez okienko nad zlewem obserwowała Dana z Joshem. Dan zmajstrował dla malca parę szczudeł i teraz cierpliwie trzymał je pionowo, gdy Josh po raz kolejny wspinał się na podpórki. Jeden niepewny krok i już nóżki chłopca rozjechały się jak nożyce, szczudła poleciały na bok, Josh zaś poturlał się po trawie ze śmiechem i piskiem, podcinając Danowi nogi. W następnej chwili Dan leżał na plecach, a malec siedział na nim okrakiem, jak na pojmanym jeńcu. Potem potoczyli się w przeciwnym kierunku i tym razem mężczyzna unieruchomił dziecko. Serdeczny śmiech niósł się w ciszy wiosennego wieczoru niczym najpiękniejsza muzyka.

Laura ze ściśniętym gardłem patrzyła na ciemne sylwetki widoczne pod promienie zachodzącego słońca. Dan postawił malca na nogi, otrzepał go i wymierzył mu żartobliwą sójkę w bok. Josh nie pozostał dłużny i szamotanina zaczęła się na nowo, lecz po chwili ustała. Ramiona mężczyzny czule oplotły dziecko i dwie sylwetki stopiły się w jedno.

Laura miała łzy w oczach, widząc ten krótki, rozpaczliwy uścisk, policzek Dana oparty na złotej główce chłopca... Po chwili Josh jak źrebak galopował już po porzucone szczudła, a Dan przyklęknawszy na jedno kolano obserwował go z rozbawieniem. Potem zerknął ukradkiem w stronę domu i Laura pospiesznie odskoczyła od okna.

Jak mogłabym ich rozdzielić? - myślała, nerwowo ogryzając paznokcie.

Tego wieczoru kochali się ze sobą, lecz w pieszczotach Dana dawał się wyczuć ten sam rozpaczliwy, gorączkowy pośpiech, jaki w ostatnim czasie cechował każdy jego gest. Obejmował ją za mocno, całował zbyt namiętnie, zanadto gorliwie też przepraszał, gdy wydało mu się, że sprawił jej ból. Kiedy w końcu zapadł w niespokojny sen, zaczęła się zastanawiać, czy ich związek kiedykolwiek jeszcze będzie taki, jak dawniej. Doszła do wniosku, że to niemożliwe. Mogła nie rozmawiać z Ryem, ba, nawet go nie widywać, ale był w pobliżu, znów mieszkał na wyspie i nawet to zagrażało jej małżeństwu.

Z rozdartym sumieniem leżała w ciemności, oparłszy wilgotną od potu dłoń na czole,

starala się okiełznać własne myśli. Dręczyły ją porównania, do których nie miała prawa. Jakież znaczenie ma postura mężczyzny, linia jego ramion, kształt ust? Żadnego. Liczy się charakter, męskie cnoty, sposób, w jaki troszczy się o żonę, zapewnia jej byt, okazuje szacunek i miłość.

Nie była jednak w stanie oszukać samej siebie. Różnice fizyczne, które po ślubie z Danem udało jej się zignorować, ponownie wysunęły się na pierwszy plan. Rye zawsze bardziej ją pociągał, teraz zaś, gdy wrócił, dawne pokusy odezwały się ze zdwojoną mocą, kładąc się cieniem pomiędzy Laurą a jej drugim mężem.

Dan zbliżał się do niej jak suplikant do ołtarza, podczas gdy Rye zachowywał się jak partner. Nie była przecież boginią, lecz kobietą. Nie pragnęła czci, a wzajemności. Tak, istniała między nimi kolosalna różnica: Rye przyprawiał ją o zawrót głowy, Dan trzeźwił. Miłość Dana miała posmak rutyny, z Ryem zawsze była wstrząsającym przeżyciem; przypominała radosne święto, nie sztywny ceremoniał.

Jak to było możliwe i dlaczego miało tak wielkie znaczenie? Dan osiągnął szczyt, ciało Laury jednak wciąż czuło niedosyt, budziło się dopiero na wspomnienie schadzki z Ryem w sadzie, kiedy to pchała ich ku sobie noc przesycona zapachem wiosny.

Och, Rye - pomyślała z rozpaczą. - Znamy się zbyt dobrze, byśmy teraz, żyjąc obok siebie, oparli się pokusie.

Przesunęła ręką po stwardniałej teraz z podniecenia piersi. Wyobraziła sobie usta Rye'a, wspomniała pierwszy pocałunek w jagodniku na Górze Saula, potem pierwsze dotknięcie tu... i tu... Młodzieńcze doznania, gdy drżeli ze strachu, lecz zarazem płonęli, krocząc po cienkiej linii między dzieciństwem a dorosłością. A wszystko zaczęło się od niewinnego muśnięcia jego nagich pleców...

Najpierw kapali się przy brzegu w pobliżu przystani w Wauwinet. Potem jak zwykle przeszli w bród do wąskiej piaszczystej łachy, zwanej Holowiskiem, oddzielającej spokojne wody od wzburzonego Atlantyku. Rybacy często przetaczali tędy swoje łodzie z jednej strony przesmyku na drugą.

Szła za Ryem plażą porośniętą ostrymi trawami, który broniły falom wstępu do cichej zatoki. Po lewej stronie rozpościerał się cypel Great Point w kształcie zagiętego palca, który jakby kiwał na morskie fale, by ośmieliły się podejść jeszcze bliżej. Ale Rye rzucił tylko pobieżnie okiem w tamtą stronę, po czym swoim zwyczajem przykucnął na piasku, obejmując rękoma kolana. Wpatrywał żagli na horyzoncie.

Ziarna piasku przywarły mu do pleców, więc Laura z przyzwyczajenia wyciągnęła rękę, by je strzepnąć.

Tym razem jednak Rye wzdrygnął się i krzyknął: „Przestań!”, jak gdyby popełniła jakieś straszne przestępstwo.

Laura rozdziawiła usta ze zdumienia.

- Miałeś piasek na plecach... - bąknęła urażona.

Rye patrzył na nią ponuro przez dobre kilka sekund, po czym raptownie zerwał się na nogi i pognął w stronę cedrowego zagajnika. Patrzyła za nim zdziwiona, obejmując dłonią brzuch, w którym zaległo się jakieś dziwne uczucie.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Dawniej była ich trójka - Rye, Laura i Dan. Teraz Dan zdawał się zbyteczny.

W dzieciństwie często bawili się „w dom”. Rye był wielorybnikiem, Laura jego żoną, a Dan dzieckiem. Rye całował ją na pożegnanie w spieczone słońcem wargi, po czym kroczył przez plażę do swojego „okrętu” - nagiego szkieletu wiosłowej łodzi, który nie mógłby utrzymać się na falach. Laura i Dan machali mu, trzymając się za ręce. Po pięciu minutach - odpowiedniku pięciu lat - Rye wracał dumnym krokiem, dźwigając swój połów, którego rolę zwykle spełniała wiązka wyrzuconego przez morze drewna.

Tamte całusy jednak nie liczyły się.

Po raz pierwszy Rye pocałował Laurę o wiele, wiele później. Prawdę mówiąc, od chwili, gdy musnęła jego nagie plecy, oboje nie byli w stanie myśleć o niczym innym.

Następnym razem poszli zbierać małże w strumykach, biegnących przez słone trzęsawisko u wejścia do portu. Jak zwykle był z nimi Dan, ale udało im się zamarudzić z tyłu, gdy Dan pobiegł drogą ku źródłom Consue. Rye zadeklarował, że odniesie małże Laury do domu, gdy jednak Dan zniknął im z oczu, przystanął niezdecydowanie, wykopując palcami nóg zagrzebaną w piasku muszlę.

- Chcesz wracać drogą czy przez wygon? - zagadnęła go w końcu Laura.

Podniósł głowę. Przyglądał się pasmom włosów, które wiatr zdmuchnął Laurze na twarz. Potem głośno przełknął ślinę i oświadczył łamiącym się falsetem:

- Przez wygon.

Skierowali się na zachód, przecinając płat ziemi pomiędzy Orange Street i Copper Street, pagórkowaty teren przy First Mile Stone, a potem zagrody do strzyżenia owiec na niskich wzgórzach Miacomet. Jesień upstrzyła wyspę jaskrawymi plamami zrudziałych paproci, borówek i płożącego się mącznika, który pokrywał pustkowie jak kolorowy dywan. Wydeptane ścieżki prowadziły ich przez krzewy woskownicy, której jagody, rozgniecione stopą, wydzielają upajający zapach. Jak na komendę zбочyli ze ścieżki w gęstą kępę jagód. Była to niezbyt udana wymówka, bo i tak żadne nie miało koszyka.

W chwili, gdy zarośła odcięty ich od świata, Rye najwyraźniej stracił rezon. Laura gorączkowo zastanawiała się, jak go skłonić, by zrobił pierwszy krok. W końcu niby przypadkiem rozsypała małże, a kiedy Rye ukląkł, by je pozbierać, nieznacznie otarła się o jego ramię. Dotyk jej rozgrzanej jesiennym słońcem skóry okazał się dostateczną zachętą.

Ich spojrzenia zetknęły się, zdumione i niepewne, palce jeszcze przez moment szukały małży w trawie, nim spotkały się i splotły. Wstrzymując oddech, pochylili się ku sobie z wahaniem. Zderzyli się nosami, potem lekko przekrzywili głowy i wreszcie to się stało! Dziecinny, suchy pocałunek... Z pewnością brakowało im doświadczenia, włożyli weń jednak bardzo wiele uczucia.

Ten pierwszy pocałunek utorował drogę następnym, dla których godzinami włączyli się po jagodzisku. Za każdym razem poczynali sobie coraz śmielej, aż wreszcie skromne muśnięcie języków przestało im wystarczać.

Wkrótce nadeszła zima i odarła zarośła z barwnych liści, pozbawiając ich osłony. Spotykali się rzadziej, niecierpliwie licząc dni do wiosny, aż wreszcie w marcu pojawiły się ławice makreli i nareszcie znaleźli wymarzony pretekst.

Za pierwszym razem, gdy Rye dotknął jej piersi, nie napotkał gorsetu z fiszbinów, do tego bowiem Laura musiała dopiero dorosnąć. Dłoń Rye'a także nie była jeszcze wielką męską dłonią, ani nie pokrywały jej drobne złote włoski.

Siedzieli w łodzi, nieomal stykając się kolanami, i udawali, że bawi ich łowienie ryb. W rzeczywistości przeszkadzało im ono w urzeczywistnieniu tego, o czym marzyli przez całą długą zimę.

Laura wyciągnęła wędkę i otarła dłonie o spódnice. Kiedy podniosła głowę, Rye patrzył na nią, łykając raz po raz ślinę, jak gdyby coś ugrzęzło mu w gardle.

- Właściwie wcale nie chce mi się łowić - przyznała.

- Mnie też. - Rye oblizał wargi i jeszcze raz przełknął ślinę. Posunęła się bez słowa, żeby zrobić mu miejsce obok siebie. Czółno zakołysało się, gdy usiadł, nie spuszczając z niej wzroku.

Nos i policzki miał zimne, ale wargi tak ciepłe, jak ów jesienny dzień, kiedy po raz pierwszy zderzyli się nosami na nasłonecznionym, wonnym jagodzisku. Ciekawe, czy on także zdawał sobie sprawę, jak bardzo wydorosła. W chwilę później dotyk jego języka to potwierdził, była w nim bowiem nowa natarczywość, która kazała jej zarzucić mu ręce na szyję. Pocałunkiem Laura starała się wyrazić całą swą tęsknotę.

Czuła, że Rye drży, choć miał na sobie gruby wełniany sweter, chroniący go przed ostrym przedwiosennym wiatrem. Łódź chybotwała się, to rzucając ich ku sobie, to znów

rozdzielając, lecz nic nie było w stanie rozerwać ich ust.

Jej kaftanik był również gruby i niezgrabny. W chwilę później zdała sobie sprawę, że Rye go rozpina. Odskoczyła zdumiona, zaglądając mu w oczy.

- Ręce mi zmarły - palnął pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Aha... - bąknęła, korzystając z przechyłu łodzi, żeby się do niego przytulić. Z zapartym tchem, gorączkowo czekała na pierwsze dorosłe dotknięcie. Dłoń Rye'a wśliznęła się tam, gdzie było ciepło, tajemniczo, i gdzie w żadnym razie nie wolno jej było przebywać. Z tego Laura w pełni zdawała sobie sprawę.

- Rye, nie powinniśmy - zaprotestowała.

- Wiem - przyznał ochryple. To jednak nie przeszkodziło mu poznawać kształtu jej ledwie rozwiniętych piersi, których sutki nabrzmiały, prosząc o pieszczotę. Jak zwykle za pierwszym razem był to raczej eksperyment, poszukiwanie różnic, które sprawiały, że on był mężczyzną, ona zaś kobietą.

- Au! Nie tak mocno! - wykrzyknęła, gdy jego poczynania stały się zbyt natarczywe. Stanowczo przesunęła jego dłoń na drugą pierś, pierwsza bowiem, otarta lnianą koszulą, była już dość obolała.

Od tej pory zmysłowość stała się nowym, ekscytującym elementem ich życia.

Makrele ponownie posłużyły im za wymówkę w dwa dni później, choć wędkę zmoczyli dopiero wracając do brzegu. Na otwartych wodach zatoki Nantucket znaleźli samotność, zakłóconą tylko przez wszędobylskie mewy. Tylko one miały szansę dostrzec, że tym razem dłoń Laury wsunęła się pod sweter, pieszcząc naga, ciepłą, chłopięcą pierś.

Następny tydzień był dla nich ciężką próbą cierpliwości, Josiah bowiem zapędził Rye'a do pomocy w warsztacie. Rye terminował u niego czwarty rok i był już niemal równie zręcznym bednarzem jak ojciec.

- Mama chce, żebym nałapał jej homarów - oznajmił Rye, zachodząc po Laurę w sobotę po południu. - Idę po sidła do szopy Hardesty'ego. Masz ochotę się ze mną przejść?

Stary Hardesty miał na plaży hangar, w którym oprócz łodzi trzymał sidła na homary i inny sprzęt. Rye mógł z niego korzystać, ilekroć przyszła mu ochota.

- Chyba tak - odparła niezbyt pewnie Laura. Po drodze nie patrzyli na siebie. Rye kroczył z rękami w kieszeniach i pogwizdywał, Laura zaś spoglądała pod nogi, starając się za nim nadążyć. Ponieważ ostatnio bardzo urósł, nie było to rzeczą prostą.

Kiedy Rye otworzył przed nią drzwi, sam usuwając się na bok, Laura stanęła jak wryta i spojrzała na niego ze zdziwieniem. W ciągu szesnastu lat swego życia nigdy dotąd nie zaprzętał sobie głowy dobrymi manierami! Rye obejrzał się niespokojnie i przestąpił z nogi

na nogę. Spiesznie weszła do środka.

Wewnątrz zalegał kurz i sterty śmieci, poniewierały się zwoje starych lin, zardzewiałe okucia, zniszczone wiosła, latarnie o potłuczonych szybkach, słoje ze smarem, cebry i luźne obręcze beczek - a wszystko gęsto osnute pajęczyną. Z ciemnego kąta wyskoczył nagle przegowany kot, omal nie przyprawiając Laury o atak serca.

Rye zaśmiał się, wyciągnął kota za kark z kubła na gwoździe i podrapał go za uchem. Zwierzę przeciągnęło się z rozkoszą i zaczęło mruczeć, zadowolone, że wreszcie ma towarzystwo. Dłonie obojga młodych krążyły po jego grzbiecie, powoli i ostrożnie zbliżając się do siebie.

W końcu ich palce zetknęły się i splotły w ciepłym futrze. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. W szopie panował całkowity bezruch, tylko w powietrzu krążyły pyłki kurzu i mocno biły serca dziewczyny i chłopca. Potem Rye pochylił głowę, a Laura uniosła usta. Pocałunek z początku delikatny, przyciągał ich coraz bardziej, aż wreszcie ściśnięty między nimi kot zamiauczał z oburzeniem. Odskoczyli od siebie i wybuchnęli śmiechem.

Kot usadowił się na beczce i zaczął się dokładnie myć. Rye w tym czasie rozejrzał się wokoło. Spozobegł stary żagiel, zwinięty i ciśnięty w kąt na pastwę myszy. Wziął Laurę za rękę i pociągnął w tamtą stronę.

Uklękli po obu stronach szarego, zetłalego płótna i zaczęli je rozwijać. Przez jedyne okienko wpadały do środka skośne promienie słońca, oblewając złotem to zakurzone łożo. Z zewnątrz dobiegał krzyk mew, kołujących nad przystanią. Morskie fale rytmicznie lizwały drewniane słupy, na których stała szopa.

Rye na kolanach posunął się ku środkowi żagla, a po chwili Laura uczyniła to samo. Słońce zabarwiło złotem pięknie wygięte brwi i koniuszki rzęs Rye'a. Zmrużył je i nachylił się, by ją pocałować. Jego dłoń odnalazła jej rękę i ścisnęła mocno, jakby dodając odwagi.

Chłopak przełknął ślinę, obrzucił spojrzeniem piersi Laury, przysiadł na piętach i powoli zaczął rozpinać guziczki jej żakietu. Kiedy zsunął go z jej ramion, zadrżała i Rye zaskoczony uniósł głowę.

- Zimno ci?

- Nie - skuliła ramiona, zaciskając ręce na kolanach.

- Lauro, ja... - urwał. Domyśliła się, że teraz pora na jej ruch.

- Pocałuj mnie, Rye - poprosiła głosem, który wydał jej się obcy. - Pocałuj mnie tak, jak lubię.

Do tego czasu przeciwiczyli to już na wszelkie możliwe sposoby.

Znów ujął ją za ręce, a jego język powędrował delikatnie wzdłuż krawędzi jej warg,

które rozchyliły się pod jego dotknięciem. Kobieca intuicja wzięła górę nad dziewczęcym niedoświadczeniem.

Dłoń Rye'a wyciągnęła się ku niej przez ogromną, zdawałoby się, przestrzeń, dzielącą ich ciała za wyjątkiem kolan i ust. Laura skierowała ją ku guzikom bluzki, oceniając, że już czas. Rye zawahał się, po czym niezręcznie, drżącymi palcami porozpinał kościane guziczki aż do pasa.

Chyba nagle dotarło do niego, co zrobił, bo oddalił się i ze strachem zajrzał jej w oczy.

- W porządku, Rye - upewniła go. - Chcę tego.

- Lauro, to co innego, niż... całowanie się, wiesz?

- Skąd mam wiedzieć? - zapytała. Po raz pierwszy odczuła, jaką ma nad nim władzę. Posługiwała się nią równie pewnie, jak doświadczona, światowa kobieta.

- Naprawdę tego chcesz? - Rye pełen był obaw.

- Rye, nie przyszłam tu po żadne sidła na homary. A ty? Strach zniknął z jego oczu, gdy wsunął dłoń pod bluzkę, dotykając jej nagiego ramienia. W chwilę później została w samej koszuli.

Patrząc w ślad za wzrokiem Rye'a dojrzała ciemne krążki sutków, widoczne przez cienkie płótno. Palce Rye'a szarpnęły satynową wstążkę i poczuła chłodny powiew, gdy zdarł z niej koszulę aż do pasa.

Wstrzymała oddech, czekając, co będzie dalej, a gdy nic się nie stało, otworzyła oczy. Rye wpatrywał się w nią, czerwony aż po cebulki włosów.

- Rany... - wymamrotał. - Lauro, jesteś taka... taka piękna... Szorstki wełniany sweter otarł się o jej pierś, by po kilku sekundach ustąpić miejsca jego dłoni - roztrzęsionej, wilgotnej ze zdenerwowania, ale cieplej i już stwardniałej od ciągnięcia struga.

Laura zastanawiała się, co w tym złego, że pozwala Rye'owi dotykać się w ten sposób. Nareszcie znalazła wytłumaczenie narastających bóli, jakie dręczyły ją odkąd jej piersi zaczęły rosnać. Rye nieśmiało ujął w dwa palce jej sutek i nacisnął. Zabolalo i choć tylko nieco się wzdrygnęła, zareagował tak, jakby krzyknęła z bólu. Z przerażoną miną cofnął dłoń.

- Czy... czy sprawiłem ci ból, Lauro?

- Nnie... właściwie nie... sama nie wiem.

Potem był ostrożniejszy, delikatnie uczył się jej ciała, lecz pocałunki były coraz bardziej namiętne, a piersi wpierały się w siebie tak mocno, jak tylko pozwalała niewygodna pozycja.

Rye stopniowo przechylał ją do tyłu, aż ustąpiła pod naporem i opadła wraz z nim na żaglowe płótno. Objęła jego plecy, on spoczął na niej całym ciałem i całowali się nadal z

niespożyta zachłannością debiutantów.

Gdy jego wargi oderwały się od jej ust, przeczuła, dokąd zmierzają, lecz leżała nieruchomo, przyciśnięta do podłogi. Oddech Rye'a owiał jej szyję i zatrzymał się tam na chwilę, nim przesunął się niżej i zaciśnięte wargi leciutko musnęły jej pierś.

Miała wrażenie, że twarda obręcz ściska jej żebra, niemal całkowicie pozbawiając tchu. Lecz chęć pojęcia tego, co nazywa się dojrzwaniem, była silniejsza od niej. Na próbę pogłaskała Rye'a po głowie. Jego wargi rozwarły się i poczuła śliski język przesuwający się po wrażliwym pączku sutka. Jęknęła głucho i wygięła się w górę, instynktownie poddając się pieszczocie.

Płynny ogień rozlał się w jej żyłach. Głowa opadła w tył, a całe ciało zarazem naprężyło się i omdlało. Rozumiała teraz, dlaczego Rye zareagował tak gwałtownie, gdy poprzedniego lata dotknęła jego nagich pleców.

Rye zerwał się nagle, zdarł z siebie sweter i ukląkł przed nią, jakby czekając na jej zgodę.

Dotąd nie zwróciła uwagi, że ma owłosiony tors, ale teraz, w padającym z okna świetle, zauważyła delikatną smugę jasnego puchu, przecinającą w poprzek kwadratowe mięśnie. Powiodła wzrokiem w dół, do pępka. Przez chwilę oboje sycili ciekawość, nim odważyli się posunąć dalej.

- Jaki ty jesteś muskularny! - stwierdziła ze zdumieniem.

- A ty nie - rzekł bez uśmiechu.

Widziała - naprawdę widziała! - jak w zagłębieniu jego krtani pulsuje żyłka i zastanawiała się, czy z nią jest tak samo. Krew bowiem tętniła jej wszędzie, w skroniach, w brzuchu, i w tym sekretnym miejscu, w którym teraz wszystko zdawało się ogniskować.

Rye nachylił się i pocałował ją, nim oparł swą nagą pierś na jej piersi. Oboje byli zdumieni, spostrzegając różnice w fakturze swojej skóry. Na próbę otarli się o siebie, a dotyk ten w niewyjaśniony sposób przyniósł im jedwabistą rozkosz.

Język Rye'a z coraz większą maestrią tańczył na nabrzmiałych sutkach. Laura wplotła palce w jego włosy, podświadomie zapraszając go, by legł na niej, sycąc tęsknotę jej ciała. Bez niego czuła się dziwnie kaleka.

Kolano Rye'a przesunęło się ciężko wzdłuż jej uda, przez wzgórek łonowy aż na brzuch. Po chwili Rye przylgnął do niej, nakrywając biodrami jej biodra, kotwicząc ją przy ziemi, z której ciało Laury wrywało się w niebiosy. Jej nogi niejako z własnej woli rozsunęły się, robiąc miejsce dla tego twardego, natarczywego kolana, które zaczęło pocierać ją rytmicznie. Odruchowo uniosła biodra, zacieśniając kontakt, potęgując rozkoszne doznania.

Rye przewrócił się na bok, jego dłoń roztrącając szeleszczące halki pełzła po jej udzie. Serce Laury tłuło się jak oszalałe, a oddech Rye'a uderzał ją w ucho niczym fala przyboju. Jego palce musnęły falbankę pantalonów, przesunęły się wyżej... jeszcze wyżej... dłoń nakryła delikatny wzgórek i Laura z przestachem uświadomiła sobie, że lniana tkanina w tym miejscu jest wilgotna. Rye zawahał się nieco, jakby był zdziwiony, lecz gdy nacisnął mocniej, doznała uczucia, że jest w raju, choć równocześnie spodziewała się, iż ręka Opatrzności lada moment sięgnie ku nim i porazi ich karzącym gromem.

Tymczasem dłoń Rye'a poznawała jej ciało przez ostatnią warstwę bielizny. Gdy jednak sięgnął do guzików, w Laurze odezwały się resztki rozsądku.

- Wystarczy, Rye - szepnęła drżącym głosem, chwytając go za nadgarstek. - Chyba powinniśmy się już ubrać. Ja... muszę wracać do domu.

Przez moment jego oczy patrzyły na nią z ledwie hamowanym gniewem. Potem Rye wypuścił długo powstrzymywany oddech, zerwał się, odwrócił i pospiesznie wciągnął sweter. Przyglądał włosy i zerknął na nią przez ramię, lecz speszony, szybko odwrócił wzrok. Doprowadziwszy do ładu własny przyodziewek, Laura przyglądała mu się przez chwilę.

- Rye?

- Co? Kiedy przez długą chwilę nie odzywała się, obejrzał się ponownie.

- Czy pójdziemy do piekła? - spytała. Popatrzyli na siebie ze zgrozą.

- Chyba tak... - bąknął Rye.

- Oboje czy tylko ja?

- Myślę, że oboje. Laurze zrobiło się słabo ze strachu, bo nie mogła znieść myśli, że przez nią Rye skazał się na potępienie.

- Może jeśli więcej tego nie zrobimy i będziemy się żarliwie modlić...

- Może - posępny ton Rye'a niósł niewiele nadziei. Wstał. - Wracajmy już, Lauro, i lepiej nie przychodźmy tu razem. Wezmę te sidła i... - urwał, gdy zobaczył jej minę.

Rzucili się sobie w ramiona i przywarli do siebie rozpaczliwie, nie mogąc się uporać z tym, co ich spotkało. W górze krzyczały mewy, a pale, na których stał hangar, skrzypiały pod naporem przypływu.

- Och, Rye, nie chcę, żebyś poszedł do piekła!

- Nie płacz... Może... może ten jeden raz nam się upiecze...

ROZDZIAŁ 6

Nazajutrz w kościele Rye przez całą mszę unikał jej wzroku. Na twarzy miał wypisane wyrzuty sumienia, skutkiem czego strach przed karą niebios zmaćił Laurze urzekające wspomnienia przeżytych chwil. Co więcej, była pewna, że nawet owo niesprecyzowane uczucie napięcia w dole brzucha było grzeszne. Po wyjściu z kościoła Rye umknął do domu, nie zamieniwszy z nią nawet słowa. Czowała się porzucona i było jej tym bardziej smutno.

Trzymał się z dala od niej przez dziewięć dni, ale dziesiątego, kiedy poszła na targ po łupacze ze świeżego połowu i przeciskała się właśnie między straganami, zobaczyła go z daleka. Na jej widok zawahał się, lecz szedł dalej w jej stronę. W końcu musiał się zatrzymać.

- Jak się masz, Rye - uśmiechnęła się promiennie.

- Witaj - odparł krótko, nie patrząc jej w oczy. Poczowała ukłucie w sercu.

- Nie widziałam cię już ponad tydzień - bąknęła.

- Byłem zajęty w warsztacie - Rye uporczywie wpatrywał się w przeciwległy kraniec placu.

- Aha... - Odniosła wrażenie, że się niecierpliwi, pośpiesznie więc szukała w myśli słów, którymi mogłaby zatrzymać go jeszcze chwilę. - I co, udało ci się nałapać homarów?

Jego spojrzenie prześliznęło się po niej i uciekło.

- Kilka.

- Odniosłeś już sidła?

- Nie. Zastawiam je każdego ranka i wyciągam wieczorem.

- Dziś też będziesz wyciągał? Usta Rye'a wydeły się lekko, jakby nie miał ochoty odpowiadać.

- Tak - rzekł po chwili.

- *Kiedy?*

- Koło czwartej.

- Może... może potrzebna ci pomoc? Spojrzał na nią kątem oka, po czym odwrócił wzrok w kierunku Zatoki Nantucket. Laura spodziewała się, że jak zawsze chętnie przyjmie ją do kompanii, ale Rye tylko wzruszył ramionami:

- Muszę już iść.

Patrząc w ślad za nim czowała, że serce jej krwawi. O czwartej po południu czekała na niego jednak na przystani.

Zobaczywszy ją, przystanął gwałtownie, ale Laura nie miała zamiaru ustępować. Bez słowa pochyliła się, by odwiązać cumę na dziobie,, on zaś zajął się rufową. Wiosłowali w

milczeniu. Rye wyjął z siodeł dwa Wyrośnięte homary i wrzucił je do worka, po czym obrócił łódź dziobem w stronę brzegu.

Kiedy płaskodenka dobiła do przystani, Rye z rozmachem wyrzucił siodeła na pomost.

Laura podniosła zdziwiony wzrok.

- Co robisz?

- Wystarczy tych homarów - bąknął, unikając jej wzroku. - Odniosę je do hangaru.

Serce Laury rozpląnęło się w mieszaninie radości i obawy.

Przycumowali łódź, po czym każde wzięło jedno siodeło i milcząc pomaszzerowali w stronę plaży, mijając starego kapitana Silasa, który tylko skinął im głową i pyknął z fajki. Mieli ochotę zapaść się pod ziemię, ale decyzja została już podjęta.

Wewnątrz szopy nic się nie zmieniło, tylko z powodu gęstej mgły otulającej okno panowała w niej jeszcze bardziej tajemnicza i przesycona grzechem atmosfera. Przekroczywszy próg, Laura zatrzymała się sztywno, zaciskając palce na poprzeczce siodeła. Kiedy Rye z brzękiem rzucił swoje w kąt, podskoczyła ze strachu. Wyjął jej z rąk siodeło i położył na ziemi, lecz gdy się wyprostował, oboje nie wiedzieli, gdzie podziać oczy. Rye wsunął dłonie za pasek spodni, Laura splotła swoje kurczowo na podołku.

- Muszę iść - oznajmił nagle Rye. - Powinienem z tym zdążyć do domu przed kolacją.

Jego sakwa jednak nadal leżała pod drzwiami.

- Ja też muszę iść - rzuciła pospiesznie Laura. - Mama prosiła, żebym jej pomogła.

Rye zwrócił się do wyjścia, ale zrobił zaledwie trzy kroki, gdy Laura odważyła się wreszcie wykrztusić:

- Rye?

Przyjrzał się jej wzrokiem, który mówił wyraźnie, co zaprzętało jego myśli przez ostatnie dni.

- Co?

- Czy ty... jesteś na mnie zły?

Jego grdyka podskoczyła, gdy z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie.

- No to o co chodzi?

- Nie... nie wiem.

Podbródek Laury zadrżał, a obraz Rye'a nagle rozmazał się, mimo iż ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy. Rye wszakże dostrzegł je i nagle pokonał dzielącą ich przestrzeń, a w chwilę później gwałtownie przycisnął Laurę do piersi. Siła jego młodych ramion była już całkiem męska, a pocałunek namiętny. Gdy język Rye'a wkradł się do jej ust i okrążył je,

Laureę ogarnęło słodkie przyzwolenie. Jej język wygiął się tak mocno, że poczuła na wpół podniecający ból.

Rye tulił ją mocno, kołysząc się w tył i w przód. Głowę opierał w zagłębieniu jej ramienia. Stała na palcach; tak bardzo wyrósł w ciągu ostatniej zimy, że nie dorównywała mu już wzrostem.

- Było mi tak przykro, kiedy dziś na targu nie chciałeś na mnie spojrzeć - słowa Laury tłumiał gruby brązowy sweter. Rye nadal kołysał ją delikatnym ruchem, który miał ją uspokoić, lecz zamiast tego rozplómił ją jeszcze bardziej. Odchyliła się nieco, by na niego spojrzeć. - Dlaczego tak się zachowałeś?

- Nie wiem - w jego błękitnych oczach malowała się udręka.

- Nigdy więcej tego nie rób, Rye.

Przełknął ślinę i wymówił jej imię w ten nowy, dziwny sposób.

- Lauro...

I naraz znów jego ramiona przyciskały ją mocno, usta szukały siebie, przerażone potrzebą ciała, której przecież uległy bez walki. Nieomal bezwiednie ruszyli w stronę porzuconego żagla. Jak na komendę opuścili się na kolana, wciąż złączeni pocałunkiem, potem wspierając się na biodrach i łokciach, osuwali się, szukając tej bliskości, której już doświadczyli i nie mogli zapomnieć.

Tym razem, kiedy ręka Rye'a wśliznęła się pod jej spódnicę, nogi Laury rozchyliły się skwapliwie w oczekiwaniu rozkosznych, intymnych dotknięć. Jak poprzednio, jej ciało tęskniło do pieszczot i rozkwitało coraz bardziej za każdym muśnięciem. Gdy Rye zaczął rozpinąć jej pantalon, wiedziała, że powinna go powstrzymać, ale nie była do tego zdolna. Jego dłoń wśliznęła się pod tkaninę, badając ciepłą powierzchnię jej brzucha, ze zdumieniem napotkała kępkę włosów, zawahała się na progu jej kobiecości, aż Laura poruszyła się niespokojnie i jęknęła cicho, gardłowo.

Miała wrażenie, że serce pęknie jej ze strachu, kiedy zbliżało się to, co zakazane. Palce Rye'a pokonały ostatnich kilka cali odkrywając jej miękką, wrażliwą tajemnicę...

Szarpnęła się gwałtownie.

- Zabolalo cię? - spytał trwożnie, natychmiast cofając dłoń. W Laurze cielesność zmagala się z moralnością.

- N... nie. Zrób to jeszcze raz.

Kiedy dotknął ją ponownie - niezgrabny, lecz wiedziony pragnieniem odkrywcy - nie wrywała się, lecz zamknęła oczy.

- Rye - szepnęła po chwili - teraz na pewno pójdziemy do piekła.

- Nic podobnego. Rozmawiałem na ten temat i wiem, że trzeba o wiele więcej, żeby trafić do piekła.

Laura cofnęła się i odepchnęła jego dłoń.

- Roz... rozmawiałeś o tym? - powtórzyła przerażona. - Z kim?

- Z Charlesem. Odetchnęła z ulgą. Charles był jego starszym, żonatym kuzynem, którego prawie nie znała.

- Pytałem go, czy za dotykanie kobiety idzie się do piekła - ciągnął Rye.

- I co on na to?

- Roześmiał się.

- Roześmiał? - powtórzyła zdumiona.

- A potem stwierdził, że gdyby tak właśnie miało wyglądać piekło, chętnie zrezygnowałby z rozkoszy niebios. I powiedział mi...

- Rye urwał, a jego dłoń znów wyciągnęła się w jej stronę. Laura jednak powstrzymała ją stanowczo.

- Co ci powiedział? Rye zaczerwienił się i odwrócił wzrok. Gdzieś na stryszku cicho miauknął kot.

Cisza przedłużała się. W końcu Rye spojrzał na nią i zaczerpnął głęboki oddech.

- Jak to się robi - oznajmił.

Laura oniemiała. Nagle poczuła strach przed ową straszną tajemnicą, o której Rye teraz wiedział wszystko.

Usiadła zdecydowanie.

- Pora na kolację. Mama będzie się niepokoić - mówiąc to, zerwała się na nogi i skoczyła do drzwi, nim zdołał ją zatrzymać.

Rye również usiadł, opierając łokieć na kolanie.

- Spotkajmy się tu jutro po kolacji - rzekł cicho. Zawahała się z ręką na klamce.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Jutro idziemy do cioci Nory.

- No to pojutrze.

- Wpakujemy się w kłopoty, Rye!

- Nic takiego.

- Skąd wiesz?

- Dowiedziałem się od Charlesa.

Dla Laury stwierdzenie to nie miało sensu, kłopoty bowiem były dla niej pojęciem

nader mglistym. Mówiąc o nich, miała na myśli tylko to, że jeśli będą tu przychodzić, ktoś ich w końcu przyłapie. Wyczuła jednak, że Rye'owi chodzi o coś innego.

- Boisz się, Lauro? - zapytał.

- Nie... tak... Chyba nie będę mogła przyjść - wyszła szybko, zatraskując za sobą drzwi.

Lecz ciekawość nie dawała spokoju jej dojrzewającemu ciału. Tej nocy, leżąc w łóżku, rozpamiętywała pieszczoty Rye'a - och, te jego ręce, co one z nią robiły! - i głaskała swe piersi, starając się naśladować jego szorstkie dotknięcia. Jej dłonie były jednak irytująco niewprawne i nie udało jej się zaspokoić swych pragnień. Przesunęła dłoń w dół, na próg swego dziewictwa i przekonała się, że na samą myśl o Rye'u zwilgotniało. Czegóż to ją nauczy, jeżeli spotka się z nim jutro wieczorem? Tyle tajemnic, jedno wszakże było pewne: dotykając się sama czuła przede wszystkim tęsknotę za Ryem. Wiedziała, że będzie na nią czekał w szopie. Następny krok w nieznaną napęlił ją dziwnym uczuciem, zarówno miłym, jak i przerażającym.

Nazajutrz dzień włókł się jak dekada, ale gdy nadeszła umówiona pora, Laura pierwsza pojawiła się w hangarze. Usiadła na zwiniętym żaglu z kotem na kolanach. Po chwili na schodkach rozległy się kroki. Serce załomotało jej ze zgrozy. A jeśli to kto inny... na przykład stary Hardesty albo... albo...

Ale to był Rye - w czystej muślinowej koszuli i czarnych spodniach, zdobnych w mosiężne guziki, świeżo uczesany i w niewiarygodnie wypucowanych butach.

Tym razem spojrzeli na siebie bez strachu. Na dworze kładły się długie wieczorne cienie; tylko skraj parapetu obrzeżony był jeszcze złotą smuzką. Szopa wydawała się dziś Laurze znana i przytulna.

- Cześć - przywitał ją cicho Rye. Twarz Laury rozjaśniła się uśmiechem.

- Cześć. Serce jej dygotało, ciało nabrzmiało oczekiwaniem, lecz głaskała kota z udawanym spokojem. Rye usiadł obok niej. Jego dłoń również wyciągnęła się do kota i tak jak za pierwszym razem, przypadkowo dotknęła dłoni Laury. Potem otarła się o nią już nie przypadkiem, aż w końcu oboje zaniechali pretekstów i mocno schwycili się za ręce. Kciuk Rye'a powoli masował wnętrze dłoni Laury.

Laura umierała z niecierpliwości, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, czego Charles nauczył Rye'a. Oczy miała szeroko otwarte, usta wyczekująco rozchyłone, Rye zaś ścisnął ją tak mocno, że na pewno narobił jej siniaków. Uniosła twarz, przymykając oczy, gdy ich wargi zetknęły się w czułym powitaniu, delikatnym muśnięciu skrzydła ćmy o jesienny liść.

Rye cofnął się. Jego przepełnione tęsknotą spojrzenie niosło w sobie również nową świadomość grzechu.

- Lauro... - rzekł chrapliwie.

- Rye, ja się boję.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła czołem do jego gładkiej brody. Tkwili sztywno przy sobie jak dwie mewy na reii, w końcu Rye osunął się na podłogę, pociągając ją także. Ułożyli się na boku, objęci ramionami, zespoleni ustami. Całowali się z gorączkową niecierpliwością, wpierając się w siebie nawzajem tak mocno, jak tylko pozwalały im ciała. Potem dłoń Rye'a powoli przesunęła się na pierś Laury, pieszcząc ją przez cienkie płótno, póki nie rozkwitła na podobieństwo wiosennych bzów. Jej ciało poddawało mu się miękko, kołysząc się jak na fali. Na chwilę zatrzymał rękę na wysokości jej pasa, zbierając odwagę, zanim ujął rąbek halki i uniósł ją powoli.

Laura przez cały czas zdawała sobie sprawę, że powinna go powstrzymać, przypomnieć o grożącym wiecznym potępieniu. Ale zamiast tego oddychała coraz głośniej i w niczym mu nie przeszkadzała. Głaskał jej gołe nogi, dotykał brzegu pantalonów, a ona wciąż nie stawiała oporu. Rozpiął guziki, a ona tylko wyprężyła się przyzwalająco.

Wtedy jego dłoń ześliznęła się niżej i Laura rozwarła uda, by otworzyć mu drogę. Całe jej ciało topniało w gorączce, puls tętnił pospiesznie. Z krtani Rye'a dobył się cichy, urywany jęk.

- Ty też mnie dotykaj - doleciał ją chrapliwy szept. Instynktownie domyśliła się, że chodzi mu o to samo miejsce, ale nie mogła wyplątać rąk z jego koszuli. Język Rye'a przesunął się po jej dolnej wardze i powędrował w kierunku ucha.

- Lauro, nie bój się.

Ona jednak się bała. Miała już pojęcie o tym, co może z nią robić Rye, żadnego wszakże o roli kobiety. Pocałował ją w ucho; zacisnęła oczy i przygryzła dolną wargę. Przecież pytał Charlesa, czyż nie? Charles na pewno wie. Zdawała sobie sprawę, że chłopcy zbudowani są inaczej niż dziewczęta, ale nigdy dotąd nie zadała sobie pytania, dlaczego tak jest. Co się stanie, jeżeli dotknie go właśnie tam? Czy on też zwilgotnieje? I co potem? A w ogóle jak ma go dotykać?

Wstrzymała oddech i trwożnie przesunęła mokrą od potu dłoń na jego biodro. Rye pocałował ją zachęcająco i zepchnął jej rękę niżej, aż oparła się o guziki rozporoka. Biodra Rye'a zakolebały się w przód i w tył, Laura zaś potarła lekko wierzchem dłoni, nie czując nic ponad fakturę wełny i chłód mosiężnych guzików.

Bez ostrzeżenia Rye złapał ją za rękę i odwrócił jej dłoń, przyciskając mocno. W

głowie Laury zawirował rój gorączkowych pytań. Dlaczego nie był zbudowany tak, jak wyobrażała sobie mężczyzn? Cóż to za dziwna narośl, o wiele większa - czuła to nawet poprzez grubą wełnę - niż to, co udało jej się zauważyć, gdy wstydliwie zerknęła na nagie niemowlęta?

Czuła zar jego ciała, bijący przez spodnie. Odwrócił się na wznak i rozłożył nogi, wciąż prowadząc jej dłoń wzdłuż tajemniczej narośli. Jej palce nabrały wreszcie śmiałości. Policzyła guziki. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć - narośl kończyła się przy piątym.

Rye zwrócił ku niej głowę i otworzył oczy. Miały wyraz, jakiego nigdy przedtem w nich nie widziała. Siedziała teraz nad nim, ciężko oddychając drżącymi ustami. Puścił jej rękę i lekko uniósł biodra. Dopiero, gdy się upewnił, że Laura nie ma zamiaru się wycofać, zamknął ponownie oczy.

Patrzyła w dół na swoją dłoń. Mosiężne guziki rozgrzały się od tarcia. Pierś Rye'a unosiła się i opadała spazmatycznie, jak po wyczerpujących zawodach pływackich.

- Lauro? - Gardłowy szept przywrócił ją do rzeczywistości. - Całuj mnie...

Pochyliła się nad nim, a gdy ich języki, gorące i wilgotne, zetknęły się, Rye zaczął się kołysać jeszcze mocniej. Znów ujął jej dłoń i powiodł w stronę paska. Odgadła, czego od niej chce, i zaczęła się wyrwać, ale Rye drugą ręką złapał ją za szyję.

Potrząsnęła głową, żeby uwolnić usta.

- Rye, nie rób tego!

- Ja też cię tam dotknąłem. Myślisz, że się nie bałem? - W jego oczach nagle błysnął gniew.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo... po prostu nie mogę, i już. Oparł się na łokciu i uniósł ku niej głowę.

- Daj spokój, nie bój się - przemówił zachęcająco. - Obiecuję ci, że nic złego się nie stanie. Nie chcesz się dowiedzieć, co czuję?

Oczywiście, że chciała. Co innego jednak pozwolić komuś się pieścić, a całkiem co innego być stroną aktywną. Rye sam zaczął odpinać guziki, cały czas czule całując ją w usta, jakby chciał ją upewnić, że wszystko jest w porządku. Kiedy wyciągnął koszulę ze spodni, zniknęła ostatnia zaporą. Wepchnął jej dłoń głębiej, gdzie natknęła się na coś strasznie gorącego. Chciała wyrwać rękę, ale nie ustąpił. Zmusił ją, żeby objęła to długie, gładkie coś - gładsze i gorętsze niż wewnątrz jego ust, które znała teraz nie gorzej od własnych. Rye trzymał jej dłoń w żelaznym uścisku; suwał nią w górę i w dół.

Pójdę do piekła! - myślała z rozpaczą. . - Teraz już na pewno pójdę do piekła! Ale

było już jej wszystko jedno. Czubkami palców badała delikatnie męski organ. Rye odprężył się, przy każdym pociągnięciu wydawał z siebie cichy, gardłowy jęk.

Po dłuższej chwili Laura odważyła się spojrzeć na to, co trzymała w dłoni. Było czerwone; poczuła, że sama oblewa się takim samym pąsem i natychmiast odwróciła wzrok. Rye zaczął dygotać, co jeszcze bardziej przestraszyło Laurę. Ale właśnie, gdy miała się wycofać, przytrzymał ją i w chwilę później mokra, ciepła struga spłynęła obficie między jej palcami.

- Rye, przestań! - krzyknęła zdławionym ze strachu głosem. - Coś się stało. Chyba krew ci cieknie!

Bała się spojrzeć w dół. To na pewno krew, cóżby innego? Zaczęła płakać.

Rye nachylił się i cmoknął ją w policzek.

- Sza, Lauro... Ty płaczesz?

- O Jezu... Chyba cię skaleczyłam...

- To nie krew, Lauro. Spójrz.

Laura jednak była przekonana, że gdy to uczyni, ujrzy swą dłoń splamioną szkarłatną krwią Rye'a. Jego błękitne, utkwione w niej oczy zdawały się tak pewne swego, lecz jej głos zadrżał, a po policzku potoczyła się łza.

- Mówiłam ci, że nie chcę, a teraz... teraz stało się coś strasznego...

To niewiarygodne, lecz Rye się uśmiechnął. Laura zadygotała na myśl, że potrafi się uśmiechać w takiej chwili.

- Powiedziałem, żebyś sama spojrzała, skoro mi nie wierzysz. W końcu zmusiła się do tego. Było białe. Białe i śliskie, zostawiło na brezencie ciemną, moką plamę. Zerknęła na Rye'a.

- Co... co to jest?

- Z tego biorą się dzieci.

- Dzieci! Rye'u Daltonie, jak śmiałeś mnie tym zbrukać, skoro wiedziałeś! - Odruchowo zerwała się, szukając czegokolwiek, czym mogłaby oczyścić dłoń, zanim będzie za późno. W końcu wytarła ją w halkę.

- Zapnij spodnie i nie waż się więcej tego robić. Gdybym zaszła w ciążę, moja mama chyba by mnie zabiła! - Pogardliwie odwróciła się od niego tyłem, zapinając bluzkę. Kiedy doprowadziła odzież do porządku, ukłękła splótłszy ręce na podolku, przerażona myślą o tym, co jej zrobił.

Rye na kolanach przysunął się do niej:

- Lauro, czy naprawdę nigdy nie słyszałaś, w jaki sposób kobiety zachodzą w ciążę?

Broda Laury zatrzęsała się znowu, a łzy popłynęły świeżą falą.

- Nie... Dopiero dziś... - Rozgoryczona tym, że naraził ją tak bezmyślnie, wybuchnęła gniewem: - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, zanim... zanim to się stało?

- Lauro, przysięgam ci, że nie zajdziesz w ciążę. To niemożliwe.

- Ale... ale...

- To coś musi znaleźć się w tobie, żeby uczynić cię brzemienną, a ja przecież nie byłem w tobie, prawda?

- We mnie? - spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- Nigdy nie widziałaś, jak robią to zwierzęta?

- Zwierzęta?

- Psy... albo nawet kury.

Oszołomiony wyraz twarzy Laury starczył za odpowiedź.

- Co robią? - spytała. Żadne zwierzę nie byłoby zdolne do tego, co przed chwilą połączyło ją i Rye'a!

Kłęczeli naprzeciw siebie, a ich kolana nieomal się stykały. Zapadł zmrok, tylko blade zarysy twarzy majaczyły w starej, pełnej kurzu szopie. Na obliczu Rye'a malowała się głęboka czułość.

Sięgnął po jej rękę i położył ją na swoim członku.

- Ta część mnie musi wejść w tę część ciebie - przycisnął swoją dłoń do jej łona. - Dopiero wtedy ma się dzieci.

Laura otworzyła usta i z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy. Czy to możliwe, by Rye się nie mylił? Policzki jej płonęły; na wszelki wypadek cofnęła rękę.

- To, co stało się w twojej dłoni, Lauro, musiałyby zajść wewnątrz twego ciała. W ten sposób mężczyzna daje kobiecie dziecko.

- Ujął ją pod brodę, ale Laura była zbyt zawstydzona, by na niego spojrzeć. - Obiecuję - dodał z naciskiem - że nigdy ci tego nie zrobię, zanim się nie pobierzemy.

Teraz Laura szybko podniosła wzrok. Jej serce waliło jak oszalałe, a fala ulgi rozlewała się po żyłach.

- Pobierzemy się?

- Nie sądzisz, że powinniśmy wziąć ślub, zważywszy... no, co między nami zaszło?

- Ślub? - jej zdumienie zdawało się nie mieć granic. - Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

Na jego twarzy męska duma zmagiała się z radością, aż w końcu wykwitł na niej uśmiech.

- No, cóż, jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym się ożenić z kimś innym.

- Och, Rye! - Laura zawisła mu na szyi. Dotychczas nie przyszło jej nawet do głowy, jak strasznie byłoby nie wyjść za Rye'a Daltona po tym, co zrobili. - Ja też nie mogłabym zostać żoną innego - powiedziała. Przytulił ją i przez chwilę kołysali się razem w tył i w przód. Twarz Laury spoczywała bezpiecznie wtulona w zagłębienie jego obojczyka.

- Jak myślisz, czy w tej sytuacji mamy prawo... no wiesz?

- usłyszał jej stłumione pytanie.

- Dotykać się i tak dalej?

- Mhm...

- Wątpię, by małżonkowie szli do piekła za to, że się dotykają.

Westchnęła z ulgą, po czym odsunęła się i zadrżała mu radośnie w oczy.

- Rye, powiedzmy o tym Danowi!

- O czym?

- Że mamy zamiar się pobrać. Rye miał sceptyczną minę.

- Jeszcze nie teraz. Musimy poczekać, aż ukończę termin. Jako majster bednarski, będę cię mógł wprowadzić do własnego domu. Do tego czasu Dan nie musi o tym wiedzieć.

Laura przysiadła na piętach, lekko rozczarowana.

- Cóż... skoro uważasz, że tak będzie lepiej...

Trudno jej było jednak powstrzymać się od wypaplania wszystkiego Danowi przy najbliższej okazji. Chciała się z nim podzielić swą radością - w końcu nigdy niczego przed sobą nie kryli.

Było to tydzień później. Po silnym sztormie Laura i Dan poszli razem na brzeg szukać wyrzuconego drewna, stanowiącego tu, na Nantucket, gdzie nigdy nie było go pod dostatkiem, cenne dobro. Południowe wybrzeże wyspy przyjęło na siebie najgorszą nawałnicę i tu właśnie najbardziej opłacało się szukać. Posuwali się na wschód, gdy spotkali Rye'a. Stał około dwudziestu jardów dalej, na kamienistej, zaśmieconej wodorostami plaży, usianej pozostawionymi przez przyływ kałużami, w których uwięzły drobne ryby. Burza przeszła, ale niebo wciąż było pochmurne; niskie, ciemnoszare obłoki zaciskały się wokół wyspy, oddzielając ją od reszty świata.

Rye miał na sobie ciepłą filcową kurtkę z podniesionym kołnierzem. Wiatr targał jego płowymi włosami. Laura, w żółtym sztormiaku i czerwonej chusteczce, uniosła rękę, żeby mu pomachać.

Dalej szli już we trójkę, taszcząc ciężkie jutowe worki. Było to jej pierwsze spotkanie z Ryem po owym wieczorze w szopie i Laura natychmiast poczuła dziwaczną sensację w

podbrzuszu, zaraz też zaczęła się zastanawiać, jak mogliby się pozbyć Dana. Ponieważ zwierzył się, że jego matka upiekła właśnie piernik, w drodze powrotnej wstąpili najpierw do niego.

Nim wyszli od Morganów, Laura miała wrażenie, że pęknie ze zniecierpliwienia. Rye jednak był tak spokojny, jak gdyby minione dwie godziny - ba! cały tydzień! - niewiele go obeszły. Potem wszakże zrobił coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie uczynił: wziął od niej worek i zarzucił go sobie na ramię, puszczając mimo uszu jej okrzyki, że przecież da sobie radę. Nasiąknięte wodą drewno było potwornie ciężkie i w gruncie rzeczy rycerski gest Rye'a sprawił Laurze ogromną przyjemność. Gdy doszli do warsztatu, mimo ciężkiego brzemienia otworzył przed nią drzwi. Tuż za progiem rzucił sakwy na ziemię.

- Rye, czy to ty? - dobiegł ich głos z góry. Rye ostrzegawczo położył palec na ustach, głośno zaś odpowiedział:

- To ja, mamó. Przyniosłem trochę drewna. Zaraz rozpalę ogień i rozłożę je dokoła, żeby wyschło.

Była niedziela i znajdujący się na parterze warsztat ział pustką. Ciężkie, pędzone wiatrem chmury sprawiały, że było tu ciemno i zacisznie. Stojąc naprzeciw siebie, słyszeli kroki rodziców Rye'a, poruszających się nad ich głowami. Rye przyciągnął obie sakwy do kominka i rozpałił ogień. Kiedy suche polana zaczęły trzaskać, metodycznie porozkładał na glinianej polepie wyciągnięte z worków mokre drewno. Puste worki rozłożył na stole narzędziowym pod przeciwległą ścianą. Powróciwszy do Laury, bez słowa sięgnął po jej sztormiak, ona zaś również milcząc zsunęła go z ramion. Rye ustawił przy ogniu długi bednarski zydel. Miał on ponad cztery stopy długości; jeden koniec, rozszerzony, tworzył siedzenie, drugi wznosił się łukowato, tworząc drewniany zacisk do osadzania klepek. Rye siadł na nim okrakiem i zapraszająco wyciągnął do niej rękę. Spojrzenie Laury mimowolnie powędrowało w kierunku jego rozstawionych ud. Oblała się krwistym rumieńcem i pospiesznie usiadła prostopadle do niego, dotykając kolaniem jego nogi. Rye powiódł czubkami palców po jej twarzy, jak gdyby badał ją wpierw uważnie, zanim ucałował najpierw jedną powiekę, potem drugą.

- Brakowało mi ciebie - szepnął tak cicho, iż mogło się wydawać, że to tylko syk ognia.

- Ja też tęskniłam - Laura wtuliła się w jego grubą kurtkę.

- Nie mówiłaś Danowi, prawda? Potrząsnęła przecząco głową.

- Kiedy zobaczyłem was razem, poczułem... - urwał. Przez jego twarz przemknął cień.

Laura położyła mu dłoń na piersi. Czują, jak mocno bije jego serce.

- Co poczułeś?

- Zazdrość - przyznał. - Po raz pierwszy w życiu.

- Głuptasie - szepnęła, całując go w brodę. - O Dana nigdy nie musisz być zazdrosny.

Zaczęli się całować, lecz naraz odskoczyli od siebie, gdy drewniany strop zaskrzypiał głośno. Wstrzymali oddech, wpatrując się w ciemny, belkowany sufit, lecz nastała cisza. Ogień buzował już mocno i Laura dziwiła się, czemu Rye się nie rozbiera. Zrozumiała, gdy powiódł jej dłoń w to ciepłe miejsce pomiędzy udami, bezpiecznie zasłonięte połą kurtki na wypadek, gdyby ktoś ich zaskoczył.

- Lauro... - szepnął błagalnie. - Czy mogę cię tam dotknąć?

- Nie tutaj, Rye. Mogliby nas złapać.

- Na pewno nie. Nie wiedzą, że tu jesteś.

Przycisnął ją do siebie i natychmiast poczuła nagłą pokusę.

- A jeśli tu zejda?

- Usłyszymy ich. Będiesz udawać, że grzejesz się przy ogniu.

- Rye obrócił ją tyłem do siebie. - Przelóż nogę przez ławkę.

- polecił.

Jego dłoń wśliznęła się pod jej spódnicę, szybko uporała się z pantalonami i odnalazła jej ciepłą kobiecość. Druga tymczasem pieściła jej pierś. Gdy jednak dotknął wrażliwego miejsca, podskoczyła, wciągając ze świstem oddech.

- Nie wrywaj się.

- Nic na to nie poradzę.

- Cicho... Charles wyjaśnił mi, jak mógłbym cię zadowolić, ale jeśli chcesz, żebym spróbował, musisz siedzieć spokojnie.

- Co takiego?

- Ciii... - uciszył ją. Oparła się o niego, tym razem nieco zeszywniała z napięcia. - Nie hałasuj, kochanie - mruknął jej do ucha. - Charles mówił, że na pewno ci się to spodoba.

- Nie... Rye, przestań... proszę... nie... rób... tego... Protesty ucichły. Oparła z powrotem głowę o jego ramię, jak gdyby odebrał jej zarówno głos, jak i wolę. Piersi Laury rytmicznie wznosiły się i opadały, jakby pieszczota rzuciła na nią czar. Po paru minutach wstrząsnęły nią rytmiczne skurcze, podobnie jak ongiś ciałem Rye'a. Poczawszy od palców u nóg, stopniowo obejmował ją płomień, a w chwilę później z ust wydarł się spazmatyczny jęk. Rye wolną ręką zakrył jej usta. W ekstazie wbiła mu palce w kolano.

Próbowała wymówić jego imię, lecz krępował ją, więził w świetle tak magicznym, że drżała z rozkoszy. Napięcie rosło, aż osiągnęło szczyt; potem nagle opadło.

Dotarł do niej tępy ból i uświadomiła sobie, że Rye zacisnął zęby na jej ramieniu. W rękach i nogach czuła bezwład, bała się, że lada moment zemdleje.

- Rye... - zaczęła, lecz najpierw musiała odsunąć jego dłoń.

- Rye... - powtórzyła szeptem - och, Rye, coś ty mi zrobił?

- Charles mówi... - głos mu zadrżał. Odchrząknął i podjął:

- Charles mówi, że to właśnie się robi, jeśli się nie chce mieć dzieci. Podobało ci się?

- Z początku nie, ale potem... - złożyła pocałunek na jego twardej dłoni. - Och, potem... - urwała, nie znajdując słów.

- Jak było?

- Jak gdybym równocześnie była w niebie i w piekle... - wspomnienie piekła otrzeźwiło ją i usiadła. - To na pewno straszny grzech - podjęła żałośnie. - Jak to nazywają?... Grzech cielesny, prawda? Nie wiedziałam, co to znaczy, zanim...

- Lauro... - Rye ujął jej twarz w dłonie - musimy poczekać trzy lata, zanim będziemy się mogli pobrać.

Jej piwne oczy, pełne nowej wiedzy podniosły się na niego.

- Tak, wiem. Wiedziała również, że nakazy moralności nie zdołają ich zawrócić z drogi do tego nowego nieba - piekła; drogi, którą razem odkryli. Kiedyś zostaną mężem i żoną, jak w czasach dziecięcych zabaw, gdy Rye udawał, że rusza na połów i całował ją na pożegnanie. Z tą różnicą, że teraz nie będzie pożegnań, będą razem rano, wieczorem i w nocy.

O tym marzyli owej szalonej, dzikiej, cudownej wiosny, niezliczoną ilość razy dając sobie rozkosz, lecz nie dopełniając miłosnego aktu. W stodole, w łodzi, w zarośniętym bluszczem gaju, w cieniu nabrzeżnych drzew, które stały się świadkami ich nowej zabawy.

Korzystaliby z każdej okazji, by być sami. Płoszyli stada pasących się owiec, biegnąc ze śmiechem przez trawiaste wzgórza - dzieci natury uczące się miłości z każdym mijającym dniem, nienasycone, spragnione siebie.

ROZDZIAŁ 7

Te same wspomnienia prześladowały Rye'a Daltona w warsztacie bednarskim przy Water Street. Po spotkaniu w sadzie rzucił się w wir pracy, zmuszając się do harówki ponad siły. Minęły dwa tygodnie, potem trzy, a od Laury wciąż nie było wieści.

Jednakże nawet wtedy, kiedy ciągnął strug, widział ją tuż przy sobie. Odnajdywał jej rysy w słojach drewna, a wodząc palcami wzdłuż krzywizny beczki wyobrażał sobie kształt jej piersi. Ściągając razem klepki pętlicą ze sznura, myślał o kibici, ściskanej codziennie sznurówkami gorsetu... Co gorsza, wiedział, że to Dan ją sznuruje.

Opanowywał się dotąd na tyle, by nie cisnąć narzędzi, nie wtargnąć znienacka do domu na wzgórze i nie upomnieć się o nią. Prosiła o zwłokę i choć często zastanawiał się, jak długo jeszcze, miał zamiar spełnić życzenie w nadziei, że wpłynie to na jej decyzję.

Pocieszenie niosła mu świadomość, że wrócił do domu, w którym się wychował. Wraz z ojcem w pocie czoła pochylał się nad pracą, wdychając aromat wonnego drewna.

W chłodne dni na kominku zawsze buzował ogień, nigdy bowiem nie brakło wiórów i kawałków drewna, aby go podsycić. Ukończywszy cedrowy skopek, Josiah zgarniał na bok strużyny i po troszeczkę dodawał je do ognia - ot, tyle tylko, by ich aromat stale unosił się w powietrzu jak kadzidło, mieszając się z tytoniowym dymem jego fajki.

Przy ładnej pogodzie wrota warsztatu otwierało się na oścież i do środka wpadał zapach bzów. Ulica zawsze pełna była ludzi, wielu zaglądało do nich na pogawędkę lub by przywitać się z Ryem. Wszyscy orientowali się w jego dziwnym położeniu, nikt jednak nie poruszał drażliwego tematu w rozmowie. Mieszkańcy Nantucket cierpliwie czekali, co z tego wyniknie.

Stary Dalton również nie zadawał pytań, choć był dość spostrzegawczy, by zauważyć rosnące zdenerwowanie syna, jego roztargnienie i nadmierną drażliwość. Cierpliwość nie należała do cnót Rye'a i Josiah zastanawiał się skrycie, kiedy dojdzie do nieuniknionego wybuchu.

Pewnego ciepłego, bezchmurnego dnia na początku czerwca stary bednarz zrobił sobie przed południem krótką przerwę w pracy. Z fajką w zębach podszedł do otwartych drzwi, żeby rozprostować grzbiet.

- Chłopak chyba sam kuje te obręcze - mruknął sarkastycznie. Mówił o swym bratanku, Chadzie Daltonie, który terminował u niego w warsztacie, a który tegoż ranka został wysłany do kuźni po dwie zamówione obręcze do beczek. Odkąd Rye wrócił, chłopak częściej wypuszczał się na miasto, korzystając z dobrego humoru Josiaha.

Rye nie podniósł głowy, co zresztą nie zaskoczyło ojca. Frezował właśnie klepkę, ciągnąc ją wzdłuż zamocowanego na stałe ostrza. Trzeba było dobrego oka, pewnej ręki i wprawy, żeby naciąć każdy brzeg identycznie. Josiah tedy nie zdziwił się, że syn nań nie patrzy. Zmartwiło go raczej to, że zdawał się nie słyszeć.

- Mówiłem, że Chad długo nie wraca z kuźni! - spróbował jeszcze raz, podnosząc głos.

Tym razem Rye przerwał pracę i zerknął na niego, marszcząc brwi:

- Słyszę cię, ojcze. Czyżbyś na stare lata zaczynał głuchnąć?

- Uszy mam w porządku. Po prostu nie lubię mówić sam do siebie.

- Pewnie znalazł sobie jakiś patyk i toczy obręczę po całym mieście. Zapomniałeś, jaka to przednia zabawa? - Rye nachylił się nad stołem.

- Miałem zamiar wysłać go na targ po pomarańcze. Przyszedł transport z Sycylii. Do wieczora zgniją w tym słońcu.

Nawoływania przekupniów z targowiska przy rynku dolatywały aż do drzwi warsztatu.

- Sam się przejdź. Dobrze ci zrobi, jak się trochę przewietrzysz - mruknął Rye.

Josiah wyjrzał na ulicę, obserwując ciągnące na targ niewiasty.

- Kolano mi nawala. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat dziś; może idzie na zmianę pogody.

Z tyłu rozległ się głośny trzask: Rye cisnął klepkę na podłogę. Josiah uśmiechnął się pod nosem.

- Jeżeli chcesz, żebym skoczył na targ, czemu nie powiesz tego wprost? - zapytał Rye, ledwie hamując złość.

Josiah uniósł brwi.

- Ociupinę drażliwy ostatnio się zrobiłeś, a może tylko tak mi się wydaje?

Rye miotał się po warsztacie bez słowa.

- Chyba prędzej ty powinieneś się przewietrzyć, nie ja - dodał ojciec.

- Idę już, idę! Gdy Rye wypadł na zewnątrz, Josiah pyknął fajkę i mruknął pod nosem:

- No, jeśli tak dalej pójdzie, chłopcze, to obaj się wściekniemy, ty i ja.

Gnając przez miasto w obcisłych ciemnych spodniach i luźnej białej płóciennej koszuli z szerokimi rękawami Rye prezentował się nader atrakcyjnie. Głębokie rozcięcie pod szyją pozwalało dojrzeć opaloną na brąz pierś, pokrytą szorstkim, złotawym włosiem. Na szyi zawiązaną miał czerwoną chusteczkę. Przyjął ten zwyczaj na morzu i nie zarzucił go, bo chustka nieraz przydawała się, by otrzeć skronie, kiedy pocił się w warsztacie.

Dzień był pogodny, ciepły, przesycony jazgotem mew i zgrzytem kół przejeżdżających wozów. Rye przeciął zatłoczoną ulicę i wszedł na nowy, brukowany chodnik. Wiatr targał mu włosy i łopotał w szerokich rękawach koszuli, gdy wielkimi krokami maszerował w stronę targowiska.

Farmerzy sprzedawali tu świeże kwiaty i masło wprost z zaprzęzonych w woły wozów na wielkich kołach. Rybacy handlowali świeżymi dorszami, śledziami i ostrygami, rzeźnicy zaś trzymali mięso w cieniu pod plandeką wozów, przykryte ciężkimi mokrymi płachtami. Z przeciwległego końca placu dobiegało nawoływanie licytatora, który zachęcał do zakupu mebli i innych artykułów domowego użytku.

Rye rozejrzał się po straganach. Bez trudu dostrzegł jaskrawe sterty cytryn, limonek i pomarańcz, zręcznie ułożonych w piramidy na wozach. Bił od nich kuszący zapach, wokół zaś panował duży ruch, bowiem owoce te dostępne były tylko sezonowo.

Długim susem przesadził rynsztok i stanął przy kramie. Kiedy wziął do ręki pomarańczę o błyszczącej skórce, ślinka sama napłynęła mu do ust. W duchu, acz niechętnie, przyznał ojcu rację - szkoda by było zmarnować taką okazję, a poza tym słoneczny rozgwar targowiska stanowił miłą odmianę po pracy w warsztacie. Leniwe pokrzykiwania woźniców mieszały się z przenikliwym głosem licytatora i melodyjnym szmerem sąsiedzkich uprzejmości. Pomiędzy te odgłosy wdzierał się skrzek mew, walczących o resztki ryby, okruchy chleba i wszelkie inne jadalne odpadki.

Rye ścisnął na próbę pomarańczę, wybrał następną i podniósł ją do nosa, z lubością wdychając dojrzały aromat. Skarcił się w duchu za brak cierpliwości; to nie wina ojca, że Rye znalazł się w tym diabelskim położeniu. W ciągu ubiegłych dwóch tygodni staruszek bez słowa znosił ataki jego złości, przerywane posępnym milczeniem. Rye uśmiechnął się ciepło. Wybrał dla ojca trzy śliczne pomarańcze, gdy ktoś obok niego rzekł:

- Cóż to, panie Dalton, robi pan zakupy?

- Panna Hussey! - obrócił się zaskoczony. - Dzień dobry! Uśmiechnęła się do niego zalotnie spod rondka lawendowej budki.

- Mój ojciec miewa zachcianki - wyjaśnił ze śmiechem - a dla niego wciąż jestem czeladnikiem w krótkich spodenkach.

- Ja z kolei robię sprawunki dla matki - DeLaine też się roześmiała i sama zaczęła przebierać pomarańcze.

- Prawdę mówiąc, sam chętnie ich skosztuję - Rye wykrzywił się łobuzersko i rzucił jej krótkie spojrzenie. - Tylko proszę nie mówić o tym memu ojcu, bo będzie mnie co dzień ganiał na targ jak kuchtę.

- Gdyby miał pan żonę, panie Dalton, nie musiałby pan biegać po zakupy.

- Mam żonę, panno Hussey, tyle że niewiele z niej pociechy - wypalił Rye, nim zdołał się powstrzymać, i natychmiast tego pożałował, widząc, jak na policzkach DeLaine Hussey wykwita krwisty rumieniec. Zmieszana, spuściła wzrok i pospiesznie zaczęła przerzucać owoce.

- Przepraszam, panno Hussey - rzekł, ujmując jej dłoń. - Pięć lat na morzu oduczyciło mnie dobrych manier. Wprowadziłem panią w zakłopotanie. Nie powinienem był tego mówić.

- Skoro to prawda... Całe miasto zastanawia się, co Laura z tym zrobi. Dziwne: żyje pod pańskim dachem z pana przyjacielem...

- DeLaine urwała nagle, bowiem z drugiej strony wózka wyłoniła się cicho kobieta z małym chłopcem.

Rye spostrzegł Laurę o sekundę za późno i natychmiast cofnął dłoń. W porównaniu z przesadnie wystrojoną panną Hussey Laura wydała mu się ucieleśnieniem kobiecej prostoty. Jej twarz ocieniał twarzowy żółty kapelusik, ozdobiony żółtą kokardą tuż nad lewym uchem. Wcięta w pasie suknia spływała luźno do ziemi i Rye od razu zaczął się zastanawiać, czy dziś też ma na sobie gorset - przy jej figurze trudno było zgadnąć na pierwszy rzut oka.

Rye nagle przypomniał sobie o rozmówczyni i odstąpił krok w bok, jak gdyby chciał ją przedstawić, lecz nim zdążył otworzyć usta, Laura uśmiechnęła się i wycedziła:

- Ach, dzień dobry, droga panno Hussey. Jak to miło, że się spotykamy.

Wyraz jej twarzy świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- - Witam - odrzekła krótko DeLaine Hussey z kwaśną miną.

- Witaj, Rye - Laura zwróciła się do niego, mając nadzieję, że nikt - zwłaszcza ta Hussey - nie zauważy, jak krew szybciej krąży jej w żyłach na widok tego przystojniaka, którego najchętniej schrupałaby na miejscu, pogryzając cząstką pomarańczy. Słońce odbijało się w jego oczach jak w wodzie i zaglądało w rozcięcie koszuli, odsłaniające ogorzałą pierś.

- Jak się masz, Lauro - wykrztusił. Na widok kobiety, której obraz prześladował go w dzień i w nocy, zapomniał zarówno o owocach, jak i o DeLaine Hussey.

Laura nagle przestała się uśmiechać. Ścisnęła Josha za rękę tak mocno, że chłopiec pisnął żałośnie i oswobodził dłoń.

Rye, który dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności malca, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Jak się masz, Josh?

- To ty jesteś tym panem, co ma takie śmieszne imię?

- A pamiętasz jakie?

- Rye.

- Zgadza się. Następnym razem chyba zawołasz do mnie już z daleka?

Laura nie mogła się oprzeć, by nie spytać słodziutko:

- Wybraliście się razem na zakupy?

Rye spąsował, co na szczęście ledwie dało się zauważyć na jego opalonej twarzy o barwie starego miedziaka. Przed wypłynięciem w rejs nigdy nie był aż tak smagły.

- Nie... to znaczy, właściwie tak. Josiah wysłał mnie po pomarańcze.

- A mnie matka - dodała DeLaine, składając buzię w ciup.

- My też kupimy pomarańcze dla tatusia - pisnął Josh, nieświadom sytuacji.

Rye sposepniał i zerknął na Laurę. DeLaine Hussey zauważyła to, lecz nadal uparcie trwała przy jego boku.

- Cóż... poczęstujmy się więc. Ja funduję - Rye chwycił się pierwszego pretekstu, żeby rozluźnić atmosferę.

- Mniam! Uwielbiam pomarańcze! - rozpromienił się Josh.

- Którą szanowny pan sobie życzy? - zapalił się Rye. Razem zaczęli przeglądać owoce, jak gdyby ich wybór miał zasadnicze znaczenie. Nagle stał się on symbolem wszystkich radości ojcostwa, które Rye utracił. Laura nie miała serca interweniować. Oczy Rye'a zaiskrzyły się z uciechy, gdy Josh wreszcie wybrał pomarańczę i energicznie umieścił ją w jego dłoni z okrzykiem: „Ta!”, jak gdyby rozwiązał niezmiernie trudny problem.

DeLaine Hussey, czując się zbyt cicha w obliczu tej rodzinnej sielanki, pożegnała się wylewnie z Ryem, Laurze zaś skinęła głową tak krótko, że aż nieuprzejmie.

- Zastanawiałem się, kiedy cię znów zobaczę - rzekł cicho Rye, obierając ze skórki pomarańczę dla syna. Zajęte ręce pomogły mu zwalczyć chęć, by porwać ją w ramiona.

- Codziennie rano przychodzę na targ - odparła.

- Codziennie? - powtórzył, klnąc się w duchu za to, że zmarnował tyle cennych okazji.

- Hej, Rye, pospiesz się! - zawołał Josh widząc, iż tempo obierania pomarańczy znacznie spadło, gdy Rye i Laura utonęli nawzajem w swoich oczach.

- Tak jest! - odkrzyknął po marynarsku Rye, z trudem odrywając wzrok od żony, i wręczył chłopcu połówkę owocu.

Laura obserwowała jego dłonie, dzielące pozostałą połowę na cząstki tak umiejętnie, że nie wyciekła z nich ani kropla soku. Zawsze miał bardzo zręczne ręce - przemknęło jej przez myśl.

W tej właśnie chwili Rye podsunął jej cząstkę pomarańczy. Spłoszona podniosła wzrok. To nic - uspokajała się w duchu - to zwykły gest. Dlaczego więc jakiś niewidzialny

tam - tam bębnił jej w żyłach, nadając wiadomość przeznaczoną tylko dla jej serca?

Nie spuszczając z niej wzroku, Rye uniósł fragment owocu do ust. Jego wargi rozchyliły się powoli, białe zęby zacisnęły się i w powietrze trysnął deszcz mikroskopijnych kropeł.

Laura jak zahipnotyzowana poszła za jego przykładem. Każdym zmysłem czuła bliskość Rye'a. Nawet pomarańcza miała smak wspomnień.

Rye nagle parsknął śmiechem, niwecząc czar. Zdjął z szyi czerwoną chustkę i otarł podbródek, po czym podał ją Laurze.

Chustka miała zapach cedru, zapach Rye'a. On tymczasem obierał następną pomarańczę dla Josha, który był zbyt zajęty, by zauważyć wymianę spojrzeń pomiędzy mamą a wysokim bednarzem.

- A więc bywacie na rynku codziennie? - spytał Rye.

- Prawie codziennie. Przychodzimy z Joshem po mleko.

- I ja je niosę - wtrącił chłopczyk z dumą, ocierając wierzchem dłoni lepkie usta.

Serce Rye'a nabrzmiało słodyczą. Bardzo pragnął być dobrym ojcem, a nie wiedział nawet, czy dla czterolatka to sztuka donieść cało do domu bańkę mleka. Słuchając Josha, uczył się od niego.

- Coś takiego! - wykrzyknął i pochylił się, by pomacać chłopięcy biceps. - No tak, to jasne. Masz w tej rączynie całkiem niezłe mięśnie. Pewnie ciągnąłeś sieci z rybakami.

Josh roześmiał się wesoło.

- Na to jestem jeszcze za mały, ale kiedy będę taki duży jak mój tatuś, zostanę wielorybnikiem.

Rye zerknął ukradkiem na Laurę.

- Wielorybnikom wcale nie jest tak wesoło na tych wielkich statkach, Josh - rzekł z powagą. - Przeważnie omija ich to, co najlepsze, bo przecież nigdy nie ma ich w domu. Może lepiej zostać rachmistrzem, jak twój... tato.

- W kantorze jest brzydko - skrzywił się Josh. - Ciemno i nie słychać morza. - Z typowo dziecięcą beztróską natychmiast przeskoczył na inny temat. - Mamusiu, chcę posłuchać licy... licytatora. Mogę? - spojrzał w górę, badawczo mrużąc oczy.

Laura wolałaby, żeby został przy niej, ale spostrzegła, że Rye patrzy tak samo błagalnie. Ostatecznie, wśród ludzi na targu nie mogło spotkać chłopca nic złego.

- Dobrze, idź, ale nie ruszaj się stamtąd, póki po ciebie nie przyjdę.

- Tak jest! - zawołał malec, naśladowując okrzyk Rye'a, po czym puścił się biegiem ku niżej położonej części placu.

Rye odprowadził go wzrokiem.

- Udany chłopak - rzekł cicho.

- O, tak.

Byli teraz sami, lecz nagle zabrakło im odwagi, by na siebie spojrzeć albo coś powiedzieć. Laura szukała wymówki w pomarańczach - obracała je, wybierała, wkładała do siatki. Rye poszedł za jej przykładem. Ścisnął jedną, odłożył, wziął drugą, lecz w końcu jego dłoń znieruchomiała. Minęła długa chwila, nim Laura podniosła wzrok i przekonała się, że Rye patrzy na nią, napawa się jej widokiem, czego nie wypadało mu robić w obecności DeLaine i Josha.

Przyglądał się drobnym loczkom, wymykającym się spod rondka budki, leciutko rozchylonym wargom, ciemnym oczom, które także wpatrywały się w niego.

- Boże, jak mi cię brakowało - westchnął.

- Nie mów tak, Rye.

- To prawda.

- Ale lepiej jej nie poruszać.

- I tęsknić w milczeniu? Za tobą, za chłopcem...

Cierpiała nie mniej niż on. Czowała jego tęsknotę w każdym spojrzeniu, jakim obdarzył Josha, każdym słowie, które do niego wypowiedział, w złocistej pomarańczy, którą ręce ojca obrały dla syna.

- Rye, tak mi przykro...

- Chłopak marzy o tym, żeby powtórzyć mój błąd.

- Oj... Dan nim pokieruje.

- Wcale mnie to nie zachwyca.

- Rye, proszę cię, daj spokój. Tylko wszystko utrudniasz. Rye zerknął przelotnie na ceglany budynek po drugiej stronie placu. W nim teraz siedział za biurkiem Dan Morgan.

- Rozmawiałaś z nim? Powiedziałaś mu... zapytałaś...? Potrząsnęła głową i opuściła ją, czując jak łzy zacierają jej widok.

- Nie mogę. Nie w tej chwili. Dan nie przeżyje straty Josha.

- A ja? Josh jest moim synem. Pomyślałaś, co czuję?

- Bez przerwy myślę o tym, co czujesz, Rye. - Laura podniosła udręczone oczy i Rye ujrzał błyszczące w nich łzy. - Ale gdybyś widział ich razem...

- Widuję ich razem w każdym koszmarnym śnie. Tak, jak ujrzałem ich w dniu mego powrotu. Lauro, ja chcę być ojcem tego dziecka, chociaż spóźniłem się o cztery lata.

- Muszę już iść, Rye. Za długo tu stoimy. Dan na pewno się dowie.

- Czekaj! - pospiesznie złapał ją za rękaw. Zadygotała, więc prędko cofnął dłoń. - Czekaj - powtórzył ciszej. - Czy spotkasz się tu ze mną jutro rano? Chcę ci coś dać... coś, co dla ciebie zrobiłem.

- Nie mogę przyjmować od ciebie prezentów. Dan zażąda wyjaśnień.

- O tym się nie dowie. Proszę cię.

Na jego twarzy malował się ból. Laurze przemknęło przez myśl, że jeszcze trochę, a w końcu mu ulegnie. Odruchowo cofnęła się o krok. Nie znalazła jednak sił, by odmówić jego prośbie.

- Dobrze, tylko tym razem w innym miejscu. Rye omiółł wzrokiem zatłoczony plac.

- Zasiałaś ogród?

- Większość.

- Nie potrzeba ci już żadnych nasion?

- Owszem, pasternaku.

- Będę na ciebie czekał przy straganach z kwiatami. Mają tam i nasiona.

- Dobrze.

- Proszę, nie zawieź mnie...

Laura przełknęła ślinę. Miała ochotę rzucić mu się na szyję i ucałować go tu, na oczach wszystkich.

- Nie, Rye, nie zawiodę cię, ale teraz muszę już iść. - Odwróciła się, tuląc w sercu rozkosz i poznawane od nowa bolesne wniebowzięcie pierwszych porywów serca. Sekretne schadzki, czułe słowa, gesty niedostrzegalne dla postronnych... Jakże często wazyli się na nie w przeszłości. Teraz były o wiele bardziej niebezpieczne, lecz mimo to kusiły, podniecały, napawały Laurę radością życia, jakiej nie zaznała, odkąd Rye Dalton odpłynął w siną dal.

Nim odeszła, dogonił ją jego głos:

- Weź ze sobą chłopca. Musi mnie lepiej poznać.

Nie odwracając się, skinęła głową i udała się w kierunku, skąd dochodziły wołania licytatora.

Josiah dostrzegł różnicę w nastroju Rye'a, gdy ten wszedł do warsztatu, zonglując pomarańczami, ale pozostawił ją bez komentarza.

- Masz, stary wilku morski - Rye z łobuzerską miną rzucił mu owoc. - Teraz możesz nie obawiać się szkorbutu. Chłopak już wrócił?

- Tak, i znów dał nogę. Chyba mnie wykorzystuje, bo na starość serce mi zmiękło, jak sam dobrze wiesz, i skutkiem tego muszę sam siedzieć w tej wilgotnej norze i tyrać jak osioł bez żadnej pomocy - zachichotał stary.

- Przytrzymaj go, kiedy wróci. Chcę, żeby mi coś załatwił. Nieco później tego samego dnia Josiah dyskretnie odwrócił wzrok, gdy jego syn wyjął z kieszeni pensa i rozkazał:

- Biegnij do apteki na Federal Street i kup za wszystko łyżek sarsaparilli. Jedną możesz zjeść, ale nie połam po drodze reszty, powsinogo.

Obiecał Laurze, iż Dan nie dowie się o podarunku dla niej, ale nie wspominał, że chciałby także czymś uraczyć chłopca. Wiedział, że Dan błyskawicznie zostanie poinformowany o łakociach. Skoro nie mógł zmusić Laury, by zrobiła pierwszy krok ku separacji z Danem, może uda mu się sprowokować jej męża.

Tego wieczoru Rye otworzył swój marynarski kuferek. Wciąż miał przed oczami Laurę, stojącą wraz z synkiem w słońcu na tle jaskrawych owoców i drugiego wózka pełnego stokrotek, konwalii i tulipanów. Cóż za niespodziewany zbieg okoliczności! A przecież tak długo chodził po ulicach, wpatrując się w każdą mijaną twarz w nadziei, że ją ujrzy.

Ileż razy w ciągu ubiegłych pięciu lat wyobrażał ją sobie taką jak dziś - wielkie błyszczące oczy, delikatne, kusząco rozchylone wargi i ten wyraz twarzy, świadczący o jej wzajemności.

Obraz Laury nie odstępował go w pierwszych, wypełnionych tęsknotą dniach rejsu, kiedy gorzko wyrzucał sobie, że ją pozostawił. Towarzyszył mu podczas długich godzin, wypełnionych pluskiem morskich fal, które wspinały się na drewniane poszycie dziobu „Massachusetts”, obmywając kolana galionowej rzeźby - jedynej kobiety na statku. To z myślą o Laurze cieszył się, gdy cielsko wieloryba przytroczono do burty; Rye ostrzył noże, a bosman wycinał wielkie kawały tłuszczu. Zapamiętany aromat jej skóry pomógł mu wytrzymać czopowanie beczek w duszącym odorze gnijącego tłuszczu, gdy w zamocowanym na pokładzie kotle wrzał i pryskał rozkładający się tran. Imię Laury stało się modlitwą na jego ustach w czasie straszliwego przejścia wokół Hornu, kiedy był niemal pewien, że nie uczyni jej bogatą mężatką, ale ubogą wdową.

Gdy półprzytomny miotał się w gorączce, Laura przychodziła do niego w majakach, dając mu siły do walki o życie.

Teraz, wyjmując ze skrzynki mały, płaski kawałek rzeźbionej wielorybiej kości, przypomniawszy sobie, jak wspomnienie żony prowadziło jego rękę, gdy próbował wypełnić czymś najtrudniejsze dni morskich rejsów - znane każdemu żeglarzowi dni ciszy morskiej, szarpiące nerwy wszystkich członków załogi od kapitana do ostatniego majtka.

Gdy kapryśny wiatr odmawia swego tchnienia, skazując statek na dryf po pustym bezlitosnym morzu, tęsknota za domem staje się nie do zniesienia. Zmarnowane dni przedłużają rejs nie przynosząc żadnych zysków, rodzą uczucie całkowitej bezsilności, aż w

końcu napięte jak postronki nerwy zaczynają puszczać i na pokładzie dochodzi do coraz gwałtowniejszych starć.

Ludzie walczyli z nudą oddając się niewielu dostępnym rozrywkom, wśród nich rzeźbieniu w kości. Kiedy Rye po raz pierwszy wziął nóż do ręki, był niezręczny i niecierpliwy. Pierwsze zatem dzieła, toporne i nic nie warte, wyrzucił później bez żalu za burtę. Nie zniechęcał się jednak i z pomocą kolegów wkrótce wykonał wcale gładką szpilę do rozdzielania żył splatanej liny, a potem łaskę. Następnie wziął się za rzeźbioną szkatułkę, a kiedy była już gotowa i wypolerowana do połysku, marynarze, którzy wiedzieli, że na brzegu pozostawił żonę, zaczęli go namawiać, żeby zrobił bryłkę.

Była to długa na stopę kościana listewka grubości paznokcia, którą umieszczano w specjalnej kieszonce, biegnącej wzdłuż przodu stanika damskiej sukni - podobnie do listwy, usztywniającej żagiel. Podnosiła biust, była więc bardzo osobistą rzeczą. Ponadto miała przypominać kobiecie o wierności swemu żeglarzowi, dopóki ten nie powróci z rejsu.

Mimo licznych docinków, Rye solidnie przyłożył się do roboty i nigdy chyba spod ręki okrętowego majsterkowicza nie wyszedł przedmiot równie wypieszczony. Rye włożył wąż bowiem całą swą tęsknotę i nadzieję na szczęśliwy powrót.

Polerował kość krzemianem węgla, aż stała się jedwabście gładka jak pierś Laury. Wyrzeźbił na niej splecione dzikie róże z Nantucket, wśród których bawili się z Laurą jako dzieci. Po bokach dodał mewy i delikatne, karbowane serduszko. Potem przez długi czas deliberował nad tym, co napisać, wielokrotnie przepowiadał sobie w myśli i ulepszał krótki wierszyk, aż w końcu zdecydował się na jego ostateczny kształt.

Wyjmując teraz bryłkę ze skrzyni, odczytał:

*Póki na twej białej piersi Nie spoczną me usta
Noś ten znak i o mnie myśl Nim z
tęsknoty uschnę.*

Kiedy rzeźbił te wersy, nie przypuszczał, że nabiorą tak dosłownego, symbolicznego wręcz znaczenia. Zastanawiał się, czy Laura wrzuci bryłkę do komody, czy też będzie ją nosić przyciśniętą do piersi.

Pomyślał o promieniach słońca, rzucających żółty cień na twarz Laury i prześwietlających soczystą cząstkę pomarańczy, wkładanej przez nią do ust. Widział jej dłoń, zaciśniętą na rączce Josha, potem jednak rozluźniającą się z ufnością, gdy Rye kosztował pierwszych rozkoszy ojcostwa.

Jego serce nabrzmiało nadzieją.

ROZDZIAŁ 8

Tej nocy Rye długo nie mógł zasnąć. Podniecony przewracał się w pościeli, aż w końcu, około czwartej nad ranem, wstał i wciągnął przez głowę gruby wełniany golf. W ciemności znalazł po omacku buty, a także wilgotny nos Łajby, która przybiegła sprawdzić, co się dzieje.

Cicho zeszli na dół. Rye przysiadł na najniższym schodku, żeby włożyć buty.

- Może byśmy się tak wybrali w góry, jak za dawnych czasów, starszko? - szepnął.

W odpowiedzi pies wywalił ozór i radośnie zamachał ogonem. Rye podrapał go pod brodą.

- Chodź - szepnął jeszcze ciszej. Szli obok siebie przez uspięte miasto, Rye czuł na nodze dotyk ciepłego ciała psa. Wyboisty bruk lśnił od wilgoci, ale wkrótce znaleźli się na piaszczystym trakcie, który zwęzał się w ścieżkę, prowadzącą przez otulone mgłą wzgórze Shawkemo w kierunku Altar Rock, najwyższego wzniesienia wyspy.

Wspięli się nań i usiedli jak setki razy wcześniej - mężczyzna obejmując ramionami skrzyżowane nogi, pies tuż obok. Niczym dwa posągi czekali rozpoczęcia spektaklu, oglądanego już wspólnie wiele razy, a gdy się zaczął, dłoń mężczyzny oparła się na grzbiecie psa.

Świt jednego z najdłuższych dni w roku nadszedł cicho, znienacka. W kilku ostatnich chwilach, nim na fioletowym niebie pojawiło się słońce, leżąca u ich stóp zatoka wyglądała jak lustro spowite lawendową mgłą. Purpurowe wzniesienia wyspy wychylały się z nicości, zrodzone oddechem oceanu.

Słońce wyjrzało zza krawędzi morza i ukradkiem wspięło się na niebo, rzucając szkarłatnym okiem na Nantucket. Zaraz też warstwy mgły zmieniły się w drżące, różowe ramiona, przeciągające się leniwie, gdy padło na nie czerwonozłote światło poranka.

Las nieruchomych masztów na przystani wyglądał jak wyjęte z ram malowidło; każda łódź miała swego sobowtóra, który leżał obok na szklistej tafli wody.

Na ten właśnie moment zdawało się czekać wszelkie stworzenie na lądzie, w morzu i powietrzu. W ciszy składało hołd cudownej grze światła i barw, zwiastującej nadejście dnia.

Jedna za drugą wypłynęły na zatokę łyski i rozproszyły się w poszukiwaniu srebrzystych piskorzy, mącąc lustrzane odbicia burt, masztów i zwiniętych żagli. Nakrapiany brodziec przebiegł opustoszałą plażę, zataczając się po swojemu, jak gdyby ów poranny spektakl uderzył mu do głowy.

Następne pojawiły się mewy, leniwe złodziejki. Czekały, aż zacznie się połów, by z

obfitości jada uskubnąć coś dla siebie. Tuż po nich - ich ambitniejsze kuzynki, rybitwy, których czereda prowadziła rybaków w morze.

Dzwon w kościele u stóp urwiska wybił pobudkę uśpionemu miastu. Wkrótce też od nabrzeża odbiła pierwsza łódź, a za nią następne, kierując się ku piaszczystej łasze, odciętej przez przylądek, gdzie teraz, w czerwcu, kotłowały się ławice błękitków.

Rye ociągał się z odejściem, lecz ścierpły mu plecy. Oprócz tego i jemu, i psu głośno burczało w brzuchu.

Zapach drzewnego dymu uniósł się z kuźni, świecowni i piekarni. Z dołu doleciał huk kowalskiego młota i zapach sucharów, których zapas zabierał ze sobą każdy statek, wypływający w rejs. Rye uznał, że pora wracać.

Niechętnie dźwignął się na nogi i za żółtym labradorem zszedł po stromiźnie ku budzącym się do życia ulicom, na których co chwila otwierały się kolejne drzwi. Minął linownię, skąd dobiegał zgrzyt przesuwających się po szynach stalowych kół maszyny skręcającej pasma manili w włókna przyszłej okrętowej liny. W pracowni rzeźbiarza rozlegał się cichy stukot młotka bijącego w dłuto. Nieco dalej Rye skinął głową subiektowi, który właśnie wieszal w oknie sklepu tabliczkę z napisem: ŚWIECE Z OLBROTU*! - PACHNĄ NAJŁADNIEJ GDY SIĘ PALĄ I PO ZDMUCHNIĘCIU! TRWAŁOŚĆ DWUKROTNIE DŁUŻSZA NIŻ ŚWIEC ŁOJOWYCH!

Och, Nantucket... Czasami Rye czuł się tu jak w pułapce, ale kochał tę wyspę. Zapomniał już, jak piękny może być ów melanz dźwięków, woni i obrazów, symbolizujący ściśle więzią łączące ze sobą wszystkie żywe istoty, które tu zamieszkiwały.

Rye kazał Łajbie poczekać na ulicy i poszedł kupić pieczywo na śniadanie. Wyszedł z piekarni chrupiąc słodką bułeczkę. Drugą rzucił psu, trzecią zaś zabrał do domu dla Josiaha, który już wstał i trzymał w zębach fajkę, choć jeszcze nie zdążył jej zapalić.

Razem wzięli się do pracy. Mieli dziś złożyć trzydziestogalonową beczkę, której klepki na noc namoczyli w wodzie. Praca szła im zgodnie, bo humor Rye'a wyraźnie się poprawił. Było w nim ledwie skrywane podniecenie, którego Josiah nie potrafił pojąć - do chwili, gdy nieco później Rye wbiegł na górę i wrócił pogwizdując, w czystej koszuli i świeżo uczesany.

- Skoczę na targ po pomarańcze - oznajmił od niechcienia. - Dobrze ci robią, ojcze, po nich nie jesteś taki zrzędny. Przyniosę ci jeszcze.

- Przynies - stary wyszczerzył zęby, nie wypuszczając fajki. Tego ranka Rye odwzajemnił uśmiech i tanecznym krokiem wyszedł na ulicę.

1* olbrot - tłuszcz kaszalota, używany m.in. do wyrobu świec i ambry (przyp. tłum.).

Oboje, on i Laura, czuli zawrót głowy, idąc przez plac targowy na spotkanie. Mimo że wcześniej byli przecież małżeństwem, znali się od najintymniejszej strony, teraz wrócili do swoich początków, jak gdyby znów mieli po kilkanaście lat. Z niepokojem wypatrywali się nawzajem, serca im biły, dłonie wilgotniały od potu.

Laura wyłowiła z tłumu jasną głowę Rye'a równie niezawodnie, jak ryba odcedza plankton z morskiej wody. Nadchodził, lawirując pomiędzy straganami, przekupniami i stertami towaru, ona zaś musiała siłą się powstrzymać, by nie pomachać lub wręcz nie wybiec mu na powitanie.

Rękawy koszuli Rye'a łopotały na wietrze, głowę miał odkrytą, a włosy wyraźnie ciemniejsze u nasady; podobnie brwi po kilku tygodniach spędzonych na łodzi nabrały innej barwy. Na jego ogorzalej twarzy malowało się oczekiwanie, które podobnie jak ona usiłował ukryć.

Serce Laury podskoczyło w piersi, na twarz wypełził błogi uśmiech. Czuła się tak samo podniecona, jak wówczas, dawno temu, gdy uczyli się pierwszych miłosnych uniesień.

- Witaj - rzeki Rye jakby nigdy nic, jak gdyby nie był to najwspanialszy dzień w ich życiu.

- Witaj - odpowiedziała, przebijając palcami nasiona i udając zainteresowanie pasternakiem.

- Cieszę się, że znów cię widzę. Kocham cię - dodał w duchu. - Jesteś piękna.

- Ja również. Nie potrafię o tobie zapomnieć - pomyślała.

- Cześć, Rye - tę wymianę niedopowiedzeń przerwał głos Josha, który zadzierał ku nim głowę.

Mężczyzna przyklęknął, wyjmując zza pazuchy kandyzowaną łożyczkę sarsaparylli.

- Jak się masz, Joshua. Przyszedłeś znów posłuchać licytatora? Josh rozpromienił się, zerknął na cukierek i odparł służbiście:

- Tak jest!

- „Tak jest?” - roześmiał się mężczyzna. - Wczoraj mówiłeś „tak”.

- Ale wolę mówić po marynarsku. Rye, zadowolony, wręczył mu łakocia.

- Wobec tego zmykaj. Będę miał oko na twoją mamę. Josh natychmiast się ulotnił. Laura patrzyła na białą plamę szerokiego rękawa, rozpostartą na obcistej granatowej nogawce.

Rye powoli podniósł się i stanął obok niej, obejmując ją wzrokiem. Dojrzał błysk radości, nim Laura skromnie spuściła oczy.

- Przyniosłem - rzekł cicho, kątem oka sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- O? - Laura zerknęła na niego i z powrotem szybko zajęła się nasionami. Nie powiedziała nic więcej, toteż Rye nie spieszył się, by jej wręczyć prezent.

- Masz dziś śliczny kapelusik.

- Dziękuję.

- I urocze loczki.

- Dziękuję.

- I najpiękniejsze usteczka w tym mieście.

- Bardzo mi miło. - Kącik ust Laury wygiął się w uśmiechu, a policzek spłonął rumieńcem.

- ...które chętnie bym ucałował.

- Daj spokój! - Tym razem ona rozejrzała się w popłochu. Zaśmiał się i także zanurzył dłoń w korcu.

- Co mi przyniosłeś? - nie wytrzymała Laura.

Wytrząsnął bryklę z rękawa i wsunął jej do ręki pod osłonę nasion. Rumieniec Laury pociemniał, gdy chowała ją w rękawie. Z odczytaniem dedykacji musiała poczekać do chwili, gdy będzie sama.

- Och, Rye, to brykla! - Powieki Laury zatrzepotały ze zmieszania.

- Będziesz ją nosić?

- To rzecz bardzo...

- Osobista - dokończył za nią.

- Tak. - Skromnie odwróciła wzrok.

- Można rzec: intymna.

- Owszem. - Laura zajęła się nasionami dyni, Rye zaś ciągnął:

- Tak jak moje myśli, kiedy ją robiłem... i teraz także. - Patrzył z góry na pochyloną twarz Laury, żałując, że nie widzi wyrazu jej oczu.

- Cicho, Rye, ktoś cię usłyszy.

- Ano, możliwe, dlatego powiedz, czy będziesz ją nosić, bo inaczej zaraz oznajmię wszem i wobec, że pani Danielowa Morgan chowa coś w rękawie, i że jest to brykla do gorsetu wyrzeźbiona z kości wieloryba przez jej pierwszego męża.

Laura omal nie roześmiała się w głos. Z zalotnym uśmiechem podniosła na niego oczy, w których także migotał kpiarski ognek.

- A co na niej napisałeś?

- To, co chodziło mi po głowie od chwili, gdy statek wypłynął z portu.

- Czy będę się rumienił?

- Mam nadzieję.

Tak też było, kiedy w domu obejrzała brykę. Odczytując czterowiersz na przemian to stawała w pąsach, to besztła się w duchu, niemniej zaszyła brykę w odpowiednim miejscu i odtąd codziennie nosiła ją pod piersią, czując, jak słowa Rye'a parzą ją przez skórę. Teraz wiedziała, co zamierza Rye, i choć myśl ta wydała jej się nieprzyzwoita, nie mogła się od niej opędzić. Laura miała duży temperament, dotyk więc kościanej listwy sprzęgł się w jej wyobraźni z dotykiem dłoni Rye'a, bez ustanku wiodąc ją na pokuszenie.

- Noszę ją - oznajmiła bez tchu, kiedy następnym razem spotkali się przy straganie z rybami.

Rye domyślnie zerknął na jej stanik, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Gdzie? - zapytał.

Laura spuściła głowę i splotła dłonie na piersiach.

- Tu - szepnęła cichutko.

- Kiedy będę mógł ją... z ciebie zdjąć? Wbrew woli Laura znów oblała się pąsem.

- Rye'u Daltonie, nie zmieniłeś się ani na jotę!

- Chwała Bogu! - parsknął, po czym znów spoważniał. - Kiedy?

- Przestań mnie dręczyć.

- To ty mnie dręczysz. Chętnie zabrałbym cię na jagody i... pobaraszkował trochę wedle tego wierszyka.... a może i lepiej.

Z satysfakcją stwierdził, że Laura splonęła się jeszcze bardziej i prędko czmychnęła kupić masło.

Nastaly słoneczne dni. Spotykali się co rano, a ich serca nawiązywały dialog na długo przedtem, nim odnaleźli się na zatłoczonym targu. Żadne z nich nie zastanawiało się, co dalej. Nie dotykali się - nie mogli. Nie mieli też odwagi spotkać się na osobności. Oczyma jednak mówili sobie to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta, chyba, że szczęśliwy traf obdarował ich chwilą bez świadków. Wówczas pospiesznie szeptane czułości groziły im utratą panowania nad sobą.

Pełnia lata wabiła ich na ukwiecone łąki, które wspólnie przemierzali w młodości. Bluszcz oplatał zielenią zarówno małe szare domki w wiosce Siasconset, jak i dzikie sosny w lesie. Równinę porastała woskownica i wrzos, zaś na niżej położonych podmokłych terenach połyskiwał mirt. Delikatne lawendowe kwiatuszki płożącego się mącznika, nazwane przez pierwszych osadników majowym kwieciem, ustąpiły miejsca wonnym dzikim różom. Bagienne nagietki wysypały się jak krople słońca, zaś na zboczach wzgórz królowała kokoryczka i ziele nardu.

Laura i Rye tymczasem walczyli z pokusą majówki we dwoje. Najpierw jednak wizytę u bednarza złożył Dan Morgan.

Rye, obrócony tyłem do drzwi, układał właśnie klepki w prowizorycznej obręczy, gdy usłyszał głos ojca:

- A, witam! Dawno cię nie widziałem, młody człowieku.

- Dzień dobry, panie Dalton. Mam nadzieję, że zdrowie dopisuje? - rzekł Dan, oglądając się na Rye'a, który nie przerywał pracy.

- Nie uskarżam się. Latem mniej wilgoci w powietrzu, no, i robota człowieka pogania.

Dan spojrzał z powrotem na starego.

- Robicie beczki na następny rejs „Omegi”?

- Ano właśnie - przyznał stary, po czym, wiodąc wzrokiem za spojrzeniem Dana utkwionym w Rye'u, uznał, że dyplomatyczniej będzie, jeśli na chwilę zniknie.

Zapadła cisza. Rye włożył dwie ostatnie klepki w drewnianą obręcz, która podtrzymywała je u dołu, podczas gdy górą rozchylały się jak płatki rumianka.

- Czy mógłbym zamienić z tobą parę słów, Rye? - odezwał się Dan z wymuszoną grzecznością.

Bednarz zerknął na niego z ukosa, po czym schylił się nad robotą.

- Mów - rzucił, ujmując rączkę kołowrotu. Lina skrzypiąc zaczęła ścisnąć rozchylone klepki.

- Ludzie mówią, że codziennie spotykasz się z Laurą na targu.

- Widzieliśmy się przypadkiem raz czy dwa.

- Czyżby? Ja słyszałem co innego.

- No, może kilka razy - za każdym obrotem koła klepki zbliżały się do siebie. Lina była tak napięta, jak mięśnie twarzy gościa.

- To ma się natychmiast skończyć - zażądał surowo.

- Rozmawialiśmy na targu w obecności Josha i setki gapiów.

- Ale ludzie gadają. To małe miasto.

Klepki przylegały teraz do siebie, wybrzusząc się w środku. Rye sięgnął po metalową obręcz i wbił ją na miejsce drewnianym młotkiem.

- Owszem - wycedził. - I wszyscy wiedzą, że Laura jest moją żoną.

- Już nie. Trzymaj się od niej z daleka.

Dopiero teraz ręce Rye'a zastygły w bezruchu. Ukosem spojrzał na przyjaciela.

- A co ona o tym sądzi? Dan przybladł i zacisnął zęby.

- To, co jest między nami, nie powinno cię obchodzić.

- Między wami jest mój syn, a on bardzo mnie obchodzi. Trudno było temu zaprzeczyć. Dan Morgan doznał nagłego ukłucia lęku. Głos zadrżał mu lekko:

- Chcesz się nim posłużyć, żeby mi ją odebrać?

Rye ze złością okręcił się na pięcie i cisnął narzędzia na stojący pod ścianą stół.

- Do diabła, Dan, za kogo mnie uważasz? Chłopak nie ma pojęcia, że jestem jego ojcem. Ja zaś nie zamierzam nastawiać go przeciwko tobie, ani zmuszać do wyboru między nami. Laura wzięła go na targ, żebym mógł mu się chociaż przyjrzeć, zamienić z nim parę słów, zaznajomić się.

- Przynosisz mi słodycze. Oprócz tego pokazywał mi rzeźbiony ząb wieloryba, który mu dałeś.

- Owszem, chciałem mu coś dać, nie przeczę, ale gdybyś ty był na moim miejscu, potrafiłbyś się powstrzymać?

Rye się bronił, Dan wściekał. Mimo to poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. Wiedział, jak on sam by się czuł, gdyby ktoś zechciał odebrać mu dziecko. Podjął jednak stanowczo:

- Jestem z tym malcem od dnia jego narodzin... nie, jeszcze wcześniej! Pomagałem Laurze odkąd ruszyła na morze, choć ona błagała cię, żebyś został. Potrzebowała oparcia; kogoś, przed kim mogłaby wylać swe obawy... Trzymałem Josha do chrztu, nosiłem go na rękach, kiedy kaszłał, ząbkował czy bolało go uszko... dzieci potrafią płakać z tysiąca powodów! Byłem na każdym jego urodzinach, podczas gdy ty... łowiłeś sobie wieloryby! - Dan obrócił się plecami.

- Patrzyłem, jak rośnie, i nigdy nie kochałem go mniej przez to, że jest twoim synem. Może właśnie tym bardziej chciałem mu wynagrodzić to, że cię... stracił.

- I czego w związku z tym oczekujesz? - syknął wściekle Rye.

- Moich podziękowań? Dziękuję ci, ale nie masz prawa zabraniać mi się z nim spotykać.

- Z nim czy z nią? - Dan ledwie panował nad głosem. Stali naprzeciw siebie jak dwa rozjuszone byki, oddzieleni nie wykończoną baryłką. Nagle Rye oprzytomniał. Z rozmachem przewrócił beczkę, żeby założyć obręcz z drugiej strony.

- Zdaję sobie sprawę, że będziesz o nią walczył - rzekł.

- Czyżbyś oczekiwał, że mnie na to nie stać? Ciesz się, że nie przyszedłem upomnieć się o łóżko, w którym z nią sypiasz. Chyba pamiętasz, że ono też jest moje?

Ta brutalna uwaga mocno ubodła Dana.

- Owszem, pamiętam - odciął się. - Zawsze chodziło ci wyłącznie o łóżko. Tylko do

tego Laura była ci potrzebna.

- Do diabła, człowieku, posuwasz się za daleko! - Rye zacisnął pięści i postąpił krok do przodu. W dłoni wciąż trzymał ciężki młotek.

- Doprawdy? Uważasz, że nie zdawałem sobie sprawy, po co znikaliście nagle we dwoje, kiedy mieliśmy po szesnaście lat? Myślisz, że nie cierpiałem, patrząc, jak Laura ugania się za tobą, zapominając o moim istnieniu? Ale jeśli sądzisz, że tym razem jej na to pozwolę, grubo się mylisz, Rye'u Daltonie. Laura należy teraz do mnie i słono zapłaciłem za to, by ją zdobyć.

Rye zmieszał się. Podobnie jak wielu młodocianych kochanków, nigdy nie podejrzewał, iż został odkryty.

- Ja ją kocham - rzekł cicho.

- Porzuciłeś ją.

- Wróciłem. Może pozwolimy jej dokonać wyboru?

- Wedle prawa Laura nie ma wyboru. Ja jestem jej mężem i zamierzam dopilnować, by wasze schadzki wreszcie się skończyły.

Z wystudiowaną obojętnością Rye ujął ręczną piłkę i zaczął docinać nierówne brzegi klepek.

- Powodzenia - rzucił. - Nie zabronisz mi próbować.

Dan dał za wygraną. Tak, jak się spodziewał, nie uzyskał zbyt wiele. Rye niczemu nie zaprzeczał i wręcz wyzywał go na pojedynek, a myśl, że mógłby wygrać, doprowadzała Dana do szału. Obrócił się na pięcie i wyszedł z warsztatu bez słowa mijając Josiaha, który siedział przed drzwiami na przewróconym skopku.

Gdy stary wszedł do środka, Rye z wściekłym grymasem na twarzy ciągnął bednarski nóż. Wszelkie pozory nonszalancji rozwiały się jak dym. Widać było, że nerwy Rye'a napięte są do ostatka.

Odwiedziny Dana były jednak niczym w porównaniu z atakiem furii, którego przyczyną stała się w dwa dni później wizyta Ezry Merrilla. Adwokat ni stąd, ni zowąd pojawił się w drzwiach warsztatu i zajrzał do środka.

- Dzień dobry, panie Dalton - rzekł niepewnie.

- Witam - stary bednarz uprzejmie skinął głową. - Czym mogę służyć?

Ezra wyraźnie rozglądał się za Ryem, który osadzał dno w beczce na tyłach warsztatu.

- Właściwie to mam sprawę do pańskiego syna - przyznał.

- Ano, to sami możecie mu ją wyłożyć.

Ezra odchrząknął i zbliżył się do Rye'a. Ten przerwał pracę i obejrzał się przez ramię.

- Witam, panie Merrill - rzekł prostując się. - Potrzebujecie czegoś?

Ezra ponownie chrząknął, jak gdyby coś uwięzło mu w przełyku.

- Nie... właściwie jestem tu oficjalnie. Dan... to jest Daniel Morgan zlecił mi, bym go reprezentował.

Dłoń Rye'a w widoczny sposób zacisnęła się na młotku. Ezra spłoszył się jeszcze bardziej.

- O co, u diabła, tym razem mu chodzi? - warknął Rye.

- Czy jest pan właścicielem drewnianego domu na końcu drogi zwanej Crooked Record Lane?

Rye spojrział na ojca, potem na prawnika. Zmarszczył brwi.

- Na miłość boską, Ezra, wiecie równie dobrze jak ja, że jestem właścicielem tego domu. Cała wyspa o tym wie.

Twarz Ezry Merrilla poczerwieniała jak jesienne jabłko.

- Zostałem upoważniony przez Daniela Morgana, by złożyć panu ofertę zakupu tego domu za kwotę siedmuset dolarów. Transakcja nie obejmowałaby sprzętów, będących w owym domu od co najmniej pięciu lat, które może pan sobie zabrać.

W warsztacie zapanowała cisza, podobna do tej, która zwykle poprzedza silny szkwał.

- Co takiego? - Rye zrobił krok w stronę Ezry, ściskając młotek w dłoni.

- Zostałem upoważniony do złożenia oferty...

- Ten dom nie jest na sprzedaż!

- Pan Morgan polecił mi, abym...

- Idź i powiedz panu Morganowi, że mój dom nie jest na sprzedaż, podobnie jak moja żona! - ryknął Rye, następując na prawnika, który zacisnął usta i trwożnie zamrugał oczami.

- Czy... eee... czy mam przekazać panu Morganowi, że odrzuca pan jego ofertę?

Ściany zadrżały, gdy Rye przyparł adwokata do wrót i wyskandował, podkreślając każde słowo szturchnięciem młotka:

- Powiedz Danowi Morganowi, że ten cholerny dom nie jest i nigdy nie będzie do nabycia, dopóki ja żyję. Jasne?

Prawnik wymknął się na ulicę, przytrzymując kapelusz na łysiejącej czaszce. Łajba na wszelki wypadek czmychnęła pod ławę, skąd czujnie obserwowała poczynania swego pana. Stary Josiah natomiast wzruszył tylko ramionami i wypuścił kłęb dymu.

Laura nigdy w życiu nie widziała Dana tak wzburzonego, jak po tamtej konfrontacji z Ryem. Odczekał, aż Josh położy się spać, po czym rzekł bez wstępów:

- Całe miasto trąbi, że regularnie spotykasz się z Ryem na targu. Widziałem się z nim

dzisiaj. Nie zaprzeczył.

- Widziałeś się z nim? Gdzie?

- W warsztacie. Musiałem schować dumę do kieszeni i zażądać, by przestał robić ze mnie głupca, zalecając się do mojej żony na oczach całego miasta!

Laura oblała się rumieńcem.

- Przesadzasz, Dan - bąknęła ze wstydem, czując jak ukryty fiszbin nieomal pali jej ciało.

- Doprawdy? - warknął.

- Oczywiście, że tak. Josh i ja zamieniliśmy z nim ledwie parę słów, zapewniam cię. - Laura podniosła wzrok i dodała prosząco: - Josh jest jego synem, Dan. Nie mogę mu zabraniać...

- Przestań kłamać! - krzyknął Dan. - I nie traktuj dziecka jak zasłony dymnej. Nie pozwolę na to, słyszysz? Josh nie będzie pionkiem w tej skandalicznej grze!

- Ależ kto mówi o skandalu? Nie zrobiliśmy nic złego... Pragnął jej uwierzyć, lecz wspomnienia z przeszłości nie pozwalały mu wyzbyć się podejrzeń.

- To jeden wielki skandal od czasu... - Dan zmrużył oczy, jego głos przybrał naraz jedwabistą barwę. - Ile mieliście wtedy lat, Lauro? Szesnaście? Piętnaście? Czy jeszcze mniej?

Cała krew uciekła jej z twarzy. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa obrony, choć czuła, że milczenie pograża ją jeszcze bardziej. Czy to możliwe, by Dan od początku wiedział o wszystkim? Przecież nic nie mówił...

- Przestań - wyjąkała słabo.

- Tak? - powtórzył zimno. - Mam ci nie przypominać, jak chętnie pozbywałaś się wtedy swego... cienia. Sądziłaś, że nie zauważałem plam z rozgniecionych jagód, jakie miałaś na plecach, kiedy biegłaś do domu, warg spuchniętych od jego pocałunków i policzków otartych do czerwoności, bo jeszcze nie nauczył się porządnie golić!

Laura odwróciła się, spuszczać głowę.

- Naprawdę przykro mi, że się domyśliłaś. Nie chcieliśmy sprawiać ci przykrości... Zresztą, to nie ma nic do rzeczy.

- Czyżby? - Dan złapał ją za ramię, zmuszając, by spojrzała mu w twarz. - Więc dlaczego odwracasz się i rumienisz? Co zdarzyło się w sadzie tego wieczoru, gdy Joseph Starbuck zaprosił nas na przyjęcie? Dlaczego oboje zniknęliście bez śladu? Czemu nie odpowiadałaś, kiedy cię wołałem? I jak, twoim zdaniem, się czułem, kiedy wróciłem do salonu, a ciebie wciąż nie było?

- Nic się nie stało... naprawdę nic! Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?
- Mam ci wierzyć? Ilekroć idę ulicą, ludzie śmieją się ze mnie za plecami!
- Tak mi przykro, Dan. My... ja...

Spojrzał z gniewem na jej ściągniętą twarz, patrzył, jak przetyka ślinę, żeby się nie rozpłakać.

- Tak, droga żono, słucham. Co: wy?
- Nie pomyślałam, jak to będzie wyglądać w oczach ludzi, kiedy zobaczą nas razem. Ja... nigdy się już z nim nie spotkam, obiecuję.

Dan natychmiast pożałował, że był dla niej taki szorstki. Usiłując zapomnieć o Rye'u Daltonie, mocno przycisnął Laurę do piersi, czując, że ją traci, choć przed chwilą przysięgła mu wierność. Targany strachem i namiętnością, wtulił twarz w jej szyję. A na domiar złego Josh faktycznie był synem Rye'a...

- Och, Boże, Boże, po co on tu wrócił? - wymamrotał, ściskając Laurę tak mocno, że omal nie zgruchotał jej kości.

- Dan, co ty mówisz? - zawołała, wrywając się z jego objęć.

- Przecież to twój... przyjaciel, najlepszy przyjaciel. Jak mogło ci coś takiego przejść przez gardło? Wolałbyś, żeby nie żył?

- Nie mówię, że pragnąłbym jego śmierci, Lauro... nie to...

- Dan z przerażoną miną usiadł i ukrył twarz w dłoniach. - O Boże... - jęknął z rozpaczą. Laura cierpiała wraz z nim. Rozumiała, iż walczą w nim sprzeczne uczucia, które skłóciły go nawet z samym sobą. Ten sam konflikt gorzał w duszy Laury, bowiem kochała ich obu - każdego na inny sposób - i nie chciała zranić żadnego z nich.

- Dan - dotknęła jego zgarbionych pleców - dla mnie też to nie jest łatwe.

W jej oczach zabłyśły powstrzymywane łzy. Dan zrobił ruch, jak gdyby chciał jej przerwać, ale Laura podeszła do kominka i mówiła dalej, wypowiadając każde słowo z rosnącym znużeniem:

- Skłamałabym mówiąc, że go nie kocham. Nasz związek rzeczywiście trwa niemal od dzieciństwa. Nie potrafię sprawić, by rozwiął się jak dym, lub udawać, że nigdy nic nas nie łączyło. Mogę co najwyżej gruntownie wszystko przemyśleć. Spróbuję podjąć decyzję najważniejszą dla... dla nas czworga.

Gdyby jej słowa padły z ust Dana, byłyby tak samo prawdziwe. Jego przyjaźń z Ryem również trwała do dziecięcych lat, co pogłębiało tylko jego rozpacz. Pozycja Dana u boku Laury była bardzo niepewna, bowiem nawet akt kupna tego domu nie oznaczałby nabycia tytułu własności serca Laury.

Przyglądał się jej z drugiego końca pokoju. Ręce miała kurczowo splecione, twarz podobną tragicznej masce. Nagle nie mógł już dłużej stawiać czoła prawdzie. Zerwał się i ruszył w stronę drzwi.

- Wychodzę na chwilę - rzucił, porywając z wieszaka surdut. Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie. W izbie zapadła cisza tak głęboka, że zdała się wchłaniać wszystko. Minęło kilka minut, nim Laura uzmysłowiła sobie, że Dan rzeczywiście wyszedł. Nigdy nie zostawiał jej samej wieczorami - chyba, że brał Josha na spacer lub na wizytę do dziadków. Ale dziś stało się inaczej. Dziś Dan po prostu uciekł.

Nie było go dwie godziny. Kiedy po powrocie zobaczył Laurę siedzącą w fotelu, promyk nadziei rozświetlił mu twarz.

- Jeszcze nie śpisz? - zdziwił się.

- Musisz mi pomóc rosznurować gorset - wyjaśniła. Nadzieja zgasła. Dan powiesił surdut, opierając dłoń na wieszaku nieco dłużej niż zwykle, jak gdyby musiał się czegoś przytrzymać. Potem obrócił się w miejscu i spojrzał na nią.

- Wybacz. Przeze mnie nie mogłaś się położyć.

- Och, Dan, gdzie byłeś?

Patrzył na nią z roztargnieniem przez kilka sekund, nim odezwał się cicho, ze smutkiem:

- Czy ciebie w ogóle to obchodzi? Oczy Laury pociemniały z bólu.

- Oczywiście, że obchodzi. Nigdy dotąd nie wyszedłeś z domu w taki sposób. W... w złości.

Dan obciągnął kamizelkę, zrobił parę kroków i zatrzymał się na środku izby.

- Jestem zły - stwierdził na pozór obojętnie. - Wolałabyś, żebym złościł się w domu?

- Och, Dan, lepiej... - urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Chodźmy do łóżka i zapomnijmy o tym? Udawajmy, że nic się nie stało? Że Rye Dalton rzeczywiście zginął?

Patrzyli na siebie, oboje świadomi, dlaczego Laura nie skończyła zdania. Nie mogli udawać. Rye Dalton stanął między nimi, dzielił ich i we dnie, i w nocy.

Dan westchnął ze znużeniem.

- Już późno - rzekł. - Chodź, pomogę ci się rozebrać. Oboje powinniśmy się trochę przespać.

Przygarbiony, ujął ją za łokieć i powiodł do alkowy.

Kiedy stanął za nią, w jego oddechu poczuła woń alkoholu. Do tej pory Dan prawie nie pił! Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Tymczasem palce Dana wprawdzie rozpiwały rząd haczyków. Zdjęła suknię, odłożyła ją na bok i czekała. Przez długą, pełną napięcia chwilę nic

się nie działo, choć czuła, że Dan patrzy na jej obnażone plecy. Rozsznurował jej gorset, lecz gdy pochyliła się, by uwolnić się z fiszbinowego pancerza, niechcący szturchnęła go pośladkiem i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wciąż za nią stoi. Nagle jego ręce objęły ją w pół i przyciągnęły do siebie zaborczo. Wilgotne wargi wpiły się w jej szyję, rozsiewając zapach brandy.

- Och, Lauro, nie opuszczaj mnie - błagał, gniotąc jej piersi. Poprzez cienkie pantaloney czuła jego erekcję. Nie miała ochoty, mimo to nakryła dłońmi jego dłonie i oparła głowę na jego ramieniu.

- Jestem tu, przy tobie, Dan. Zacisnął dłoń na jej łonie tak gwałtownie, że niemal uniósł ją w powietrze.

- Kocham cię, Lauro... zawsze cię kochałem, nawet nie wiesz, jak bardzo... Potrzebuję cię... nie opuszczaj mnie... - Rozpacзлиwa litania ciągnęła się w nieskończoność, lecz słowa, które miały ją rozpalić, budziły w niej politowanie. Dan wsunął ręce w pantaloney, a ona starała się zmusić swoje ciało do reakcji, ale była sucha i aż się skrzywiła, gdy jej dotknął. Ta obcesowość, tak do niego niepodobna, uświadomiła jej, co się z nim dzieje. Powtarzała sobie, że musi sprawić, by uwierzył w siebie, lecz gdy obrócił ją i pocałował, odór brandy przyprawił ją o mdłości.

- Pieść mnie - błagał. Usłuchała, oczyma duszy widząc o tyleż bardziej męskie ciało Rye'a. Wyrzuty sumienia sprawiły, że włożyła w pocałunki i pieszczoty dużo więcej zapału, niż rzeczywiście czuła. Jednak myśl o Rye'u wywołała pierwsze symptomy podniecenia, więc wspominała go nadal, żeby to sobie ułatwić, zwłaszcza, gdy Dan zrzucił odzież, zdmuchnął świece i przewrócił ją na łóżko. Wgnieciona w pościel, myślała o cząstkach pomarańczy - słodkich i przejrzystych - pozostawiających na wargach lepkie krople soku. Wyobraziła sobie, że Rye je zlizuje, choć to język Dana poruszał się w jej ustach. Jej ciało wreszcie zaczęło coś odczuwać. Po chwili jednak Dan wparł się w nią mocniej i zadygotał. Skończył, gdy dla niej ledwie się zaczęło.

Laura wyobraziła sobie hangar Hardesty'ego. Zachciało jej się płakać. Och, Rye, gdybyś to ty był obok mnie...

Kiedy Dan usnął, ogarnął ją wstyd. Cóż za fałsz: podniecała się myślą o jednym mężczyźnie, by oddać się drugiemu...

ROZDZIAŁ 9

Nazajutrz Josiah nie odezwał się ani słowem, gdy Rye o zwykłej porze zszedł na dół świeżo uczesany, w czystej koszuli schludnie wepchniętej za pas.

- Niedługo wrócę - oznajmił, pewnym krokiem kierując się do drzwi.

Nie było go jednak dłużej niż zwykle. Krążył po targu przez dobre pół godziny, w końcu dał za wygraną. Kiedy wściekle tupiąc podkutymi butami wrócił do warsztatu, usta miał zaciśnięte, a na twarzy wyraz tłumionej furii.

Josiah zmrużył oczy, obserwując go przez chmurę fajkowego dymu.

- Nie spotkałeś jej? - spytał lakonicznie. Rye z całej siły huknął pięścią w stół.

- Do diabła, ona jest moja!

- Dan jest innego zdania.

- Ona chce do mnie wrócić.

- I co z tego, skoro prawo jest po stronie Dana?

- To samo prawo, które ją z nim związało, może ją od niego uwolnić.

Josiah zmarszczył krzaczaste brwi tak, że jego szaroniebieskie oczy niemal zniknęły w ich gęstwie.

- Rozwód? Rye spojrzał na niego wyzywająco.

- Tak, o tym właśnie myślę.

- Na Nantucket?

Te dwa słowa nie wymagały dalszego komentarza. Surowe purytańskie zasady założycieli kolonii wciąż obowiązywały na wyspie.

Rye nigdy nie słyszał, by jakiegokolwiek tutejsze małżeństwo się rozwiódło.

Z westchnieniem przysiadł na najbliższej beczce, dłonie zaplótł na karku i pochylił się do przodu, wbijając wzrok w podłogę.

Josiah odłożył strug, wyjął fajkę z ust i nagle zmienił temat:

- Tak sobie myślę: ostatnimi czasy niewiele mam z ciebie pożytku. Rzucasz narzędziami, jakbyś chciał kogoś zabić, łamiesz najlepsze klepki, a te, które namoczyłeś, leżą w wodzie, aż zgniją.

Rye podniósł wzrok. Ojciec był uosobieniem cierpliwości i rzadko się skarżył.

- Poza tym - kontynuował stary, przeciągając głoski w sposób charakterystyczny dla Nowej Anglii - trzeba zamówić zimową dostawę klepek.

Na Nantucket praktycznie nie rosły lasy, Josiah kupował więc z grubsza obrobione klepki od farmerów z kontynentu. Tam drewna było w bród, zaś w długie zimowe wieczory i

tak niewiele mieli do roboty. Toteż każdej wiosny dostarczano na wyspę całoroczny zapas dociętych na wymiar deszczulek w zamian za gotowe beczki i antałki, co opłacało się zarówno bednarzowi, jak i farmerom.

- Najlepiej byłoby jechać do Connecticut i dogadać się z tamtejszymi gospodarzami. - Tu Josiah wskazał cybuchem fajki na Rye'a. - Zastanawiałem się właśnie, czy nie mógłbyś tego załatwić?

W tym momencie gniew Rye'a zaczął tracić impet.

Josiah pochylił kędzierzawą głowę nad robotą. Spod struga znów zaczęły spadać spiralne wióry, a smugi dymu unosiły się ku stropowi i tam rozpraszały. Stary mruknął pod nosem, jakby do siebie:

- Gdybym to ja siedział tam na beczce, pomyślałbym i o tym, żeby pogadać o swoich prawach z adwokatami z ładu. Nie przyjmowałbym tego, co mówi Ezra Merrill, za święte objawienie.

Plecy bednarza pochylały się rytmicznie, a potężne ramiona zagarniały kolejne warstwy cedrowego drewna. Patrząc na niego, Rye poczuł ciepło w okolicy serca. Cicho wstał, podszedł do ojca i objął go, czując, jak twarde mięśnie napinają się z wysiłku. Josiah odłożył strug i podniósł mądre oczy na syna, który spoglądał na niego wyzbyty już wszelkiej złości. Spomiędzy zaciśniętych na cybuchu warg wypłynął siny kłęb dymu.

- Pojadę, staruszk - rzekł cicho Rye. - Chyba tego właśnie mi trzeba. Dziękuję.

Josiah skinął głową na znak zgody, a Rye jeszcze raz uścisnął jego ramię.

Wyjazd Rye'a ułatwił Laurze dotrzymanie obietnicy złożonej mężowi. Miała jednak wrażenie, że Dan czyta w ukrytych zakątkach jej umysłu. Coraz częściej podnosząc z nagła wzrok dostrzegała, że przygląda się jej z konsternacją, jak gdyby dokładnie wiedział, o czym myśli żona. Irytowała ją jego nieufność, skądinąd słuszna, bowiem choć cieleśnie pozostała mu wierna, w duchu wędrowała po wzgórzach wraz z Ryem.

Tak wiele zawdzięczała Danowi. Był dobrym mężem, a jeszcze lepszym ojcem. Nauczył Josha puszczać latawce, chodzić na szczydach, odróżniać mewę śmieszkę od rybołówki, a co więcej - radzić sobie z rysikiem przy stawianiu liter. Josh uczył się już alfabetu, a jego bazgroły doczekały się od Dana niezliczonych pochwał. Spędzali obaj wiele czasu pochyleni razem nad dużym stołem. A kiedy przypadkiem rozlał się atrament, Dan nigdy nie krzyczał; poprawiał, zachęcał, lecz nie krytykował.

Ostatnio jednak, gdy codzienna lekcja dobiegała końca, prawie natychmiast nakładał surdut i kapelusz, i szedł topić smutki w alkoholu. Laura snuła się niespokojnie po domu, przesuując dłonią po licznych luksusowych sprzętach, które sprawił jej Dan - cynkowanym

zlewie, mosiężnym rożnie z mechanizmem, który sam obracał mięso. Miała sporo porcelany, nie musiała więc ciągle lutować cynowych garnków, w których bez przerwy wypadały dziury.

Kupował jej pachnące mydło, a gdy protestowała, argumentując, że może robić je sama, lekceważąco stwierdzał, że to żaden luksus, skoro mydło stanowi niejako produkt uboczny przy wyrobie świec. Kiedy do portu zawinął statek z Francji, Dan przyniósł do domu barwnie malowaną cukiernicę i imbryk z nowoczesnego francuskiego fajansu.

Ale Laura wiedziała, z jakiego powodu częściej ją obdarowuje. Przyjmowała prezenty, a sumienie gryzło ją coraz mocniej. Dan otoczył ją dostatkiem, a mimo to miała ochotę wyrwać się z tego życia - gdyby tylko wiedziała, jak to zrobić, nie krzywdząc wszystkich wokoło!

Po powrocie z łądu Rye zastał w warsztacie czek od Dana - czynsz za dom. Odesłał go z powrotem i zrugął Josiaha, pytając dosadnie, czy każe mu również przyjmować opłaty za użytkowanie Laury!

Tymczasem Laura, rozdarta pomiędzy namiętnością a poczuciem obowiązku, tęskniła za kimś, kto pomógłby jej się uporać z własnymi uczuciami. Rzeźbiona bryłka tkwiła w gorsecie, przyciśnięta do jej serca przez cały dzień, a obraz Rye'a co noc nachodził ją w snach.

Rozmowę z matką z góry odrzuciła. Jej zamężne przyjaciółki były także przyjaciółkami Dana. Pozostawała siostra Laury, Jane, która mieszkała w Madaket Harbour, pół godziny piechotą na zachód od miasta.

Mąż Jane był niezależnym rybakim, który korzystał z sezonowych ławic w okolicach Nantucket - w marcu cieśniny wypełniały się śledziem, w kwietniu na wschodnim krańcu wyspy roiło się od dorszy i łupaczy. Laura wiedziała, że kuter Johna Durninga łowi teraz dorsze przy Sankaty Head, będzie więc mogła pogadać z Jane bez świadków.

Zarzuciła ciepły płaszcz z kapturem i ruszyła przez wzgórza, posuwając się równoległe do nadbrzeżnych urwisk. Była szczęśliwa, że znów wdycha zdrową, słoną bryzę, choć dzień był pochmurny i zbierało się na deszcz. Josh w podskokach biegł przodem. Droga wiała się pomiędzy palczastymi zatoczkami Long Pond. Gdy ze wzgórz północno - wschodniego krańca wyspy Laura spojrzała w dół, w stronę Madaket, wyspa Tuckernuck była ledwie widoczna poprzez zasłonę gęstniejącej mżawki. Laura wzdrygnęła się i przyspieszyła kroku.

Dom Jane zbudowany był z drewna, które pod wpływem słonych wiatrów przybrało szarą barwę. Dobudówki pojawiły się w miarę powiększania się rodziny, bo Jane miała sześcioro dzieci poniżej dziewiątego roku życia, a niemal codziennie jeszcze co najmniej troje

cudzych płatało się pod nogami. Człowiek miał wrażenie, że lęgną się i wypełzają ze szpar w ścianach. Jane znosiła hałas i szamotaninę ze zdumiewającym spokojem, na bieżąco rozwiązując konflikty, spełniając ciągle prośby o coś do jedzenia i sprząając, co było nieuchronnym następstwem karmienia całej zgrai.

Przekroczywszy próg Laura zdała sobie sprawę, że przy takiej pogodzie nie będzie miała szansy pogawędzić z siostrą w cztery oczy. Deszcz sprawił, że cała szóstka brzdąców stłoczyła się pod dachem, sprowadzając ze sobą watahę kolegów. Josh natychmiast ochoczo dał się wciągnąć do zabawy z chowaniem naparstka i po chwili dzieciarnia rozbiegła się po całej izbie, zaglądając w każdy kąt, nie wyłączając kieszeni, butów, a nawet dekoltów obu kobiet.

Jane opędzała się ze śmiechem, sugerując bardziej prawdopodobne miejsca ukrycia naparstka, Laura jednak siedziała jak na szpilkach. W chwili, gdy zaczęła dochodzić do wniosku, że popełniła błąd, Jane sama przeszła do tematu.

- Cała wyspa plotkuje o tobie i Rye'u - zauważyła - ...i oczywiście o Danie.

- Doprawdy? - zdziwiła się Laura.

- Powiadają, że w tajemnicy spotykasz się z Ryem.

- Ależ to nieprawda!

- Widziałas się z nim przecież, prawda?

- Oczywiście, że się z nim widziałam! Jane przyjrzała jej się przez chwilę.

- My też - oznajmiła. - Wygląda świetnie, nie sądzisz? Laura poczuła, że oblewa ją rumieniec, który, rzecz jasna, nie uszedł uwagi siostry.

- Odwiedził nas - ciągnęła Jane. - Przyniósł zabawki, które wyrzeźbił dla dzieci, chociaż oczywiście nie wiedział, że mamy już o troje więcej. Zdziwił się trochę, kiedy ujrzał pełną osadę łodzi wielorybniczej - zachichotała. Po chwili spoważniała, a jej orzechowe oczy uważnie zmierzyły Laurę. - Widywano go na wrzosowiskach - dodała. - Ludzie mówią, że włóczy się z psem po bezdrożu, i że sam wygląda jak zbity pies.

Twarz Laury skurczyła się boleśnie.

- Och, Jane, co ja mam robić? - zawołała, zakrywając oczy, które nagle wypełniły się łzami.

Któreś z dzieci przemknęło obok nich z piskiem, ale Jane tym razem je zignorowała. Współczująco nakryła dłonią rękę Laury.

- A co chcesz zrobić? - zapytała.

- Przede wszystkim nie chciałabym nikogo zranić - chlipnęła żałośnie Laura.

- Nie dasz rady zadowolić wszystkich, maleńka.

Słyszając to pieszczotliwe miano, Laura chwyciła dłoń siostry i przycisnęła ją do policzka.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - szepnęła - to im obu zmieniłam życie w piekło. Rye włóczy się z psem po wzgórzach i czeka, aż powiem „tak”; Dan z kolei co wieczór ucieka z domu i upija się ze strachu, że powiem „nie”. A do tego Josh, który nie ma pojęcia, że Rye jest jego ojcem. Gdybym tylko wiedziała, jak powinnam postąpić!

- Najlepiej zrobić to, co dyktuje serce.

- Och, Jane, gdybyś widziała oczy Dana, kiedy wraca do domu po pracy i przynosi mi kolejny prezent w nadziei... nie, to straszne - Laura rozszlochała się na dobre. - Był taki dobry dla mnie... i dla Josha...

- A którego z nich kochasz?

Zaczerwienione oczy uniosły się, wargi rozchyliły z drżeniem. Laura przełknęła ślinę i znów spuściła wzrok.

- Boję się odpowiadać na to pytanie.

Jane dołała jej herbaty.

- Bo kochasz obu?

- Tak. Jane sięgnęła przez stół i delikatnie pogłaskała dłoń Laury.

- Nie potrafię ci nic doradzić. Mogę powiedzieć jedno: byłam już zamężna, kiedy ty i Rye dorastaliście. Widziałam, co się rodzi między wami, i widziałam też, jak Dan snuje się waszym śladem z tym samym wyrazem twarzy, jaki prawdopodobnie ma teraz, przynosząc ci podarki, z pomocą których chce odzyskać twą miłość. Lauro, kochanie... - Jane jednym palcem uniosła drżący podbródek siostry i spojrzała jej w oczy. - Wiedziałam o wszystkim na długo przedtem, nim wzięliście ślub. Wiedziałam, bo John i ja byliśmy wtedy tak cudownie w sobie zakochani, że nietrudno mi było rozpoznać u was te same oznaki. Nie mogliście wprost oderwać od siebie oczu... ani, jak podejrzewam, rąk, kiedy tylko znaleźliście się sami. Czy zachowam się nieskromnie, jeśli spytam, czy twoje rozterki mają z tym coś wspólnego?

- Jane, nie spotykałam się z Ryem sam na sam. On... my...

- Laura zająknęła się i umilkła.

- Aha, rozumiem. Masz na to ochotę.

- Dobry Boże, Jane, walczę z tym.

- Ano tak - pauza, jaką zrobiła Jane, była bardzo wymowna.

- I teraz Rye włóczy się z psem po wydmach, a ty przychodzisz wypłakiwać się u mnie w kuchni.

- Ale żoną Rye'a byłam ledwie rok, a ślub z Danem wzięłam cztery lata temu. Jestem

mu coś winna!

- A sobie? Czy sobie nic nie jesteś winna? Choćby odrobinę szczerości? Przyznaj, że gdyby nie fałszywa pogłoska o śmierci Rye'a, nigdy w życiu nie wyszłabyś za Dana Morgana, podobnie jak nie uczyniłaś tego mając lat dziewiętnaście. Wtedy również wybrałaś Rye'a.

- A co z Joshem?

- Co takiego?

- On tak kocha Dana.

- Jest jeszcze bardzo mały. Kiedy pozna prawdę, pogodzi się z nią.

- Och, Jane, gdybym tylko miała tę pewność!

- Wiesz dobrze o tym. Po prostu boisz się, to wszystko.

- W świetle prawa jestem żoną Dana. Musiałabym się rozwieść.

- Rozwód... jakież to brzydkie słowo. Wystarczy, by przerazić każdego, kto wychował się na tej purytańskiej wyspie. Obawiasz się, że nawet najmniej pruderyjne ciotki będą spluwać za tobą na ulicy, czy tak?

Laura ze znużeniem potrząsnęła głową i oparła czoło na dłoni.

- Sama nie wiem, co myśleć. Nie miałam pojęcia, że ludzie przyglądają nam się tak uważnie.

Jane zadumała się na długą chwilę, potem wyprostowała się na krześle i pacnęła dłonią w stół niczym sędzia, który właśnie ma ogłosić wyrok.

- Podobno Rye dzień w dzień chodzi na te swoje spacerunki. Gdybyś niechcący natknęła się na niego, któż śmiałyby twierdzić, że to nie przypadek? I kto by was tam widział?

- Ależ, Jane...

Nim jednak Laura zdołała zaprotestować, drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich rośnięta sylwetka Johna Durninga. Grzmiącym głosem powitał dzieci, nie zdejmując nawet zatłuszczonego sztormiaka utorował sobie drogę pośród nich i wycisnął na wargach żony głośny pocałunek. Potem z szerokim uśmiechem przywitał się z Laurą i stanął za krzesłem Jane, pieszczotliwie głaszcząc ją po szyi.

- Czy w tym domu znajdzie się coś, co rozgrzeje mężczyznę w taki ziąb? - zagrzmiął wesoło.

Jane wyciągnęła szyję, żeby na niego spojrzeć.

- Herbata - wyszczerzyła zęby - a może i coś więcej...

Ich wzajemne uczucie rzuciło się w oczy, a sposób przekomarzania się ze sobą przywiódł Laurze na myśl dawne czasy. Z Ryem było tak samo - uśmiechy, śmiałość

pieszczoty, dwuznacznie słówka. Powszednie wydarzenia urastały do rangi niemal mistycznej - po prostu dlatego, że przeżywali je we dwoje.

„Gdybyś niechcący natknęła się na niego, któż śmiałyby twierdzić, że to nie przypadek?”

I choć myśl ta była niewątpliwie kusząca, Laura od tej pory skrupulatnie trzymała się z dala od wrzosowisk.

Wysoki mężczyzna z płowym psem rzeczywiście stał się powszednim widokiem dla mieszkańców wyspy. Widywano ich co dzień na jednej z tysiąca ścieżek, krzyżujących się wśród wzgórz lub wybiegających na białe, piaszczyste plaże. Często, gdy różowy świt okrywał trawy rosą, siedzieli na szczycie Folger Hill lub Altar Rock, skąd rozciągała się panorama tego skrawka lądu, obrzeżonego pianą, zagubionego w groźnym przestworze Atlantyku. Jeśli ranek był pochmurny, starzy rybacy, którzy mieszkali w słowiałych chatkach na wybrzeżu Sconset, widywali człowieka z psem, który wynurzał się z mgły na skraju oceanu. Mężczyzna kroczył przed siebie ze spuszczoną głową, wepchnąwszy ręce głęboko za pasek spodni; pies zdawał się naśladować pozę swego pana.

Innym razem ujrzano nierozłączną parę, biegnącą brzegiem morza po ubitym piasku. Głęboko odcisnięte ślady butów Rye'a niknęły po chwili, splukane przez fale. Pies, z jęzorem wywalonym na brodę, bez trudu nadążał za człowiekiem, który biegł z jakąś wewnętrzną determinacją, z trudem chwytając oddech, torturując swe ciało do granic wytrzymałości. Później padał wyczerpany na piasek i leżał patrząc w niebo. Pies warował obok, zagapiony w horyzont, jak gdyby chciał dostrzec zbliżające się żagle.

Wieczorami siadali na wysokiej skarpie nad opuszczonym pomostem, gdzie wiosną i jesienią, w porach połowu dorszy, rybacy rozkładali ryby do suszenia.

Rano, gdy odpływ pozostawiał na brzegu dary Atlantyku, Rye i Łajba spotykali nieraz zbieraczy wodorostów, przetrząsających zaśmieconą plażę w poszukiwaniu jadalnej blaszecznicy. Nie miało to znaczenia; Rye patrzył w dal i nie widział nikogo.

Bywało, że wraz z psem przedzierali się kamienistym stokiem Saul's Hill, płosząc stada kosów, które w dawniejszych czasach były taką plagą, że każdy mieszkaniec wyspy miał obowiązek zabić wyznaczoną ich ilość, zanim mógł zawrzeć związek małżeński.

- Ech, Łajbo - westchnął Rye, tarmosząc od niechcenia psie ucho - Gdyby wystarczyło zastrzelić pięćset kosów...

Nadszedł dzień, gdy powietrze było nieruchome, morze zaś niemal idealnie gładkie. Naraz rozległ się dziwny, niesamowity syk, jak gdyby ktoś nie wiadomo skąd wypuścił olbrzymi obłok pary. Pies poderwał się i czujnie zastrzygł uchem, jeżąc włos na grzbiecie.

Niczego podejrzanego jednak nie dało się dostrzec. Ów niespotykany dźwięk pierwi osadnicy nazwali powietrznym rykowiskiem. Nie umiano wyjaśnić tego zjawiska, zaobserwowano jedynie, iż zapowiadało silne zachodnie wiatry, zwykle niosące deszcz.

I rzeczywiście, nim dzień dobiegł końca, niebo przybrało groźną szarozieloną barwę. Ulewa złapała Rye'a i Łajbę nad kipiela w Miacomet Rip, gdzie przyglądali się spienionym dziko wodom. Ukryte prądy podmywały tam brzegi wyspy, silny wiatr zaś targał włosami Rye'a niczym trąba powietrzna.

Przez następne trzy dni lało bez przerwy. Zacinający z południa deszcz położył na razie kres wycieczkom. Czwartego dnia jednak ustał, pozostawiając za sobą mgłę tak gęstą, że zakryła ona nawet zębate krzywizny brzegów przylądka Coatue.

Przymusowe zamknięcie w czterech ścianach nie najlepiej wpłynęło na humor Rye'a. Irytował się o byle co, dlatego też przed południem czwartego dnia, kiedy niebo trochę się przejaśniło i wyrzało słońce, Josiah wysłał Rye'a do młyna w sprawie zamiany baryłek na pewną ilość mąki, dokonywanej co jakiś czas pomiędzy bednarzem a młynarzem, niejakim Asą Pondem.

Tuż po południu Rye wraz z Łajbą wyruszył w drogę, wdzięczny losowi, że znów udało mu się wyrwać z warsztatu. Wyspa, świeżo wymyta ulewą, wyglądała zgoła odświeżenie. Kocie łby Main Street lśniły w jaskrawym słońcu, a w bocznych zaułkach ze skrzynek okiennych wylewały się kaskady czerwonych i różowych pelargonii. Rye przypomniał sobie kwiaty przed drzwiami Laury. Zastanawiał się, czy też zakwitły, lecz po chwili z wysiłkiem usunął je z myśli.

Z psem przy nodze minął dom Jethro Coffina, jednego z pierwszych osadników sprzed stu pięćdziesięciu lat. Dalej ciągnęły się urwiska, pod którymi bladą zielenią połyskiwały wody szelfu, a ciemniejszy odcień wskazywał głębinę. Para białych mew ścigała jedną czarną; ich ochryple głosy niosły się w nagrzanym sierpniowym powietrzu.

Rye zmierzał ku czterem holenderskim wiatrakom, wznoszącym się dumnie na czterech wzgórzach na południe i zachód od miasteczka. Młyn Asy Ponda zbudowano w roku tysiąc siedemset czterdziestym szóstym z drewna rozbitych wraków, ale gdy teraz ukazał się na wzgórzu, zdawał się nie mieć wieku. Ażurowe ramiona obrócono na południowy zachód, skąd wiała lekka bryza, i rozpięto na nich nowe żaglowe płótna, które - niczym prawdziwe żagle - można było refować przy silnym wietrze. Podobnie jak jego bracia, młyn był zarówno pełen wdzięku, jak i niezgrabny. Urody ujmował mu sterczący z tyłu pał, wystający z koła, dzięki któremu cały budynek można było obracać ramionami do wiatru. Wyglądał jednak przez to niczym wielki smok, który przykucnął, żeby się wypróżnić. Koło wryło w ziemi

głęboki rów. Rye przeskoczył go i podszedł do drabiny, prowadzącej na wyżkę, gdzie znajdowały się kamienne żarna.

Wnętrze zapyłone było mąką i otrębami, które unosiły się w powietrzu, gdy ziarno zsypywano na pochylnię wiodącą do żaren. Podłoga bezustannie wibrowała od ciosów drewnianych przekładni, łączących ogromne wały z dębowymi ramionami wiatraka. Zapach ziarna był miły dla nozdrzy, młynarz jednak na twarzy zawiązaną miał chustkę, zwłaszcza, iż równocześnie jego czeladnicy przesiewali mąkę przez różnej grubości sita. Uniósł rękę na powitanie i wskazał drzwi; zgrzyt kamieni młyńskich i łomot przekładni uniemożliwił jakąkolwiek wymianę zdań. Wyszedłszy na zewnątrz, młynarz z ulgą zdjął chustkę i stojąc u stóp młyna załatwiał interesy w miłym letnim słońku. Skrzydła wiatraka skrzypiały cicho, wtrącając do rozmowy swoje trzy grosze.

Josh wynudził się za wszystkie czasy w ciągu trzech dni złej pogody. Gdy tylko niebo nieco się przejaśniło, zaczął błagać matkę, by zabrała go na jagody. Laura cierpliwie wyjaśniła mu, że jeszcze nie dojrzały. Wobec tego napał się na wizytę u ciotki Jane. Gdy i ten pomysł upadł, pozostała kolejna ulubiona rozrywka Josha - wycieczka do młyna, gdzie czasami pozwalano mu siedzieć na lewarze, gdy woły obracały budowlę zgodnie z kierunkiem wiatru. Lecz tym razem Laura odparła niecierpliwie:

- Nie mam czasu. Muszę wyplewić ogród, a najlepiej robić to zaraz po deszczu.

- Ale, mam, może pan Pond...

- Joshua! Chłopiec zasepił się. Matka rzadko zwracała się do niego w ten sposób. Z buzią wygiętą w podkówkę snuł się po ogrodzie, z nudów zadając niezliczoną ilość pytań. Przykucnął w bruzdzie, wskazywał palcem każdy wyrwany przez Laurę chwast i powtarzał: „A co to?”

- Skąd wiesz, że to nie jarzynka? - spytał w końcu.

- Po prostu wiem. Robię to od dawna.

- Ja też bym potrafił.

- Josh, idź się pobaw.

- Tato pozwoliliby mi plewić.

- Ale ja nie jestem tatą i mam masę roboty! - sarknęła Laura nie przerywając pracy.

Malec oparł brodę na kolanie i dziobał palcem w ziemi, nucąc coś pod nosem. W chwilę później z dumą zaprezentował jej wyrwaną z korzeniami rzepe.

- Zobacz, pomagam ci!

- Ojej, Josh... - jęknęła. - Zniszczyłeś młodą rzepe!

- O... - chłopiec spojrział ze skrucą na swoje dzieło, ale zaraz rozpromienił się. -

Posadzę ją z powrotem.

- To nic nie da. - Matka zgasiła jego zapal. - Raz wyrwana roślina zwiędnie i zginie.

- Naprawdę? - Josh był zawiedziony, bo przecież chciał pomóc.

- Owszem - odparła z niesmakiem Laura, wracając do plewienia.

Chłopczyk stał obok niej, uważnie oglądając rzepę.

- Co to znaczy zginać?

„To, co rzekomo spotkało twego ojca, i dlatego wyszłam za kogoś innego” - przemknęło przez głowę Laurze, nim zdołała się powstrzymać. Poirytowana i wyprowadzona z równowagi warknęła:

- Josh, wyrzuć to i znajdź sobie jakieś inne zajęcie! Nigdy nie skończę, jeśli będziesz bez przerwy zadreślał mnie pytaniami!

Usta dziecka zadrżały, a brudne paluszki zaczęły trzeć oczy. Laura natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Skrzyzczała synka, choć przecież miał najlepsze intencje. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, choć za każdym razem przysięgała sobie, że więcej tego nie zrobi. Chciała być taka, jak Jane, której cierpliwość w stosunku do rozhukanej hałastry można było określić mianem niewyczerpanej. Ale cała różnica polegała na tym, że Jane była szczęśliwa. Szczęśliwy człowiek łatwiej znosi różne niedogodności. Napięcie, w jakim żyła Laura, uzewnętrzniało się przy najmniej spodziewanych okazjach i niestety często skrupiało się na dziecku. Co gorsza, Josh miał rację - Dan by mu wytłumaczył, jak odróżniać chwasty od warzyw, choćby miało go to kosztować wiele czasu i energii.

Josh wpatrywał się w smętnie oklapłe listki. Starał się być dzielny, lecz na złocistych rzęsach zawisły łzy. Laura westchnęła i wyprostowała się.

- Chodź tu do mnie, kochanie.

Malec spuścił głowę jeszcze niżej. Łzy kapały mu teraz na brzusek.

- Przepraszam cię, słoneczko. Wiem, że chciałeś pomóc. Kiwnął głową, wbijając wzrok w ziemię.

- No chodź, skarbie, bo mama też się rozpłaczę.

Podniósł na nią załzawione oczka, wypuścił rzepę i z rozmachem rzucił jej się w objęcia. Laura sama była bliska łez.

Zmieniłam się - pomyślała - chociaż tak się staram, żeby w moim domu panowała harmonia. Jestem szorstka dla Dana i niedobra dla dziecka, i żadnego z nich nie traktuję uczciwie. Och, Josh, gdybyś był dostatecznie duży, by zrozumieć...

Przymknęła oczy, lekko kołysząc malca w ramionach. Po chwili odsunęła go lekko od siebie, żeby zajrzeć mu w twarz.

- Wiesz co? - powiedziała. - Tak naprawdę wcale nie chce mi się plewić. Chyba jednak przejdziemy się do młyna. Muszę zamówić u pana Ponda trochę mąki.

- Naprawdę? - Łzy Josha obeschły w okamgnieniu.

- Naprawdę - pstryknęła go w nos. - Ale najpierw będziesz musiał umyć buzię, ręce i uczesać włoski.

Lecz Josh sadził już przez warzywnik, przeskakując kolejno rzepę, groch, fasolę i marchew.

- Na pewno mnie nie dogonisz! - wrzasnął.

- A właśnie, że tak! - Laura, podkasawszy spódnicę, puściła się za nim w pogoń.

ROZDZIAŁ 10

Dzień był piękny, niebo lazuruowe jak skrzydło sójki, lekka bryza rozwiewała trawy. Po południu na lądzie i morzu zapanował spokój i niewiele łodzi manewrowało w przystani u stóp wzgórz. Laura wraz z Joshem wyszła na wrzosowiska, udając się w stronę kopulastych wzgórz. Towarzyszyły im łąkowe skowronki, przyśpiewując najśłodsza muzykę lata. Polne kwiaty odwracały główki ku słońcu, pasikoniki mruczały leniwie, a wysoko w górze zataczały kręgi mewy.

Josh zatrzymał się, by zbadać mrowisko. Laura nie posiadała się z uciechy, patrząc na jego minę. Usta chłopca ułożyły się w duże „O „.

- Patrz, mamó! Patrz, jaki wielki głaz dźwiga ta mrówka! Laura roześmiała się, spojrzała we wskazanym kierunku i na moment zafascynował ją miniaturowy świat owadów, gdzie ziarno piasku urastało do rozmiarów głazu.

Po chwili ruszyli dalej piaszczystą ścieżką. Bezleśne wzgórza obsypane były kremowymi główkami królewskich koronek, kołyszącymi się na wietrze.

- Zaczekaj chwilkę! - zawołała Laura i zeszła ze ścieżki, żeby narwać kwiatów. Dodała kilka rumianów o brązowych środkach, a potem wetknęła jeszcze do bukietu żółty dziki krwawnik.

- Widzę młyn! - zawołał Josh, gdy na grzbiecie wzgórza ukazały się ażurowe skrzydła.
- Myślisz, że pan Pond pozwoli mi się przejechać?

- Nie wiem, czy zaprzęgnął woły. Laura nie miała kapelusza i gdy podniosła wzrok, schodzące dopiero z południa słońce omal jej nie oślepiło. Skrzydła wiatraka obracały się wolno w złocistej aureoli. Na tle młyna zamajaczył mniejszy, ciemny kształt, i gdy Laura przysłoniła ręką oczy, ujrzała, że ze wzgórza schodzi w ich kierunku jakiś człowiek.

Na ich widok przystanął. Nie widziała twarzy, dostrzegła jednak długie, smukłe nogi w wysokich butach i białe rękawy łopoczące na wietrze. W chwilę później pojawił się następny kształt... duży, żółty pies.

- Rye... - szepnęła mimowolnie, jak gdyby na usta wyrwała się jej powtarzana od dawna modlitwa.

Przez chwilę oboje stali jak wryci. On na zboczu, po kolana w trawie, ona z rąbkami spódnicy w dłoni i twarzą ocienioną bukietem, który kładł jej koronkowe cienie na policzkach. Chłopczyk pobiegł pod górę, a pies w dół, ale ani Laura, ani Rye nie zwrócili na to uwagi. Trwali bez ruchu, oniemiała z bezbrzeżnej tęsknoty.

Potem Rye pochylił się i ruszył biegiem. Laura też przyspieszyła kroku, chwyciwszy

wydętą jak balon perkalową spódnicę w obie ręce. Spotkali się w miejscu, gdzie zachwycony chłopczyk baraszkował w trawie z rozradowanym psem, który merdał już nie tylko ogonem, ale całym ciałem.

- O rety, to twój pies, Rye? - spytał Josh, uchylając buzię przed różowym jęczorem.

- Mój - odparł machinalnie Rye, wpatrzony w Laurę.

- Musisz go strasznie kochać!

- O tak, synu, bardzo - szepnął ochryple mężczyzna.

- Jak długo go masz?

- Od dzieciństwa.

- To pewnie już jest stary?

- Dostatecznie, by wiedzieć, do kogo należy.

- Też chciałbym mieć psa.

- Na pewno... - szepnął cicho Rye. Zapadła cisza, przerywana tylko westchnieniami wiatru i szmerem rozkołysanych traw. Laura miała uczucie, jak gdyby w jej sercu rozkwitła właśnie łąka pełna kwiatów. Rozchyliła usta, serce biło jej mocno pod suknią z różowego perkalu. Wzgórza Nantucket otaczały ich, odgradzały od reszty świata.

Laura impulsywnie wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry, panie Dalton. Nie przypuszczałam, że... że natkniemy się tu na pana.

Ujął jej dłoń jak skarb i spojrzał w oczy ponad złotą główką swego syna.

- Witaj Lauro. Bardzo się cieszę z tego spotkania.

Jego dłoń była twarda, zgrubiała, znajoma.

- Idziemy zamówić mąkę i otręby.

Rye wsunął wskazujący palec pod jej mankiet, trąc nim delikatnie po wrażliwej skórze wewnętrznej części przedramienia. Czul, jak gwałtownie tętni jej krew.

- A ja byłem dogadać się w sprawie beczek.

- Cóż... - Laura zaśmiała się nerwowo - chyba wszyscy wylegli z domów w tak piękną pogodę.

- Nic dziwnego.

Jak długo i czule trzymali się za ręce, uświadomili sobie dopiero wtedy, gdy Josh podniósł się na nogi. Rye natychmiast wypuścił dłoń Laury, ale chłopczyk był zbyt pochłonięty zabawą, by cokolwiek zauważyć.

- Często tu przychodzisz? - zagadnęła Laura.

- Owszem. Ostatnio dużo włączę się z psem.

- Słyszałam.

- A ty? Często tu bywasz?

- Tylko czasami, kiedy idę do Jane.

- Albo do młyna - dodał, mrużąc oczy w uśmiechu. - Albo żeby narwać kwiatków.

Laura skinęła głową i spuściła wzrok.

- Byłem kiedyś u Jane - rzekł Rye.

- Wspominała mi o tym. To miło z twojej strony, że przywiozłeś prezenty dla dzieci.

Rozmawiali o drobiazgach, podczas gdy były tysiące rzeczy, które chcieli sobie powiedzieć. Dręczyła ich pokusa, by się dotknąć. Laura miała ochotę powieść palcem wzdłuż wygiętej linii bokobrodów, okalających jego mocną szczękę.

Chciała przesiać przez palce gęste, pszeniczne włosy Rye'a i powiedzieć: „Pociemniały, odkąd wróciłeś, ale teraz bardziej mi się podobają, bo są takie jak dawniej.” Pragnęła ucałować każde z siedmiu znamion po ospię, jakie miał na twarzy, i szepnąć: „Opowiedz mi o tym rejsie. Opowiedz mi wszystko.”

Josh wyrwał ich z zapatrzenia, pytając:

- Jak on się wabi?

- To ona. Łajba.

- Śmieszne imię. Oboje macie śmieszne imiona.

- To prawda - śmiech Rye'a uniósł się nad kwiecistą łąką. - Łajba nazywa się tak, bo znaleziono ją, gdy płynęła do brzegu z wraku okrętu, który osiadł na mieliźnie.

Pies zamasyście lizał chłopca po twarzy, ten zaś chichotał z zachwytu, obejmując go za kark. Po chwili wylądował na wznak, bezskutecznie próbując uwolnić się z łap Łajby.

Rye przyklęknął obok nich.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, niech Josh tu zostanie, a ty idź załatwić swoje sprawy w młynie. Zaczekamy na ciebie.

Nawet gdyby nie chodziło o chłopca, Laura i tak nie miałaby serca odmówić. Rye wyglądał tak męsko, gdy klęczał w słońcu, lekko pochylony, z rękawami koszuli rozpostartymi jak skrzydła. Uśmiechnął się do Laury, czekając na odpowiedź.

Josh zerwał się i zawołał:

- Pozwól, mamusiu, proszę!

- Nie chcesz sobie pojeździć? - zapytała przekornie.

- Woły i tak są w stajni, więc wolę zostać tutaj i pobawić się z Łajbą - zdążył rzucić chłopiec, nim poturlał się po miękkiej trawie.

- Dobrze. Zaraz wrócę. Spojrzała na Rye'a, który poważnie skinął głową. Wtedy dłoń Laury - i to bez jej wiedzy - zrobiła coś zaskakującego: musnęła jego kark, przesuwając się

trochę po włosach, trochę po nagrzanej słońcem szyi.

Rye poderwał głowę, jego niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Ale Laura długim, posuwistym krokiem wchodziła już na wzgórze. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Zabawa trwała dotąd, aż zziębnięty pies padł na trawę. Josh usadowił się obok niego i zagaił:

- Skąd znasz moją ciocię Jane?

- Urodziłem się tutaj. Znam Jane od czasu, kiedy byłem małym chłopcem, takim jak ty.

- I mamę też?

- Też. Chodziliśmy razem do szkoły.

- Ja też pójdę do szkoły, ale dopiero w przyszłym roku.

- Naprawdę?

- Mhm. Tato już kupił mi tabliczkę do pisania i powiada, że zawiezie do szkoły drewno, żebym nie musiał siedzieć daleko od kominka.

Rye zaśmiał się, ale wiedział, że istotnie ci uczniowie, których rodzice zaopatrywali szkołę w opał, zajmowali najlepsze miejsca w klasie.

- Myślisz, że polubisz szkołę?

- Szkoła to betka! Tato nauczył mnie prawie wszystkich liter.

Rye zerwał źdźbło trawy i włożył je do ust.

- Widzę, że twój tato to równy gość.

- Jest najfajniejszy ze wszystkich ludzi, których znam... oczywiście poza mamą. . . .

- Oczywiście - przytaknął Rye, zerkając na wzgórze. - Możesz się uważać za szczęściarza.

- Tak właśnie mówi Jimmy. Jimmy... - Josh urwał i zmarszczył brwi. - Znasz Jimmy'ego?

Rye potrząsnął głową, urzeczony tym skrzatem. Wolał się nie przyznawać, że Jimmy Ryerson jest w rzeczywistości kuzynem Josha.

- Aha. No, w każdym razie Jimmy to mój najlepszy przyjaciel. Poznam cię z nim kiedyś - dodał rzeczowo chłopczyk - tylko weź ze sobą Łajbę, żeby Jimmy też mógł ją zobaczyć.

- Umowa stoi - Rye wyciągnął się na trawie, Josh zaś ciągnął:

- A więc Jimmy powiada, że mam szczęście, bo tato zrobił mu szczudła, a Jimmy nie zna drugiego chłopca, który by miał szczudła. Czasem mu je pożyczam, ale nie idzie mu za

dobrze - nie tak jak mnie, bo tato mnie nauczył, żeby kije trzymać pod... - Josh uniósł ramię, potarł się pod pachą i zmarszczył czoło. - Jak to się nazywa?

- No, właśnie, pod pachą. Tato każe mi trzymać kije pod pachami i wypiąć pupę, a Jimmy trzyma kije przed sobą, o tak - Josh zerwał się, żeby zademonstrować - i dlatego się przewraca. , .

Rye Dalton nie posiadał się ze szczęścia. Dziecko było równie urocze jak jego matka, bystre i spontaniczne.

- Twój tato to mądry facet - rzekł.

- Najmądrzejszy na świecie! Pracuje w kantorze.

- Wiem, spotkałem go tam. - Rye zerwał nowe źdźbło trawy. - Twój tato też chodził ze mną do szkoły.

- Tak? - Kiedy Josh był zdziwiony, jego oczy robiły się okrągłe, zupełnie jak oczy Laury. - To dlaczego ty zupełnie inaczej mówisz? .

- Bo pływałem na statku wielorybniczym i tam nauczyłem się tak mówić.

- Śmiesznie - orzekł Josh.

- Chodzi ci o to, że skracam wyrazy? Na statku nie zawsze jest czas na długie mowy. Musisz porozumiewać się bardzo szybko, bo inaczej wpadniesz w tarapaty.

- Aha... Podobało ci się na statku? Fajnie było?

Wzrok Rye'a powędrował w stronę wzgórza, po czym wrócił do syna. Tym razem ujrzał na jego buzi minę, będącą lustrzanym odbiciem tej, jaką czasem widywał w lustrze, kiedy nad czymś dumał.

- Tęskniłem za domem - powiedział.

- Wzięłeś ze sobą Łajbę? Rye potrząsnął głową.

- Gdzie była? Rye położył rękę na łbie labradora. Pies otworzył oczy i znów je przymknął. Rye miał ochotę powiedzieć: „Na początku z twoją mamą, a może nawet i z tobą, kiedy byłeś malutki. Może dlatego od razu tak cię polubiła. Pamięta cię”.

- Mieszkała u mojego ojca, w warsztacie.

- To na pewno było ci bardzo smutno - rzekł współczująco Josh.

- Cóż, wróciłem - Rye uśmiechnął się szeroko. Josh odpowiedział mu uśmiechem i pisnął:

- Wiesz, jesteś miły. Lubię cię. Rye doznał zawrotu głowy. Żałował, że sam nie może być równie szczery, że nie może przytulić chłopca i powiedzieć mu prawdy. Josh był kochany, promienny i zupełnie nie zepsuty. Matka i... i Dan dobrze go wychowali Laura zatrzymała się na szczycie wzgórza. Byli tak daleko, że wiatr niósł ku niej tylko cichutkie

echo perlстого śmiechu Josha i nieco wyraźniejsze Rye'a. Leżeli na trawie wraz z psem. Rye na boku, ze skrzyżowanymi kostkami i brodą opartą na dłoni, żuł źdźbło trawy. Synek opierał głowę o grzbiet starego labradora, który drzemał beztrosko, złożony pysk na łapach. Idylliczny obraz, który nieraz jawił jej się w marzeniach. Ukochany mąż, ukochany syn... tylko jej brakowało do kompletu.

W głowie znów zabrzmiały jej słowa Jane: „Któż śmiałyby twierdzić, że to nie przypadek?”

Przyjrzała się mężczyźnie, leżącemu poniżej na ukwieconej łące. Kto by się domyślił?... Zbiegła ze stoku z wiatrem we włosach i roztańczonym sercem.

Rye nie zmienił pozycji, lecz jego oczy poruszały się wraz z nią. Kiedy znalazła się w zasięgu głosu, przesunął źdźbło w kącik ust i powiedział:

- Idzie twoja mama. Potem powoli wyprostował się i usiadł, podciągając jedno kolano.

- Musimy już iść? - dopytywał się z niepokojem Josh, pędząc matce na spotkanie. Z rozmachem objął jej nogi, przyciskając spódnicę do ud.

Laura uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy.

- Nie, jeszcze nie - odparła, patrząc na Rye'a.

Chłopiec puścił ją i Laura podeszła bliżej. Skraj jej spódnicy omiótł wyciągniętą nogę Rye'a. Jego wzrok prześliznął się po jej ramionach, piersi i brzuchu, po czym znów uniósł się ku twarzy.

- Masz ochotę przejść się nad staw? - zapytał. Zamiast odpowiedzieć wprost, Laura spytała Josha:

- Chcesz iść na spacer? Josh zwrócił się do Rye'a:

- Czy Łajba też pójdzie z nami?

- Ma się rozumieć. - Trawa w ustach Rye'a zakołysała się wesoło.

- To ja też chcę! - oświadczył chłopczyk i natychmiast puścił się naprzód.

Rye nie ruszył się z miejsca. Patrzył w ślad za chłopcem, póki ten nie odbiegł dostatecznie daleko, by ich nie słyszeć. Wtedy spojrział na Laurę, przyciągając jej wzrok jak brzeg przyciąga falę. Przez chwilę milczeli, potem Rye wypluł źdźbło.

- Pytałem ciebie, czy chcesz się przejść - rzekł.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - odparła po prostu. Wyciągnął do niej rękę. Zerknęła na rozbrykane dziecko i bez dalszego wahania ujęła jego dłoń, pomagając mu wstać.

Staw Hummock był jednym z łańcucha oczek wodnych ciągnących się w linii północ - południe przez zachodnią część wyspy. Miał kształt litery J, której dolny, wygięty koniec dotykał niemal brzegu morza. Będąc dziećmi łowili tu białe i żółte okonie, Rye uczył Laurę,

jak nadziewać robaka na haczyk. Urządzali pikniki na Ram Pasture i spacerowali tak jak dzisiaj, od North Head w stronę oceanu, który było wyraźnie słyszać, lecz nie widać.

- Śniłem o tym od dawna: ty, ja i Josh - rzekł półgłosem Rye.

- Ja też. Tylko w moim śnie uczyłeś go łowić ryby.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie umie?

- Nie.

- W takim razie ma poważne luki w wykształceniu - żartobliwie oburzył się Rye.

- Za to świetnie puszcza latawce i chodzi na szczudłach.

- Tak, mówił mi o swoich szczudłach. - Rye spowaźniał. - Odwaliliście z Danem kawał dobrej roboty. To wspaniały chłopiec.

Szli pośród białych fiołków, świadomi swej bliskości. O ileż jednak bliżej pragnęliby być! Tyle mieli do wyrażenia, do odczucia, a tak mało czasu!

- Chcę, żeby Josh cię poznał, Rye, i żeby dowiedział się, że jesteś jego ojcem.

- Ja też. Ale z tym będzie problem. Chłopak kocha Dana nie mniej, niż ja swego staruszka.

Ziemia stała się grząska i Rye ujął Laurę za łokieć. Czerwonoskrzydłe kosy podskakiwały na wiotkich gałązkach leszczyny i łądygach turzycy porastającej podmokły brzeg jeziora. Laura kurczowo złapała Rye'a za rękę, przeskakując na pewniejszy grunt.

- Chciałbym, żebyśmy byli rodziną - wyznał Rye głośno.

- Ja też... Spacerowali powoli, napawając się tym darowanym im przez los popołudniem. Okrążyli nieregularny brzeg stawu, dochodząc do miejsca, gdzie miotlasta bażyna tworzyła sprężystą poduchę, kusząc, by na niej spocząć. Oni jednak skazani byli na przechadzkę, okazjonalne muśnięcia dłoni czy spojrzenia w oczy, kiedy Josh wysforował się naprzód.

Szum oceanu narastał, w dali widać już było spienione grzywacze. Wkrótce znaleźli się na plaży. Odpływ pozostawił na niej meduzy, które przyciągnęły uwagę chłopca i psa.

- Nie dotykaj ich, bo się poparzysz! - zawołał Rye. Łajbie nie trzeba było tego mówić. Miała już pewne przykre doświadczenia i wołała trzymać się z daleka. Chłopiec machnął ręką na znak, że usłyszał, i podbiegł do następnego znaleziska. Rye wepchnął dłonie do połowy za pas i rozstawił nogi jak na pokładzie okrętu. Spoglądał na Josha z miłością.

- Tyle mnie ominęło - rzekł. - Już choćby to, że mogę go przypilnować, ostrzec, sprawia mi ogromną radość.

W ich spojrzeniach słodycz mieszała się z goryczą.

- Kiedy dowiedziałam się, że wyjechałeś na kontynent, bałam się, że nie wrócisz.

- Kontraktowałem deszczułki - Rye odwrócił wzrok w stronę morza. - A przy okazji radziłem się... adwokata. Miałem nadzieję, że powie mi co innego niż Ezra, ale mnie rozczarował. Chyba naprawdę jesteś żoną Dana.

Laura patrzyła na kraj świata, wygięty w dali wraz z linią horyzontu.

- Myślałam o tym, żeby się z nim rozwieść - powiedziała cicho, zaskakując nawet siebie samą.

- Rzadko się to zdarza - Rye spojrzął na nią ze zdumieniem.

- Ale i nieczęsto umarły marynarz powraca z trzewi morza. Będą musieli zrozumieć. - Odwróciła się i spojrzała na niego błagalnie. - Skąd miałam wiedzieć?

- Nie mogłaś. W promieniu mili nie było nikogo prócz chłopca, psa i fal, ale Rye rozsądnie powstrzymał się od czułych gestów.

- Rye, czy ciebie też martwi krzywda Dana?

- Staram się o tym nie myśleć.

- Pije prawie codziennie.

- Słyszałem. - Głowa Rye'a obróciła się gwałtownie w stronę Miacomet. Twarz miał ściągniętą.

- Czuję się tak, jak gdybym to ja popchnęła go do tego. Rye zwrócił się do niej z powagą.

- Nie zawiniłiśmy tu ani my, ani on. To... zrządzenie losu.

- Zrządzenie losu - powtórzyła ze smutkiem. Czuł, że myślami jest daleko od niego. Nachmurzył się.

- Lauro, nie mogę... - urwał, zakrył dłonią usta, lecz po chwili spytał gwałtownie: - Czy będę musiał czekać aż do rozwodu?

- Nie. Spojrzął na nią osłupiały, lecz Laura wpatrywała się w morze.

- Jak długo zatem?

- Do jutra - odparła cicho, nie odrywając wzroku od spienionych fal.

Ujął ją za łokieć i delikatnie obrócił do siebie.

- Chcę cię pocałować.

- Chcę być całowana - wyznała. Nigdy, nawet za pierwszym razem nie czuła tak dojmującej zmysłowej tęsknoty jak dziś. - Ale nie tu... nie teraz.

Rye ze świstem odetchnął i puścił jej rękę. Patrzyli, jak skrajem fal przechadza się brodziec, łowiąc morskie żyjątka. Rye pojął, ile kosztowała Laurę ta decyzja.

- Próbowałam postępować uczciwie - mówiła. - Próbowałam trzymać się od ciebie z daleka. Lecz dziś, kiedy zobaczyłam cię tam, na wzgórzu... - opuściła wzrok. - Nie wiem już,

co jest dobre, a co złe.

- Rozumiem. Tak samo jest ze mną. Bez przerwy gdzieś się włóczę, ale nie potrafię przed tobą uciec. Widzę cię wszędzie, gdzie niegdyś bywaliśmy.

- Wymyśliłam sposób - szepnęła Laura obserwując brodzca.

- Jaki? - Rye spojrzał na nią pytająco.

- Josh od dawna błaga mnie, żebym mu pozwoliła spędzić cały dzień u Jane.

- Jane nie będzie niczego podejrzewać?

- Obawiam się, że tak. Właściwie jestem tego pewna.

- Ale...

- I tak wie, co do ciebie czuję. Nigdy nie potrafiłam niczego przed nią ukryć. Twierdzi, że domyśliła się, co nas łączy, na długo przed naszym ślubem. Teraz nam pomoże.

- A co z... nim?

- Powiem mu dziś wieczorem.

- Tak, a rano przyjdzie do warsztatu i będę musiał go zabić, żeby on nie zabił mnie? Cień uśmiechu zamajaczył na wargach Laury.

- Nie, nie o tym. Powiem mu, że zamierzam się z nim rozwieść. Rye spoważniał.

- Chcesz, żebym przy tym był?

- Chcę, żebyś był przy mnie zawsze i wszędzie. Ale tę sprawę muszę załatwić sama.

Rye rozejrzał się po plaży. Josh podskakiwał, uciekając przed falami. Rye impulsywnie pochylił się nad Laurą i szybko pocałował ją w policzek.

- Wybacz, nie mogłem się powstrzymać. Czasem na statku myślałem, że jestem w piekle, ale nigdy w życiu nie przeżyłem tego, co w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni. Kobieto, gdy cię odzyskam, nie spuszczę cię z oka.

- Rye, poszukajmy jakiegoś zacisznego miejsca. Uśmiechnęli się do siebie wymownie.

- Nic trudnego. Znamy tę wyspę jak własną kieszeń, czyż nie?

- To prawda. - Laura poczuła dreszcz oczekiwania. - Znamy wszystkie miejsca.

Rye gwizdnął. Chłopiec i pies obejrzeli się.

- Chodźcie! - zawołał. - Idziemy dalej! Znaleźli miejsce w zakolu stawu, gdzie jego południowy koniec tworzył niemal zamkniętą pętlę. Tu, w odosobnionej kępie sosny i dębów, ukryta była polanka, odcięta od reszty świata gąszczem jeżyn i wrzośca. Pięło się po nich dzikie wino, tworząc zwartą zieloną ścianę. Polanę zarastała wysoka do pasa trawa, zgnieciona w miejscach, gdzie odpoczywały sarny. Po konarach dębów śmigały z piskiem wiewiórki. Łąka osłonięta była od wiatru, za to promienie słońca docierały tu bez przeszkód. Josh z psem natychmiast zaczęli się turlać po rozgrzanej darni.

- Tu? - spytał cicho Rye, spoglądając na Laureę.

- Tu - potwierdziła.

Serca zabiły im z podniecenia. Teraz mogli tylko modlić się o piękną pogodę.

ROZDZIAŁ 11

Ich modlitwy zostały wysłuchane, bo nazajutrz niebo było czyste jak brylant bez skazy. Laura odprowadziła Josha do siostry i pierwsza przybyła na polanę. Rozchyliła dzikie wino, wśliznęła się do środka i chwilę stała bez ruchu, nasłuchując. Było bezwietrznie i tak cicho, że wydawało jej się, iż słyszy huk młotów z odległej o cztery mile stoczni. Może zresztą tak głośno biło jej serce, gdy ujrzała przed sobą ten uroczy zakątek - chroniony zewsząd lasem, przytulny, bezpieczny.

Pachniało tu trawą i sosnową żywicą. Laura uniosła spódnicę powyżej kostek, zwróciła twarz ku słońcu i przymknęła oczy, czując na skórze rozkoszne ciepło. Potem powoli obróciła się dookoła. Otaczały ją zielone cienie, broniące dostępu do tego letniego, prywatnego świata. Laura zaczęła kręcić się coraz szybciej, rozłożywszy szeroko ręce. Halki migotały wokół jej nóg niczym sztuczne ognie.

Przyjdzie! Niedługo przyjdzie!

Sama myśl o tym zaparła jej dech i wzbudziła słodki dreszcz w całym ciele.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Przystanąła, kładąc dłoń na sercu, jak gdyby bała się, że wyskoczy jej z piersi.

Na skraju polany stał Rye z nieodłączną Łajbą. Wpatrywał się w to białe, feeryczne zjawisko, które wirowało na środku polany. Cień słomkowego kapelusza padał na twarz Laury, z szerokiego ronda spływała na ramię zielona wstążka, której koniec kładł się miękko w kwadratowym wycięciu sukni.

Ich oczy się spotkały, zmysły zatętniły. Laura była zbyt szczęśliwa, by czuć zakłopotanie, że oto przyłapano ją na tej zgoła dziecinnej zabawie.

Rye miał na sobie obcisłe brązowe spodnie i białą muślinową koszulę, która ostro odcinała się na tle dzikiego wino. Jeden kciuk zatknął za pas, drugim przytrzymał siatkową torbę przerzuconą przez ramię.

Patrzył na nią bez ruchu, bez uśmiechu, ale serce waliło mu jak oszalałe. Przyszłaś, ukochana! Jednak przyszłaś!

Smukła talia Laury przewiązana była zieloną satynową szarfą w tym samym odcieniu, co wstążka u kapelusza. Szeroka, bufiasta biała krynolina unosiła się na trawie niczym pierzasty obłok, stanik zaś mocno obcisłał zebra Laury i unosił w górę jej biust, który - co Rye mógł wyraźnie dostrzec nawet z tej odległości - na jego widok zaczął się unosić jeszcze gwałtowniej niż przedtem.

Położył torbę i cicho rzucił psu:

- Waruj.

W panującej ciszy Laura usłyszała to słowo i gdy pies przypadł do ziemi, ona stała bez ruchu, jak gdyby Rye mówił do niej.

Rye powoli skierował się ku niej, nawet na moment nie spuszczał z niej wzroku. Jego wysokie buty roztrącały szepczące źdźbła traw. Serce Laury tłukło się pod palcami, które wciąż przyciskała do piersi. Po długiej, pełnej napięcia chwili Rye stanął przed nią, leniwie uniósł dłoń, złapał zieloną wstążkę kapelusza w dwa palce i powoli powiódł nimi w dół, aż otarły się o nagą skórę nad obcisłym stanikiem.

- Jedwab - szepnął, wodząc palcem w górę i w dół pomiędzy wstążką a jej piersią.

Pod jego dotknięciem zaczęła oddychać jeszcze szybciej. Wzrok Rye'a podążył śladem wstążki ku wyniosłym pagórkom jej piersi, a potem bez pośpiechu przeniósł się na jej wargi.

- Tak... - wyszeptała gardłowo. Rye uśmiechnął się leniwie.

- Miła w dotyku - rzekł, nadal bawiąc się wstążką, której śliskie muśnięcia wprawiały Laurę w drżenie. Rye stał tak blisko, że czubki jego butów ginęły pod krynoliną.

Oczy, błękitne niczym niebo w górze, pieczołowicie badały każdy rys jej twarzy. Popołudniowe słońce nadawało ogorzałej cerze Rye'a orzechowy odcień, a bokobrody sprawiały, że wyglądał trochę jak nieznajomy. Dłoń Laury nadal spoczywała pod sercem. Czuła jego przyspieszone bicie i zastanawiała się, czy Rye też je poczuł, kiedy powoli pochylił się i lekko musnął wargami jedwabistą skórę na jej obojczyku, odsuwając wstążkę.

Laurę ogarnęła czysta rozkosz. Jej powieki zamknęły się same, a dłonie objęły jego twarz.

- Och, Rye... - westchnęła, całując jego włosy. Pamiętała ich zapach, zapach cedru zmieszany z aromatem fajkowego tytoniu Josiaha i jeszcze czymś, co w duchu określała mianem zapachu słonej bryzy, nie znajdując innej nazwy.

Rye podniósł głowę, na pozór z ociąganiem, choć tak jak ona płonął z niecierpliwości. Było to jednak zbyt cudowne uczucie, by się spieszyć i na oślep gnać przez tę rozkosz, która tak hojnie została im dana.

- Odwróć się - polecił.

- Ale... - Jego wargi były zbyt kuszące, ich dotyk zbyt podniecający, by chciała zeń zrezygnować.

- Obróć się - rzekł łagodniej, kładąc szerokie ogorzałe dłonie na jej osiej talii. Nakryła je swymi dłońmi i bardzo powoli, nieśmiało, stanęła do niego tyłem. Rye uwolnił ręce i poczuła szarpnięcie, gdy mosiężna spinka wysliznęła się z jej kapelusza.

- Co mam na sobie? - spytał.

- Białą muślinową koszulę, brązowe letnie spodnie, które miałeś na sobie wtedy, kiedy jedliśmy pomarańcze na targu, nowe czarne buty z cholewami, w których jeszcze cię nie widziałam, i ząb narwała na srebrnym łańcuszku w rozcięciu koszuli - wyliczyła bez tchu.

- Bardzo dobrze. Należy ci się nagroda. - Kapelusz pofrunął na trawę, a męskie dłonie znów ujęły jej kibić, jakby była tancerką prowadzoną w obrocie. Potem wargi Rye'a dotknęły jej szyi. Przekrzywiła głowę, napawając się ich bliskością.

- Jest pan bardzo oszczędny w nagradzaniu, panie Dalton - wymruczała, czując, że jej ciało zaraz się zbuntuje, jeśli nie otrzyma więcej niż tę jałmużnę.

- O ile pamiętam, lubiałaś robić to powoli... a może się zmieniłaś? Może wolałabyś dostać wszystko naraz?

Zaśmiała się gardłowo, bo głowę miała odchyłoną do tyłu. Poczula ciepłe muśnięcie słońca na podbródku i równocześnie delikatne ugryzienie w szyję.

- Mmmm... - zamruczał. - Uroczy zapach.

- Jaki?

- Zapach bzu.

- Zgadza się, woda kwiatowa - Laura otarła się o niego zmysłowo. - Ty też otrzymasz nagrodę.

Wiedziała, że się uśmiecha, choć twarz miał zagrzebaną we włosach na jej karku a ona swoją zwróconą ku niebu. Ujęła go za ręce. Przez chwilę nie poruszali się, oddychali tylko coraz szybciej. Jego dłonie były szersze, skóra twardsza, palce dłuższe. Powoli prowadziła je w górę. Uśmiechnęła się, gdy oddech Rye'a załaskotał ją w ucho, a dłonie ciasno objęły jej piersi. Wyobrażała sobie, że oczy ma zamknięte tak jak ona i na jego powiekach też tańczą słoneczne cętki.

- Kochana... - szepnął chrapliwie, na nowo ucząc się jej ciała - czy ja o tobie śnię?

- Jestem tutaj. Jestem tu, przy tobie.

Kiedy dzielili ze sobą tę pierwszą pieśczętę, daleki dźwięk dzwonu popłynął nad łąką - najpierw melodyjna przygrywka, potem godzina: raz... dwa! Wychowali się przy jego wtórze, to on często ostrzegał ich, że spędzany razem czas upływa.

- Druga. Ile mamy czasu?

- Dwie godziny.

Laura odchyliła głowę jeszcze bardziej, szukając jego ust. Utonęli w pocałunku. Rye gwałtownie, niemal brutalnie obrócił ją do siebie. Zarzuciła mu ramię na szyję, drugim objęła w pasie, on zaś trzymał ją tak mocno, że fiszbiny wbiły jej się w skórę. Z uderzeniem

godziny zniknęła cała udawana nonszalancja, echo dzwonu wibrowało w ruchu ich ciał, ocierających się o siebie rytmicznie.

Rye pociągnął ją za sobą na ziemię i upadł głową na jej kolana, tonąc w powodzi białych riuśzek. Wyciągnął rękę, przegiął Laure ku sobie, a ona składała pocałunki na jego zamkniętych powiekach, skroniach, zagłębieniu pod nosem, w kąciku ust, na szyi...

- Och, Rye, wszędzie poznałabym twój zapach. Nawet gdybym oślepla, nie pomyliłabym cię z żadnym innym mężczyzną. Mmmm - mruknęła z nosem zakopanym w miękkie włosy za jego uchem. Rye zachichotał, nie otwierając oczu.

- Czym pachnę? - zainteresował się.

- Cedrem, dymem i solą.

Znów się zaśmiał, potem nakrył ustami jej usta.

Przesunęła dłońmi po jego twardych mięśniach, on tymczasem nacisnął dłonią bok jej piersi, kciukiem sięgając środka, aż sutek nabrzmał boleśnie, domagając się uwolnienia z ciasnego stanika.

Włożyła dłoń między jego koszulę a pokrytą miękkim włosiem pierś. Łańcuszek, o który zawadziła palcem, był rozgrzany od ciała. Rye z chrapliwym jękiem wtulił twarz w jej dekolt, rozchylając łapczywie usta. Poczwała powiew gorącego oddechu i szarpnięcie, gdy zębami złapał materiał sukni.

- Nosisz bryklę? - spytał, uwalniając twarz z białego muślinu.

- Noszę - Laura powiodła palcem wzdłuż linii bokobrodu, od pulsującej na skroni Rye'a żyłki do zakrzywienia pod kością policzkową. - Codziennie od dnia, w którym mi ją dałeś.

- Niech sprawdzę. - Przez chwilę jeszcze jednak nie ruszał się z jej kolan, przypatrując się delikatnym różowym policzkom i brązowym oczom, których powieki przymrużyły się w oczekiwaniu. Potem podniósł się, oparł dłoń tuż obok jej biodra i spojrzał jej prosto w oczy. - Obróć się - polecił łagodnie.

Ukląkł za nią, z szelestem odgarniając spódnice. Włosy, spięte w kaskadę drobnych loczków, spadały jej na kark. Odsunął je, muskając szyję końcami palców, co samo w sobie było bardzo zmysłowe. Wyobraziła sobie jego dłonie, mocne i zręczne, zdolne świetnie sobie radzić zarówno z twardym dębowym drewnem, jak i z kobiecym ciałem. Te dwa kontrastujące ze sobą obrazy podnieciły ją jeszcze bardziej. Rye tymczasem rozpiął suknię aż do pasa. Laura oswobodziła ręce z rękawów i sięgnęła do guzika halki. Rye położył jej rękę na plecach i zaczął delikatnie głaskać zaznaczający się wzdłuż kręgosłupa rowek. Suknia i halka leżały teraz na trawie jak płatki lilii, której środek stanowiła Laura.

Niczym pszczoła spijająca nektar, Rye schylił głowę, pocałował ją w ramię, a potem wyprostował się, by rozluźnić sznurówki gorsetu. Rozchyłały się cal po calu, ukazując zgniecioną koszulę. Gestem polecił jej, by wstała. Podniosła się na drżących nogach, opierając się o niego, by nie upaść, gdy będzie wychodzić ze sztywnego, płóciennego - fiszbinowego futerału. Nadal stała tyłem do Rye'a, odziana tylko w pantalonek i koszulę. Silne opalone dłonie zacisnęły się na jej biodrach i powoli obróciły ją z powrotem. Rye sięgnął do wstążki, ściągającej dekolt koszuli na piersiach, ale nagle zawahał się.

- Sama się rozbierz. Chcę na ciebie patrzeć. Na morzu prześladował mnie ten obraz.

Skierował jej dłonie wnętrzem do góry, ucałował każdą z nich i położył je na wstążkach. Potem przysiadł na piętach, wspominając ich pierwsze wspólne noce.

Laura powoli rozluźniła wstążki. Ogarnęła ją dziwna mieszanka podniecenia i zakłopotania; czuła się zarazem grzeszna i wniebowzięta. Rye nie spuszczał z niej wzroku. Złapała dolny brzeg sięgającej pasa koszulki, ściągnęła ją przez głowę i opuściła rękę, wypuszczając z palców wiotki łaśzek.

Oczy Rye'a przebiegły po jej nagich piersiach, wystawionych teraz na słońce. Stała całkiem bez ruchu, gdy podniósł się na kolana, delikatnie ujął jej biodra i przyciągnął ją do siebie, by ucałować odgnieciony wzdłuż mostka ślad brykli. Potem całował każdą czerwoną zmarszczkę; wiódł po nich końcem języka poczynając od ciepłego zagłębienia pod piersią, w dół, aż do pasa. W końcu objął wargami ciemny, słodki sutek.

Laura zamknęła oczy, poddając się ekstazie. Jedną rękę zaciskała na ramieniu Rye'a, drugą błędziła po jego włosach, a gdy zaczął ssać jej pierś, uchwyciła się go kurczowo. Spazmy pożądania przebiegały jej ciało jak pchnięcia nożem.

- Myślałem, że znam cię na pamięć, ale w marzeniach nigdy nie byłaś tak doskonała, skarbie. Co za delikatna skóra.... - wymruczał Rye, okrążając czubkiem języka skurczony z podniecenia sutek.

Laura sięgnęła przez jego ramię, żeby wyszarpnąć mu koszulę ze spodni. Nie wystarczał jej już ubrany. Rye posłusznie pochylił się, uniósł rękę.

Wtuliła twarz w miękką tkaninę, wdychając jej zapach. Niecierpliwa dłoń jednak wyrwała jej koszulę i odrzuciła na bok.

- Usiądź - odezwał się Rye chrapliwym głosem. Laura usłuchała go natychmiast. Opadła na trawę, odchylając się do tyłu. Patrzyła zafascynowana, jak Rye unosi jej stopę i zdejmuje trzewik. Rzucił go za siebie, zsunął pończochę i sięgnął po drugą nogę.

Tym razem nie spuszczał oczu z jej twarzy. Laura zaś śledziła każdy etap tego podniecającego procesu, każde drgnienie mięśni rozbierających ją rąk. Drugi but i pończocha

wylądowały w trawie. Rye ujął w obie dłonie jej stopę i potarł kciukiem wrażliwe wnętrze. Jego wzrok nadal przesuwiał się po rozczochranych włosach Laury, nagich piersiach i wymiętych pantalonach.

- Jesteś piękna - rzekł.

- Mam rozstępy na brzuchu.

- Nawet one są piękne. Uwielbiam je. Siedząc nadal na piętach z szeroko rozstawionymi kolanami, unióś jej stopę i pocałował wygięcie, potem wgłębienie za kostką, patrząc przy tym, jak wargi Laury rozchylają się i wysuwa się spomiędzy nich czubek języka. Oparł jej podeszwę o swoją pierś, poruszając nią w małym kręgu. Zafascynowana chłonęła każdy jego ruch. Ząb narwala obijał się o jej palce u nóg.

Uśpione od pięciu lat zmysły Laury obudziły się gwałtownie, gdy Rye stopniowo opuszczał jej stopę z piersi na brzuch, do pasa i niżej, opierając ją w końcu na swej gorącej, nabrzmiącej męskości. Przymknął oczy i jęknął. Nacisnęła mocniej. Zakołysał się i spojrzał na nią wzrokiem, w którym gorzała niepoohamowana namiętność.

- Pragnę cię dziś bardziej niż wtedy, gdy miałem szesnaście lat - szepnął, ujmując ją za kostkę. Żar jego ciała buchał nawet przez spodnie.

Głowa Laury odchyliła się w tył, powieki opadły.

- Już myślałam, że nigdy nie poczuję na sobie twych rąk - powiedziała ochryple. - Pragnęłam ich od... od dnia, w którym wyruszyłeś w rejs. To, co się dziś ze mną dzieje, nie zdarzyło się nigdy... przez cały ten czas.

- Opowiedz mi, co się dzieje - zaśmiał się gardłowo, pochylając się nad nią i całując jej odkrytą szyję. Jego dłoń odnalazła gorący, wilgotny trójkąt, gotowy na jego przyjęcie.

Jedyną odpowiedzią był zdławiony jęk, bardziej wymowny niż jakiegokolwiek słowa. Biodra Laury zapraszająco wygięły się w górę. Dotknął jej kobiecości przez pantalon, jak wtedy, w szczenińczych latach, ona zaś otarła się o jego dłoń.

- Pokaż mi się cała - rzekł błagalnie z ustami wtulonymi w jej szyję.

Laura uniosła ociężałą głowę.

- Za chwilę. - Popchnęła go lekko. Rye upadł w trawę, opierając się na łokciach. Teraz role się odwróciły. - Twoje buty - rzuciła rozkazująco.

Bezceremonialnie podniosła jego lewą nogę, natężając się, żeby ściągnąć but. Rye nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc grymas wysiłku na twarzy Laury.

- Czemu... nosisz... takie ciasne buty? - wysapała. - Dawniej były... luźniejsze.

- Są nowe - odrzekł, przyglądając się z uciechą, jak odwraca się i okrakiem siada mu na nodze, migając mu przed nosem różowymi piętami.

- Szkoda, że się nie widzisz, urwisie! - parsknął.

- Nie chce... zejść... - W tej samej chwili but nareszcie się zsunął i Laura omal nie zaryła nosem w ziemię. Roześmiała się, cisnęła but przez ramię i wsunęła dłoń do nogawki, chwytając brzeg wełnianej skarpety.

- Ja ją zrobiłam? - zapytała, przyglądając się jej bacznie.

- Nie, inna dama - w oczach Rye'a zamigotały złośliwe iskierki.

- Ach, tak? - zmarszczyła brwi.

- Moja matka. Znalazłem je w domu.

Laura natychmiast rozpogodziła się. Skarpetka pofrunęła przez łąkę, a w chwilę za nią drugi but i następna skarpetka.

Rye zerwał się nagle i poturlał Laurę po trawie, aż brakło jej tchu. Potem padł na nią i zajrzał w ciemne, błyszczące oczy, chętne usta, przesłonięte częściowo pasmem splątanych włosów, które spadło jej na twarz. Jego wargi nie zważając na nic wpiły się w jej usta, rozwierając je całkiem i wypełniając językiem. Lewa dłoń ścisnęła plecy Laury, prawa zaś niemal brutalnie ugniatała pierś. Kolano Rye'a szorstko wdarło się pomiędzy jej nogi. Wijąc się szaleńczo, przewrócili się na bok, złączeni pocałunkiem, w którego nieokiełznanej pasji brakło miejsca dla subtelności.

- Rye, Rye, nareszcie... Czy to naprawdę ty?

- Tak, to ja, i mam do odrobienia pięć lat. - Jego oddech huczał jak sztormowy wiatr, pierś unosiła się gwałtownie, a w błękitnych oczach szalał pożar. Nagle wypuścił ją, ukląkł nad nią i obcesowo zaczął rozpinąć spodnie. Potem zerwał się i jednym płynnym ruchem pociągnął ją za sobą do pozycji stojącej.

Męskie spodnie i damskie pantalony jednocześnie opadły na ziemię. Laura i Rye mierzyli się wzrokiem niczym dzieci natury, z których jedno miało na sobie tylko ząb narwala, drugie zaś sieć czerwonych, znikających już zmarszczek. Przez krótką chwilę napawali się widokiem swoich nagich ciał, stojąc w wysokiej trawie, oplatanej winoroślą.

Gdy padli sobie w ramiona, siła uścisku omal nie odebrała im resztek tchu. Laura poczuła, że jej stopy odrywają się od ziemi. Rye uniósł ją w górę, całując jej usta i radośnie zakręcił się dookoła.

Po chwili Laura zaczęła się wrywać.

- Rye, postaw mnie, chcę cię pieścić.

- Dotknij mnie tylko, a będzie po wszystkim - rzekł brutalnie.

- Chryste, to już pięć lat!

- Wiem, kochany. Ja też czekałam pięć lat... - Widząc zdziwienie w jego oczach, zdała

sobie sprawę, że powiedziała za dużo. - Rye...

- głos jej zadrżał - postaw mnie... i kochaj...

Wierzchołki drzew uciekły na boki, gdy silna dłoń ujęła ją pod kolana. W chwilę później jej plecy zostały wciśnięte w trawę. Spojrzała na smagłą twarz, otoczoną błękitnym niebem, na wyprężoną, kołyszącą się męskość... sięgnęła po nią i naprowadziła ją.

Był twardym aksamitem, ona płynnym ogniem. Pierwsze pchnięcie nappełniło ją rozsadzającym uczuciem pożądania, którego nie doświadczyła od chwili, gdy po raz ostatni wspólnie celebrowali miłość. Rytm porwał ich oboje i przestali być mężczyzną i kobietą, a stali się jednym.

Prężyli się w promieniach słońca, każdy ruch rzucał drżące cienie na ramiona i twarz Laury. Ząb narwala kołysał się nad jej piersią, potem zaczął rytmicznie uderzać ją w podbródek.

Rye obnażył zęby, chwytając powietrze wielkimi, zachłannymi haustami. Uniosła biodra, wychodząc mu naprzeciw. Tempo wzrosło, jej głowa mocniej wgniotła się w ziemię. Laura zamknęła oczy i wraz z Ryem poszybowała w górę na falach pożogi, która teraz objęła jej wnętrze, wydzierając z ust ochryply krzyk. Rye jęknął głucho, zbliżając się do szczytu, po czym uderzył w nią tak mocno, że podświadomie chwyciła się traw, by mu nie uciec.

Ciało Laury zadygotało w spełnieniu. Krzyk Rye'a poniósł się nad łąką, gdy końcowy dreszcz okrył jego ramiona lśniącymi kroplami potu.

Upadł na jej pierś, z trudem łapiąc oddech. Po chwili poczuł, że wstrząsa nią cichy śmiech. Podniósł ciężką głowę.

- Patrz, co zrobiliśmy - zachichotała. W dłoniach ścisnęła kawały wyrwanej z korzeniami darni. Uniosła obie ręce nad głową, wyrzuciła snopy traw za siebie i mocno oplotła ramionami jego barki. Rye przewrócił się na bok i otrzepał jej dłonie.

- Czyżbym potraktował cię zbyt brutalnie? Uśmiechnęła się do niego czule.

- O, nie, kochany. Właśnie to było mi potrzebne.

- Lauro... - objął ją łagodnie, zamknął oczy i wtulił twarz w jej włosy. - Kocham cię, kobieto, kocham cię.

- I ja cię kocham. Kocham cię, odkąd poznałam, co oznacza to słowo.

Leżeli przytuleni, a bicie ich serc stapiało się w jedno. Słońce delikatnie spijało pot z ich ciał. Po kilku minutach Rye przewrócił się na plecy i wyciągnął ramiona nad głową. Laura leżała na boku, palcami prawej ręki przebierała leniwie włosy na jego piersi. Nie otwierając oczu sięgnął po jej rękę, podniósł ją do ust i odłożył z powrotem.

- Lauro?

- Mhm?

- Co miałaś na myśli mówiąc, że czekałaś na to pięć lat? Milczała przez chwilę, po czym stwierdziła sucho:

- Nic. Nie powinnam była tego mówić. Rye przyjrzał się niebu, po którym płynął samotny biały obłok.

- Dan nie zadowala cię w pełni, czy tak?

Przysunęła się bliżej i dłonią zakryła mu usta.

- Nie chcę o nim rozmawiać.

Rye przewrócił się na bok, oparł brodę na dłoni.

- Ale o to chodziło? - Powiódł czubkiem palca pomiędzy jej piersiami, ku kępcce kędzierzawych włosów, które zatrzymały w sobie ciepło słońca i ciepło jego ciała. Laura drgnęła, choć oczy miała nadal przymknięte. Rye zdecydowanie nakrył dłonią ciemny trójkąt.

- To należy do mnie - rzekł. - Zawsze było moje i myśl, że teraz on się tym napawa, przyprawiała mnie o męki każdej nocy, którą spędziłem samotnie po powrocie. Ale chyba jednak nie posiadał cię całkowicie. - Leciutko cmoknął ją w policzek. - Cieszę się.

Laura otworzyła oczy.

- Rye, nie miałam prawa tego mówić. Powinnam... Zamknął jej usta pocałunkiem. Potem uniósł głowę i kciukiem pogładził jej brodę.

- Lauro, razem uczyliśmy się miłości. To daje nam pewne prawa. Laura wszakże stanowczo stroniła od tematu, który mógłby przyćmić jej radosny nastrój. Uśmiechnęła się.

- Wiesz, na co mam ochotę od twojego powrotu?

- Wydawało mi się, że właśnie to zrobiłaś.

- Nie, nie to. Właściwie to też, ale... chciałam dokładnie zbadać każdy ślad po ospie i twoje bokobrody. - Dotknęła ich ostrożnie. - O, tak...

Rye ze śmiechem przewrócił się na plecy, wciągając ją na siebie.

- Badaj, co tylko chcesz - zezwolił.

Odnalazła koniuszkiem języka wszystkie siedem znamion, kończąc na górnej wardze. Potem powiodła dłońmi wzdłuż jego bokobrodów i zajrzała mu w oczy.

- Podobają mi się - orzekła. - Są takie... męskie. Kiedy cię pierwszy raz ujrzałam, wyglądałeś... no, prawie jak nieznajomy, ktoś pociągający, lecz niedostępny.

Leniwie powiódł ręką po jej biodrze.

- Nadal wydajesz ci się obcy? - zapytał z uśmiechem.

- Pod pewnymi względami się zmieniłeś.

- Jak?

- Na przykład zawsze stoisz tak, jak gdyby okręt w każdej chwili miał się zakołysać. Mówisz też inaczej. Kiedyś wyrażałeś się tak samo jak my, a teraz używasz różnych dziwnych słów i połykasz zgłoski. Obawiam się, że tak ci już zostanie, ale ponieważ jest to czarujące, nie mam nic przeciwko temu.

Rye czule klepnął ją w pośladek.

- Głodna?

- Jak wilk. Zaśmiał się, białe zęby błysnęły w słońcu. Klepnął ją jeszcze raz i rozkazał:

- Wobec tego zejdź ze mnie, wziąłem ze sobą prowiant. Zanim zdążyła wykonać polecenie, została bez pardonu zrzucona na trawę. Usiadła, krzyżując nogi, gdy tymczasem Rye poszedł po swoją torbę. Laura patrzyła, jak w marszu napinają się silne mięśnie jego pośladków i ud. Wyciągnięty obok rzeczy Rye'a pies natychmiast poderwał się czujnie. Rye przyklęknął na jedno kolano, podrapał go czule i potarł uszy za ucho na znak swoich uczuć. Potem oboje wrócili do Laury.

Patrzyła na nich, gdy się zbliżali, i uniosła się nieco na powitanie Rye'a, jakby nie było go całe wieki.

- Chodź no tutaj - wyciągnęła do niego ramiona. Stał tuż przed nią. Przycisnęła twarz do jego podbrzusza i wiotkiego teraz członka, po czym cofnęła się i spojrzała mu w twarz, którą pochylał nad nią z uśmiechem.

- Jesteś pięknym mężczyzną. Mogłabym bez końca patrzeć, jak tak chodzisz sobie nago po łące, i nigdy by mi się to nie znudziło. Kocham cię - oplótła ramiona wokół jego ud.

W niebieskich oczach Rye'a malowało się spełnienie, jakiego nie zaznał od powrotu.

- I ja cię kocham, Lauro Dalton - powiedział. Rozdzielił ich zimny, mokry nos Łajby. Laura odskoczyła, ze śmiechem łajając psa, Rye natomiast czule pogłaskał go po łbie.

- Jest zazdrosna - wyjaśnił, rozwiązując siatkę.

- Co tam masz? - zapytała. Jego dłoń zagłębiła się w środku.

- Pomarańcze! - wykrzyknął nagle, rzucając owoc wysoko ponad głowę. Laura złapała go ze śmiechem. - Dla kobiety, która lubi się dzielić pomarańczami ze swoim mężczyzną w niebywale zmysłowy sposób. - Jego kpiarski uśmieszek był zaraźliwy.

- A, pomarańcze... Powinniśmy byli zaprosić tu również DeLaine Hussey. Ta dama od lat nie może się doczekać, kiedy położy łapkę na twoich pomarańczach.

- Ale ja mam ochotę częstować tylko ciebie - oświadczył stanowczo Rye. Filuterny dołeczek w jego policzku pogłębił się jeszcze, gdy ujrzał, jak Laura siedzi na piętach z wypiętym biustem, ledwie przysłoniętym parą owoców, które trzymała w rękach.

- Moje pomarańcze też są tylko dla ciebie - odparowała z niewinną miną.

Rye uniósł dłoń, żeby nacisnąć owoc.

- Mmmm... masz ładne, duże, soczyste pomarańcze. Zaraz je zjem. - Pochylił głowę, jak gdyby rzeczywiście chciał ją ugryźć, ale Laura odtrąciła go.

- Zapomina pan o dobrych manierach, panie Dalton! Najpierw trzeba grzecznie poprosić.

Przewrócił ją na ziemię i potoczyli się razem, odprowadzani rozleniwionym wzrokiem Łajby.

- Pokażę ci, jak się je pomarańcze, ty mała łasico! Podczas szamotaniny jeden owoc wypadł na trawę, Rye złapał drugi. Zmusił Laurę do poddania się, przytrzymał ją i ukląkł, przyciskając kolaniem jej pierś.

Próbowała go odepchnąć, śmiejąc się resztką tchu.

- Udusisz mnie!

- I wreszcie będzie spokój - rzekł, obierając pomarańczę. Pierwszy kawałek skórki wylądował Laurze na policzku. Potrząsnęła głową, żeby go strącić.

- A zatem - ciągnął Rye - najpierw trzeba pomarańczę obrać:, o, tak... - następny kawałek omal nie wpadł jej do oka.

- Rye, ty przzerośnięty gburze!

- Ale nie obiera się całej, żeby było za co trzymać... Pac! Fragment skórki puknął ją w nos. Laura zmarszczyła się, z całej siły odpychając jego kolano.

- Zejdź ze mnie! Rye z namaszczeniem dalej robił swoje, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej wysiłki.

- A kiedy odsłonisz już najbardziej soczystą część... - ciągnął, upuszczając następny kawałek skórki na górną wargę Laury - można zacząć jeść.

Wciąż starała się go odepchnąć, zagryzając usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Dostojny i krzepki, przygniótł ją do ziemi i, wpatrując się w jej oczy, wbił zęby w pomarańczę. Patrzyła to na jego wargi, pokryte słodkim sokiem, to na jego nagą męskość, kołyszącą się tuż nad nią. Rye odgryzł następny kęs, leniwie przeżuł go i połknął.

- Chcesz trochę? - spytał, unosząc brwi.

- Chcę.

- Ale co chcesz?

- Pomarańczę.

- A gdzie maniery? Najpierw trzeba grzecznie poprosić.

- Czy mogę dostać pomarańczę? Wzrok Rye'a prześliznął się po piersi Laury przypląszczonej jego kolaniem, po białym brzuchu, ciemnym trójkącie włosów, i niespiesznie

wrócił na jej twarz.

- Myślę, że tak - rzekł poważnie. Owoc zbliżył się powoli do jej ust. Rozchyliła je pomału, aż soczysty miąższ dotknął jej zębów. Odgryzła kawałek drapieżnym szarpnięciem, nie spuszczać płonącego wzroku z jego błękitnych, zwodniczo chłodnych oczu. Rye zaczął przesuwając kolanem po jej piersi, aż sutek nabrzmiął od dotyku owłosionej skóry. Laura przełknęła i oblizła wargi.

- Mniem... słodkie - wymruczała.

- Sama słodycz - powtórzył ochryple. Jego wzrok wypalał w niej dziurę.

- Twoja kolej - powiedziała cicho.

- Tak... Jego ciemna dłoń przesunęła się nad nią, trzymając pomarańczę.

Mocny przegub, błękitne żyły biegnące wierzchem dłoni stwardniałej od ciężkiej pracy, świadczyły o sile. Palce Rye'a z wolna zaczęły ścisnąć owoc. Pierwsze chłodne krople pociekły na pierś Laury. Strużka soku pełzła w dół do pępka, potem do pachwiny.

Jasna głowa Rye'a nachyliła się nad nią, język powędrował słodką, wilgotną ścieżką. W sercu Laury rozszalała się burza.

Rye przeżył na morzu pięć lat w towarzystwie osamotnionych mężczyzn. W czasie rejsu tęsknoty i wspomnienia układały się w słowa. Wiele się nauczył z tych opowieści.

Spijając z niej słodki sok, dał jej rozkosz, o jakiej dotąd nawet nie marzyła. Potem obrał następną pomarańczę i wręczył ją Laurze. Jej oczy rozszerzyły się, ale wzięła owoc, i teraz z kolei Rye legł na wznak, by i ona mogła się czegoś nauczyć.

ROZDZIAŁ 12

Popołudnie upływało i musieli zważać, którą godzinę wybija kościelny dzwon. Leżeli na plecach, z nogami przerzuconymi przez podciągnięte kolana tak, że podeszwy ich stóp stykały się. Rye trzymał Laurę za rękę, pocierając machinalnie kciukiem wnętrze dłoni.

- Wiesz, co zrobiłam wieczorem w przeddzień twojego wyjazdu? - zagadnęła go, uśmiechając się na wspomnienie.

- Co takiego?

- Schowałam czarnego kota w balii. Rye ryknął śmiechem i oparł głowę na zagiętym przedramieniu.

- Nie mów mi, że wierzysz w te bajki!

- Już nie. Ale wtedy próbowałabym wszystkiego, byłeś nie odjeżdżał. Ten kot miał sprowadzić silny przeciwny wiatr, by rankiem okręt nie mógł wypłynąć z portu. Cóż, widać mu się nie udało.

Obrócił się, żeby się jej przyjrzeć.

- Czy tęskniłaś za mną tak, jak ja za tobą?

- To było... potworne, straszne... - cień przebiegł po twarzy Laury.

Rye uniósł się nieco i położył jej dłoń na brzuchu.

- Brzuszek ci się zaokrąglił... i biodra też masz szersze.

- Urodziłam ci dziecko, kiedy cię nie było.

- Dlaczego nigdy nie zaszłaś w ciążę z Danem? Czarodziejski nastrój prysł. Laura usiadła, garbiąc plecy i podciągając kolana pod brodę.

- Powiedziałaś, że nie chcę o nim rozmawiać.

- Nie powiedziałaś mu wczoraj, prawda?

- Nie mogłam - Laura oparła czoło na kolanach. - Próbowałam, ale po prostu nie mogłam.

- Zatem kochasz go bardziej ode mnie?

- Nie! - Odwróciła się z ogniem w oczach. - Ale po tobie Dan jest... och, Rye, nie każ mi mówić tych wszystkich smutnych rzeczy, które tylko wzmogą nasze poczucie winy.

- To, że go oszukujemy, nie podoba mi się tak samo, jak tobie. Nie pozwolę jednak, żebyś obłapiała się z nim w nocy, a ze mną we dnie. Dan musi wiedzieć, że między wami wszystko skończone.

- Wiem, Rye, obiecałam, ale... ale muszę wziąć pod uwagę także uczucia Josha.

Rye usiadł gwałtownie i w roztargnieniu szarpnął kępę trawy.

- A twoje uczucia do mnie się nie liczą? Chcesz, bym spotykał się z tobą po kryjomu i kochał raz w miesiącu, gdy tymczasem Dan będzie korzystał ze zobowiązań, jakie masz w stosunku do niego? - Rye gniewnie odrzucił zerwane źdźbło.

- Nie - odparła słabo.

- Wobec tego co zamierzasz? Zgnębiona Laura nie znalazła odpowiedzi. Sięgnęła po ubranie.

Rye wbił wzrok w ziemię. Był wściekły na siebie. Powinien był sam powiedzieć Danowi prawdę i raz na zawsze z tym skończyć.

- Lauro, zrozum, że będzie coraz gorzej. Ty wracasz do niego, mnie odsyłasz do ojca i wszyscy są nieszczęśliwi.

- Wiem. Kiedy wciągnęła pantaloney, dzwon znów się odezwał. Rye włożył spodnie, przyglądając się, jak Laura zawiązuje tasiemkę koszuli. Stojąc tuż za nią, nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Czy Dan często się z tobą kocha?

- Nie - odparła, nie odwracając głowy.

- A odkąd wróciłem?

- Tylko kilka razy. Rye wciągnął drżący oddech i przejechał dłonią po włosach.

- Nie powinienem pytać. Przepraszam - rzekł niezdarnie.

- Rye, z nim nigdy nie było tak jak z tobą... - głos jej zadrżał. - Pewnie dlatego, że... że kocham go z wdzięczności, nie z namiętności, a to wielka różnica.

- I z wdzięczności zostaniesz przy nim, to chciałaś powiedzieć?

- Ja... ja... - Laura miała łzy w oczach. Doprowadzony do ostateczności, Rye przestał dobierać słowa:

- Nie będę czekał na ciebie w nieskończoność. Musisz się zdecydować. I zrób to prędko, zanim wyjadę z tej wyspy na zawsze.

Laura podejrzewała, że w końcu do tego dojdzie. Jak jednak miała oznajmić to mężowi? A synowi?

- Obiecaj! - Rye spojrzał na nią twardo. W całej jego postaci znaczyło się napięcie. - Obiecaj mi, że powiesz mu wszystko jeszcze dziś wieczorem. Możemy od razu wyjechać na kontynent i rozpocząć postępowanie rozwodowe. - Widząc jej wahanie, podjął ostrzej: - Kobieto, jawisz mi się w snach co noc. Idę całymi milami przez plażę, żeby dojsć do ciebie. Widzę cię w każdej chwili dnia. Dla mnie wciąż jesteś żoną. Prosiłaś o czas na zerwanie z Danem, zgodziłem się. Jak długo mam znosić to, że z nim sypiasz?

Laura rzuciła mu się na szyję.

- Powiem mu dziś. Przysięgam na moją miłość do ciebie. Zawsze, odkąd dorosłam na tyle, by zdać sobie sprawę z różnicy płci, istniałeś dla mnie tylko ty. W moim sercu przysięga małżeńska, jaką ci złożyłam, nigdy nie została złamana. Kocham cię. - Odchyliła się, ujęła jego twarz w dłonie i powtórzyła, patrząc mu w oczy: - Obiecuję, że dziś wieczorem powiem mu o wszystkim, a jutro spotkam się z tobą na promie i zrobimy tak, jak powiedziałeś. Pojedziemy na łódź i złożę wniosek o rozwód.

Złapał ją za rękę i gorąco pocałował we wnętrze dłoni, zamykając oczy.

- Kocham cię, Lauro. Boże, jak ja cię kocham.

- A ja ciebie, Rye.

- Do zobaczenia jutro. Leciutko pocałowała go w usta.

- Na promie...

Z tą obietnicą brzmiącą w uszach Laura godzinę później szła z Joshem wysypaną muszlami ścieżką. Kiedy w polu widzenia ukazał się dom, natychmiast wyczuła, że coś jest nie w porządku. Na schodkach siedział przyjaciel Josha, Jimmy Ryerson. Zamiast jednak jak zwykle podbiec do nich, pozostał w miejscu.

- Cześć, Jimmy - Josh puścił się galopem w jego stronę.

- Cześć - odparł Jimm i dodał od razu: - Nie możemy się teraz bawić. Muszę powiedzieć coś twojej mamie, a potem masz przyjść do nas.

- O co chodzi? - włączyła się zaniepokojona Laura.

- Nie mogli pani znaleźć, więc kazali mi tu czekać i powiedzieć, że ma pani zaraz iść na nabrzeże.

Laura rzuciła wzrokiem w stronę zatoki.

- Kto ci kazał? Jimmy wzruszył ramionami.

- Wszyscy. Są tam, na brzegu. Twój tato też, Josh. Podobno łódź twojego dziadka wywróciła się i nie mogą go znaleźć.

Serce podeszło Laurze do gardła.

- Jak to: nie mogą znaleźć? Jimmy bezradnie potrząsnął głową.

- Och, nie! - jęknęła Laura, zakrywając ręką usta. Znów spojrzała ku zatoce. W głowie kłębiły jej się pospieszne myśli: To musi być pomyłka... niemożliwe, żeby Zachary Morgan miał wypadek, znał przecież te wody jak własną kieszeń... wszyscy mnie szukali... przy okazji wyjdzie na jaw, że Rye'a też nie było... gdzie jest Dan? - Od jak dawna tu siedzisz? - zapytała.

- Strasznie długo - skrzywił się Jimmy. - Zabronili mi się stąd ruszać...

Laura zdecydowanym gestem zawróciła obu chłopców w stronę ścieżki.

- Pójdziecie obaj do domu Jimmy'ego i tam na nas zaczekacie. Josh, pamiętaj: nigdzie

nie chodź, dopóki nie przyjdę po ciebie ja albo tato. Biegnę do przystani, żeby go poszukać.

Oczy Josha rozszerzyły się.

- Czy dziadkowi coś się stało?

- Nie wiem, kochanie. Mam nadzieję, że nie. Wyczuwając dramat, Josh nagle się zbuntował.

- Nie chcę iść do Jimmy'ego. Chcę iść z tobą szukać taty i dziadzia.

Choć każda mijająca sekunda zdawała się godziną, Laura przyklękła na jedno kolano i uspokajająco potarła włosy synka.

- Wiem, że wolałbyś iść ze mną, kochanie, ale lepiej będzie, jeśli zostaniesz z Jimmym. Wrócę najszybciej, jak tylko będę mogła.

- Uścisnęła go, siląc się na spokój, choć każdy mięsień jej ciała spiął się już do biegu.

Jimmy przyszedł jej w sukurs.

- Chodź, Josh. Mama upiekła tartą babkę. Dostaniemy po kawałku.

Wizja słodkiego ciasta przemogła sceptycyzm Josha i chłopiec z ociąganiem ruszył naprzód. Laura przez moment patrzyła za nim niewidzącym wzrokiem, czując w sobie coraz większy opór przed zejściem do miasta. Przycisnęła dłoń do ust i zamknęła oczy, myśląc:

- To niemożliwe! To po prostu pomyłka głupiego malca!

Po chwili wszakże podkasła spódnicę i ruszyła w dół niczym fregata w pełnym wietrze - ścieżką wysypaną muszlami, potem piaszczystym traktem, w końcu uliczką. Bruk zahuczał echem jej kroków, gdy przebiegła pusty rynek i gnała dalej ku niebieskiej zatoce, gdzie przed wieczorem wyrósł las masztów. Im bardziej zbliżała się do przystani, tym bardziej narastał w niej strach, widziała bowiem, że na nabrzeżu zebrał się tłum. Wszystkie twarze zwrócone były ku morzu, gdzie kołysało się parę łodzi, ciągnąc za sobą sieci. Zdała sobie też sprawę, że wiatr zmienił się na północny, a wraz z nim kierunek fal. Mielizna, zawsze zdradliwa, najbardziej niebezpieczna była przy północnym wietrze. Mimo to wydawało jej się niemożliwe, by stało się nieszczęście, z tej odległości bowiem grzywacze wydawały się zbyt małe, by komukolwiek zagrozić.

Laura przepchnęła się łokciami przez tłum, ściągając ku sobie ludzkie spojrzenia i przyciszone głosy:

- O, już jest.

- Znaleźli ją.

- Jest Laura. Poważne twarze obracały się ku niej, gdy biegła przez nabrzeże.

Obrzucała je błagalnym spojrzeniem, szukając choć jednej, która niosłaby otuchę. Dyszała ciężko, w oczach miała strach.

- Gdzie... gdzie jest Dan? - wyjąkała. - Co się stało?

Czyjaś dłoń współczująco ujęła ją pod ramię, ale wszyscy najwyraźniej nagle stracili mowę. Laura miała ochotę krzyknąć, potrząsać nimi, zmusić kogoś, żeby wreszcie przemówił!

- Gdzie jest Dan? - powtórzyła nieswoim głosem, wysilając histerycznie ściśnięte gardło.

W końcu doczekała się odpowiedzi.

- Na zatoce. Szuka - odezwał się kapitan Silas, wskazując wzrokiem zbitą grupkę na końcu pomostu. Laura już miała do niej podejść, ale nagle ugięły się pod nią kolana. Uchwyciła się żylastego ramienia Silasa.

- Od... od jak dawna...

- Prawie dwie godziny. Nie dygocz, dziewczyno. Nic nie możesz zrobić. Musisz czekać, jak wszyscy.

- Co... co się stało? Kapitan zacisnął zęby na czereśniowej fajce, zwrócił wyblakłe oczy ku zatoce i odparł sucho:

- Kuter Morganów przewrócił się do góry dnem.

- Przewrócił się? - powtórzyła z niedowierzaniem Laura. - Zach był sam?

- Z bratem, jak zwykle. Tom wypłynął, jest tam z nimi. Wzrok Laury powędrował ku łodziom na zatoce. Przez całe życie bracia Morganowie łowili w niej ryby, a teraz Tom zapuszcza sieci, by wyciągnąć ciało Zacharego...

- Ale jak? - powtórzyła Laura, wznosząc błagalny wzrok na starego żeglarza. - Jak coś takiego mogło się wydarzyć, skoro obaj znają każdy kaprys tych wód?

- Przeciążyli dziób - odparł lakonicznie. Silas przez czterdzieści lat był wielorybnikiem, potem został strażnikiem portu. Widział już wszystko, co mogło się przydarzyć na tych wodach. Z posępnym zrozumieniem przyjmował prawdę, iż życie i śmierć niewiele znaczyły dla oceanu. Człowiek na nim pracował, mógł też na nim zginąć. A morze zawsze było takie samo: podstępne, bezlitosne.

- Dziś był dobry połów - głos starego przypominał skrzypienie przeżartego solą żagla.

- Zostali dłużej, chcieli przywieźć jeszcze parę beczek. Widzieli, że ich znosi, więc zanim wpłynęli do zatoki, przeladowali trochę ryb na rufę. Za mało. Fala ich złapała i fiknęła kozła - Silas pyknął fajkę. - No, i tylko Tom wydostał się na powierzchnię.

Nawet w bezwietrzny dzień nad mielizną tworzyły się grzywacze. Kiedy wiatr pchał je w stronę lądu, tak jak teraz, piętrzyły się o wiele wyżej. Zach i Tom, zadowoleni z udanego połowu, źle ocenili szybkość, z jaką kuter wspiał się na grzbiet fali. Ciężki dziób ześliznął się w dół, fala podbiła kadłub w środku i mały szkuner przewrócił się do góry dnem.

Teraz pozostawało tylko odnaleźć ciało...

Laura spojrzała na koniec pomostu. Matka Dana, Hilda, patrzyła na zatokę, kurczowo zaciskając na ramionach czarny szal, jak gdyby tylko dzięki niemu trzymała się w garści. Obok stała żona Toma, Dorothy, w identycznej pozie. Co myślały, patrząc na żarłoczne wody, w których brat szukał brata, a syn ojca?

Spojrzała w miejsce, w którym utkwiły wzrok obie kobiety. Widok nie miał w sobie za grosz dramatyzmu - ot, kilku rybaków zarzuca sieć na szproty. Z brzegu postacie w łodziach wydawały się maleńkie i nie mogła rozpoznać pośród nich Dana. Jakie myśli chodziły mu po głowie, kiedy sieć raz za razem wynurzała się pusta? I, o Boże, jeśli to trwa od dwóch godzin... Dwie godziny temu leżała z Ryem nago na łące, rozkoszując się zdradą. Ogarnęła ją gorzka fala wyrzutów sumienia.

Patrzyła na napięte ramiona dwóch kobiet na pomoście. Coś w niej krzyknęło: „Boże, co ja zrobiłam!”

Nie wypadało dłużej zwlekać. Podeszła do teściowej. Kobiety z Nantucket od pokoleń uczyły się czekać na swoich mężczyzn z wysoko uniesionymi głowami, i gdy Laura położyła dłoń na ramieniu Hildy, poczuła, jak głęboko wpojono jej tę naukę: plecy starszej kobiety były sztywne jak fiszbin.

- Właśnie się dowiedziałam - szepnęła.

Hilda odwróciła do niej twarz naznaczoną tym samym opanowaniem, jakie promieniowało z kapitana Silasa.

- Dan jest na zatoce - powiedziała. - Tom i inni też. Możemy tylko czekać - dodała, odwracając się.

Laura objęła się za ramiona, dokładnie tak samo, jak Hilda i Dorothy. Przeszył ją dreszcz. Zmrużonymi oczyma spojrzała w morze, nękana wspomnieniem dnia, w którym otrzymała wieść o śmierci Rye'a. Też nie było ciała... Boże, zaoszczędź tego Danowi...

Posłyszała kroki. Z tyłu podeszła do nich starsza siostra Dana, trzymając w dłoniach dwa kubki gorącej kawy. Na widok białej muślinowej sukni Laury i kokieterijnego kapelusza domyślnie uniosła brwi, a w jej zaczerwienionych, podkrążonych oczach wyraźnie odmalowała się wzgarda. Podała kubki matce i ciotce, manifestacyjnie omijając Laurę, jak gdyby chciała zaznaczyć, że bratowa nie jest tu mile widziana.

Laura usunęła się na bok, ale Ruth zmierzyła ją kamiennym wzrokiem.

- Wszędzie cię szukaliśmy. Dan odchodził od zmysłów. Laura przełknęła ślinę. Myśl, że znów będzie musiała kłamać, przyprawiała ją o mdłości.

- Byłam całe popołudnie u Jane.

Ruth znacząco spojrzała na białą suknię Laury, całkiem nieodpowiednią do marszu przez wrzosowiska.

- Mogłaś powiedzieć Danowi, dokąd idziesz.

- Myślałam, że wie. Josh chciał pobawić się z kuzynami. Mina Ruth świadczyła, że nie wierzy w ani jedno słowo Laury. Może dotarli aż do Jane? - zastanawiała się gorączkowo Laura.

A jeśli tak, czy siostra zdecydowałaby się ją kryć?

Ruth bez słowa odwróciła się do niej plecami, odgradzając ją od swojej matki.

Ona wie! - uświadomiła sobie Laura. Wie czy się domyśla? Jeśli wie, wkrótce będzie o nich mówić cała wyspa. Już Ruth się o to postara.

Laura po raz pierwszy rozejrzała się po twarzach zgromadzonych ludzi. Była tu DeLaine Hussey i Ezra Merrill, i nawet kuzyn Rye'a Charles! Całe miasteczko widziało jej spóźnione przybycie. Zadrzała mimowolnie. Czuła się winna nie tylko z powodu dzisiejszej zdrady, lecz także dlatego, że stojąc tu wraz z nimi, bardziej obawiała się, by jej nie wykryto, niż bolała nad tragedią Morganów.

Nie, to nieprawda - powiedziała sobie. - Współczuję im. Ich ból jest także moim.

Ruth Morgan jednak osiągnęła swój cel. Laura poczuła się usunięta poza nawias. Stała o kilka kroków od trójki kobiet, obserwując posepny spektakl na wodzie. Mężczyźni w łodziach wyciągnęli sieci, podnieśli kotwice i skierowali się w stronę brzegu. Z ust Hildy Morgan wyrwał się stłumiony jęk rozpacz. Spojrzała na powracające łodzie i ukryła twarz na ramieniu Dorothy.

Laura czuła się bezradna. Chciała podejść do Hildy, pocieszyć ją, ale musiałaby się wpełznąć między Ruth i Dorothy. Hildo, tak mi przykro - myślała. - Czy to wszystko przeze mnie? Nie chciałam tego, Bóg mi świadkiem, nie chciałam.

Zagryzła wargi, by się nie rozplakać. Łodzie zbliżały się. Boże, spraw, żeby Zachary żył - modliła się w duchu, choć miny wioślarzy świadczyły, iż nie znaleźli ani żywego, ani umarłego. Wypatrzyła wśród nich zbielełą twarz Dana.

Co odpowiem, kiedy spyta, gdzie byłam?

Jakby wiedziona szóstym zmysłem, Ruth odwróciła się i przeszła ją potępiającym wzrokiem. W chwilę później jej spojrzenie przesunęło się gdzieś poza plecy Laury i pozostało tam utkwione, aż w końcu Laura także się obejrzała.

Nieomal tuż za nią stał Rye. Nadal był odziany tak samo, jak po południu. Z powagą popatrzył na Laurę, potem na łódź, w której siedział Dan, i znów na Laurę. Zgadywał, o czym myśli. Miał ochotę podbiec do niej i krzyknąć: „Lauro, to i tak by się stało. Nie ma w tym

naszej winy!”

Laura oderwała od niego wzrok, uświadomiwszy sobie, że Ruth obserwuje tę wymianę spojrzeń. Chłodne oczy szwagierki taksowały ją, jakby była całkiem przezroczysta.

Łodzie przybiły do pomostu i Laura znów ujrzała śmiertelnie bladą twarz Dana, o pustych, wpadniętych oczach. Wciąż miał na sobie ubranie, które włożył rano do biura, a widok jego wytwornego surduta pośród wyświeconych drelichów jeszcze spotęgował poczucie winy Laury. Patrząc na przemoczone do łokci rękawy, na zmięte, zniszczone spodnie, wyobraziła go sobie na wysokim krześle w kantorze, jak podnosi głowę, gdy ktoś zbliża się, by donieść mu o tragedii, potem biegnie do domu, żeby ją powiadomić, ale dom jest pusty. Czy gorączkowo miotał się po izbach, zachodząc w głowę, gdzie jest jego żona? Czy wyruszył na poszukiwanie ojca podwójnie przybity, bo Laury nie było przy nim, gdy jej potrzebował? Czy przez całe popołudnie ciągnął sieci, nękany podejrzeniem zdrady, które dodatkowo przysparzało mu bólu?

Wyczerpani mężczyźni niezdarnie wspinali się na pomost. Tu czekało ich jeszcze cięższe zadanie - stawienie czoła załamany kobietom. Dan podszedł do matki, objął ją, wtulił policzek w jej włosy, ona zaś płakała w jego ramionach, szukając oparcia w synu tego mężczyzny, o którego upomniał się ocean - ojca i męża, którego odebrały im nieubłagane koleje losu.

Laura trzymała się z tyłu, smutna i niepewna. Czekwała, aż Dan ją zauważy. Po chwili przekazał matkę w objęcia wuja, ciotki i siostry i podszedł do żony. Zerknął na Rye'a, potem mocno przycisnął ją do piersi. Objęła go równie mocno, wypełniona litością, wstydem i poczuciem winy. Nad nabrzeżem uniósł się głośny płacz Hildy i Toma. Dan milczał, choć jego krtań, oparta o skroń Laury, drgała konwulsyjnie. Patrzyło na niego całe miasto, przede wszystkim zaś Rye Dalton.

W końcu, jak gdyby nie mógł tego pojąć, wykrztusił z trudem:

- Pływał nad tą ł... łaczą całe życie!

- Wiem, wiem... - Laura nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Dan zakołysał nią, a jego oczy wypełniły się łzami.

- Gdzie byłaś? Szukałem cię wszędzie. Miała uczucie, że ostry cieni przebija jej serce. Zmusiła się, by odpowiedzieć:

- Zabrałam Josha do Jane. Nie było *to* kłamstwo, ale też i nie cała prawda.

- Myślałem, że... - Dan zachłysnął się, urwał i poczuła, że drży. - Potrzebowałem cię.

Oczy miał zaciśnięte, policzek mocno wtulony w jej włosy.

- Jestem tu, jestem przy tobie - zapewniła go, choć połowa jej serca była wraz z

mężczyzną, który czekał kilka kroków dalej.

Dan otworzył oczy i jego wzrok padł na Rye'a. Długoletnia przyjaźń nie umiera tak łatwo jak rybacy z Nantucket... Spojrzenia obu mężczyzn, połączonych tysiącem minionych radosnych dni, spotkały się, świadome dzisiejszej tragedii. Obaj czuli potrzebę bliskości ludzi znanych od dzieciństwa, ukochanych. Potrzebę tak palącą, że nie byli w stanie nad nią zapanować.

Dan wypuścił Laurę i stanął przed Ryem. Chwilę trwali tak, spięci, aż wreszcie Rye zrobił pierwszy krok.

W milczeniu przypadli do siebie z rozpaczą. W obliczu śmierci walka o kobietę poszła w zapomnienie. Obejmując Dana, Rye doznał zarazem współczucia, ulgi i nowej fali wyrzutów sumienia.

- Dan... - rzeki głucho.

- Rye, cieszę się, że tu jesteś. Rye położył szeroką dłoń na przemoczonym rękawie surduta Dana.

- Zaczekam tu z tobą, jeśli chcesz. Zach... Zach zawsze był dla mnie dobry. W ogóle był bardzo dobrym człowiekiem.

Dan zacisnął dłoń na jego przedramieniu.

- Tak, proszę... Matka na pewno chciałaby, żebyś został, i... i Laura też...

Gapie przestępowali niepewnie z nogi na nogę, zerkając domyślnie to na siebie, to znów na Rye'a, Dana i stojącą obok nich kobietę. Na twarzy Laury malowała się rozterka. Ręce ciasno splotła pod sercem, na powiekach drżały jej łzy, które w chwilę potem stoczyły się po policzkach.

Dan wrócił do Laury, Rye zaś podszedł do Hildy. Gdy ją objął, matka Dana rozszlochała się ponownie. Rye szepnął tylko: „Hildo...” i objął dłonią siwą głowę, pozwalając jej się wyplakać.

Czas się cofnął. Rye znów był chłopcem, który wraz z Danem wpadał bez pukania do jej domu. Z dumą pokazywał złowione wraz z Zacharym ryby i zostawał na kolacji, gdy je przyrządziła. Potem obaj z Danem przynosili wodę do mycia naczyń, a Hilda besztła ich bez różnicy, kiedy nachlapali na czystą podłogę. W tamtych czasach Rye ledwie sięgał jej do ramienia; dziś było odwrotnie. Przełknął ślinę i mocniej przytulił ją do siebie.

Laura poczuła bolesny ucisk w gardle. Pamiętała, jak Hilda przyszła ją pocieszyć, gdy otrzymała wieść o rzekomej śmierci Rye'a. Teraz, gdy wszystko wskazywało, iż to jej męża spotkał taki zgon, Rye pocieszał ją.

Dan także na nich patrzył. Grdyka drgała mu konwulsyjnie.

Rzeczowy głos kapitana Silasa wywarł kojący wpływ na wszystkich. Starzec wielokrotnie widział podobne sceny i nauczył się przyjmować je w pokorze ducha.

- Odpływ zacznie się za dwie godziny - rzekł. - Nie ma potrzeby, żebyście tu stali. Idźcie do domu, zjedzcie coś.

Tłum rozstał się, robiąc przejście dla Toma i Dorothy Morgan. Za nimi szła Ruth, podtrzymując Hildę, na końcu zaś Dan otoczony z dwóch stron przez Laurę i Rye'a. Reszta zbiegowiska rozproszyła się, lecz gdy trójka przyjaciół podeszła do starych, walących się ławek pod szopą z przynętami, Dan przystanął.

- Wolę poczekać tutaj, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Kapitan Silas usadowił się na jednej z ławek i cybuchem fajki wskazał drugą:

- Siadaj.

Usiedli po kolei: Rye, Dan i Laura. Dla Laury był to swego rodzaju przejaw działania wyższej sprawiedliwości. Wcześniej tego samego dnia oboje z Rye'em zdradzili Dana, teraz siedzieli po obu jego stronach, wspólnie oferując mu pomoc i wsparcie. Laura trzymała męża za rękę, oparłszy ze znużeniem głowę o poszarzałe deski szopy. Poczucie winy przytłaczało ją. Jeśli Zachary nie żyje, to najprawdopodobniej wielka dłoń sprawiedliwości wyciągnęła się, by wziąć prędko odwet i dać jej nauczkę. Ścisnęła mocniej dłoń Dana. Kiedyż wreszcie morze zacznie się cofać?

Łagodne promienie zachodzącego słońca kładły się na wyspę i zatokę. Brodźce wróciły do gniazd, siewki przenikliwymi głosami zawodziły ostatnią wieczorną piosenkę. Bezustanny krzyk mew przycichł, gdy syte i zadowolone sadowiły się na nabrzeżu i falochronie. Wiatr także ucichł, a delikatny chłupot wody pod pomostem zdawał się jedynym dźwiękiem na świecie, póki z kościelnej wieży nie dobiegł głos dzwonu na nieszpory.

Wkrótce zacznie się odpływ, a wraz z nim żałoba - niezależnie od tego, czy znajdą ciało, czy też nie.

Laura przymknęła oczy, od nowa przeżywając koszmar tych dni, gdy dowiedziała się o śmierci Rye'a. Dan siedział obok niej bez ruchu, pogrążony w apatii. Teraz ona musi mu pomóc, jak on niegdyś pomógł jej. Uniosła powieki, spoglądając na jego zgarbioną postać, i w polu widzenia pojawił się również Rye. Ponownie zamknęła oczy, upominając się, że jest tu z Danem jako jego żona.

Czuła na sobie wzrok Rye'a. Obejrzała się, by stwierdzić, że ze zmęczenia oparł głowę o ścianę, a twarz zwrócił w jej stronę. Ramiona skrzyżowane miał na piersi, kolana rozstawione, stopy płasko wparte w pomost. W jego pełnym miłości spojrzeniu wyczytała wspomnienie wspólnego popołudnia, lecz zarazem brak nadziei. Przez długą chwilę patrzyła

na niego. Potem, jak na komendę, oboje odwrócili głowy ku zatoce.

Dan westchnął. Wyprostował plecy i zgarbił się z powrotem, wbijając wzrok w deski pod nogami. Laura położyła mu dłoń na ramieniu, czując, że Rye odprowadza ją wzrokiem. Dan zerknął na nią, potem znów ku przystani.

- Gdzie Josh? - spytał, jak gdyby szukał dowodu, że świat się nie skończył.

- U Jimmy'ego - odparła.

- Dobrze się bawił?

- Tak... Lubi chodzić do Jane.

- Co robili? Laura usiłowała przypomnieć sobie strzępy informacji, jakimi Josh raczył ją w drodze do domu. Wyczuła, że Rye wstrzymuje oddech, czekając na jej odpowiedź, i nagle oprzytomniała.

- Słone ciągutki. Kątem oka widziała, jak plecy Rye'a odprężają się z ulgą, powieki zaś opadają. Własna dwulicowość doprowadzała ją do rozpacz. Dan przeciągnął się, roztarł kark i zauważył:

- Nie wiem, czy to nie z powodu myśli o jedzeniu, ale cały czas mam wrażenie, że czuję zapach pomarańcz.

Laura splonęła rumieńcem, lecz na szczęście Dan go nie zauważył. Rye zerwał się z ławki.

- Jesteś głodny? - spytał.

- Nie. Wątpię, czy zdołałbym cokolwiek przełknąć. Mimo to Rye odszedł i powrócił z kawą, po czym znów zajął miejsce z drugiej strony Dana, starając się nie patrzeć na Laurę.

Zapadał zmierzch. Wypili kawę. Ktoś przyniósł kanapki, ale ich nie tknęli. Dan znów westchnął, podniósł się z twardej ławki i bez celu przeszedł się po nabrzeżu, patrząc w morze. W tym momencie Laurę i Rye'a dzieliła tylko taka odległość, jaką przedtem zajmowały szczupłe ramiona Dana.

Po chwili wrócił, siadł pomiędzy nimi, bezwładnie oparł się o ścianę i rzekł cicho:

- Wiesz, Rye, pamiętam dzień, w którym dotarła do nas wieść o „Massachusetts”. Czy Laura kiedykolwiek ci opowiadała, co to znaczy zostać wdową po marynarzu?

- Trochę. Mówiła, że to ty pomogłeś jej to znieść. Z krtani Dana wydobył się dźwięk, przypominający nieco gorzki śmiech. Potrząsnął ze znużeniem głową, jakby chciał sobie w niej rozjaśnić, potem pochylił się do przodu, tak iż widzieli tylko pochylone ramiona, i ciągnął głuchym głosem, który zdawał się dochodzić ze straszliwej otchłani:

- To mnie przypadła w udziale wizyta w... w twoim domu i zawiadomienie Laury o zatonięciu twojego statku. Wysłali mnie, bo wiadomość przysłała do kantoru. Oczywiście

wiedzieli, że byliśmy... w wielkiej przyjaźni... - Dan urwał, zwiesił głowę na pierś, po czym znów ją podniósł i nieobecny wzrokiem popatrzył w morze.

Laura błagała go w duchu, by oparł się o ścianę i przesłonił jej Rye'a, ale bezskutecznie. Rye siedział sztywno, ze zmarszczonym czołem.

- Wiesz, co zrobiła, kiedy jej powiedziałem? - spytał Dan. Milczenie.

- Roześmiała się - ciągnął. - Roześmiała się i powiedziała: „Nie bądź głupi, Dan! Rye nie mógł zginąć. Przecież obiecał mi, że wróci.” Lepiej byłoby, gdyby się wyplakała, ale nie, nie wtedy. Załamała się dopiero wiele miesięcy później. W pewnym sensie rozumiem te jej zaprzeczenia, zważywszy, że nie znaleziono przecież twego ciała.

Dłonie Laury były mokre od potu. Żołądek podszedł jej do gardła. Miała ochotę zerwać się i uciec, ale musiała siedzieć tu i słuchać, gdy tymczasem Dan podjął:

- Potem za każdym razem, gdy na morzu widać było żagle, biegła na nabrzeże i czekała na ciebie. Uparła się, że to pomyłka. Wciąż ją widzę biegnącą przez rynek z tym koszmarnym, przesadnie promiennym uśmiechem, i widzę siebie, jak szarpię się z nią, żeby ją stamtąd zabrać. Pamiętam pewien wieczór... na morzu w ogóle nie było żagli. Przyłapałem ją, gdy błąkała się po pustym porcie, jak gdyby siłą woli mogła zmusić cię do powrotu. Powiedziałem jej, że nie ma żadnego statku, że sama się okłamuje, ty nigdy nie wrócisz, a ludzie już zaczynają gadać o biednej obłąkanej Laurze Dalton, która włóczy się po przystani, czekając na zmarłego męża. Uderzyła mnie w twarz. Z całej siły. Ale potem... po raz pierwszy ujrzałem w jej oczach łzy.

Przestań, Dan! - zaklinała go w duchu Laura. - Dlaczego to robisz? Żeby nas ukarać? Dan mówił dalej:

- Stała przede mną z tym zaciętym wyrazem twarzy i powiedziała: „Czy ty nie rozumiesz, że on musi wrócić, bo... bo noszę w sobie jego dziecko?” Wtedy zrozumiałem, dlaczego tak długo nie chciała dopuścić do siebie prawdy.

Laura suchymi oczyma patrzyła teraz na nabrzeże, przypominając sobie te długie godziny, które tu spędziła, błagając morze, by zwróciło jej Rye'a. Wysłuchało jej - ale zbyt późno. Siedział teraz ledwie metr od niej, lecz oddzielała ją od niego przepaść ogromna jak piekło.

- Któregoś dnia - mówił Dan - chyba w listopadzie... pamiętam, że z zachodu nadciągała ulewa, poszedłem za nią. Stała nad urwiskiem i jak zwykle wpatrywała się w morze. Ale tym razem widać było, że dała za wygraną. Boże, jak żałośnie wyglądała; deszcz spływał jej po twarzy, a ona tkwiła w miejscu, jak gdyby w ogóle nie wiedziała, gdzie jest. Była... - Dan przełknął ślinę - była już mocno zaokrąglona i kiedy powiedziałem, że nie

wolno jej wychodzić w taką pogodę, że powinna pomyśleć o dziecku, oznajmiła, że ono nic ją nie obchodzi.

Żadne z trojga nie drgnęło. Plecy Dana, na których skupiony był wzrok Laury i Rye'a, zdawały się wykute z marmuru. Mówił teraz ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Tym razem ja ją uderzyłem, choć Bóg mi świadkiem, że wolałbym paść trupem na miejscu. Pomyślałem... pomyślałem, że ona poszła tam, żeby się zabić... - Dan ukrył twarz w dłoniach. - O Boże - mruknął. Zapadła przygniatająca cisza. W końcu Dan uniósł głowę, wciągnął głęboki oddech i podjął: - Po raz pierwszy porządnie się wypłakała wiele tygodni później. Powiedziała, że jej serce utonęło wraz z tobą. Dokładnie tak powiedziała: „Moje serce utonęło razem z Ryem.” Dopiero wtedy przyznała, że nie żyjesz.

Dan oparł się o ścianę budynku.

- Potem nareszcie zgodziła się, że powinniśmy urządzać pogrzeb.

- Zamknął oczy i ciężko pokręcił głową. - Nigdy więcej nie chciałbym brać udziału w czymś takim. Modliliśmy się za... za...

- urwał, niezdolny dokończyć zdania. Po długiej przerwie odchrząknął.

- Taki pogrzeb jest ciężkim przeżyciem dla kobiety. Nie chciałem, żeby moją matkę również to spotkało. - Nagle zerwał się, zrobił kilka kroków po dudniącym pomoście i przystanął, patrząc na zatokę Nantucket.

Pozostała dwójka gubiła się w domysłach, co spowodowało tę bolesną ekspiację. Zdawać by się mogło, że gotów jest oddać Laurę Rye'owi, przyznając, że zdobył ją niejako przypadkiem. Innym razem znowu miało się wrażenie, że chce uzasadnić swoje oczekiwania w stosunku do Laury i Josha.

Rye Dalton splótł palce na brzuchu. Obrazy, jakie odmalował przed nim Dan, poruszyły go do głębi. Patrzył na jego żalosaną, przygarbioną postać, równocześnie jednak wyczuwał każde drgnienie Laury. Chciał wyciągnąć rękę i wziąć ją w ramiona, całować powieki i koić pamięć cierpień, których jej przysporzył. Pragnął jej dotknąć, potwierdzić, że oboje żyją, że to kto inny zginął w słonych falach. Kochał ją, to za nią tęsknił, ją pragnął mieć obok siebie w tych tragicznych chwilach. Jednakże mógł tylko siedzieć i zaciskać dłonie, by w ten sposób powstrzymać się od pochopnych gestów.

Podniosła się mgła, jej widmowe palce nadały scenerii piętno opowieści o duchach. Mieszkańcy miasteczka wrócili na nabrzeże z ową niesamowitą punktualnością ludzi, których życie regulowane jest pływami morza. Był właśnie ten okres księżycowego miesiąca, w którym różnica poziomu przyływu i odpływu jest największa. Czy przez to szansa, że morze wyrzuci ciało na brzeg, jest większa?

- zastanawiała się Laura. Jakież to dziwne, że mieszkając na wyspie przez całe swoje życie nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Czy ciało napęcznieje, spędziwszy w wodzie cztery lub pięć godzin? Przyglądając się Hildzie, która przybyła w otoczeniu sąsiadów, Laura na nowo przeżywała tamtą grozę, gdy wyobrażała sobie ciało Rye'a w morzu, szarpane przez ryby. Chciała podejść do Hildy i pocieszyć ją, lecz zbyt dobrze wiedziała, że tej udreki nie można ukoić. Jeśli żona uniknie koszmaru, jakim jest pogrzeb pustej trumny, dręczy ją inny - widok zmienionego, zniekształconego ciała lub wręcz jego fragmentów, jeżeli ryb było dużo.

Formująca się grupa przez szacunek dla zmarłego porozumiewała się cichymi, pełnymi uszanowania głosami. Przyniesiono latarnie na wielorybi tłuszcz - dla takiego celu można było poświęcić cenny towar. Kręgi światła, rozproszone w gęstym od soli powietrzu, zdawały się świadczyć, że wieloryby istotnie towarzyszą mieszkańcom Nantucket nie tylko w życiu, ale i przy zgonie.

Kapitan Silas podzielił wszystkich na dwójki i trójki, które miały przeczesywać cały brzeg zatoki. Laura, Rye i Dan znów, jak wiele razy w przeszłości, ruszyli brzegiem wzdłuż szepczących fal. Latem Prąd Zatokowy ogrzewał wody do temperatury dwudziestu dwóch stopni, jednak Rye czuł dreszcz zgrozy, gdy począł boso brodzić przez płycizny, gdzie w każdej chwili mógł nadepnąć stopą na miękkie, bezwładne ciało. Dan i Laura przeszukiwali zwały mokrego piasku, wypełnione pozostawionym przez morze śmieciem.

Rye niósł latarnię. Posuwali się wolniej od innych grup; hamował ich strach, że to właśnie oni natkną się na ciało. W świetle latarni zamajaczył czarny, wydłużony kształt i wszyscy troje stanęli jak wryci, odruchowo szukając się wzrokiem. We mgle i słabym świetle ich twarze były tylko jaśniejszymi plamami.

- Pójdę sprawdzić - zdecydował Rye i ruszył naprzód. Gdy wątłe światło padło na ciemny kształt, odetchnął z ulgą. - To tylko pień! - zawołał.

Szli przez mglisty mrok, dwóch mężczyzn i kobieta, do której obaj rościli sobie prawo. I podczas długich godzin poszukiwań należała do nich obu, a oni do niej, choć żadne nie myślało wówczas tymi kategoriami. Nieufność zniknęła, w oczekiwaniu na niepewną przyszłość zastąpiło ją pragnienie bliskości.

Ciało znaleziono wkrótce po północy, o czym oznajmił im kościelny dzwon. Utknęło na plaży, gdy wody się cofnęły. Słyszac w oddali przytłumiony dźwięk, wszyscy troje poderwali głowy. Stali nieruchomo - Rye nadal po kolana w wodzie, Dan w wyszarganym, wilgotnym ubraniu, a za jego plecami niczym duch Laura w białej sukni, przedstawiającej teraz smętny obraz.

Milczenie przerwał Rye.

- Chyba go znaleźli. Chodźmy. Zawrócili niechętnie, z oporem. Fale delikatnie chlapały ich po nogach. Nocne powietrze było gęste i duszne. Niesamowite uderzenia dzwonu przyprawiły o dreszcz zgrozy.

Rye położył dłoń na karku przyjaciela, dotknięciem wyrażając uczucia zbyt trudne, by dało się je ująć w słowa. Odwrócił się, poskrzypując zawiasami latarni, i stanął obok Dana. Laura, jak na dany znak, podeszła z drugiej strony i razem ruszyli z powrotem, brnąc przez mgłę i niemal stykając się ramionami.

Morze tym razem okazało się łaskawe. Zwróciło Zacha Morgana całego, w nie zmienionej postaci. Za to żywi czuli się okaleczeni wydarzeniami tego dnia i tej nocy. Zanim się rozstali, Dan patrząc przed siebie pustym wzrokiem zachwiał się na nogach, jak gdyby miał zemdleć. Potem z wdzięcznością wyciągnął do Rye'a rękę i nagle dwaj mężczyźni padli sobie w ramiona. Laura stała obok w dryfującej mgle.

Wypuściwszy Dana, Rye odwrócił się do niej i powiedział miękko:

- Połóż go do łóżka. Musi odpocząć. - Mówiąc to, miał wrażenie, że on sam także tonie.

Laura podniosła na niego zmęczone oczy. Łzy pozostawiły na jej policzkach wyprane z barwy linie, w których odbijało się światło latarni. Nagle zbliżyła się doń niczym mglista zjawia i przycisnęła policzek do jego policzka, na ułamek sekundy kojąc jego ból.

- Dziękuję ci, Rye.

Kiwnął głową bez słowa, widząc, jak Dan nadal wpatruje się przed siebie. Po chwili ściana mgły zamknęła się za obojgiem i Rye został sam.

Dźwigając zmęczone nogi po schodach na piętro, wyobrażał sobie, jak leżą obok siebie, pocieszają się wzajem. Padł na łóżko z ciężkim westchnieniem i zamknął oczy. Jakżeby chciał, by i jego objęły kochające ramiona. Wydarzenia dnia przemknęły mu przed oczyma rozmazaną smugą. Odwrócił się do ściany i zwinął w kłębek.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zaczął płakać. Szlochał jak dziecko z poczucia beznadziei i żalu. Z kąta podniósł się ociężały kształt. Pies niepewnie stanął przy łóżku i wydał z siebie cienki, współczujący skowyt. Josiah za to milczał jak grób. Łajba znów zaskomlała, czekając, aż ciepła czuła dłoń wyciągnie się, by ją uspokoić, lecz szloch nie ustawał. Oparła brodę o wstrząsane łkaniem plecy swego pana, popiskując cichutko nawet wtedy, gdy Rye nareszcie zasnął z wyczerpania.

ROZDZIAŁ 13

Pogrzeb Zacha Morgana odbył się dwa dni później. Dzień był bezchmurny, mewy śmigały po lazurowym niebie, gdy żałobnicy licznie zgromadzili się wokół grobu tworząc krąg. Znajdowała się wśród nich matka Laury w towarzystwie Jane i Johna oraz wszystkich ich dzieci. Przybył Josiah, a także ciotki, wujowie i kuzyni zarówno Dana, jak i Rye'a - na wyspie bowiem prawie wszyscy byli w jakimś stopniu spokrewnieni. Ostatnie wyrazy szacunku dla zmarłego składali przyjaciele: Starbuckowie, DeLaine Hussey i pracownicy kantoru, który tego popołudnia został zamknięty.

Laura miała na sobie czarną suknię z krepy i kapelusz z woalem zakrywającym jej twarz aż do podbródka. Owo zwyczajowe na takie okazje nakrycie głowy do tego stopnia przypominało odwróconą węglarkę, że zwykle tak je nazywano. Stała razem z Danem i jego rodziną, Rye zaś znalazł się naprzeciw, z drugiej strony grobu. Laura przyjrzała mu się zza gęstego welonu. Przybrał tradycyjną pozę żałobnika - rozstawił nogi, dłonie złożył jedna na drugiej przed sobą. Monotonny głos pastora długo unosił się nad zgromadzeniem. Potem zapadła cisza.

Josh poruszył się nerwowo i pociągnął ją za rękę.

- Czy oni zakopią dziadka w ziemi? - rozległ się wyraźnie jego płaczący głosik. - Ja nie chcę, żeby go zakopywali.

Natychmiast, jakby w odpowiedzi, tu i ówdzie rozległy się stłumione łkania. Laura pogłaskała synka po głowie dłonią w czarnej rękawiczce. Podniósłszy wzrok, spostrzegła, że Rye patrzy na nią bezradnie.

Dan wziął malca na ręce i szepnął coś do niego, zbyt cicho, by Rye mógł usłyszeć. Mała rączka oparła się na jego policzku. Laura także nachyliła się ku nim, jej głowa przylgnęła do pleców Josha i przez chwilę zajęci byli tylko sobą. Kiedy się odwróciła, Rye patrzył na nich wciąż z tym samym bólem. Czując, że Ruth ją obserwuje, spuściła wzrok na okrytą czarnym kirem trumnę, którą zdobiły letnie mieczyki i ogrodowe chryzantemy.

Zaintonowano modlitwy końcowe i odśpiewano ostatni hymn. Na ciche polecenie pastora czterej mężczyźni - wśród nich Rye - pochylili się, by spuścić trumnę, spoczywającą na deskach nad otwartym grobem. Liny zatrzeszczały cicho i trumna, kołysząc się lekko po-
płynęła w głąb. Rye przyklęknął na jedno kolano, wyciągając linę. Laura tymczasem próbowała zapanować nad nową falą łez. Mrugając oczyma, by je strząsnąć, dostrzegła jasne ślady piasku na spodniach Rye'a. Nowy przypływ żalu przeszył jej serce. Chciała podejść do niego, strącić mu piach z kolana, a troskę z czoła. Jego oczy mówiły jej setki rzeczy, ale na

pierwszy plan wysuwało się pytanie: kiedy? Skoro teraz wszystko się zmieniło... kiedy?

Odwróciła się, niezdolna pokrzepić go spojrzeniem, choć w głębi duszy bardzo tego pragnęła. Pierwsza łopata piachu upadła na trumnę. Hilda wybuchnęła płaczem, Dan stał obok z oczyma pełnymi łez i trzymał na rękach Josha, który nic nie rozumiał, choć surowy zwyczaj jemu także nakazywał udział w ceremonii.

Po pogrzebie żałobnicy udali się do domu Toma i Dorothy Morganów na poczęstunek dostarczony przez krewnych i przyjaciół z całej wyspy. Czarno ubrane matrony wystawiły na stół mięsiwa, chleb i ciasta oraz wazy z napitkiem. Bez przerwy zmywano naczynia i sztuce. Piwa było pod dostatkiem, bo tu, na Nantucket, stanowiło ono napój tak powszechny jak woda, każdy zaś statek wielorybiczny zabierał ze sobą wiele jego beczek jako antidotum przeciw skorbutowi.

Dom Toma Morgana, zbudowany z niemalowanych desek jak większość domostw na wyspie, składał się z saloniku, dwóch alków i stryszku, nie starczało więc miejsca, by pomieścić wszystkich, którzy przyszli złożyć kondolencje. Rye został w ogrodzie wraz z liczną grupą mężczyzn, którzy pili piwo, palili fajki i wymieniali nowiny. Pewien absolwent Harvardu nazwiskiem Henry Thoreau udoskonił ostatnio nowy wynalazek nazywany ołówkiem. Powiadano też, że wielorybom grozi wytępienie, choć niektórzy uważali ten pogląd za szaleńczy... Rozmowa przeniosła się na zyski, jakie można by było osiągnąć, wykorzystując statki wielorybiczne do holowania lodu z Nowej Anglii w tropiki.

Zainteresowanie Rye'a zbladło zupełnie, gdy z bokówki wyszła Laura z wiadrem. Skierowała się przez podwórko do studni i nachyliła nad cembrowiną, starając się przyciągnąć sznurowy uchwyt. Rye szybko rozejrzał się, szukając wzrokiem Dana, ale go nie dostrzegł, przeprosił więc rozmówcę i podszedł do studni. Wodę czerpało się za pomocą długiego drąga, osadzonego na rozwidlonej podporze, mocno wkopanej w ziemię. Jego dłuższy koniec wznosił się nad otworem studni, krótszy zaś obciążał spory kamień, przez co łatwo było wyciągnąć z niej pełne wiadro, o wiele trudniej jednak opuścić puste w dół. Kiedy podszedł, Laura wsparta o cembrowinę z całych sił ciągnęła przywiązaną do żurawia linę.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Rye! - Zaskoczona, wyprostowała się gwałtownie. Lina wyśliznęła się jej z palców i ramię żurawia uciekło w górę. Laura szybko rozejrzała się dokoła, przyciskając dłoń do serca. Zdjęła kapelusz, woal nie zakrywał już jej twarzy.

- Wyglądasz na zmęczoną, maleńka. Ciężko to zniosłaś? - Rye złapał linę, ale nie uczynił nic ponadto. Z uwagą zajął w strapione oczy Laury.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Lauro... - zrobił krok w jej stronę.

- Rye, opuść to wiadro. Ludzie patrzą. Szybkie spojrzenie potwierdziło jej słowa, Rye zajął się więc czerpaniem wody. Stopniowo opuszczał drewniane wiadro, aż usłyszał pluśnięcie głęboko w dole.

- Lauro, to nic nie zmienia.

- Jak możesz tak mówić?

- Nadal cię kocham. Wciąż jestem ojcem Josha.

- Rye, ktoś cię usłyszy. Wiadro wyjechało w górę. Rye przytrzymał uchwyt, gdy zawisło nad studnią, ociekając wodą, której krople budziły w głębi melodyjne echa.

- Niech słyszą. W całej okolicy nie ma nikogo, kto by nie wiedział, co do ciebie czuję... i że najpierw należałaś do mnie.

Laura chyłkiem zerknęła na zebranych w ogródku mężczyzn i cienie pod jej oczami jeszcze się pogłębiły.

- Proszę cię, Rye - szepnęła. - Podaj mi to wiadro. Sięgnął nad cembrowinę i dźwignął skopek, aż silne mięśnie zagrały pod rękawami czarnego surduta. Zignorował jej wyciągniętą rękę i ruszył z wodą do tylnej przybudówki, nie pozostawiając Laurze innego wyjścia, jak tylko udanie się za nim. Lawirując wśród sągów drewna, cebrów i balii, przystanął, żeby przepuścić ją przodem. Weszli do bokówki, niknąc gapiom z oczu.

Laura zerknęła niespokojnie ku drzwiom saloniku, były jednak zamknięte.

- Rye, nie mogę...

- Pst! - jego palec dotknął jej warg. Dotyk dłoni Rye'a podziałał jak balsam, ale Laura z wysiłkiem odsunęła się.

- Rye, nie dotykaj mnie. Sprawiasz tylko, że jeszcze mi ciężiej.

- Lauro, ja cię kocham...

- I nie powtarzaj tego. Nie teraz. Wszystko się zmieniło, nie rozumiesz?

W jej ciemnych oczach dostrzegł coś, czego wolałby nie widzieć.

- Dlaczego to musiało się stać właśnie teraz? - spytał z rozpaczą.

- Może to ostrzeżenie dla nas. Jego twarz stężała.

- Nie mów tak! - syknął. - Nawet o tym nie myśl! Śmierć Zacha nie ma z nami nic wspólnego, nic!

- Tak sądzisz? - Laura przyjrzała mu się ze spokojem.

- Tak!

- Więc dlaczego mam wrażenie, jakbym osobiście przewróciła tę łódź?

- Lauro, wiem, że cię to dręczy, ale nie pozwolę ci wierzyć w takie brednie. - Ścisnął

ją za ramię, aż zatrzeszczał krepowy rękaw.

- Ach, tak? Nie spuszczała z niego wzroku, zmuszając do rozważenia tej upiornej możliwości. Chciał upierać się przy swoim, ale nie był w stanie. Zachodzące słońce odbijało się od białych muszli za drzwiami i oświetlało twarz Laury z dołu, nadając jej eteryczny poblask. Wyglądała niczym anioł Sądu Ostatecznego. Sięgnęła po uchwyt wiadra, lecz Rye nie wypuszczał go z rąk. Patrzył na nią, pragnąc jej bardziej niż kiedykolwiek, zwłaszcza teraz, gdy znów zakosztował jej ciała. Samo ciało jednak już mu nie wystarczało. Marzył o powrocie do dawnego życia, spokoju, wspólnego domu. Ponadto miał syna. Mimo to Rye Dalton, opętany tęsknotą, nie potrafił zaprzeczyć słowom Laury, ani zmusić jej do powrotu, który znów odwlekał się do czasu, gdy Laura sama do tego dojrzeje. Ich dłonie spoczywały obok siebie na sznurze. Drugą ręką Rye dotknął jej podbródka.

- Czy to źle, że chcemy być ze sobą, skoro się kochamy?

- To, co zrobiliśmy, było złe, Rye. W jego oczach od nowa odmalował się ból.

- Jak śmiesz tak twierdzić, Lauro, wiedząc, co nas łączy, co zawsze nas łączyło? Nie możesz teraz odejść i...

Kuchenne drzwi otworzyły się nagle.

- O, przepraszam - wycedziła cierpko Ruth Morgan. - Zaczynaliśmy się już martwić, czy Laura nie wpadła do studni, ale, jak widzę, zatrzymał ją ważny powód.

Rye rzucił jej pogardliwe spojrzenie, myśląc przy tym, że gdyby kiedykolwiek serce Ruth Morgan drgnęło dla mężczyzny, nie drażniłby jej tak bardzo widok cudzych uczuć. Ta zasuszonej starej panny nie wiedziałyby, co robić z chłopcem, nawet gdyby zesłało go jej niebo - dodał w duchu, wchodząc do głównej izby i głośno stawiając wiadro na podłodze.

W miarę upływu dnia Laura czuła narastające zmieszanie, jej szwagierka bowiem jawnie dawała wyraz swym uczuciom. Ostentacyjnie zgarniała spódnice, gdy podczas prac kuchennych otarły się przypadkiem o jej suknię. Laura miała nadzieję, że Rye sobie pójdzie, ale on wciąż siedział, chociaż zapadł zmrok i mężczyźni wrócili do izby, żeby dalej pić piwo. Dan pozwolił sobie na zbyt wiele i osiągnął ten etap pijaństwa, w którym ludzie tracą humor i zaczynają uważać się nad sobą.

Siedział wraz z innymi przy dużym stole, zwiesiwszy głowę. To jeden, to drugi łokieć zsuwał mu się z blatu.

- Staruszek, chciał, żebym został rybakiem - Dan chwiejnie przysunął się do sąsiada po lewej i mętными oczyma zajrzał mu w twarz. - Ale ja nie lubię smrodu ryb, prawda, Lauro? - odchylił się, spoglądając na żonę, która siedziała z kobietami. Rye stał przy kominku za jego plecami.

Laura wstała.

- Chodźmy już, Dan.

- Co się stało? Czyżby Rye sobie poszedł? - Dan uśmiechnął się porozumiewawczo do mężczyzny obok, po czym wykonał szeroki gest ręką. - Bez Rye'a Daltona dla mojej żony nie ma zabawy. Czy mówiłem wam kiedy...

- Dan, jesteś pijany - przerwał mu Rye, podchodząc do niego z tyłu. - Zostaw ten kufel i idź do domu. - Wyjął naczynie z dłoni Dana i równie stanowczo, jak głośno odstawił je na stół.

Dan obrócił się do tyłu, mrużąc zażawione oczy.

- No, patrzcie ludzie, toż to mój przyjaciel Rye Dalton, ten sam, z którym mam wspólną żonę - uśmiechnął się złośliwie.

Goście z zakłopotaniem spoglądali w bok. Zaszurało parę stóp, których szmer w nagle zapadłej ciszy rozległ się jak grzmot.

- Dość tego, Dan! - syknął ostrzegawczo Rye, świadom, że Laura z Joshem czekają przy drzwiach, a Ruth Morgan ciekawie przygląda się im z kąta.

- Chciałem opowiedzieć historię o muszkietierach, którzy od dziecka dzielili się wszystkim. Ale podejrzewam, że i tak każdy ją zna. - Wzrok Dana okrążył stół, zatrzymując się na każdej twarzy, po czym wrócił do Rye'a. - Tak... Chyba wszyscy już o tym wiedzą. Nie ma sensu opowiadać im czegoś, o czym wiedzą, prawda? Gdzie ta nasza żona, Rye?

Laura była pąsowa jak mak, na twarzy Rye'a zaś legła gradowa chmura. Ledwie się hamował, by nie uciszyć Dana za pomocą pięści.

- Laura jest twoją żoną - rzekł sucho. - Właśnie czeka, aż odzyskasz przytomność i zabierzesz ją do domu. A zatem przestań robić z siebie durnia.

Przymglone oczy zwróciły się ku kręgowi twarzy.

- Czy ja robię z siebie durnia?

Jeden z mężczyzn odezwał się z ociąganiem:

- Czemu go nie posłuchasz? Zabierz żonę i idź spać. Dan uśmiechnął się głupkowato, po czym kiwnął głową.

- Tak, chyba masz rację. Bo jeżeli ja tego nie zrobię, mój najlepszy przyjaciel gotów mnie wyręczyć.

- Dan! Zapomniałeś, że w pokoju jest twój syn? - warknął wściekle Rye.

- Mój syn ... Tak, na ten temat też warto by zamienić parę słów... Rye nie czekał dłużej. Z siłą wielokrotną przez furję złapał Dana za ramiona i wywłókł na środek izby, omal nie przewracając stołu. Odwrócił go, chwycił za klapy surduta i wycharczał przez

zaciśnięte zęby:

- Twoja żona czeka, aż odprowadzisz ją i dziecko do domu. Zrób to, bo inaczej pięścią nauczę cię rozumu!

Nieco przetrzeźwiały Dan uwolnił się z uchwytu, poprawił surduty i zachwiał się, próbując przybrać godną postawę.

- Zawsze robiłeś z nią, co chciałeś, Rye, poczynając od... Pięść Rye'a świsnęła w powietrzu i z rozmachem uderzyła go w żołądek, nie pozwalając dokończyć zdania. Dan tylko jęknął i zwałił się wprost w ramiona Rye'a.

Skamieniały dotąd Josh nagle ożył. Rzucił się Danowi na pomoc, wrzeszcząc:

- Tatusiu! Tatusiu! Uderzyłeś tatusia! Rye schylił się i zarzucił na ramię bezwładne ciało niczym worek kartofli. W tej samej chwili drobne piąstki zaczęły łomotać go po brzuchu, a dziecięcy głosik krzyczał:

- Nienawidzę cię! Postaw go w tej chwili! Nienawidzę cię za to, że uderzyłeś mojego tatę!

Wszystko stało się tak szybko, że Laura osłupiała. Dopiero po chwili udało jej się oderwać Josha od Rye'a i poprowadzić do wyjścia.

Rye poprawił sobie ciało Dana na ramieniu i zwrócił się do oszołomionych gospodarzy:

- Przepraszam za tę scenę, ale Dan miał dziś ciężki dzień. Wyrazy współczucia z powodu śmierci brata. - Potem rzucił do Laury, ignorując ciekawe spojrzenia: - Chodź, trzeba go położyć, i małego też.

Wyszli nie oglądając się. Zdawali sobie sprawę, że dali pozostałym wiele do myślenia. Rye pruł przed siebie tak szybko, że Laura ledwie mogła za nim nadążyć. Ciągnęła za rękę wciąż płaczącego Josha.

- Dlaczego on uderzył tatusia? - chlipnęła. Rye szedł przodem, nie oglądając się.

- Tatuś wypił za dużo piwa - bąknęła Laura, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- Ale on go uderzył!

- Cicho bądź, Joshua. Szli przez mrok, kierując się odgłosem kroków Rye'a. Laura z ciężkim sercem zdała sobie sprawę, że Josh jest za mały, by cokolwiek pojąć.

- I zakopał dziadziusia... - dodał malec z urazą.

- Josh, powiedziałam ci, żebyś był cicho! Szarpnęła go mocniej i oskarżenia przerodziły się w cichy pomruk, przerywany pociągnięciami nosem. Laura poczuła wyrzuty sumienia. Wzięła synka na ręce i niosła go przez resztę drogi, czując na szyi jego mokłą

twarzyczkę.

Od rozwidlenia kierowali się chrzęstem muszel. Rye zatrzymał się dopiero pod drzwiami, wpuszczając ją pierwszą. Stał z ciężarem, który teraz mocno mu już doskwierał, czekając, aż Laura odnajdzie krzesiwo i zapali świece. Kiedy wokół zabłysło parę wątych płomyków, Laura odnalazła wzrokiem Rye'a.

- Przebierz się w koszulkę, zaraz do ciebie przyjdę - poleciła synkowi, wzięła świecę i pierwsza weszła do sypialni. Rye zwałił bezwładne ciało Dana na łóżko. Prostując się, powiódł wzrokiem od uchylonych drzwi szafy, skąd widać było wiszącą odzież Laury i Dana, do komody, na której prócz miednicy i dzbanka leżał kościany grzebień. Gdy wreszcie spojrzał na Laurę, stojącą w progu z dłońmi przyciśniętymi do piersi, minę miał oficjalną i zimną.

- Lepiej go rozbierz - powiedział. Laura pokonała dławienie w gardle i weszła do izdebki. Było tu ciasno, i gdy zbliżyła się do łóżka, Rye usunął się na bok. Stanął w drzwiach, ona zaś pochyliła się nad Danem i zaczęła zdejmować mu buty.

Obserwował, jak podnosi najpierw jedną nogę, potem drugą, i cicho stawia buty obok łóżka. Rozluźniła krawat, wyjęła go spod kołnierzyka i położyła na komodzie. Rozpięła guzik pod brodą... Rye przypomniał sobie, jak niedawno Laura rozbierała go na łące. Zmarszczył brwi. Laura przysiadła na brzegu łóżka, usiłując ściągnąć z Dana surdut, ale bezwładne ciało stawiało opór, i w końcu Rye powiedział:

- Zostaw go mnie. Idź zajrzeć do chłopca. Kiedy wstała, zobaczył, że w oczach ma łzy, a wargi jej drżą. Minęła go w drzwiach, przytrzymując spódnice tak, by o niego nie zawadzić.

Rye zdjął z Dana surdut, spodnie i koszulkę, udało mu się też wepchnąć go pod pierzynę. Nieprzytomna, chrapiąca kopa siana. Przyjrzał mu się przez chwilę i tym razem bez pośpiechu rozejrzał się po pokoju. Podeszedł do komody, podniósł grzebień Laury i pociągnął kciukiem po jego zębach. Musnął dłonią ręcznik wiszący obok lustra na ścianie. Potem jednym palcem powoli otworzył mahoniowe drzwi szafy. Rozchyliły się bezgłośnie. Rye cofnął palec i wsadził go do kamizelki, oglądając tymczasem sukienki Laury, przemieszane z garderobą Dana. Dotknął rękawa żółtej sukni, w której widział ją na targu, dwoma palcami zmiał materiał, po czym ze znużeniem opuścił dłoń i westchnął. Cicho zamknął drzwi szafy, zerknął na śpiącego na łóżku mężczyznę i zdmuchnął świecę.

Laura siedziała przy dziecku, tuląc je do snu. Rye nie miał zamiaru się zbliżyć, lecz pokusa okazała się zbyt wielka. Powoli podeszedł i przez ramię Laury zerknął na twarz chłopca, wciąż opuchniętą i czerwoną od płaczu.

- Dobranoc, kochanie - Laura nachyliła się, by ucałować synka. Ale wargi Josha wciąż drżały, a oskarżycielski wzrok utkwiał w mężczyźnie, którego postać majaczyła za plecami matki. Rye postąpił krok bliżej, opierając się lekko o plecy Laury. Sięgnął ponad jej ramieniem i stwardniałą dłonią dotknął jasnych, miękkich włosów chłopca. W oczach Josha malowała się czujność, obawa i gniew.

- Przepraszam, że uderzyłem twojego tatusia.

- Mówiłeś, że jesteś jego przyjacielem.

- Bo jestem.

- Nie wierzę ci! - Bródka dziecka zatrzęsała się. - I... i zakopałeś w ziemi skrzynkę, w której był mój dziadzius.

- To twój dziadzius nauczył mnie łowić ryby, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie. Ja też go kochałem, ale teraz nie żyje. Dlatego pochowaliśmy go na cmentarzu.

- I już nigdy więcej go nie zobaczę? Rye ze smutkiem potrząsnął głową. Po raz pierwszy doświadczył, że ojcostwo ma także i swoje bolesne strony. Josh spuścił wzrok i dźgnął palcem w koc.

- Tak myślałem, ale nikt nie chciał mi powiedzieć na pewno. Rye poczuł, że Laura drży, i lekko oparł jej dłoń na ramieniu.

- Nie chcieli cię martwić. Myśleli, że nie rozumiesz, skoro masz dopiero cztery latka.

- Niedługo skończę pięć.

- Tak, wiem. Jesteś więc dość duży, by zrozumieć, że twój... tatuś będzie bardzo tęsknił za swoim tatusiem. Trzeba go pocieszyć. - Rye zerknął na pochyloną głowę Laury. - I twoją mamę też - dodał tkliwie.

Niezdolna dłużej wstrzymać cisnących się do oczu łez, Laura ponownie ucałowała Josha.

- Śpij, kochanie. Będę tu, w pokoju. Malec obrócił się do ściany i zwinął w kłębek. Kiedy jednak poczuł, że matka wstaje, odwrócił się prosząco:

- Nie zamykaj drzwi, mamusiu.

- Dobrze, synku. Zostawiła alkówkę szeroko otwartą, ocierając łzy z oczu. Panowała cisza, tylko z sypialni dochodziło miarowe pochrapywanie Dana. Rye stanął za nią wpatrując się w misternie upięty węzeł włosów na karku, w fakturę czarnej żałobnej sukni, okrywającej pochylone ramiona. Położył na nich ręce, Laura zaś ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się cicho.

- Oj, kochanie... - szepnął, tuląc ją do piersi. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i podał jej, sam bliski łez.

- Rye, tak mi wstyd, że bolałam nad nami nie mniej niż nad Zacharym!

Obrócił ją twarzą do siebie i objął, zakotłosał lekko jak dziecko.

Josh usłyszał szloch matki. Spuścił nogi z łóżka i stanął niezdecydowanie za skrzydłem drzwi, patrząc na szerokie plecy mężczyzny, który ją obejmował. Mama zarzuciła mu ręce na szyję, a on ją tulił, dokładnie tak samo, jak mama czasami tuliła jego, kiedy płakał. Przyglądał się w milczeniu; nie był pewien, czy powinien mieć pretensje do Rye'a za to, że uderzył tatę. Zdawać by się mogło, że mama będzie zła, ale tak nie było. To właśnie u niego szukała pociechy - tak, jak Josh u niej, gdy niosła go do domu. Przypominał sobie, iż Rye sam powiedział, że mama teraz tego potrzebuje. Josh wspiął się z powrotem na posłanie, ze zdumieniem dochodząc do wniosku, że widocznie mamusie też czasem chcą, żeby je przytulić.

Laura płakała gorzko, wylewając z siebie całą żalność, nagromadzoną w ciągu minionych trzech dni.

- Lauro... - Rye dotknął ustami jej włosów.

- Przytul mnie, Rye, och, przytul mnie... Mój kochany, ile ty musiałeś ostatnio wycierpieć!

- Sza, miła, sza... - szepnął miękko, ale Laura nie dała się uciszyć.

- Serce omal mi nie pękło, kiedy zobaczyłam cię z Danem na nabrzeżu. A potem, kiedy szukaliście Zacha... Och, Rye, tak bardzo chciałam ci powiedzieć, że Kocham cię za to, co robisz dla niego. On... on tak bardzo cię wtedy potrzebował. Czasami myślę, że to przeznaczenie ciągle od nowa splata nasze losy, wiedząc, że potrzebujemy się wszyscy troje.

- Do diabła z przeznaczeniem! Mam go już powyżej uszu! - głos Rye'a zadrżał. Trzymał ją w objęciach i głaskał po głowie.

- Rye, tak mi przykro z powodu zachowania Josha. Nie martw się, przejdzie mu to, zapomni o pretensjach.

Rye gwałtownie oderwał się od niej i ujął w dłonie jej głowę.

- Przestań myśleć tylko o nich. Ja też cię potrzebuję! - Potrząsnął nią, jakby chciał ją otrzeźwić i zajrzał jej głęboko w oczy. Potem znów szorstko przygarnął ją do siebie, wdychając zapach jej skóry i włosów. - Dlaczego musiało się to nam przytrafić? - wyszeptał z rozpaczą. - Dlaczego właśnie teraz?

- Może to kara za nasze grzechy.

- Nie zgrzeszyliśmy! Padliśmy ofiarą zbiegu okoliczności, tak jak wszyscy inni. Ale to my musimy cierpieć męki rozstania, chociaż żadne z nas nie zawiniło. Należymy do siebie, Lauro, my dwoje, a nie ty i Dan.

Z oczu Laury od nowa popłynęły łzy.

- Wiem. Ale... nie mogę odejść od niego teraz, czy nie rozumiesz? Jak mogę go porzucić w najcięższych chwilach, zwłaszcza, że ja takie chwile przetrwałam dzięki niemu? Co powiedzieliby o tym ludzie?

- Nic mnie nie obchodzi, co powiedzą ludzie. Chcę, żebyś wróciła do mnie razem z Joshem.

- Wiesz, że to niemożliwe, przynajmniej nie w tej chwili...

- Kiedy? - zapytał krótko. W jego błękitnych oczach błysnął gniew.

- Najpierw musi upłynąć okres żałoby.

- Do diabła z żałobą! Zach Morgan nie żyje, ale czy musimy udawać, że umarliśmy wraz z nim? Żyjemy i zmarnowaliśmy już całe pięć lat!

- Rye, proszę cię, zrozum... Chcę być z tobą. Ja... tak bardzo cię Kocham...

Wzburzenie Rye'a nagle opadło. Przyglądał się jej długo w blasku świecy.

- Ale jego też Kochasz, prawda? Laura spuściła wzrok. Przez długą chwilę nie odpowiadała i nie patrzyła na niego, więc w końcu zmusił ją, by podniosła głowę.

- Oczywiście - rzekł z bólem. - Ja także. I to jest najgorsze, prawda?

- Wiem, że ty też cierpisz, kiedy Dan jest taki... - Obejrzała się w stronę sypialni, skąd dochodziło głośnie chrapanie Dana.

- Często się tak upija?

- Coraz częściej. Wie i pije... żeby zapomnieć.

- I wzbudzić w tobie wyrzuty sumienia. Nie oszukuj się, Lauro, cokolwiek zrobisz i tak będzie źle. Jeśli zostaniesz, będzie się upijał, bo wie, że chcesz odejść. Jeśli odjedziesz, będzie pił dlatego, że z nim nie zostałaś.

- Och, Rye, jaki z ciebie cynik. Dan nie jest taki twardy jak ty. Czy nie mógłbyś mieć dla niego odrobiny litości?

- Nie prosz mnie o litość dla Dana, Lauro. Wystarczy, że wciąż żywię dla niego przyjaźń, Bóg mi świadkiem. Ale nie mam zamiaru się nad nim litować, skoro posługuje się swoją słabością, żeby cię zatrzymać.

- Nie chodzi tylko o to, Rye. To mała wyspa. Widziałeś, jak dzisiaj patrzyła na nas Ruth?

- Ruth! - wykrzyknął Rye z irytacją. - Ruth powinna wreszcie stracić dziewictwo, wtedy wiedziałaby, przez jakie piekło przechodzisz!

- Rye, na litość boską...

Złapał ją za głowę i wycisnął na jej wargach dziki pocałunek. Dopiero po chwili

poczuł, że Laura stara się uwolnić. Przytulił ją ze skrucą.

- Przepraszam cię, Lauro. Po prostu nie mogę znieść tego, że wyjdę stąd i znowu będę sobie wyobrażał, że leżysz z nim w tym samym łóżku, które kiedyś my dzieliliśmy ze sobą.

- Pół roku - przerwała mu. - Nie wytrzymasz sześciu miesięcy?

- Sześć miesięcy? - powtórzył zimno. - Dlaczego nie prosisz mnie o sześć lat?

- Mnie też nie jest lekko, Rye, chyba o tym wiesz. Ujął ją pod brodę delikatnie, czule.

- Powiedz, czy mogłaś zająć teraz ze mną w ciąży? Bo jeśli to możliwe, za żadne skarby świata nie pozwolę ci z nim zostać!

- Nie, Rye. To nie ten czas.

Rye wbił udęcony wzrok w jej twarz.

- Będziesz mu się oddawać? Wyrwała mu się i odwróciła tyłem.

- Rye, dlaczego sam siebie dręczysz...

- Dlaczego? - Chwycił ją za ramię i obrócił do siebie. Oczy mu pałały. - Musisz doprawdy bardzo go kochać, inaczej ta myśl dla ciebie też byłaby torturą!

Laura złapała go za rękę.

- Żal mi go. Zdradziłam go i przez to mam wobec niego dług.

- A jeśli spłacając ten dług poczniesz jego dziecko? Co wtedy? Znowu będziesz mnie prosić o czas na decyzję, którego ze szczęśliwych ojców następnym razem obdarzysz względami?

Wymierzyła mu policzek, ale uchylił się, nim cios doszedł celu. Zawstydzona, dotknęła jego piersi.

- Przepraszam... Czy nie widzisz, że w istocie nie złościmy się na siebie, lecz na to, do czego zmusza nas życie? Wyżywamy się na sobie, bo nie potrafimy usunąć przyczyny naszych kłopotów.

- Prawdziwą przyczyną kłopotów jest twój upór, a usunąć ją możesz jednym słowem - „tak!” Wolisz jednak tego nie robić. - Rye ruszył w stronę drzwi.

- Rye, dokąd idziesz? Obrócił się i zniżył głos:

- Zostawiam cię z twoim pijanym *mężem*, który nie jest ciebie wart, ale jakimś cudem zachowuje twoją lojalność, chrapiąc tam sobie w pijackim śnie. Prosisz o pół roku? Dobrze. Dam ci pół roku. Ale w tym czasie trzymaj się z dala ode mnie, kobieto, bo postaram się, żebyś znowu zdradziła męża i nie sprawi mi różnicy gdzie, kiedy, ani kto będzie o tym wiedział. Jak dla mnie może się temu przyglądać cała wyspa. Ruth Morgan i jej podobne będą miały o czym myśleć w długie bezsenne noce!

ROZDZIAŁ 14

Nazajutrz rano Dan zobaczył, że Laura śpi obok niego w gorsecie. Jęknął i przewrócił się na bok, po czym usiadł, obiema rękami obejmując głowę. Wbił pięści w oczodoły, bardziej jednak bolał go żołądek. Nadal czuł siłę pięści Rye'a w każdym mięśniu tułowia.

Słyszając jego jęk, Laura oparła się na łokciu i spytała sennie:

- Źle się czujesz? Wstyd mu było spojrzeć żonie w oczy po wczorajszych publicznych oskarżeniach. Jeszcze bardziej wstydził się tego, iż urznął się tak mocno, że nie był w stanie rozwiązać jej gorsetu i musiała spać niczym egipska mumia.

Siadł na brzegu łóżka, przyciskając skronie, i wpatrzył się w podłogę pomiędzy bosymi stopami.

- Lauro, przepraszam cię. Dotknęła jego ramienia.

- Dan, musisz przestać pić. To niczego nie rozwiąże.

- Wiem - mruknął pośpiesznie. - Wiem. Włosy na potylicy miał skołtunione i przyklepione do czaszki.

Przyglądziła je pieszczotliwie.

- Obiecuj mi, że dziś wrócisz do domu na kolację. Dan jeszcze bardziej zwiesił głowę i potarł kark, strącając jej dłoń.

Potem wyprostował ramiona i westchnął:

- Obiecuję. Powoli wstał, przeciągnął się ostrożnie i wyczłapał z pokoju, żeby się umyć. Rozmawiali niewiele, ale gdy był już gotowy do wyjścia, Laura podeszła do niego i poprawiła mu żałobną opaskę na ramieniu.

- Nie zapomnij, że obiecałeś.

Jednakże gdy przez cały dzień ślęczał nad rejestrami, cyfry szydziły z niego, splatając się w postaci Rye'a i Laury. Kiedy po pracy wyszedł z kantoru, uświadomił sobie, że nie odważy się wrócić do domu, nie golnąwszy sobie wprzód dla kurażu.

Zawrócił więc w Water Street i wszedł do pubu Pod Niebieską Kotwicą. Lokal przyozdobiono prostokątnymi deskami z nazwami dawnych statków, wśród których najbardziej znaną była nieistniejąca już fregata o nazwie „Błękitna Dama”. Na ścianach i odsłoniętych deskach stropu wisiały akcesoria wielorybiczne: harpuny, noże do skórowania i ozdoby z zębów narwala. Na tyłach pomieszczenia spoczywały w koziołkach beczki piwa, o wiele istotniejsze od wystroju wnętrza. Nad nimi wisiały osobiste kufle stałych gości, a ponieważ Dan nie posiadał własnego, szynkarz wyjął dla niego czysty garniec spod lady, wyrażając współczucie mocną mieszanką jabłecznika i rumu - na koszt firmy. Kiedy Dan

nareszcie wybrał się do domu, było już ciemno i pora kolacji dawno minęła.

Jedno spojrzenie wystarczyło Laurze, by się domyślić, co go zatrzymało. Każdy ruch wykonywał powoli i z namysłem: powiesił kapelusz, potem obrócił się i spojrzał na stół, na którym czekało pojedyncze nakrycie.

- Tak mi przykro, Lauro - rzekł niezbyt wyraźnie, chwiejąc się na nogach.

Laura stanęła za krzesłem z wysokim szczeblowanym oparciem, zaciskając ręce na najwyższej poprzeczce.

- Martwiłam się o ciebie.

- Naprawdę? - przez dłuższą chwilę przyglądał jej się przekrwionymi oczyma. - Naprawdę?

- Oczywiście. Rano obiecałeś mi... Machnął ręką, jakby odpędzał muchę, wepchnął dwa palce do kieszeni kamizelki, spojrzał na sufit i znów się zachwiał.

- Dan, musisz coś zjeść. Uczynił niesprecyzowany gest w stronę stołu.

- Nie fatyguj się z kolacją. Ja tylko... - jego głos zamarł i utonął w westchnieniu. Opuścił brodę na pierś, jakby zasnął na stojąco.

Dobry Boże, to wszystko przeze mnie! - myślała w udęcie Laura.

- Co ja mu zrobiłam? Następne dni aż nazbyt jasno odpowiedziały na to rozpaczliwe pytanie. Dan Morgan w szybkim tempie staczał się na dno. I choć przyrzekł jej ograniczyć wysoki, wkrótce jego kufel zawisł na kołku Pod Niebieską Kotwicą. Niebawem też jego żona przestała używać gorsetu z fiszbinów, bo przeważnie wieczorem nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc rozwiązać sznurówki.

Lato zbliżało się do końca. Dni Laury wypełniały teraz przygotowania do zimy. Dojrzały nadbrzeżne dzikie śliwki i Laura z pomocą Josha zebrała owoce, zniosła je do domu i wzięła się do przetworów. Wracając po całym dniu spędzonym na wrzosowiskach, pieściła w sercu wspomnienie Rye'a. Po powrocie zjadali kolację we dwoje, bo Dan wracał spod Niebieskiej Kotwicy zwykle późno w nocy.

Josh namawiał ją na winogrona, i choć Laura wiedziała, gdzie znajdzie zatręśnienie purpurowych kiści, nie chciała tam wracać i budzić bolesnych wspomnień. Był to jednak wymarzony surowiec na dżem, sok i bakalie, więc w końcu przemogła się. Widok polany od nowa nappełnił ją tęsknotą, ale w ślad za nią natychmiast przyszło poczucie winy, które jej nie opuszczało, zwłaszcza od owego wieczoru, gdy Dan niespodzianie pojawił się na kolacji i pozostał w domu przez cały wieczór, większość czasu poświęcając dziecku. Przez kilka kolejnych dni przychodził punktualnie i był trzeźwy. Laura nie posiadała się z radości. Odsunęła od siebie myśl o Rye'u i dołożyła starań, by ich dom znów był radosny i miły jak dawniej.

Pewnego ranka, kiedy Dan wyjmował z szafy świeżą koszulę, na podłogę wypadł gorset Laury. Schylił się, podniósł go i trzymał przez chwilę, patrząc na swoje dłonie, które ostatnio trzęsły się bez przerwy. Machinalnie potarł palcami fiszbin. Co się stało z ich małżeństwem?... Przymknął oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył wystającą z płóciennej zaszewki listwę. Z wahaniem dotknął gładkiego, zaokrąglonego końca i uświadomił sobie, że nie jest to zwykły fiszbin, lecz brykła. Z wzrastającą obawą wysunął ją z kieszonki, aż słowo po słowie odczytał cały wiersz.

Dan skurczył się, jak gdyby znów dosięgnął go cios silnej pięści Rye'a. Nagle dotarło do niego, iż pomagając Laurze dociągnąć sznurówki, przyciskał do jej piersi miłosne wyznanie innego mężczyzny i na nowo ugodziła go bolesna prawda: Laura nigdy nie przestała kochać Rye'a. To Rye zawsze był jej wybranym.

- Dan, śniadanie gotowe - rozległ się za nim głos Laury. Wrzucił gorset do szafy, pospiesznie zamknął drzwi i wyszedł z pokoju.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Laura. Dan był blady i sprawiał wrażenie chorego. Zerknęła, co trzyma w ręce, ale była to tylko świeża koszula. Włożył ją, utrzymując, że wszystko jest w porządku.

Tego dnia Dan Morgan wrócił do domu później niż kiedykolwiek dotąd.

Zaczął się wrzesień. Wkrótce miały się rozpocząć zajęcia klas wstępnych, prowadzone przez grono uczynnych dam, kilka matek zaplanowało więc ostatni piknik dla grupy dzieciarni. Choć Josh był za mały, żeby iść do szkoły, zaproszono go wraz ze starszym o rok Jimmym.

Kiedy zjedzono cały prowiant z koszyków i wyczerpano repertuar znanych gier, obaj chłopcy zajęli się łapaniem piaszkowych krabów. Czołgając się na kolanach, wyrzucali w górę fontanny piachu, choć wiedzieli, że wysiłki te są beznadziejne, albowiem kraby umiały zakopywać się szybciej, niż jakikolwiek chłopiec zdołałby je odkopać. Największą frajdę stanowił jednak sam pościg. W końcu Jimmy dał za wygraną, przysiadł na piętach i powiedział:

- Słyszałem na pogrzebie twego dziadka coś, o czym na pewno wiesz.

- Co? - Josh nie przerywał kopania.

- Chyba nie powinienem ci mówić, bo kiedy mama zobaczyła, że słucham, wyprowadziła mnie na dwór i kazała obiecać, że nie pisnę o tym ani słowa.

Osiągnął cel. Josh natychmiast odwrócił się do niego, płonąc z ciekawości:

- Tak? Co mówiły?

Jimmy przez chwilę udawał, że przesiewa piasek szukając muszelek.

- Właściwie nie wiem... - skrzywił się, spoglądając na młodszego kolegę. Właśnie doszedł do wniosku, że niezbyt mądrze postąpił, poruszając ten temat, ale nagle się przemógł.

- Myślałem nad tym, i jeśli to prawda, jesteśmy kuzynami.

- Kuzynami? - oczy Josha zaokrągliły się ze zdumienia. - Jak ja i dzieci cioci Jane?

- Mhm.

- Twoja mama tak powiedziała?

- Niezupełnie. Rozmawiała z moją ciocią Elspeth i powiedziała, że twoim prawdziwym tatą nie jest... no, ten, którego masz, a ten drugi, Rye Dalton.

Josh milczał przez chwilę, po czym rzekł z niedowierzaniem.

- Pleciesz.

- Właśnie, że nie! Mówiły, że Rye Dalton jest twoim prawdziwym tatą, a skoro tak, to jesteśmy kuzynami, bo...

- On nie jest moim tatą! - Josh zerwał się na równe nogi. - Przecież moja mama też by o tym wiedziała!

- A właśnie, że jest!

- Kłamczuch!

- Czemu się złościysz? Rany, myślałem, że się ucieszysz, że jestem twoim kuzynem.

Josh z trudem, powstrzymywał się od płaczu.

- To nieprawda, ty... ty... - szukał w myśli najgorszych słów, jakie znał. - Ty wstrętny kłamczuchu! Ty głupku!

- Wcale nie kłamię. Pan Dalton jest kuzynem mojego taty i dlatego ma na imię Rye, od Ryersonów.

- Kłamca! - Josh porwał garść piachu, cisnął ją w twarz Jimmy'emu i uciekł.

Laura zauważyła, że Josh był odtąd dziwnie osowiały, przypisywała to jednak temu, iż Jimmy poszedł do szkoły i Josh stracił towarzystwo. Ponadto zdawała sobie sprawę, że brakuje mu obecności Dana, i choć starała się to zrekompensować, nie udało jej się rozchmurzyć chłopca. Być może również straciła serce do podtrzymywania domowego ciepła. Josh stał się milczący, zamknięty w sobie, a czasem wręcz niegrzeczny. Próbowwała go wciągnąć do swoich zajęć, co zwykle uwielbiał, lecz tym razem pomysł spalił na panewce. Gdy w końcu Josh oznajmił, że nie ma ochoty iść na jagody, zaniepokoiła się nie na żarty. Wieczorem zaczekała na Dana w nadziei, że będzie na tyle trzeźwy, by jej coś doradzić.

Dan był zaskoczony, gdy zastał ją na krześle, owiniętą szalem. Jej obraz rozmył się na chwilę, potem znów wyostrzył i w przyćmionym mózgu błysnęła jasna myśl: „Dlaczego nie powiesz jej, że jest wolna, Morgan? Odeślij ją do czorta i niech to się wreszcie skończy.”

Spojrzał na nią. Wiedział, czemu tego nie zrobi: bo kochał ją bardziej, niż była to sobie w stanie wyobrazić, i gdyby z niej zrezygnował, jego życie straciłoby sens.

- Pomogę ci - Laura wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu zdjąć surdut, ale ją odepchnął.

- Dam sobie radę.

- Pozwól...

- Zabierz ode mnie te cholerne łapy! - wrzasnął, cofając się tak raptownie, że omal nie upadł.

Zesztywniała, jak gdyby ją uderzył. Wciągnęła gwałtownie oddech, a w jej oczach błysnęły łzy. Splotła dłonie i odstaąpiła krok w tył.

- Dan proszę...

- Zamilcz! Nic nie mów, po prostu zostaw mnie w spokoju. Jestem pijany. Chcę się położyć. Chcę tylko... - wbił wzrok w ziemię i zakołysał się na sztywnych nogach niczym topola w letnim wietrze.

Przez moment Laura miała wrażenie, że Dan się rozplacze, lecz porwał ją w ramiona i mocno przycisnął, starając się zarazem utrzymać równowagę.

- Jakże ja cię kocham - głos łamał mu się z emocji. - Boże, przebac mi: żałuję, że Rye nie poszedł na dno razem z tamtym statkiem.

- Dan, ty chyba nie wiesz, co mówisz? - Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją zbyt mocno.

- Wiem. Nie jestem aż tak pijany, żebym nie wiedział, o czym myślę bez przerwy od tygodni. Dlaczego on tu wrócił? Dlaczego?

Przypomniała sobie, jak wtedy, na nabrzeżu, Dan szukał u Rye'a pociechy i pomocy. Zrozumiała, ile cierpienia tli się w słowach, które właśnie wymówił.

- Idź do łóżka, Dan. Zgaszę świece i zaraz do ciebie przyjdę. Wypuścił ją i potulnie udał się do sypialni. Palił go wstyd, że głośno dał wyraz nieludzkim uczuciom, jakie go dręczyły.

Jak co wieczór, Laura najpierw zajrzała do synka. Josh zacisnął powieki, udając, że śpi. Gdy migotliwe światło świecy znów się oddaliło, otworzył oczy. Miał wiele do myślenia. Pamiętał ów dzień, gdy pierwszy raz zobaczył, jak Rye Dalton ściska mamę. Rye mówił wtedy, że ma tak na imię, bo jego mama była z Ryersonów. Jimmy twierdzi to samo... Czy to możliwe, żeby miał rację? Rye uderzył tatę... Rye tulił mamę... Uśmiechała się do niego na wzgórzu obok młyna... A tato dopiero co powiedział, że żałuje, iż Rye nie umarł! Umarł... jak dziadzio. Josh próbował złożyć razem rozsypane fragmenty, ale nic nie pasowało. Wiedział tylko, że odkąd pojawił się Rye, wszystko się zmieniło. Tato nie wraca wieczorem do domu, a

mama przez cały czas jest smutna, i... i...

Josh nie potrafił tego pojąć, więc popłakał się serdecznie i zasnął.

Pewnego pogodnego dnia w połowie września Laura zawołała synka, żeby pomógł jej odmierzać i mieszać składniki wonnej ziołowej mieszanki, które oboje z Joshem zbierali i suszyli przez całe lato.

Malec tęsknym wzrokiem obrzucił płatki róży, skórkę cytrynową i zioła, potem jednak wsadził ręce do kieszeni i potrząsnął głową.

- Nie mam ochoty. Co mu jest? - zaniepokoiła się w duchu Laura.

- Zeszłej jesieni mi pomagałeś. Pamiętasz, jak świetnie się bawiliśmy?

- Wolę wyjść na dwór.

- Jeśli mi nie pomożesz, mole wygryzą dziurki we wszystkich naszych ubraniach - Laura próbowała wszelkich sposobów, lecz bez powodzenia. Josh wzruszył tylko ramionami i skierował się do drzwi.

Kiedy wyszedł, matka długo patrzyła w ślad za nim. Nie wiedziała, jak go wyrwać z tej niezwykle apatii. Spojrzała na wonną kolekcję na stole i płatki róż nagle rozmyły jej się w oczach. Oparła czoło na dłoni, próbując powstrzymać łzy. Gdyby tylko mogła pogadać o tym z Ryem! Widok spiralnie skręconych skórek cytryny i pomarańczy przypominał jej, jak dawniej co roku o tej porze szła do bednarni po aromatyczne wiórki cedrowego drewna, które dodawała do innych składników. W tym roku będzie musiała się bez nich obejść.

Josh siedział przed domem, dziobiąc patykiem rozsypane muszle. Miał ogromną ochotę wrócić do domu, bo mieszanie było o wiele większą frajdą niż suszenie przypraw, a nawet obrywanie płatków róż. Spojrzał ku zatoce i jego dziecięce usteczka zacisnęły się. Gdzieś tam, na dole, był Rye, a gdyby nie on, Josh mógłby teraz być ze swoją mamą i robić to, co lubi.

Rye uczył właśnie swojego kuzyna, młodego terminatora, jak dopasowywać rozmiarem deszczułki na skopek, kiedy w drzwiach warsztatu stanęła drobna figurka. Josh! Rye nie przerywał pracy, zakładając, że w ślad za nim wejdzie Laura. Minęła jednak pełna minuta i nikt się nie pojawił. Malec stał w progu, uważnie obserwując wnętrze bednarni, zwłaszcza zaś Rye'a. Mężczyzna czuł niemal, jak oczy dziecka śledzą każdy jego ruch. Podniósł wzrok i spostrzegł zacisnięte wargi i zbuntowany wyraz błękitnych oczek.

- Jak się masz, Josh! - zagadnął. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, spytał: - Przyszedłeś sam?

Josh milczał. Stał bez ruchu, emanując z siebie nieprzejednaną wrogość. Rye ruszył w stronę drzwi. Po drodze podniósł dwie klepki i porównał ich długość. Gdy zbliżył się do

chłopca, ten manifestacyjnie usunął się w bok. Rye wyjrzał na ulicę, ale Laury nigdzie nie było widać.

- Twoja mama wie, że przyszedłeś tu sam?

- Ją to nie obchodzi.

- Tu się mylisz, młodzieńcze. Lepiej wracaj do domu, zanim matka zacznie się o ciebie martwić.

Josh jeszcze wyżej zadarł bródkę.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Ty... nie jesteś moim tatą! - Rye nie zdołał nawet zareagować, gdy Josh rzucił się na niego z pięściami, powtarzając: - Nie jesteś moim tatą! Mój tato jest moim tatą, nie ty!

Zanim Rye zdążył otrząsnąć się z osłupienia, chłopiec okręcił się na pięcie i uciekł.

- Joshua! - krzyknął za nim, ale dziecko znikło.

- Niech to wszyscy diabli! - Rye wrócił do środka i z łoskotem cisnął obie klepki pod ścianę. Serce mu biło, dłonie zwilgotniały od potu. Stał przy stole, zastanawiając się, co robić. Josh był taki wzburzony, taki rozgoryczony... Gdyby dowiedział się o wszystkim od Laury, nie przeżyłby chyba tego tak mocno. Rye był pewien, że matka wyjaśniłaby mu to bardzo delikatnie. Co będzie, jeśli malec nie wróci do domu? Trzeba koniecznie powiadomić Laurę. Jej dom jednak był ostatnim miejscem na wyspie, do którego Rye mógłby się udać. Obrócił się, tknięty nagłą myślą.

- Chad, chcę, żebyś coś dla mnie załatwił.

- Robi się, szefie.

Rozejrzał się za jakimś kawałkiem papieru, nie znalazł żadnego, więc złapał pierwszą rzecz, jaka wpadła mu w rękę: czysty, cienki skrawek cedrowego drewna z deszczułki, którą przed chwilą obrabiał. Kawałkiem węgla drzewnego napisał: „Josh wie. R.”.

- Wiesz, gdzie mieszka Dan Morgan? Chad skinął głową.

- Biegnij tam i oddaj to pani Morgan. Nikomu innemu, rozumiesz? - Rye zmarszczył brwi.

- Jasne, szefie - chłopak uśmiechnął się domyślnie.

- Świetnie. Pędź! Zasepiony patrzył, jak Chad się oddala. Przypomnił sobie dzień, gdy spotkał Laurę i Josha obok młyna. „Lubię cię” rozbrzmiał mu w głowie wesoły szczebiot. Rye roztarł żołądek, obity piąstką dziecka, które w ten sposób starało się zaprzeczyć prawdzie. Zwiesił głowę i westchnął. Czy życie naprawdę nie może być proste? Pragnął tak niewiele. Żony, którą kochał, utraconego syna i domu na wzgórzu. Pragnął tylko tego, co do niego należało. Ojciec klepnął go w ramię.

- Chłopiec ma dopiero niecałe pięć lat. Jest za mały, żeby objąć to rozumem. Kiedy podrośnie, oceni człowieka, jakim rzeczywiście jesteś, nie będzie na ciebie patrzył jak na złodzieja, który skradł mu ojca. Przeżył nielichy wstrząs. Musisz dać mu trochę czasu.

Choć Rye rzadko wylewał przed ojcem swe troski, teraz sam był wstrząśnięty i przygnębiony. Wciąż patrząc na drzwi rzekł:

- Czasem żałuję, że musiałem zejść z pokładu „Massachusets”. Josiah ścisnął go za ramię.

- O, nie, synku. Tak nie możesz mówić.

- Masz rację - mruknął apatycznie Rye. - Przepraszam cię, ojciec. Zapomnij, że to powiedziałem.

Wrócił do pracy, udając spokój, którego wcale nie czuł.

Laura nie zauważyła, że Josh zniknął z podwórka. Kiedy wpadł do domu, poderwała się zaskoczona na dźwięk zatraskiwanych z całej siły drzwi. Josh przebiegł przez izbę i rzucił się na łóżko, kryjąc twarz w pościeli. Zerwała się na nogi, rozsypując suche płatki róży.

- Kochanie, co się stało?

Josh wepchnął twarz w poduszkę i rozszlochał się jeszcze głośniej. Gdy próbowała przewrócić go na wznak, wyszarpnął się.

- Josh, kotku, gniewasz się na mnie? Powiedz mamie, co cię trapi? Z poduszki dobiegł stłumiony odgłos. Laura nachyliła się niżej.

- Co mówisz? Josh skarbie, obróć się do mamy. Podniósł głowę i wyłkał:

- Nienawidzę Jimmy'ego!

- Ależ Jimmy to twój najlepszy przyjaciel!

- I tak go nienawidzę. Opowiada... takie straszne... kłamstwa!

- Powiedz mi, co takiego...

W tej samej chwili rozległo się pukanie. Laura zmarszczyła brwi, pogłaskała synka po plecach i poszła otworzyć. Za drzwiami stał zdyszany Chad.

- Pani synek był u nas w warsztacie, psze pani - wysapał bez wstępów. - Pan Dalton kazał oddać pani to. - Wepchnął jej w dłoń skrawek drewna i nim Laura zdążyła podziękować, już go nie było.

Szybko przeczytała wiadomość i przycisnęła cienki wiórek do serca, spoglądając na skulone w łóżku ciało syna. A więc to cię dręczyło, mój maleńki! Odczytała słowa Rye'a jeszcze raz i kiedy łyzy zapiekły ją w oczy, przytknęła nos do wonnego drewna, szukając właściwych słów. Miało ten sam zapach, którym zawsze przesiąknięty był Rye. Nie wiadomo dlaczego wdychając go, poczuła otuchę.

To nasz syn - pomyślała z czułością. Powoli podeszła do dziecka, którego stłumiony szloch wypełniał alkówkę.

- Joshua... - przyglądała jasne loczki na jego karku, zastanawiając się, co zaszło w bednarni. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że nie ma przy niej Rye'a. - Kochanie, tak mi przykro. Chodź do mnie. - Siłą przewróciła go na wznak. Josh opierał się chwilę, potem jednak zarzucił jej ramionka na szyję i przylgnął do niej. Przytuliła go mocno, opierając podbródek na jego główce. - Nie płacz, synku...

- Ale Jimmy mówi, że tato... nie jest moim prawdziwym tatą.

- Musimy o tym porozmawiać, skarbie. Czy to dlatego byłeś ostatnio taki osowiały?

Josh rozplakał się od nowa, bo sam już nie wiedział, na kogo powinien się najbardziej gniewać.

Laura przesiała przez palce jego jasne włoski.

- Twój tato... Dan bardzo cię kocha. Przecież wiesz o tym, prawda?

- Ale... ale Jimmy mówi, że to Rye jest moim prawdziwym tatą, a to nieprawda! Nieprawda! - Josh usiłował przybrać wojowniczą minę, ale broda mu się trzęsła, a łzy płynęły strumieniem.

Laura zajrzała w załzawione oczka i wyjęła chusteczkę z kieszeni fartucha. Szukała w myśli słów, którymi mogłaby wyjaśnić wszystko tak, by Josh zrozumiał, nie sprawiając mu przy tym bólu.

- Poszedłeś do bednarni, żeby go zapytać?

- N... nie.

- No to po co?

Josh zwiesił główkę i wzruszył ramionami. Laura jednym palcem uniosła jego twarzyczkę do góry.

- Wytłumaczę ci, dlaczego Jimmy to powiedział, ale musisz mi obiecać, że będziesz pamiętał, że kochamy cię oboje, i ja, i Dan. Przyrzekasz?

Josh bez większego przekonania skinął głową, ale pozwolił się przytulić. Głos matki płynął kojąco:

- Pamiętasz, kiedy Rye był tu pierwszy raz? Przyszedłeś na obiad i zobaczyłeś, że mnie całuje. To... nie wiem nawet, jak ci to opisać, ale to była dla mnie bardzo ważna chwila. Widzisz, przez wiele lat myślałam, że Rye nie żyje, a ponieważ był moim... wielkim przyjacielem od bardzo dawna, bo bawiliśmy się ze sobą jeszcze jako dzieci niewiele większe od ciebie, więc ogromnie ucieszyłam się, że jednak żyje... Wiesz już, że przyjaźniliśmy się wszyscy troje: twój tato, Rye i ja. Chodziliśmy razem do szkoły, a potem byliśmy

nierozłączni... tak jak ty i Jimmy.

Laura odchyliła się, by uśmiechnąć się krzepiąco do synka, po czym ponownie przytuliła go do siebie.

- Miałam mniej więcej piętnaście lat, kiedy zdałam sobie sprawę, że... że lubię Rye'a inaczej niż Dana. W rok później zrozumiałam, że go kocham i że on także mnie kocha. Pobraliśmy się, gdy tylko osiągnęliśmy stosowny wiek, i niedługo potem Rye wypłynął w rejs. Byłam niepokieszona, ale zrobił to dlatego, żeby zarobić dla nas pieniążki. Planowaliśmy, że po powrocie nigdy już nie będzie musiał wyruszać na morze. Tymczasem statek, na który zaciągnął się Rye, zatonął. Kiedy wieść o tym dotarła do Nantucket, byliśmy pewni, że Rye utopił się wraz z resztą załogi.

Josh zadarł głowę i spojrzał na nią ogromnymi oczyma.

- Utopił się? Tak, jak... tak jak dziadzio? Laura z powagą skinęła głową.

- Dokładnie tak samo. Myśleliśmy, że jego zwłoki spoczęły na dnie morza. Byliśmy bardzo smutni, Dan i ja, bo oboje... oboje bardzo kochaliśmy Rye'a.

Josh z uwagą chłonał każde słowo.

- Dopiero później dowiedziałam się, że będę miała dzidziusia, to znaczy, oczywiście, ciebie. - Laura delikatnie ujęła dłoń synka, rozcierając wilgotne od łez paluszki. - Tak, kochanie, to Rye jest twoim prawdziwym ojcem, choć kiedy wypływał, nie wiedział jeszcze, że masz się urodzić, bo wciąż byłeś u mamusi w brzuszku. Było mi tak smutno, kiedy pomyślałam, że nigdy cię nie pozna i ty nie poznasz jego...

Josh spojrzał jej w oczy z nieprzeniknioną miną. Laura nakryła jego rączkę drugą dłonią i podjęła:

- Jimmy powiedział prawdę. Rye jest twoim tatą, ale Dan także, bo to on troszczył się o nas od dnia, w którym przyszedłeś na świat. Sam postanowił zostać twoim ojcem, Josh, i powinienesz zawsze o tym pamiętać. Wiedział, że będzie ci potrzebny tatuś, a ponieważ Rye... Rye'a nie było, więc... chyba mieliśmy szczęście, że trafił się nam Dan, nie uważasz? - zakończyła wesoło Laura, przekrzywiając głowę na bok, ale Josh zmieszany spuścił wzrok. - Nic nie zmieni miłości Dana do ciebie. Musisz to zrozumieć, kochanie, bo to bardzo ważne. Do chwili, gdy Rye wrócił i okazało się, że żyje, Dan był twoim jedynym ojcem. Obawialiśmy się, że kiedy dowiesz się o wszystkim, będzie ci trudno się z tym pogodzić, zdecydowaliśmy się więc zaczekać jakiś czas. Teraz żałuję, że zwlekałam. Powinienesz być to usłyszeć ode mnie, nie od Jimmy'ego. I kochanie, Jimmy nic tu nie zawinił.

Josh podniósł strapione oczka.

- Nazwałam Jimmy'ego kłamcą i... i głupkiem... Laura powstrzymała uśmiech.

- Widzę, że byłeś na niego bardzo zły. Musisz go przeprosić. To nieładnie przezywać ludzi.

- Więc... więc mam dwóch tatusiów? - spytał Josh, próbując uporać się z tą zagadką.

- Tak bym to określiła. I obaj bardzo cię kochają. Josh trawił to przez jakiś czas, wbijając wzrok w kolano. Po chwili uniósł głowę.

- A ciebie też kochają? - spytał.

- Tak, kotku, mnie też - odparła, starając się opanować drżenie głosu.

- I jesteś żoną obydwu?

- Nie, skarbie, tylko Dana. - Zapach cedru, płynący z kieszeni fartucha, przeszkadzał Laurze opanować emocje, jakie wzbudziła w niej ta opowieść.

- Aha - Josh zadumał się, po czym spytał: - A czy Rye wie, że tatuś pomagał nam, kiedy go nie było?

- Tak, kochanie, dowiedział się o tym po powrocie.

- W takim razie bardzo źle zrobił, że go uderzył - oświadczył stanowczo Josh.

Laura westchnęła. Jak miała rozplątać tę gmatwaninę przeważnie błędnych sądów, które załęgły się w dziecięcej główce? Josh tymczasem podjął:

- Poza tym, odkąd Rye wrócił, tatusia nigdy nie ma w domu. Tak bym chciał, żeby znowu jadał z nami kolacje...

Laura przycisnęła go do siebie, żeby nie zauważył jej łez.

- Wiem, kochanie. Ja też. Ale musimy być dla niego cierpliwi i... i bardzo, bardzo dobrzy. Pamiętasz, co powiedział Rye? Tatuś potrzebuje pociechy, bo ostatnio wiele przeszedł, i musimy go zrozumieć, to wszystko.

Cóż za wymaganie w stosunku do czterolatka - pomyślała. Jak mogła oczekiwać, by zrozumiał to, czego ona nie pojmowała?

Teraz wszakże, kiedy Josh poznał prawdę, nareszcie odzyskała wewnętrzny spokój. Później, gdy razem odmierzali i mieszała pachnące skarby, wyjęła z kieszeni cedrowy ścinek, pocięła go na cieniutkie plasterki i dodała do reszty. Miała przy tym wrażenie, że teraz miłość Rye'a przez całą długą zimę będzie przy niej, bezpiecznie ukryta w szufladach komody.

ROZDZIAŁ 15

Powiadano często, że gdyby nie niepozorne beczki, handel światowy uległby całkowitemu zastojowi. Pewnego dnia w końcu września do bednarni zawitał przysadzisty dżentelmen, który wiedział o tym doskonale, rozumiał też, jak wielkim szacunkiem cieszy się fach bednarski. Zatrzymawszy się w proggu, gość wyjął z kieszeni batystową chusteczkę i wytarł nos, na którym tkwiły okulary w drucianej oprawie.

- Witam - mruknął Josiah, mierząc go wzrokiem.

- Dzień dobry szanownemu panu - rzekł przybysz. - Szukam bednarza, Rye'a Daltona.

- To mój syn - Josiah wskazał Rye'a cybuchem fajki.

- Niezmiernie mi miło. Nazywam się Dunley Throckmorton. - Przybysz ruszył w stronę Rye'a z wyciągniętą ręką.

- Dzień dobry. Jestem Rye Dalton, a to mój ojciec Josiah. Czym mogę panu służyć?

- Nie chciałbym przeszkadzać. Świat potrzebuje beczek, a gdyby przeze mnie ich produkcja spadła choćby o ułamek... - Throckmorton zawahał się, nabrał powietrza i potężnie kichnął. - Przepraszam. Obawiam się, że morski klimat mi nie służy - wyjaśnił, ponownie wycierając nos. - Proszę, panie Dalton, niechże pan sobie nie przerywa.

Rye wrócił do pracy nad częściowo złożoną baryłką, ujętą już w obręcz. Nierówne krawędzie zostały docięte ręczną piłką; wygładzał je teraz pilnikiem. Throckmorton przyjrzał się potężnym ramionom bednarza. Chłopak miał krzepę w garści. Takich właśnie ludzi potrzebował kraj, którego granice wciąż parły na zachód.

- Niech no mi pan powie, Dalton, czy słyszał pan kiedy o Terytorium Michigan?

- Owszem.

- Piękna kraina. Ciepłe lata i śnieżne zimy, podobnie jak u was, tyle, że oczywiście nie ma tam morza. Jest za to wielkie Jezioro Michigan. Ziemia prosi się, by ją brać!

- Ach, tak? - rzekł zdawkowo Rye, nie przerywając pracy. Throckmorton odchrząknął. Czuł przez skórę, że Dalton rad jest z tego, co ma, i zastanawiał się, jaki wabik zdoła go poruszyć. Bednarz był młody, mógł płodzić dzieci, co miało kluczowe znaczenie dla przyszłości świeżo zakładanych miast. Do tego dobrze znał swój fach, mógł więc uczyć innych. Wyrośnięty, zdrowy i zręczny młody byczek - idealny kandydat. Nie tylko Throckmorton poszukiwał fachowych bednarzy. Konkurencja była ostra.

- Jak interesy? - spytał. Rye parsknął śmiechem.

- Pyta pan o interesy kogoś, kto robi beczki w mieście wielorybników? Jak pan sądzi, w czym ształuje się wodę, piwo, mąkę, soloną wołowinę i śledzie? A tran? I pan się jeszcze

pyta? - Rye zachichotał ponownie, bo zaczynał się domyślać, o co chodzi. - Gdybyśmy przestali robić beczki, wygasilibyśmy lampy na całym bożym świecie, panie Throckmorton. Interes kwitnie, jak łatwo się domyślić.

Throckmorton wiedział, że to prawda. Sam tran stanowił znaczną część przewożonych morzem ładunków. Mimo to zapytał:

- Czy kiedykolwiek myślał pan, by się stąd wyprowadzić?

- Wyjechać z Nantucket? - Rye tylko zaśmiał się w odpowiedzi.

- Dlaczego nie? - szczerze zdziwił się gość. - W innych częściach kraju tak samo potrzeba beczek.

Ramiona Rye'a poruszały się w nie zmienionym tempie.

- Ktoś pana wprowadził w błąd. A może pan nie słyszał, że to jankeskie fabryki zaopatrują całą resztę kraju we wszystko, począwszy do gwoździ, a skończywszy na prochu strzelniczym? Nie mówię już o gorzelniach w Bostonie i Newport, gdzie cała produkcja idzie w beczkach. Możemy nie tylko pogрузić świat w ciemnościach, ale także sprawić, że wytrzeźwieje, a to położyłoby na amen cały handel w trójkącie.

„Rumowe wyspy” - Kanary i Madera - dostarczały surowy cukier do gorzelni w Nowej Anglii. Stamtąd rum i whisky płynęły do Afryki, skąd z kolei wysyłano niewolników do pracy na karaibskich plantacjach, w ten sposób zamykając trójkąt. Każdy etap wymiany zależał zaś od beczek, wytwarzanych głównie w północnych stanach, bo zasoby leśne Europy były na wyczerpaniu. Throckmorton pokornie schylił głowę.

- Święta prawda, panie Dalton. Nie mogę zaprzeczyć. Wobec tego lepiej będzie, jeśli od razu wyłożę karty. Do budowy nowych miast też potrzeba beczek, a istnieje pewne grono, które chce tego dokonać właśnie w Michigan. - Throckmorton urwał dla większego efektu, po czym podjął: - Formujemy konwój, który ma wyruszyć z Albany, gdy tylko z Wielkich Jezior zejdzie lód. Potrzeba nam bednarza.

Ręce Rye'a znieruchomiały. Zerknął na małego człowieczka, marszcząc brwi.

- Chce pan, żebym jechał z wami do Michigan zakładać miasto?

- Właśnie - gość wznosił ręce w górę. - Nie damy sobie rady bez beczek na mąkę, ziarno, syrop klonowy, jabłecznik, peklowane szynki i... i... - westchnął ciężko. - Panie będą zamawiać balie, skopki, cebrzyki, maselnice... W krótkim czasie stanie się pan bogatym człowiekiem, panie Dalton, i do tego bardzo szanowanym.

Rye znów pochylił się nad beczką.

- Szanują mnie i tutaj, a przy tym nie muszę użerać się z Indianami. Gdybym zresztą za wszelką cenę chciał się przeprowadzić, czy doprawdy trzeba jechać aż na koniec świata?

Mógłbym udać się na Południe i sprzedawać beczki na ryż, indygo, smołę, terpentynę, kalafonię, kauczuk i tak dalej. Tam jest już cywilizacja, panie Throckmorton. Nie musiałbym obchodzić się bez wygod...

- Południe! - Agent złożył dłonie za plecami i w podnieceniu zaczął się przechadzać po warsztacie. - A czegoż można szukać w tych okropnych stronach? Żaden człowiek przyzwyczajony do... - gość stłumił kolejne kichnięcie - do zdrowych północnych zim nie czułby się dobrze w tamtejszym upale!

Rye wykrzywił się kpiarsko, lecz gdy tylko Throckmorton zawrócił, natychmiast przybrał uprzejmy wyraz twarzy.

- Nie powiedziałem, że chciałbym tam mieszkać. Tłumaczę panu, że zarabiać na życie mogę wszędzie. Nie po to terminowałem przez siedem lat, żeby ryzykować życie i zdrowie zapuszczając się w dzicz z grupą obcych ludzi. Dobrze mi tu, gdzie jestem.

- Och, ale życie niesie nam wyzwania, drogi chłopcze. Pomyśl, że aktywnie tworzyłyby przyszły kształt Ameryki!

Facet nadaje się do tej roboty - myślał Rye, któremu ta zacięta wymiana zdań sprawiała większą przyjemność, niż miałyby chęć przyznać. Throckmorton był bystry i wierzył w to, co mówi; przy tym dysputa na temat wad i zalet pogranicza podniecała wrodzoną namiętność Rye'a do dyskusji.

Throckmorton przyjrzał mu się spod ściągniętych brwi.

- Powiadają, panie Dalton, że pływał pan na statku. Czy to prawda?

- Mam za sobą jeden rejs.

- A! Więc jest pan człowiekiem, który nie stroni od przygód i w razie potrzeby umie stawić czoła przeciwnościom!

- Pięć lat na wielorybniku wyczerpało moje zamiłowanie do stawiania czoła przeciwnościom, panie Throckmorton. Źle pan trafił.

Okulary gościa śledziły dłoń bednarza, ciągnącą ostrze wzdłuż wewnętrznej krawędzi klepek. Powstawała w nich głęboka bruzda, w której zostanie osadzone dno beczki. Do licha, ten człowiek znał swój fach zbyt dobrze, by można było pozwolić mu się wysliznąć!

- Jak z zaopatrzeniem w drewno?

- Wie pan doskonale, że zamawiamy z grubsza ociosane klepki na lądzie.

- No, właśnie! - Wskazujący palec agenta wznosił się ku niebiosom dla podkreślenia wagi tego faktu. - Mieszka pan na wyspie smaganej wichrami, gdzie żadne drzewko nie wychyli się ponad najbliższy pagórek. Proszę sobie łaskawie wyobrazić las tak gęsty i wysoki, że mógłby pan w nim robić beczki przez sto lat i nawet nie zauważyć, że cokolwiek

ubyło!

Rye nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu, gdy gość zadarł głowę ku belkom stropu, jakby stał w środku kniei. Pokiwał głową. Trzeba było przyznać spryciarzowi rację.

- Tu mnie pan zagiął, Throckmorton. To byłoby coś. Agent natychmiast postanowił wyzyskać zdobyty punkt.

- Kowal, który z nami pojedzie, nie będzie miał takich wygód, jeśli chodzi o surowiec. Każdą uncję żelaza będziemy musieli sprowadzić ze Wschodu. A jednak chętnie podejmie ryzyko.

Rye podniósł głowę zaskoczony.

- Znaleźliście kowala?

- I to dobrego. - Na zadowolonym obliczu Throckmorta pojawił się nieznaczny uśmiešek.

- Przydałby się - mruknął pod nosem Rye, po czym przepaszająco zerknął w stronę ojca. Josiah twardo zachowywał milczenie, lecz widać było, że chłonie każde słowo.

- Jak dotąd zebraliśmy pięćdziesiąt kilka osób, w tym wszystkich niezbędnych fachowców za wyjątkiem bednarza i doktora. Tego zresztą bez wątpienia znajdem zimą w Bostonie. Jak już powiedziałem, wyruszamy zaraz po wiosennych roztopach, gdy tylko rzeki w głębi lądu będą spławne.

Przez chwilę myśl, by zacząć wszystko od początku w takim miejscu jak Michigan obudziła żądę przygód Rye'a. Throckmorton go rozgryzł: wypłynął przecież na morze, a to jedna z największych przygód, jakie może przeżyć mężczyzna. Mimo to żal mu było opuszczać Nantucket. Zerknął znów na ojca. Josiah nakładał obręcz na baryłkę. Zaciskał tymczasową skórzaną pętlę, przetykając coraz dalsze dziurki, jak w pasku do spodni. Nad jego głową unosił się kłęb dymu.

Młody bednarz odwrócił się i napotkał uważne spojrzenie oczu w drucianych okularach.

- Nie jestem nabytkiem dla pana - rzekł - choć doceniam ofertę. Mam... rodzinę, której nie chciałbym tu zostawić.

- Ojca weźmie pan ze sobą - rzekł serdecznie agent. - Jego wiedza będzie równie cenna jak pańska. Nauczy młodych nie tylko bednarstwa. Zachód to kraina, w której potrzebni są ludzie w każdym wieku. Starzy wnoszą doświadczenie, młodzi płodzą dzieci. Niech mi pan powie, Dalton - Throckmorton rozejrzał się dyskretnie - czy jest pan żonaty?

Rye zeszywniał.

- Nie.

- Hm, szkoda, doprawdy szkoda. - Spojrzenie agenta powędrowało ukradkiem ku lewej dłoni bednarza, na której wyraźnie błyszczała obrączka. Powstrzymał się jednak od uwag, poklepał guziki kamizelki, jakby szykował się do wyjścia, i dodał: - Niemniej w wyprawie wezmą udział również młode damy...

- Nie wątpię - odparł Rye głosem bez wyrazu.

Josiah nagle stanowczo odstawił beczułkę i podniósł się leniwie, mrużąc owiane dymem oczy.

- Młodzieńcze - rzekł do agenta - gdybym był w twoim wieku, dałbym się namówić. Szczególnie w taki dzień jak dziś, kiedy nasza Szara Pani nęka mnie reumatyzmem. - Wyjął fajkę z ust i potarł ją w zadumie. - Mój syn., cóż, on nie ma reumatyzmu, brak mu więc ostrogi do szukania przygód.

Rye poderwał głowę. Miał wrażenie, że ojciec rzuca mu wyzwanie. Josiah ciągnął sucho, nie patrząc na syna:

- Gdybyś tu wrócił, kiedy zaczniesz go łupać w kościach, powykrzywia mu dłonie i nie będzie już z niego żadnego pożytku... o, tak, wtedy na pewno skorzystałby z okazji.

Jak gdyby potwierdzając, jak nielitościwa może być pogoda na Nantucket, Throckmorton znów kichnął. Wytarłszy dokładnie nos uścisnął dłonie obu Daltonom, najpierw staremu, później młodemu, do którego zaapelował po raz ostatni:

- Niech pan to przemyśli. Ma pan całą zimę, a gdyby zdecydował się pan ruszyć z nami, znajdzie mnie pan w bostońskim hotelu Astor. Wyruszamy z Albany piętnastego kwietnia.

- Lepiej niech się pan rozejrzy za kimś innym. Przykro mi - Rye serdecznie potrząsnął jego dłonią i w chwilę później agent wyszedł.

Josiah założył ręce za pasek spodni na plecach i zadumał się, kołysząc się lekko na piętach. Dym z fajki syczał, przechodząc przez cybuch. Stary spojrzął na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Throckmorton.

- Rzecz warta zastanowienia - rzekł. - Szczególnie dla mężczyzny uwikłanego w paskudny trójkąt, który uwiera go niczym gwóźdź w bucie.

Rye nachmurzył się.

- Radzisz mi jechać?

- Nie mówię, że tak... i nie mówię, że nie. Powiadam tylko, że na tej wyspie zrobiło się trochę ciasno, odkąd mieszkacie na niej obaj: ty i Dan.

Dziwaczna uwaga starego utkwiała jak cierń w myślach Rye'a. Tymczasem wrzesień się skończył, a zaczął październik. Josiah był stary, Rye nie mógł go zostawić. Czyżby ojciec

rzeczywiście zgodził się wyjechać? Rye zastanawiał się nad tym dziesiątki razy, nie puszczał jednak pary z ust, bowiem każda rozmowa zdawała się popierać argumenty Throckmorta, a Rye nie był jeszcze gotów ich przyjąć. Pozostawała też Laura i Josh. To prawda, że mógłby ich stąd wywieźć...

Nadeszły pierwsze mrozy, a z nimi najpiękniejsza pora roku na wyspie. Wrzosowiska rozjarzyły się tęczą jesiennych barw, wzdłuż Milestone Road wielkie kępy żurawin przybrały najpierw jaskrawopąsowy, potem rdzawy kolor. Pędy trującego bluszczu płonęły czerwienią i żółcią, a krzaczaste dębowe gaje przypominały stosy świeżo wybitych miedziaków. Woskownica zszarzała; pomarszczone jagody, gotowe do zbioru, wydzielały silną apteczną woń.

W ogrodach mieniły się liście morw, chryzantemy dały ostatni jesienny pokaz. Przymrozek pokrył rumieńcem późne jabłka. Na każdym niemal podwórzu stała tłocznia i zapach jabłek unosił się wszędzie, aż zdawać się mogło, iż cały ocean wypełniony jest słodkim sokiem. Przygotowywano gąsiorzy jablecznika, warzono pełne kotły galaretki i musu, a obrane ćwiartki niano do suszenia i belki stropowe wszystkich domów w Nantucket ugięły się pod ich ciężarem.

W domu przy Crooked Record Lane kosze jagód woskownicy czekały na zimne grudniowe dni, idealną porę na robienie świec. Kołyszące się nad głową girlandy jabłek i woreczki suszących się ziół - szaławii, tymianku, majeranku, mięty - wypełniały dom silnym aromatem.

Po południu Laura przybijała młotkiem drewnianą pokrywę na ostatni garnek jabłkowego musu, gdy nagle deszczulka pękła, a jej część wpadła do żółtej owocowej mazi.

Laura cisnęła młotek na stół i zakłęła pod nosem. Wyłowiła ułamany kawał, oblizała go i wrzuciła do pieca. Przejrzała pozostałe pokrywy, lecz nie znalazła żadnej, która by się nadawała.

Zerknęła przez okno na widoczną w oddali zatokę. Zakazana myśl błysnęła jej w głowie. Nic nie stało na przeszkodzie - Josh był u Jane, zbierali dynie. Uklękła i jeszcze raz wypróbowała po kolei każdą pokrywę. Nic z tego, żadna nie pasowała.

Znów spojrzała za okno. Szare, podbite ołowiem chmury galopowały po niebie jak dzikie mustangi, wiatr unosił opadłe liście morwy i niecierpliwie miotał nimi w szyby. Laura zamknęła oczy i zgarbiła się z rezygnacją. Nie mogę iść do niego - pomyślała. - Garnek da się przykryć talerzem.

W chwilę później jednak już mierzyła sznurkiem jego średnicę. Fartuch frunął na krzesło, Laura zaś pospieszyła ścieżką w dół do bednarni.

Drzwi były zamknięte. Zawahała się lekko i spojrzała w stronę nabrzeża, gdzie nad drzwiami oberży wisiała duża, pomalowana na niebiesko kotwica. Słyszała, że tam właśnie Dan spędza wieczory. Zadrżała, otuliła się mocniej peleryną i pchnęła drzwi. Wewnątrz panował półmrok, na kominku buzował ogień, a w powietrzu unosił się aromat cedrowego drewna, budząc słodkie wspomnienia.

Josiah siedział na zydlu, otoczony chmurą fajkowego dymu. Gdy weszła, podniósł głowę i niespiesznie odłożył skrawak, opierając go o zydel. Potem dźwignął się na nogi i wyjął fajkę z ust.

- Witaj, córko - rozległ się jego niski znajomy głos.

Zawsze ją tak nazywał. Wzruszyła się jeszcze głębiej, gdy stary wyciągnął ramiona na powitanie.

Przytuliła się do oprószonej opiłkami drewna flanelowej koszuli. Dwudniowa szczecina drapała ją w skroń.

- Jak się masz, Josiahu! Odsunął ją na długość ramion i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Myślałem, że już nie pokażesz się w tej starej norze, trzpiotko. Laura obejrzała się wokół.

- Kopę lat, Josiahu. Ale wygląda tu i pachnie tak samo, jak zawsze. - Jej wzrok padł na drugi pusty zydel. Poczowała ukłucie rozczarowania.

- Widzę, że rozglądasz się za moim synem.

- Ach, nie, nie... - zapewniła go nieco zbyt pospiesznie. - Ja tylko... przyszedłam zamówić pokrywę na garnek.

Josiah zmrużył oczy, poprawił fajkę w zębach i podjął, jak gdyby nie słyszał:

- Wyszedł na chwilę dołądnąć załadunku beczek na pokład „Marthy Hammond”.

Laura przysiadła na wolnym zydlu, udając, że rozgląda się dokoła. Po chwili dała spokój pozorom i spytała cicho:

- Jak on się miewa? Zza jej pleców doleciał cichy świst wydmuchiwanego dymu.

- Tak sobie - mruknął Josiah. - Lepiej od Dana, z tego, co słyszałem.

Laura przybladła.

- Pewnie cała wyspa już wie, że rozpił się po... po śmierci ojca.

- Ano - Josiah podniósł siekierkę i zrogowaciałym palcem uważnie sprawdził ostrze. - Ludzie gadają - rzekł, odstawił narzędzie i pochylił się nad robotą. - Gadają też o DeLaine Hussey. Nie dziwota, skoro zagląda tu co drugi dzień pod byle pretekstem.

Laura zaniemówiła. Spojrzała na pochylające się rytmicznie barki Josiaha.

- DeLaine Hussey?

- Ta sama.

- A czego ta tu chce? Słyszając jej zjadliwy ton, Josiah uśmiechnął się pod nosem.

- A czego może chcieć baba, która korzysta z każdej wymówki, żeby bez przerwy kręcić się koło chłopca? - znacząco zawiesił głos, ciągnąc do siebie ostrze, spod którego jedna za drugą wychodziły szerokie, białe strużyny. Zbadał palcami krzywiznę klepki i wyjął ją z zacisku. - Przyszła kupić cebrzyk dla matki, później przyniosła koszyk śliwek, a potem znów ciastka z dżemem pomarańczowym.

- Pomarańczowym!

Josiah znów się uśmiechnął, choć Laura nie mogła tego widzieć, bo odwrócił się do niej plecami.

- Ano - przyświadczył. - Były całkiem smaczne.

- Przyniosła Rye'owi ciastka pomarańczowe?

- Toż mówię.

- I co on na to?

- O ile pamiętam, bardzo mu smakowały. Mówił, że palce lizać. Potem zdaje się były jabłka z cynamonem, a jeszcze później... zaraz, zaraz... Aha! Potem przyszła zaprosić go na pieczenie małży.

- Jakie pieczenie małży?

- To, które co roku urządza Starbuck. Na zakończenie sezonu. Cała wyspa tam będzie. Dan nic ci nie mówił?

- Pewnie.... widać zapomniał.

- Ten twój Dan ma ostatnio kłopoty z pamięcią. Ponoć dość często zdarza mu się zapomnieć, że w domu czeka na niego kolacja.

Od drzwi dobiegł grzmiący głos:

- Rozpuściłeś jęzor jak stara baba, ojczu!

W progu stał sztywno Rye, odziany w czarne wysokie buty, obcisłe szare bryczesy i gruby sweter z golfem, który podkreślał szerokość ramion. Serce Laury podskoczyło na jego widok.

Josiah, zupełnie nie speszony, kiwnął głową:

- Może i masz rację.

- Dość już tych plotek! - mruknął szorstko Rye. Laura zastanawiała się, ile zdążył usłyszeć.

- Coś tak długo mitrężył? - spytał niewinnie stary. - Klientka czeka.

Laura nagle uświadomiła sobie, że siedzi na tym samym zydłu, który odegrał taką

ważną rolę w ich pierwszych uniesieniach, i że Rye na nią patrzy. Zerwała się, pospiesznie wyjęła z kieszeni sznurek i podeszła do Josiaha.

- Mówiłam, że Rye nie jest mi niezbędny. Wy też możecie to zrobić, Josiahu. Potrzebna mi tylko pokrywa do garnka. O, taka duża.

Josiah zmrużył oczy, zerknął na sznurek, dwukrotnie pyknął fajkę i odwrócił się obojętnie.

- Ja się tym nie zajmuję - rzekł. - On robi takie rzeczy. Laura bezradnie patrzyła na własne ręce, myśląc o DeLaine Hussey i pieczeniu małży. Palił ją wstyd, że w ogóle tu przyszła.

- Na kiedy ci to potrzebne? - usłyszała naraz, a w polu jej widzenia pojawiła się wyciągnięta dłoń Rye'a.

Pospiesznie wręczyła mu sznurek, starając się go nie dotykać.

- Kiedy dasz radę...

- Może być na sobotę?

- O... oczywiście, ale nie ma pośpiechu. Rye rzucił sznurek na stół. Przez chwilę stał z dłońmi wspartymi w blat, wyglądając przez okno.

- Przyjdiesz ją odebrać?

- Tak, tak, naturalnie.

- Będzie gotowa - rzekł zimno, nie odwracając się. Laura poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Z wysiłkiem uśmiechnęła się do Josiaha.

- Cóż... Miło było cię znów zobaczyć, ojczy. I ciebie też, Rye. Szerokie ramiona ani drgnęły. Laura bała się, że zaraz się rozplacze, obróciła się więc na pięcie i pobiegła do wyjścia.

- Lauro! Szarpnęła drzwi. Zza jej pleców doleciało stłumione przekleństwo, potem głos:

- Zaczekaj! Wybiegła na ulicę. Rye długimi susami wypadł za nią.

- Prr, kobieto! - krzyknął, chwytając ją za łokieć. Obróciła się do niego i wyrwała rękę.

- Nie mów do mnie jak... jak do... jak do jakiejś nędznej szkapoty!

- Po coś przyszła? Mało ci mojej męki?

- Potrzebna mi pokrywa. Gdzie mam ją dostać, jak nie u bednarza?

- W sklepie za rogiem. Mogłaś pójść tam.

- Następnym razem na pewno tak zrobię!

- Mówiłem, żebyś trzymała się ode mnie z daleka!

- Pokornie błagam o wybaczenie, panie Dalton. Chwilowy zanik pamięci, to rodzinne. Zapewniam pana, że więcej się nie spotkamy, chyba że w żaden sposób nie zdołam tego uniknąć. Oczywiście w takim wypadku przyniosę ze sobą pomarańczowe ciastka, żeby wynagrodzić panu fatygę.

Rye cofnął się o krok, mierząc ją wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. Zatknął kciuki za pas.

- Staruszek powinien był zamknąć dziób na kłódkę.

- Przeciwnie. Ta rozmowa była bardzo... pouczająca. Rye poczerwieniał ze złości.

- Ty mieszkasz z Danem pod jednym dachem i wszystko jest w porządku! Ale gdy chodzi o mnie i DeLaine Hussey, to już co innego, tak?

- Możesz sobie robić z tą panią, co zechcesz!

- Dzięki za pozwolenie! Nie omieszkam!

Oczekiwała, że Rye wyprze się spotkań z DeLaine. Nie zrobił tego, co zabolalo ją bardziej, niż mogła się spodziewać. Spojrzała na niego wyniośle i uniosła jedną brew.

- Nauczyłeś ją już, jak użytecznym sprzętem jest bednarski zydel? Zrób to, będzie zachwycona.

Przez moment Rye miał taką minę, jak gdyby chciał ją uderzyć. Zacisnął palce na jej ramieniu, lecz nagle puścił ją i gniewnym krokiem wszedł do warsztatu, zatraskując za sobą drzwi.

Natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Niestety, nie dało się ich cofnąć.

Kiedy w nocy płakała w poduszkę, wciąż brzmiały jej w głowie. Dlaczego to powiedziałam, och, dlaczego? On ma rację - nie mam prawa go winić, skoro sama wciąż żyję z Danem.

Istniała jednakowoż realna możliwość, że DeLaine zdoła w końcu uwieść Rye'a, i na myśl o tym Laurę ogarnął lęk. Rye był samotny i rozgoryczony, przez to bardziej podatny na damskie awanse. Laura bardzo dokładnie pamiętała powłóczyście spojrzenia i opowieść o łożu masońskiej. Ta dziewczucha stanowczo wzięła kurs na Rye'a. Jak długo mężczyzna będzie się opierał dowodom sympatii... a może czegoś więcej?

ROZDZIAŁ 16

Nazajutrz Laura poszła po Josha do Jane z miną pochmurną jak niebo nad Nantucket. Wzgórz nie pokrywał już pstry dywan jesieni. Żłociste paprocie i wysokie borówki zwarzył mróz. Gałązki żurawin sterczały ku niebu niczym upiorne, odarte z ciała palce. Winorośl, okrywająca przedtem płoty ścianą zieleni, zwisała w smętnych strzępach, pomiędzy którymi bażant szukał ostatnich zeschniętych gron. Białe piaszczyste koleiny melancholijnie ciągnęły się przez wzgórza; nisko nawisłe chmury miały barwę ołowiu, a miejscami były tak ciężkie, że zdawały się lizać targane wiatrem pustkowie. Zimny powiew, który teraz lamentował nad konającą jesienią, miał niebawem ustąpić miejsca ostrym północnym wichrom, które uwiężą wyspę w okowach lodu i śniegu.

Zdawać się mogło, że cały świat wraz z Laurą pogrążył się w głębokim smutku. Z ciężkim sercem, drżąc z zimna mimo wełnianego okrycia, naciągnęła głębiej kaptur i przyspieszyła kroku.

Jane tylko raz zerknęła na siostrę i stwierdziła:

- Lepiej nastawię czajnik. Zdaje się, że herbata dobrze ci zrobi. Połowa czeredki Jane poszła do szkoły i dom tym razem wydawał się niemal oazą spokoju. Pod blachą buzował ciepły ogień. Josh, solidnie najpierw wyściskany, został wraz z kuzynami usunięty do drugiego pokoju. Na pociechę dzieci dostały miskę prażonych ziaren dyni do pogryzania. Siostry usiadły naprzeciw siebie przy stole, popijając mocną miętową herbatę.

- Wyglądasz okropnie - zagaiła bez ogródek Jane. - Masz czerwone oczy i cała jesteś zapuchnięta.

- Popłakałam sobie dziś w nocy.

- Z powodu dwóch mężczyzn twojego życia?

- Z powodu jednego; tego, którego staram się unikać.

- Ach, Rye'a. To znaczy, że doszły do ciebie plotki o DeLaine Hussey.

Laura poderwała głowę, zaskoczona.

- Ty też o niej wiesz?

Jane spokojnie wytrzymała jej spojrzenie.

- Cała wyspa wie, że DeLaine Hussey ugania się za Ryem. Nie powinnaś być zdziwiona, iż mnie również obito się to o uszy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Rzadko cię widuję. Podejrzewam, że zamykasz się w czterech ścianach, by go broń Boże nie spotkać.

Laura westchnęła.

- Masz rację. Chowam się ze strachu.

W pokoju na chwilę zaległa cisza. Jane uważnie popatrzyła w zaczerwienione, podpuchnięte oczy siostry.

- Jest aż tak źle?

Prawda wypisana była w każdym rysie zmęczonej twarzy Laury.

- Tak, to... to ponad moje siły. - Nagle, bez ostrzeżenia, zaczęła płakać. - Och, Jane, spotkałam się z nim sam na sam. I... byłam z nim. Przez to moje życie zamieniło się w piekło.

Jane uspokajająco położyła jej dłoń na ramieniu.

- Chcesz powiedzieć, że byłaś z nim jak kobieta z mężczyzną? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Laura rozpaczliwie pokiwała głową, kryjąc twarz w dłoniach. Jane cierpliwie odczekała, aż się wypłacze. Potem wcisnęła jej do ręki chusteczkę, a gdy Laura wycierała nos, uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

- Och, Jane, pewnie myślisz, że jestem straszną rozpustnicą...

- Nie, kochanie, wcale tak nie myślę. Mówiłam ci już, że zawsze wiedziałam, jak to jest między tobą a Ryem. Sądzisz, że byłam ślepa przez te wszystkie lata twojego małżeństwa z Danem? Zauważyłam, że coś w nim jest... no, że czegoś brakuje. Byłam tylko ciekawa, kiedy wreszcie sama na to wpadniesz. Trzeba było dopiero obecności Rye'a, żebyś uświadomiła sobie pewne rzeczy.

- Próbowałam trzymać się od niego z daleka, wierz mi, Jane, próbowałam - chlipnęła Laura, błagając siostrę wzrokiem o zrozumienie. - Ale spotkałam go na wzgórzu, kiedy poszłam do młyna zamówić mąkę. Josh był ze mną i... zobaczyłam jak bardzo są do siebie podobni... Krótko mówiąc, poprosił mnie o spotkanie i ja się zgodziłam. Nazajutrz, wiesz, wtedy, gdy przyprowadziłam do ciebie Josha... tego samego dnia, kiedy zginął Zachary... Jane wyczuła, co dręczy siostrę.

- Nie myśl o tym, Lauro - szepnęła ze współczuciem. Laura z trudem przełknęła ślinę, podniosła do ust filiżankę herbaty i ogrzała o nią palce.

- Byłam pewna, że się domyśliłaś.

- Domyślałam się, co się z wami dzieje. Nie miałam tylko pojęcia, że zdarzyło się to właśnie tego dnia.

Laura wbiła wzrok w filiżankę.

- To potworne, że właśnie wtedy, kiedy wraz z Ryem... zdradziliśmy Dana, on szukał w morzu swego ojca.

- Lauro, chyba nie chcesz powiedzieć, że winisz siebie za śmierć Zacha?

W oczach Laury odmalował się ból.

- Nie rozumiesz? Byliśmy razem, a kiedy wróciliśmy do miasta, dowiedzieliśmy się, że Zach zaginął. Potem spotkaliśmy się na nabrzeżu. Dan też tam był i... och, Jane, nigdy nie zapomnę, jak podbiegł do Rye'a. Próbował... chciał być twardy, odciąć się od niego, ale nie był w stanie. Potrzebował pociechy i na oczach całego miasta padli sobie w ramiona... a przecież niedługo przedtem Rye i ja... och, to wszystko jest takie skomplikowane! - Laura ponownie ukryła twarz w dłoniach. - Czuję się jak ostatni podlec!

- To zrozumiałe, ale obwinianie siebie o to, że Zach się utopił, jest głupotą. Podobnie zresztą nie możesz się winić, że Rye nie utonął! Przyznaję, że porę wybraliście niezbyt odpowiednią, to wszystko!

- Ale nie było cię tam wieczorem w dniu pogrzebu, kiedy Dan tak się upił.

- Nie było mnie, ale słyszałam o tym.

- Och, Jane, to było straszne. Każde jego oskarżenie było prawdą. To przeze mnie pije; nie potrafię ukryć, co czuję do Rye'a. Przysięgam sobie nie widywać się z nim przynajmniej przez pół roku, w czasie żałoby, lecz Dan i tak wszystkiego się domyśla. Wraca do domu późną nocą, pijany jak bela. W ogóle przestaliśmy ze sobą rozmawiać. I przez cały czas myślę, że jeśli nawet rozwiódę się z nim i wyjdę za Rye'a, to jak spojrzemy mu w oczy?

Jane nagle zerwała się z miejsca i zakręciła wokół kuchni.

- Doskonale znasz odpowiedź, Lauro, i to od dawna. Ta wyspa jest za mała, by pomieścić was troje. Zawsze tak było.

- Za mała?...

Jane postawiła czajnik na piecu, odwróciła się i zmierzyła Laurę wzrokiem, który zmusił ją do przyznania w duchu, iż siostra ma rację.

- Stanowczo za mała - powiedziała chłodno. - Obojętne, z którym z nich będziesz żyła. Zawsze będziesz się stykać z tym drugim i bez ustanku rozgrzebywać przeszłość. Prędzej czy później, ktoś będzie musiał stąd wyjechać.

- Przecież tu się urodziliśmy! - chlipnęła Laura.

Jane żwawo podeszła do stołu, lecz zawahała się, jakby nagle zabrakło jej rezonu. Podniosła filiżankę i zajrzała do środka, jak gdyby chciała wywróżyć przyszłość z fusów.

- Krążą pewne plotki...

- Plotki? - Laura niewiele z tego rozumiała.

- Widzę, że do ciebie jeszcze nie dotarły.

- Ale o co chodzi?

- Na wyspie był pewien człowiek nazwiskiem Throckmorton. To agent grupy osadniczej, która wyjeżdża na Terytorium Michigan przyszłej wiosny.

- Michigan? - Laura wytrzeszczyła oczy.

- Tak właśnie - Jane pociągnęła łyk herbaty. - Chcą założyć tam nowe miasto. Jak wiesz, żadne miasto nie może obejść się bez bednarza.

Laura otworzyła usta ze zdumienia.

- Och, nie - szepnęła.

- Owego pana Throckmorta niejedną raz widziano u Daltonów.

Laura bezsensownie obejrzała się w stronę drzwi, jakby ze swego miejsca mogła dojrzeć warsztat bednarski.

- Rye ma zamiar wyjechać?

Oczywiście błagała Jane, by temu zaprzeczyła.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Słyszałam tylko, że pan Throckmorton ma za zadanie ściągnąć wykwalifikowanych rzemieślników, niezbędnych w samotnej osadzie ludzkiej w dziczy. Powiadają, że ziemia jest tam za darmo i każdy może brać tyle, ile zechce. Wystarczy się osiedlić i uprawiać ją przez rok.

- Ale Rye nie jest rolnikiem.

- Oczywiście, że nie. Wątpię, czy zechce założyć gospodarstwo. Jego fach przyniesie mu o wiele większy dochód niż uprawa roli.

- Och, Jane! - niemal krzyknęła Laura.

- Nie twierdzą, że Rye na pewno wyjedzie. Powtarzam tylko, co słyszałam. Uważam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Laura przypomniała sobie, jak niechętnie potraktował ją wczoraj Rye. Pamiętała również własne gniewne słowa. Czyżby zamierzał uwolnić się od tej nieznośnej sytuacji podejmując ryzyko i osiedlając się na ziemi niczyjej... na przykład z DeLaine Hussey?

Myśl ta prześladowała Laurę bez ustanku aż do dnia, gdy pojawiła się w bednarni po odbiór zamówionej pokrywy. Miała zamiar jasno i otwarcie zapytać Rye'a o plany na przyszłość. Los nie dał jej jednak takiej szansy. W warsztacie był tylko stary Josiah. Odniosła mgliste wrażenie, że Rye miał się na baczności i widząc, jak nadchodzi, pospiesznie schronił się na piętrze, bowiem kiedy weszła, Josiah stał u stóp schodów i spoglądał w górę.

- Dzień dobry, Josiahu.

- Witaj, córko - skinął jej głową.

- Przyszłam po pokrywę.

- Ano, jest gotowa. Podał jej wieko, które przytuliła niemal pieszczotliwie. Z trudem

się przemogła, by spojrzeć mu w oczy.

- Chciałam pomówić z Ryem. Zastałam go?

- A widzisz go gdzieś tutaj? - rzekł wymijająco stary.

- Nie, Josiahu, nie widzę - odparła cierpko.

- Czyli nie da się z nim pomówić, prawda?

- Celowo mnie unika? - zapytała.

- A, tego to ja już nie wiem - Josiah obrócił się tyłem. - Musisz go zapytać, gdy go spotkasz.

- Josiahu, podobno był tu człowiek nazwiskiem Throckmorton. Rozmawiał z Ryem.

- Throckmorton... czekaj no, Throckmorton, powiadasz... - Josiah z namysłem podrapał się po brodzie.

- Josiahu! - Laura zaczynała tracić cierpliwość.

- Ano, jak sobie wspomnę, chyba był tu taki.

- Czego chciał? Josiah udawał, że jest bardzo zajęty wycieraniem stołu. Z hałasem przesuwał narzędzia tam i z powrotem.

- Nie słucham gadaniny każdego bubka, który tu zachodzi, żeby pogawędzić sobie z moim synem. Mam robotę.

- Skąd był ten Throckmorton?

- Jak to skąd?

- Z Michigan?

Josiah znów potarł podbródek i spojrzał na Laurę z wystudiowaną obojętnością.

- Chyba wspominał coś o Michigan, ale prawdę mówiąc, nie zwróciłem na to baczniejszej uwagi.

Serce załomotało Laurze w piersi.

- Dziękuję ci, Josiahu. Ile jestem dłużna za pokrywę?

- Dłużna? Nie bądź głupia, dziewczyno. Rye wytarzałby mnie w smole i pierzu, gdybym wziął od ciebie pieniądze.

Omam nie podskoczyła z radości, ale nie mogła się oprzeć i spytała:

- Kto zrobił pokrywę: ty czy on?

- On - rzekł stary, nie patrząc na nią. Na górze zaskrzypiała deska. Laura zerknęła na sufit i powiedziała głośno:

- Podziękuj mu ode mnie, dobrze?

- Ano, nie omieszka.

Kilka minut później Rye zszedł ze schodów i przystanął na najniższym stopniu.

- Poszła - chrząknął Josiah. - Nie musisz już się chować. I tak jej nie oszukałeś. Wiedziała, że tam jesteś.

- Słyszałem, jak dziękuje.

- Ładne rzeczy, żeby syn kazał staremu ojcu okłamywać własną kobietę - sarknął Josiah - a sam krył się na strychu jak jaki złodziej.

- Gdyby to była tylko moja kobieta, nie byłoby takiej potrzeby.

- Wieść o Throckmortonie już do niej dotarła.

- Ale nie poruszyła jej na tyle, by rozwiodła się z Danem.

- Skąd wiesz, skoro nie chciałeś z nią rozmawiać?

- Gdyby postanowiła od niego odejść, nic by jej nie powstrzymało przed wejściem na górę. Znam ją.

- Pewnie tak, chociaż nie widziałeś jej miny. Jak myślisz, kto jej doniósł?

- Nie mam pojęcia, ale przecież ten człowiek nie rozmawiał wyłącznie ze mną. Wielu ludzi na wyspie wie, po co przyjechał.

- Zastanawiałeś się nad jego propozycją?

Brwi Rye'a ściągnęły się, tworząc jedną linię, ale nic nie odrzekł. Josiah podniósł skrawak, obrócił się tyłem i podszedł do szlifierki. Badając kciukiem ostrze zapytał mimochodem:

- A czy przyjąłeś zaproszenie tej panienki?

Rye spojrział na niego zaskoczony. Sposób, w jaki Josiah wymówił ostatnie słowo, miał w sobie coś obraźliwego.

- Tak - odparł. - Zabieram ją na pieczenie małży. Josiah zerknął na niego przez ramię z ironicznym uśmieszkiem.

- Ta mała piecze znakomite ciasteczka.

- Mhm. Zgrzyt ostrza na szlifierce uciął dalszą rozmowę.

Ostatnie w sezonie pieczenie małży odbywało się co roku, gdy kończono gromadzenie zapasów na zimę, a plaża nie była jeszcze zamrznięta. Co roku też strażnikiem ognia był kapitan Silas i co roku na dzień przed uroczystością można go było spotkać, jak cierpliwie zbierał na plaży wodorosty. Zawarte w nich maleńkie torebki z powietrzem, pękając w czasie pieczenia, nadawały małżom aromat. Silas ściągał na miejsce niemal stufuntowe worki żółtobrazowego zielska, nie bacząc na wiatr, który dął z prędkością czterdziestu mil na godzinę - rzecz normalna o tej porze roku. „Znajdziemy zaciszne miejsce” - mawiał, i zawsze tak było. Wyspiarze niezbyt przejmowali się pogodą, zwłaszcza gdy za wytrwałość czekała ich nagroda w postaci soczystych mięczaków. Małże, wykopane na plaży w Polpis, czekały

przygotowane w koszach, wraz z ziemniakami, dynią i kielbaskami, z którymi razem miały dusić się w żarze.

Rye i DeLaine przybyli na wydmy późnym popołudniem. Zastali tam już sporą gromadę ludzi. Kapitan Silas nadzorował budowę ogniska, despotycznie dyrygując każdym etapem. W piasku wykopano płytkie wgłębienie, które następnie zostało okolone drewnem i wypełnione kamieniami.

- To najbardziej skomplikowane zadanie - prawil. - Trzeba ustawić kopczyk tak, by powietrze mogło opływać wokół każdy kamień, inaczej nie będzie ciągu i małże będą surowe.

DeLaine pochyliła się do Rye'a i szepnęła, zasłaniając usta dłonią:

- Jak dobrze, że nam o tym powiedział!

Rye zachichotał, po czym zmarszczył brwi z udawanym zgorzaniem.

- Przecież musi być dobry ciąg - odszepnął mentorskim tonem. Te same słowa słyszeli co roku.

Rye miał pewne opory, by spędzić ten dzień w towarzystwie DeLaine, ale jej żartobliwa uwaga poprawiła mu nastrój. DeLaine nie była brzydka, a dotąd nigdy nie spędził z nią dość czasu, by się przekonać, czy ma poczucie humoru. Nagle uświadomił sobie, że bardzo niewiele o niej wie. Stojąc przy jamie w porywistym wietrze postanowił się bawić najlepiej, jak to możliwe. W głębi duszy był zadowolony, że rodzina Morganów, wciąż w żałobie, nie pojawi się na pikniku.

Silas skrzesał iskrę i wkrótce wszyscy przekonali się, iż stary żeglarz rzeczywiście wie, co robi. Ogień rozpalil się szybko. Grzano nad nim kufle jabłecznika, czekając na komendę do dalszej pracy. Kiedy rozpalone kamienie zaczęły trzeszczeć i pękać, kapitan rozłożył je ostrożnie i pokrył warstwą wodorostów. Na wierzch poszło jedzenie i kolejna warstwa zielska. Rye pomógł nakryć cały kopczyk płachtą, ale była to jedyna czynność, której Silas nie wykonywał osobiście. Własnoręcznie obciążył płachtę piaskiem, zapieczetowując gorący piekarnik. Z jamy unosiła się para. Ludzie rozeszli się puszczać latawce, co stało się już tradycją.

Odchodząc od ognia, Rye przyjrzał się DeLaine kątem oka. Miała na sobie prosty czepeczek ze sztywnego niebieskiego jedwabiu, który okrywał jej głowę po uszy. Wełniany płaszcz z pelerynką zapięty był pod brodę, a dłonie tkwiły w ciepłych popielatych rękawiczkach. Rye postawił kołnierz sukiennej kurtki i jeszcze raz powiedział sobie, że ma zamiar przyjemnie spędzić czas.

Stanęli na wzgórk, mając wiatr w plecy. Ich latawiec uniósł się ku innym, które już szybowały nad wzburzonym oceanem. Spieniony przybój bryzgał w górę ku kolorowym

bibułkowym ogonom, które wiły się i podrygiwały, jakby natrzęsając się z morza.

Rye od lat nie puszczał latawca i upajał się teraz poczuciem swobody, patrząc jak kolorowy trójkąt walczy z wiatrem, potem sprytnie wypełnia się jak żagiel ciągnięty fałem. Zadarł głowę. Latawiec był coraz mniejszy. DeLaine roześmiała się nagle.

- Czy wiesz, że kiedy byliśmy dziećmi, marzyłam o tym, żeby puszczać z tobą latawce?

- Nie - odparł zdziwiony. Zerknęła na niego.

- Tak było. Ale wiesz, jak to mówią: „Lepiej późno, niż wcale”. Rye nie wiedział, co odrzec. Stał z rękami w kieszeniach, patrząc w niebo.

- Zazdrościłam Laurze Traherne bardziej niż jakiegokolwiek innej dziewczynie - ciągnęła głębokim kontraltem DeLaine.

Rye poczuł, że się rumieni, ale DeLaine wpatrywała się w latawiec.

- Zawsze miała cię przy sobie, a oprócz tego taką... dużą swobodę, jak na dziewczynę. Zawsze zazdrościłam jej tej swobody. Podczas gdy my siedziałyśmy w domach i uczyłyśmy się haftować, ona biegała na bosaka po plaży - DeLaine odwróciła głowę i zerknęła na mocną szczękę Rye'a i jego bokobrody, które od pierwszej chwili miała ochotę pogłaskać. - Czy ja cię wprawiam w zakłopotanie, Rye? Nie miałam takiego zamiaru. Widzisz, mnie nie przeszkadza to, że kochasz Laurę.

Jej oczy patrzyły na niego, spokojne i pewne.

- Cała wyspa wie, co do siebie czujecie. Ja też i nie robi mi to różnicy. Cieszę się, że jesteś przy mnie, bo marzyłam o tym od bardzo, bardzo dawna.

Rye otworzył usta, lecz odjęło mu mowę. DeLaine uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Powiedz mi, byłeś w Portugalii?

- Oczywiście. Wciągnęła głęboki oddech i zapatrzyła się w horyzont.

- Zawsze chciałam zwiedzić Portugalie. Jest tam, za morzem... wyobraź sobie tylko, w tej chwili stoimy zwróceni w jej kierunku. Dałabym wszystko, żeby ją zobaczyć, żeby zobaczyć cokolwiek poza tą zatęchłą wysepką. Mam jej po dziurki w nosie, a zapach tranu i smoły przyprawia mnie o mdłości.

- Nie takie wrażenie odniosłem, kiedy opowiadałaś mi o waszej łoży masońskiej. Wydawałaś się dumna z Nantucket i jej wielorybników.

- A, to - DeLaine uśmiechnęła się lekceważąco. - Paplałam, ot, tak, żeby zwrócić twoją uwagę. Jest mi całkowicie obojętne, czy mężczyzna zabił wieloryba, czy też nie. - Wiatr chwycił kosmyk jej włosów i przycisnął go do ust. Rye szybko odwrócił wzrok. - Czy to prawda, że proponowano ci wyjazd na Terytorium Michigan, gdzie zostanie założone nowe

miasto?

Zerknął na nią spod oka, napotkał jej wzrok i szybko odwrócił głowę.

- Tak, to prawda.

- Tobie też zazdroszczę. Jesteś mężczyzną. Mężczyźni sami mogą podejmować decyzje.

- Nie zdecydowałem się wyjechać z Nantucket.

- Tak, ale jeśli zechcesz, możesz to zrobić. Podobnie, jak wypłynąłeś na morze. Sporo ostatnio myślałam o tym, że kobiety zmuszone są marnować życie, czekając bezczynnie, aż zdarzy się coś, co je zmieni. Myślałam o Laurze, o tym, jak jest niezwykła, lekceważąc konwenanse i robiąc to, na co ma ochotę. Pomyślałam sobie: DeLaine Hussey, czas, byś i ty zrobiła to, na co masz ochotę! No i widzisz: jestem tu z tobą i mówię ci rzeczy, których żadna dama nie powinna opowiadać mężczyźnie. Nie dbam o to! Nie jestem coraz młodsza, a wciąż samotna, chociaż... chociaż... wcale tego nie chcę - DeLaine mówiła coraz ciszej. - A oddałabym wszystko, żeby móc zacząć nowe życie gdzieś daleko... na przykład w Michigan...

- DeLaine, ja...

- Och, nie rób takiej przerażonej miny, Rye, i nie sil się na wyjaśnienia. Cieszymy się dzisiejszym dniem i jedzmy małże, ot co!

- uśmiechnęła się promiennie, Rye zaś nagle zrozumiał, jak musi czuć się upokorzona tym, do czego przed chwilą się przyznała. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad losem kobiety, która chce wyjść za męża, ale nikt nie prosi jej o rękę.

Latawiec zerwał się ze sznurka i pofrunął w dal nad oceanem.

- Och, patrz! - DeLaine uniosła dłoń, przytrzymując czepek. Roześmiała się, a wiatr poniosł jej śmiech na wschód, ku czterem skrzeczącym w powietrzu mewom. - Leci do Portugalii!

Poła jej płaszcz załopotą, uderzając go po nogach. Rye uśmiechnął się, ujął ją pod ramię i zawrócił w stronę ogniska.

- W Portugalii nie ma nic tak dobrego jak pieczone małże. Chodźmy.

W pogodniejszych nastrojach pobrnęli z powrotem.

Kapitan Silas wykonał teraz w odwrotnej kolejności wszystkie wcześniejsze czynności. Najpierw odsunął płótno, wypuszczając wielkie kłęby pary, potem zepchnął na bok zwiotczałe wodorosty, których zapach uniósł się w słonym powietrzu.

Rye i DeLaine usiedli obok siebie na kocu, jedli soczyste małże, delikatne warzywa i ostre kielbaski, wyrabiane na wyspie, które nigdy nie były aż tak smaczne, jeśli podgrzało je się po prostu w garnku. Oblizywali wargi, śmiali się do rozpuku i z upływem czasu czuli się

ze sobą coraz swobodniej. Po skończonym posiłku niemal każdy mężczyzna w kręgu zapalił fajkę lub cygaro.

- Nie palisz - zauważyła DeLaine.

- Nie muszę. Wystarczy mi to, co nadymi mój ojciec. Zachichotali oboje. Rye objął rękoma podciągnięte kolana. DeLaine myślała, ile lat musiała czekać na ten wieczór.

Zanim żar wygasł i wszyscy się rozeszli, zapadł zmrok. Wiatr przycichł z nadejściem nocy, było jednak zimno, znad oceanu ciągnęła wilgoć, wciskając się za kołnierze i pod halki.

W milczeniu wracali do miasta. DeLaine patrzyła pod nogi, przytrzymując pod brodą kołnierz płaszcza.

- Zimno ci? - spytał Rye, widząc, że drży.

- O tej porze roku wszystkim tu jest zimno.

- Najgorsze dopiero przed nami. Dotąd Rye nie pozwolił sobie na żaden poufaly gest wobec DeLaine, teraz jednak objął ją ramieniem. Ich oddechy unosiły się białymi obłoczkami.

Rozrzucone tu i ówdzie na ulicach miasteczka latarnie rozjaśniały mulistą ciemność plamami światła. DeLaine mieszkała w szarym domu blisko rynku. Gdy doszli do furtki, Rye cofnął rękę i puścił DeLaine przodem. Zwolniła kroku i obróciła się do niego.

- Rye, bawiłam się cudownie i przepraszam, jeżeli...

- Nie masz za co przepraszać, DeLaine. - Patrzył na jej okrytą cieniem, zwróconą ku górze twarz. Była niższa od Laury i pachniała inaczej, korzennie, nie kwiatowo. Rye ze zdumieniem uświadomił sobie, że przez cały wieczór nie pomyślał o Laurze.

DeLaine stała tak blisko, że jej spódnica ocierała się o jego spodnie.

- Rye, jest coś, na co miałam ochotę od przyjęcia u Starbucków. Czy nie obrazisz się, jeśli... pofolguję tej zachciance?

Nie był pewien, czy ma chęć się z nią całować, ale nie chciał jej urazić.

- Naturalnie, że nie - odparł cicho. Ku jego zdziwieniu DeLaine zdjęła rękawiczkę i objęła dłonią jego policzek z bujnymi bokobrodami.

- Ależ one są miękkie! - wykrzyknęła, wodząc po nich czubkami palców.

- Jasne, że są miękkie. A czego się spodziewałaś?

- Czy ja wiem... Twoja broda wydaje się przy nich twarda jak z żelaza, więc siłą rzeczy oczekiwałam, że będą... raczej szorstkie.

Jej dłoń znieruchomiała. Na wysmaganej wiatrem twarzy Rye'a wydawała się bardzo ciepła.

- Czy zawsze byłaś tak impulsywną osobą, DeLaine Hussey? - spytał.

- Nie, nie zawsze. Podobnie jak wszystkie panienki z dobrych domów, zostałam nauczona nigdy nie okazywać uczuć. - Jej palce przesunęły się do wgłębienia pod kością policzkową, a słowa z wolna ucichły. Noc była ciemna, przyćmione światło padające z okien obrysowywało ciemnym oranżem ich profile.

- DeLaine, to co dziś powiedziałaś... Nie miałem pojęcia, że...

- Ciii... - położyła mu palec na ustach.

W jej dotyku, w oczach wyczuwał zachętę. Właściwie Rye nie miał ochoty na jakąkolwiek kobietę poza Laurą. Nie miał też zamiaru zabierać ze sobą DeLaine do Michigan. Była jednak blisko, drżała z tęsknoty, a gdy jej palec delikatnie przesunął się po dolnej wardze Rye'a, jego krew nagle zawrzała z pożądania.

A, do licha - pomyślał. - Spróbuj!

Delikatnie skubnął zębami czubek palca i obiema rękami uchwycił ją w pasie. Gdy nachylił się do jej ust, uniosła ramiona i wplotła palce we włosy na jego karku.

Zdawał sobie sprawę, że DeLaine dążyła do tego przez cały wieczór, ale w tej chwili było to bez znaczenia. Miał dość samotności, a ona pachniała drzewem sandałowym, jej wargi miały delikatny posmak masła i rozchyliły się tak chętnie, że i on otworzył usta. Westchnęła cichutko, gdy przyciągnął ją do siebie. DeLaine Hussey - pomyślał. - Kto by kiedy przypuszczał, że jest do tego zdolna? Wsunęła dłoń w ciepłe zacisze jego kurtki i w Rye'u przeważała naturalna ciekawość. Uniósł dłoń ku jej piersi. Jęknęła z rozkoszy i przywarła do niego. Rozpiął jej płaszcz i obiema rękami objął ciepłe plecy.

Ich ciała zwały się. DeLaine wyczuła stwardniałą męskość mężczyzny, o którego zabiegała od lat. Dłoń Rye'a spoczęła na jej piersi, budząc rozkoszny dreszcz.

Rye poczuł to i doznał drobnej satysfakcji na myśl, że ta kobieta kocha go od dawna. Piersi miała większe od Laury, inaczej wykrojone usta... W tym momencie Rye uświadomił sobie, co robi. Porównuje.

Uniósł głowę i delikatnie odsunął ją od siebie.

- DeLaine... słuchaj, przepraszam cię. Nie powinienem był tego robić.

- Rye, mówiłam ci przecież: nie szkodzi, że Laura jest dla ciebie najważniejsza.

- Hola, hola! - szepnął, cofając się. - Poprzestańmy dziś na tym, dobrze? Moje życie to w tej chwili jedna wielka ruina. Nie chciałbym cię wciągać w moje kłopoty.

- Wciągać? Rye, nie rozumiesz...

- Rozumiem, ale nie mam do tego prawa - westchnął, cofnął się jeszcze o krok i przygładził włosy.

DeLaine spuściła wzrok. Pospieszenie wciągnęła rękawiczkę.

- Przepraszam, że ci się narzucałam, Rye - szepnęła. - Czy mi wybaczysz?

Położył obie dłonie na jej ramionach.

- Nie ma tu nic do wybaczenia, DeLaine. Było mi bardzo miło. - Delikatnie pocałował ją na pożegnanie i dodał: - Dobranoc, DeLaine.

- Dobranoc, Rye. Zawrócił do furtki. Usłyszała skrzypnięcie i kroki Rye'a, cichnące w oddali.

Niech cię wszyscy diabli, Lauro Morgan! - pomyślała. - Jeden mężczyzna ci nie wystarczy?

ROZDZIAŁ 17

Listopad okrył Nantucket grubym płaszczem mgły. Unosiła się na krótko, a gdy po chwili znów zaczynał dąć południowo - zachodni wiatr, na widnokręgu pojawiał się kożuch szarej pleśni, która prędko pełzła po wodzie, by owinać się wokół wyspy. Po dziesięciu minutach widoczność nie przekraczała dwudziestu jardów. Lodowata wilgoć przenikała do kości. Rybacy wypływali okutani tak, jak gdyby mieli łowić wieloryby u wybrzeży Grenlandii. Ponieważ jednak zarówno mgła, jak rybołówstwo były ściśle związane z życiem na Nantucket, zaciskali zęby, bez skargi znosząc kaprysy pogody.

Okonie i błękitki żerowały przy Rip Point, gdzie fale pływowe rzucały się na płyciznę, złościąc i ssąc brzegi w bryzgach, białej piany. John Durning, Tom Morgan i inni codziennie stawali do walki z żywiołem, ciągnąc sieci dłońmi bardziej sinymi od wyławianych ryb.

Zawijające do portu pod koniec dnia kutry wyglądały jak statki - widma z marynarskich legend. Stłumione ludzkie głosy zdawały się dobiegać znikąd, mgła bowiem zniekształcała dźwięki, których słabe echa błędziły w białej pustce niczym jęki upiorów.

Rye spędzał te szare dni z Josiahem, rozmyślając o wiośnie i nowym życiu, jakie mógłby rozpocząć w Michigan z Laurą u boku. Ale czy Laura zdecyduje się w końcu porzucić Dana? A jeżeli tak, czy zdąży legalnie przeprowadzić rozwód? Być może nie zechce opuścić wyspy, na której się urodziła. Rye nie miał wątpliwości, że DeLaine Hussey pojechałaby z nim bez wahania. Tylko czy on tego chciał? Miał całą zimę, by się nad tym zastanowić, nie był jednak pewien, czy jego ojciec, który otwarcie demonstrował swą niechęć, dałby się namówić na wyjazd do Michigan z DeLaine Hussey w roli nowej synowej.

Zabłądził raz z psem na Crooked Record Lane, lecz stojąc na ścieżce uznał, że nie może ni stąd, ni zowąd zapukać do drzwi. Naciągnął głębiej czapkę, ręce wepchnął w kieszenie i spojrzał w okna. Blask świc rozpraszał półmrok, Laura zatem była w domu, a z nią Josh... Rye znów odczuł ten sam ból, którego zaznał, gdy chłopiec rzucił się na niego z pięściami, wołając: „Nie jesteś moim tatą!”. Ileż to razy prosił Boga, by malec wreszcie pogodził się z prawdą! Bez ustanku przeklinał wybuchową naturę, która kazała mu wyładować się na Laurze, gdy ta przyszła do warsztatu. Był tak wściekły, że nawet nie zapytał o syna.

Wiatr trząsł nagimi konarami jabłoni i bujał żywopłotem, którego gałązki skrobały w ścianę przybudówki, wydając dziwny, upiorny odgłos.” Rye wzdrygnął się.

Naraz zauważył, że fundamenty domu nie zostały okryte na zimę. Dan zatem pije tyle, że zaniedbuje obowiązki. Wszystkie domy na wyspie zostały zabezpieczone przed zimnym

wiatrem, który wciskał się nawet najmniejszą szparką. Rye był pewien, że w ciągu ubiegłych pięciu lat Dan dbał o to każdej zimy. Co za ironia, że teraz, gdy Rye wrócił, Dan był „nieobecny” i Rye musiał go wyręczyć.

Jeszcze raz zerknął w okna i zszedł do miasta poprosić kapitana Silasa, żeby znalazł mu kogoś do tej roboty.

Spadł śnieg, wozy i bryczki zastąpiono saniami. Dzieci ślizgały się na drewnianych łyżwach po zamrzniętych stawach. Wieczorami młodzież rozpalala nad brzegiem ognisko i również bawiła się na ślizgawce. W ciepłych domach stukwały druty do robótek, produkując grube wełniane skarpety.

Ładunek wodorostów został dostarczony na wzgórze ku wielkiej uldze Laury. Dotąd obtykała łóżka pierzynami, nad ranem jednak zarówno woda w miednicy, jak i ich nosy zamarały na kość.

Pewnego dnia na początku grudnia mgła odtoczyła się wreszcie po falach Atlantyku, pozostawiając za sobą niebo pełne chmur tak gęstych, że nawet w dzień było ciemno jak o zmierzchu. Północno - zachodni wiatr zażarcie chłostał wyspę.

Rano Laura, wyjrawszy za okno, oznajmiła, że dziś będzie robić świece. Josh załagodził już swój zatarg z Jimmym, co dodatnio wpłynęło także na jego stosunki z matką, toteż uradowany zasiadł z nią przy stole by wybierać ogonki z jagód woskownicy.

- Mogę sam wsypać je do sagana? - spytał, gdy przebrana kupka dostatecznie urosła. Część jagód oczywiście wylądowała na podłodze i poturlała się w różne zakamarki, a Josh gonił je na czworakach.

Wyrobienie świec było zajęciem czasochłonnym i nudnym, mieszając więc w kotle Laura była rada, że słyszy szczebiot synka.

- Czy tatuś wróci dziś do domu? - zapytał, gramoląc się na wysoki stołek obok zlewu.

- Oczywiście, że tak. Przecież wraca codziennie.

- Ale czy przyjdzie na kolację?

- Nie wiem, Josh.

- Obiecał mi w tym roku łyżwy i powiedział, że nauczy mnie na nich jeździć.

- Tak? Kiedy?

Josh wzruszył ramionami i wpatrzył się w rozżarzone węgle pod piecem.

- Już dawno...

Moje ty biedactwo - pomyślała. Zaczynało już jej brakować wymówek.

- Poproś, żeby sprawił ci łyżwy na gwiazdkę. Josh zasepił się jeszcze bardziej.

- Ale święta są tak daleko! Jimmy już dwa razy był na ślizgawce. Mówi, że zabrałby

mnie ze sobą, gdybym miał łyżwy.

- Mógłbyś przez chwilkę pomieszać jagody? - spytała z ożywieniem, żeby zmienić temat.

- Mogę? - błękitne oczy chłopca błysnęły z podniecenia.

- Przysuń tu stołeczek.

Stanął na krześle, objęty w pasie ramieniem Laury, niezdarnie mieszając szarozielone kulki, które zaczynały się już rozpuszczać, wypełniając żywicznym zapachem cały dom. Gdy na powierzchnię wypłynął czarniawy, tłusty kozuch, trzeba go było ostudzić, zdjąć i przetopić ponownie. Uzyskiwano w ten sposób niemal przezroczysty wosk, gotowy do nalewania do formy. Josh jednak szybko znudził się mieszaniem i wyciągnął się na brzuchu na ławie.

W południe zaczął padać marznący deszcz. Kiedy pierwsze krople uderzyły w szyby, Laura, która właśnie mierzyła i cięła knoty, podniosła głowę.

- O, pada - zauważyła obojętnie, szczęśliwa, że nie musi wychodzić z ciepłego domu.

Po naciągnięciu knotów i zalaniu form pierwszą porcją wosku, zaparzyła herbatę i zrobiła sobie krótką przerwę. Josh stał na krześle, wyglądając przez okno. Deszcz przeszedł w ulewę, która pokryła śnieg błyszczącym lukrem i oblepiła lodem gałęzie drzew, zmieniając je w szare, niezgrabne paluchy.

- Chcę iść na łyżwy - jęknął rozpaczliwie Josh, przyciskając nos do szyby.

Zmierwiła mu włosy, patrząc, jak oblodzone gałęzie podrygują na wietrze.

- Nikt dziś nie jeździ na łyżwach. Chłopczyk był znudzony i osamotniony, i przez chwilę Laura żałowała, że nie ma więcej dzieci. Ciekawe, ile by ich było, gdyby wszystkie te lata spędziła z Ryem?

- Chodź, pomożesz mi przebrać następną porcję jagód.

- Nie lubię przebierać jagód - oznajmił. - Chcę iść na łyżwy.

- Joshua! Lizesz okno?! Gdy zawstydzony odwrócił ku niej głowę, spostrzegła na szybie dwie wytopione plamki. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Zejdz stamtąd. Zrobimy jeszcze trochę świec.

Pod wieczór pogoda zepsuła się jeszcze bardziej. Deszcz, pokrywszy wszystko śliską powłoką lodu, ustąpił miejsca sypkim drobinom śniegu, którymi porywisty wiatr zamiatał w te i nazad po oblodzonym bruku.

Łodzie stały w przystani, strojne w girlandy sopli, zamrożonych przez wiatr pod dziwnym kątem, jakby ciężenie ziemskie przestało obowiązywać. Skulone mewy schroniły się pod pomostem; wiatr mierwił im pióra. Ludzie pochyleni pod naporem wichru, podtrzymując kołnierze palt, umykali do domów po zakończeniu pracy.

Dan Morgan wyszedł z kantoru, postawił kołnierz i przytrzymał melonik, szykujący się do odlotu do Hiszpanii. Potem zaczął brnąć ku Niebieskiej Kotwicy, z rozrzuwaniem myśląc o gorącym grogu. Maszty na zatoce bujały się gwałtownie. Dan pośliznął się, złapał równowagę i już ostrożniej ruszył dalej.

W oberży huczał ogień na kominie, a powietrze przenikał zapach smażonych mały. Dan zrezygnował z gorącego jada, niecierpliwie zamówił grog i podszedł do kominka.

Przy ogniu skupiła się stała klientela. Nikt nie przejawiał najmniejszej ochoty, by porzucić zaciszny pub i stawić czoła lodowatej wichurze. Dan opróżnił kufel i wyciągnął go po dolewkę, gdy do szynku wszedł Ephraim Biddle, zamówił jedno mocne i przysiadł się do niego, mówiąc:

- Dom ogacony, szefie, wedle rozkazu.

Dan nagle uświadomił sobie, że kompletnie zapomniał o ociepleniu domu.

- Tak? - bąknął.

- Nie zauważyłeś?

- Ach, tak, oczywiście.

Ephraim podniósł kufel, pociągnął długi łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

- Kapitan Silas dał od ciebie dwa dolary za robotę, to obetkałem wszystko jak trzeba.

- Rye... - mruknął Dan do wnętrza kufła i dodał pod nosem: - Niech go piekło pochłonie!

Szybkim ruchem wychylił resztkę grogu, stuknął kuflem o stół i zawołał:

- Jeszcze jeden!

Zapadła noc, łokcie podchmielonych mężczyzn mocniej wparły się w blat stołu. Wisząca nad drzwiami *kotwica* skarżyła się zgrzytliwie, kołysząc się na wszystkie strony. Ulice pokryła miękka warstwa śniegu. Na dzwonnicy wiatr trącał dzwon, którego upiorne, nierytmiczne tony niosły się aż do przystani i tam mieszały ze świstem takielunku.

Było wpół do jedenastej, kiedy Dan wreszcie podniósł się zza stołu i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Dobrej nocy życzyli mu już tylko Biddle i oberżysta Hector Gorham. Dan skinął im ręką i wyszedł w mrok. Tuż za progiem wiatr zerwał mu z głowy melonik i poniósł go w stronę portu, najpierw w powietrzu, potem tocząc i podbijając na ulicy. Dan próbował go gonić, ale kapeluszy błyskawicznie znikł mu z oczu.

- Cholera - wymamrotał, machnął ręką i skierował się do domu, ściskając pod brodą łopoczący płaszcz. - Laura powinna była mi przynieść rękawiczki - mruknął pod nosem, brnąć ulicą, na której wichura zdołała pogasić wszystkie latarnie. W mroku widać było tylko wirujący pod nogami śnieg.

Przez opary grogu przedarła się myśl, że nie zapiął palta. Próbował to zrobić, gdy uderzył w niego kolejny mocny podmuch. Wiatr niczym zapaśnik podciął mu nogi i rzucił go na bruk z beztrąską dziecką, które bada wytrzymałość zabawki, po czym jeszcze odepchnął na bok, jak gdyby stwierdzając jego nieprzydatność. Dan uderzył głową o twarde kamienie. Wiatr natychmiast zaczął bawić się rozpiętym płaszczem, chłoszcząc nim bezwładne nogi. Gołe dłonie Dana zapadły się w śnieg, który zaczął zbierać się w jego włosach i szybko zmienił ciepłą plamkę krwi w czerwony lód. Bezlitosny wiatr dalej wyżywał się na wyspie, nawiewając śnieg na ściany domów, płoty, a także twarz Dana. Płytki oddech rannego nie nadążał go topić.

Ponad godzinę później Ephraim Biddle wysączył resztkę piwa, czknał i z rezygnacją dźwignął się z kąta, sięgając po kurtkę.

- Nie ma rady - wymamrotał. - Do domu daleko, ale trza iść. Dobrej nocy, Hector.

- Dobranoc, Eph - szynkarz z ulgą odprowadził go do drzwi i zasunął rygiel.

Biddle poczłapał zaśnieżoną ulicą, klnąc pod nosem i ostrożnie stawiając nogi na śliskim bruku, tym bardziej niepewnym, że Ephraim zdrowo sobie popił. Lodowaty wicher wiał mu prosto w twarz, więc ściągnął mocniej kołnierz i pochylił się, żeby ochronić oczy przed kłującym śniegiem. Kiedy potknął się o bezwładne ciało, z trudem odzyskał równowagę. Cofnął się o krok, uważnie obejrzał nieruchomy kształt i mruknął:

- A co to takiego? Bliższe oględziny wykazały, że jest to człowiek, więc Biddle przyklęknął na jedno kolano, przecierając załzawione oczy.

- Morgan! To ty? - potrząsnął wiotkie ramię. - Hej, Morgan, obudź się! Morgan... - zaniepokoił się. - Morgan!

Szarpał nim bez rezultatu. Dan leżał nieruchomo, zasypywany nawiewanym śniegiem.

- Jezu miły... - Biddle wytrzeźwiał w mgnieniu oka. Zerwał się na nogi i popędził z powrotem do Niebieskiej Kotwicy, cudem utrzymując się na oblodzonym bruku.

Oberżysta właśnie zsunął z ramion szelki, gdy rozległo się gwałtowne bębnienie do drzwi.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął, podciągnął je na powrót, wziął świecę i niechętnie poczłapał w dół po schodach. - Idę już, idę!

- Hector! Hector! - wołał ktoś za drzwiami, waląc w nie coraz mocniej. - Hector, otwórz!

W progu stał śmiertelnie przerażony Ephraim Biddle.

- Chodź zaraz! - krzyknął. - Na ulicy leży Dan Morgan, nieżywy!

- Boże, nie! Czeka, wezmę tylko płaszcz!

Rozdygotany Biddle został przy drzwiach, rozglądając się bezradnie. Po chwili obaj ruszyli po zanikających już śladach do miejsca, gdzie leżało nieruchome ciało. Szynkarz bez wahania schylił się, wziął je na ręce i zaniósł do oberży, gdzie położył je płasko na długim stole przed kominkiem.

- Nie żyje? - Biddle przypominał niedokończony marmurowy posąg z szerokimi, ciemnymi jamami zamiast oczu.

Hektor wcisnął palec w zagłębienie pod szczęką Dana.

- Puls jeszcze bije.

- I co z nim zrobimy?

- Nie wiem. Wolałbym, żeby tu nie umierał, bo spaskudzi mi opinię. - Szynkarz zastanowił się przez chwilę. Ojciec Morgana nie żył, a z matki lub żony niewielki byłby pożytek. - Przyniosę koc i rozdmucham ogień, a ty biegnij do bednarni i sprowadź Rye'a Daltona. Powiedz mu, co się stało. On będzie wiedział, co robić.

Ephraim kiwnął głową i wybiegł jak szalony. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. Omal nie wyrzekł się piwa na wieki. Rany boskie! - pomyślał. - To mogłem być ja!

Głośny łomot wyrwał Daltonów z głębokiego snu.

- Co, u diabła... - mruknął Rye, unosząc się na łokciu.

- Ktoś ma pilną sprawę - dobiegł z przeciwka głos Josiaha.

- Pójdę otworzyć. - Rye usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po krzesiwo. Zapalił świecę, szybko wciągnął spodnie i zbiegł na dół do warsztatu, który w nocy wydawał się mroczną jaskinią.

- Dalton, wstawaj!

- Idę! - Rye otworzył drzwi i bezceremonialnie wciągnął Biddle'a do środka. - Eph, na wszystkich świętych, czego chcesz o tej porze?

Gość wyglądał niczym upiór. Jak można tak się schlać - pomyślał kwaśno Rye.

- Twój przyjaciel, Dan Morgan... Upił się i upadł na ulicy. Znaleźliśmy go, prawie zamrożonego...

- Jezu miły!

- Hector mówi, że puls jeszcze bije, ale...

- Gdzie on jest? - krzyknął przez ramię Rye, pędząc na piętro po dwa schodki naraz.

- Leży na stole w Niebieskiej Kotwicy, ale nie wiemy, co dalej z nim robić. Dlatego Hector posłał mnie po ciebie.

- Co się stało? - spytał z łóżka Josiah.

Rye rzucił się do szafy, wyjął gruby sweter, watowaną kurtkę, rękawice i ciepłą

czapkę, i zaczął wciągać buty.

- Znaleźli Dana półżywego na ulicy. Josiah natychmiast sięgnął po własną odzież.

- Iść z tobą?

- Nie, zostań w domu, przemarzłbyś do kości. Możesz rozpaść ogień, przyda się, kiedy wrócę. Chodź, Eph - dodał, otwierając drzwi, z czego natychmiast skorzystał czekający już pod nimi pies.

Rye Dalton opłynął Horn na żaglowcu. Wiedział, jak niebezpieczny może być rozkołysany, oblodzony pokład, z którego można spaść prosto w skłębione fale. Bieg po płaskiej brukowanej ulicy był dla niego niczym. Zanim Ephraim dotarł do połowy drogi, Rye walił już w drzwi Niebieskiej Kotwicy.

Przebiegł przez ciemną izbę, kierując się w stronę nieruchomej postaci, rozciągniętej na stole.

- Zabierz go od ognia! - ryknął. - Zdumiałeś, człowieku?

- Odepchnął stół od kominka i zrzucił koc, którym Hector w dobroci serca opatulił Dana. - Przynieś światło!

Hektor skoczył po świecę, Rye zaś pospiesznie obmacał rękę Dana. W drżącym świetle natychmiast dostrzegł, że palce są odmrożone. Szybko rozłożył koc na podłodze i przeniósł nań Dana.

- Jak myślisz, długo tam leżał?

- Około godziny, sądząc po tym, kiedy stąd wyszedł.

- Nie można rozgrzewać odmrożonych członków w tym tempie, Hectorze, bo facet je straci.

- Nie wiedziałem...

- Leć po doktora Foulgera i powiedz, żeby natychmiast przyszedł do mojego... to jest do domu Dana. Potrzebna mu będzie troskliwa opieka, a do tego zawsze najlepsza jest żona. - Rye ubrał nieprzytomnego w swoje rękawice i czapkę, owinął go kocem jak niemowlę i wziął na ręce. - I przyslij mi przez doktora najmocniejszą brandy, jaką masz - dodał, kierując się do wyjścia. - Pospiesz się! - krzyknął i zniknął w zawieci, nie zatrzymując się nawet, by zamknąć za sobą drzwi.

Laure wyrwało ze snu kopanie w drzwi. Myśląc, że to Dan, spuściła boscie nogi na lodowatą podłogę i pobiegła do izby, skąd dobiegał taki łoskot, jakby ktoś próbował wysadzić drzwi z zawiasów.

- Lauro, otwórz! Uświadomiła sobie, że to głos Rye'a. Wicher wyrwał jej z ręki drzwi i grzmotnął nimi o ścianę. Do środka wpadła ośnieżona postać, niosąc coś w ramionach.

- Rye? Co się stało?

- Zamknij drzwi i zapal świecę - rzekł, idąc prosto do sypialni. Do środka wśliznął się jeszcze wielki cień Łajby, po czym wreszcie drzwi odcięły ich od wichury, a Laura po omacku zaczęła szukać krzesiwa. W ciemności kopnęła kosz i usłyszała, że po podłodze toczą się jagody woskownicy. Nie zwracając na nie uwagi, zawołała:

- Co się stało?

- Przynieś świecę. Będzie mi potrzebna pomoc.

- To Dan? - głos Laury zadrżał.

- Tak.

Świeca wreszcie się rozpałała i Laura przerażona weszła do sypialni. Rye zdążył już położyć Dana. Teraz pochylał się nad nim, przyciskając palce do jego szyi. Żołądek Laury podjechał nagle do gardła, jak gdyby nic nie ważył, i równie szybko opadł niczym ołowiana kula. Dłonie miała spocone ze strachu.

Josh też się obudził. Przy dreptał za matką do bokówki i stanął w drzwiach. Żadne z dorosłych go nie zauważyło.

- Dobry Boże, co mu się stało?

- Upił się i w drodze do domu upadł. Leżał chyba z godzinę, zanim znalazł go Biddle.

- Żyje?

- Tak, ale ma odmrożone ręce. Być może coś jeszcze.

Josh zauważył strach na twarzy matki i napięcie w głosie Rye'a. Potrzęsali tatą, jak gdyby chcieli go obudzić. Potem Rye pospiesznie zdjął mu buty.

Laura przycisnęła dłoń do skroni i czoła Dana, starając się opanować strach, który ścisnął jej serce. Zagryzła wargi, czując pod powiekami wzbierające łzy. Tylko teraz się nie roztkliwiaj! - upomniała się w duchu, otarła łzę wierzchem dłoni i wzięła się w garść.

- Co mam robić? - spytała rzeczowo.

- Zdejmij mu skarpetki. Musimy sprawdzić, w jakim stanie są jego stopy.

Okazały się purpurowe, lecz miękkie.

- Dzięki Bogu, nie odmroził ich - westchnął Rye, błędząc po pokoju nieobecny spojrzeniem. - Zaraz przyjdzie doktor Foulger. Będzie mi potrzebny młotek i szydło. Dołóż do ognia, ale nie za dużo - Rye zrzucił kurtkę na podłogę. - Przynieś też ściereczkę i jakiś mały dzbanek. - Teraz dopiero spostrzegł stojące w progu dziecko. Dodał ciszej: - I dopilnuj, żeby Josh tu nie wchodził.

- Chodź, Josh. Musimy słuchać Rye'a.

- Czy tatuś umarł?

- Nie, ale jest bardzo chory. Wracaj do łóżeczka i dobrze się okryj.

- Ale ja chcę zobaczyć tatusia! Czy on umrze jak dziadek?

- Rye się nim zajmie. Proszę cię, Josh, nie przeszkadzaj nam. Laura pospiesznie zaczęła szukać rzeczy, których żądał Rye. Nie miała czasu zastanawiać się, na co mu są potrzebne. Z sypialni doleciał głos:

- Lauro, masz małą deseczkę?

- Tak.

- Przynieś! Kiedy sięgała po deskę, pod drzwiami szczeknął pies, którego Laura dotąd nie zauważyła, i niemal w tej samej chwili rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi. Jak się okazało, nie był to doktor Foulger, lecz aptekarz, Natan McColl, wyposażony w walizeczkę ze skóry aligatora.

- Gdzie on jest? - spytał.

- Tam - Laura wskazała drzwi do sypialni, chwyciła, co miała pod ręką i ruszyła za nim.

Na widok postaci w czarnym płaszczu Rye uniósł głowę i skrzywił się nieznacznie.

- A gdzie doktor?

- Ugrzązł na drugim końcu wyspy. Kiedy Biddle go nie zastał, miał na tyle rozumu, żeby przyjść do mnie.

Choć aptekarz także miał prawo do wykonywania zabiegów leczniczych, Rye go nie lubił i w duchu uważał za nieuka. Tym razem jednak nie miał nic do powiedzenia. Aptekarz z urzędową miną namacał puls Dana i obejrzał jego dłonie.

- Odmrożone - stwierdził.

- Nie ma chwili do stracenia, bo zaraz odtają - rzucił niecierpliwie Rye.

- Nie da się ich uratować. Spróbujmy go lepiej uchronić przed zapaleniem płuc.

Rye obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Nie da się uratować! Chyba oszalałeś, człowieku! Da się i trzeba to zrobić, nim ciało odtaje!

McColl prychnął lekceważąco, zerkając na deseczkę, młotek i szydło.

- Czyżbyś lepiej ode mnie znał się na leczeniu?

- Niech pan sobie myśli, co chce, McColl. Nie był pan na statku i nie widział rąk marynarzy, którzy przez całą noc ciągną liny w burzy śnieżnej. Myśli pan, że co robi wtedy kapitan? Odrąbuje je? - Na twarzy Rye'a malowała się furia. - Nie pozwolę na to, dopóki przynajmniej nie spróbuję ich ocalić. Jeśli się nie uda, i tak czeka go wiele bólu. Potrzebuję kogoś do pomocy. - Rye odwrócił się, żeby ułożyć narzędzia na łóżku. McColl zastąpił mu

drogę.

- Jeśli masz zamiar zrobić to, co widzę, nie wezmę w tym udziału. Nie będę odpowiadał za połamane kości i zakażenia, które...

- Z drogi, McColl! Tracimy tylko czas. - Rye w duchu liczył wpływające sekundy.

- Dalton, ostrzegam cię...

- Do diabła, człowieku, to mój przyjaciel! Zarabia na życie w biurze! Jak ma pisać bez palców? Albo mi pomóż, albo zjeżdżaj! - Rye odepchnął aptekarza i pochylił się nad łóżkiem.

- Lauro?

- Tak? - Laura bez wahania podeszła do niego.

Rye położył deseczkę na piersi Dana, nakrył ją ścierką i poważnie spojrzał Laurze w oczy.

- Ponieważ McColl odmówił pomocy, muszę poprosić ciebie. W milczeniu skinęła głową, przerażona, gdyż czuła, że cokolwiek zamierza Rye, nie będzie to miła operacja.

- Powiedz mi, co mam robić. Rye kiwnął głową i warknął:

- Przyniosłeś brandy?

- Myślałem, że to dla wzmocnienia - McColl wręczył mu flaszkę, spoglądając na niego wyniośle.

Rye zignorował go.

- Lauro, nalej brandy do dzbanka. Potem usiądź koło Dana i trzymaj jego rękę, tak, żeby się nie ruszała. - Rye płasko ułożył na desce dłoń Dana.

- Połamiesz mu kości, Dalton. Ostrzegam.

Przez głowę Rye'a przemknęła myśl, że gdyby miał więcej czasu, chętnie złamałby McCollowi szczękę.

- Lepsze to, niż utrata palca - rzekł. - Kości się zrosną. Laura zbladła. Zaczynała się domyślać, w czym rzecz. Rye zerknął na nią z niepokojem.

- Trzymaj mocno, a kiedy ci powiem, lej do otworów brandy. Wytrzymasz, kochanie?

Z trudem przełknęła ślinę, zebrała wszystkie siły, pokładając całe zaufanie w Rye'u, i skinęła głową.

- Dobra, siadaj. Już i tak zmarnowaliśmy mnóstwo czasu. Przeszła na drugą stronę łóżka i usiadła, patrząc, jak Rye poprawia palec Dana na desce.

- Przytrzymaj go tak, jak leży. Palec był zimny i twardy. Rye, oparłszy ostry czubek szydła o opuszkę palca, dwukrotnie puknął weń młotkiem. Szpic zagłębił się w zmrożonym ciele. Laura poczuła, że zawartość żołądka dźwiga jej się do gardła.

- Tylko mi teraz nie zemdlej, kochana. Zerknęła szybko w bok.

- Nie zemdlej, tylko się pospiesz. Szydło przekłuło palec w trzech miejscach.

- Lej - rozkazał Rye. Brandy spłynęła po palcu, zostawiając na ścierce bladobrazowe plamy. McColl wpatrywał się w nich, zafascynowany zarówno samym zabiegiem, jak i pieszczotliwymi słowami, które Rye wypowiadał do Laury. W drzwiach stanął Josh, obok niego zaś przysiadł pies. Byli tak cicho, że nikt ich nie zauważył. W izbie rozlegał się tylko powtarzany stukot młotka o drewnianą rączkę szydła i ciche polecenie: „Lej”. Mężczyzna na łóżku na swoje szczęście pozostawał w omdleniu. Po raz pierwszy w życiu alkohol naprawdę mu się przysłużył: nie tylko chronił go przed odzyskaniem przytomności, ale sprawił też, że palce trzeba było nakłuwać rzadziej, niż byłoby to konieczne w innej sytuacji.

Laura asystowała przy zabiegu z wysiłkiem opanowując mdłości. Przez łyzy niewyraźnie widziała dłoń Dana, otarła je więc ramieniem i sięgnęła po następny palec.

Rye bez wahania, spokojnie i pewnie, ustalał głębokość każdego otworu. Laura ośmieliła się podnieść wzrok dopiero wtedy, gdy ostatni palec został nasączony brandy. Ze zdumieniem spostrzegła, że twarz Rye'a jest szara. Otworzył usta, jakby brakło mu powietrza, nagle rzucił szydło i młotek i wypadł z pokoju. W chwilę później trzasnęły drzwi wejściowe.

Spojrzenie Laury napotkało wzrok McColla. Z zakłopotaniem przypomniała sobie, jak Rye nazwał ją kochaną. Potem zobaczyła zapłakaną buzię Josha. Przytuliła go, całując jego włoski, i powiedziała:

- Nie płacz, Joshua. Tatuś wyzdrowieje, zobaczysz. Będziemy się nim opiekować, a kiedy wyzdrowieje, nauczy cię jeździć na łyżwach... - Położyła dziecko w łóżeczku, otuliła kołdrą i szepnęła: - Postaraj się zasnąć, maleńki. Muszę zajrzeć do Rye'a.

Prędko narzuciła włóczkowy szal i wyszła w wietrzną noc. Rye siedział na schodkach, opierając głowę na kolanach. Pies obskakiwał go dookoła, trącał nosem i popiskiwał cicho, próbując sięgnąć twarzy pana.

- Rye, wracaj do środka. Nie masz na sobie nawet kurtki.

- Za chwilę.

Wiatr targnął końcem szala i smagnął Laurę w twarz. Drobiny śniegu kłuły odsłoniętą skórę. Przykucnęła obok i objęła ramiona Rye'a. Dygotał gwałtownie, chyba nie tylko z zimna.

- Już po wszystkim - szepnęła, jakby pocieszała dziecko. - Byłeś wspaniały.

- Wspaniały! - prychnął. - Trzęsę się jak galareta!

- Masz prawo. To, co zrobiłeś, wcale nie było łatwe. Nawet McColl nie miał na tyle odwagi. A ja... Gdyby nie twoja pewność i opanowanie, chyba bym tam zemdlała.

Uniósł głowę i potarł dłońmi policzki.

- Robiłem to po raz pierwszy w życiu.

Delikatnie pocałowała go w czubek głowy, topiąc wargami śnieg na jego włosach.

- Chodź już. Nic na tym nie zyskamy, jeśli ty też złapiesz zapalenie płuc.

Wstał z przeciągłym westchnieniem.

- Jeszcze chwila. Schowaj się do domu, Lauro. Zaraz przyjdę. Zawróciła ku drzwiom, lecz zatrzymał ją głos:

- Dzięki za pomoc. Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

Pod czarną kopułą nieba przenikliwie wył wicher. Nagle oboje uświadomili sobie, że oto dokonali czegoś wielkiego. A przecież musieli to zrobić, bo Dan ich potrzebował. Znow, tak jak w dniu śmierci Zacha, byli razem - niczym postacie gobelinu, zastygłe w nim na zawsze, niezdolne do zmiany swych trwale splecionych losów.

ROZDZIAŁ 18

Gdy Rye wrócił do izby, McColl był w sypialni. Laura rozdmuchała ogień w piecu i gotowała wodę na herbatę. Słyszając jego kroki, obejrzała się z imbrykiem w dłoni. Rye, zajęty Danem, dotąd nie miał czasu się jej przyjrzeć. Teraz spostrzegł, że ginie cała w szlafroku z miękkiej różowej flaneli, zapiętym skromnie aż po samą szyję. Wystawały spod niego tylko stopy w szarych, robionych na drutach pończochach. Ogień tańczył na palenisku, podświetlając od tyłu jej włosy, splecione w luźny warkocz. Kiedy zwróciła głowę w jego stronę, krótsze pasemka wokół twarzy zdawały się iskrzyć.

Rye zadygotał, włożył zmarznięte dłonie za pas, by je rozgrzać, lecz dreszcz nie ustawał. Po raz pierwszy od powrotu oglądał Laurę w domowym negliżu - taką, jaką zapamiętał z dawnych małżeńskich dni. Laura, jak gdyby wyczuwając jego myśli, postawiła imbryk i nachyliła się nad kuchnią. Warkocz zakołysał się między jej łopatkami.

Z westchnieniem Rye odsunął od siebie te niepokojące myśli i skupił się na problemie, który stał przed nim teraz. Nie była to odpowiednia pora na wspominki czy pobożne życzenia.

Mijając dziecinne łóżko spostrzegł, że Josh patrzy na niego. Spojrzał z troską w błękitne oczy dziecka. Słaby odblask światła wystarczył, by Rye zobaczył w nich strach i niewypowiedziane pytania. Schylił się, wygładzając zszytą z kwadratów kołdrę, którą Josh był przykryty.

- Twój tatuś... - urwał. Nie, nie tak. Mały znał prawdę, nie musiał się przed nim zgrywać. - Dan wyzdrowieje - rzekł cichym, lecz szorstkim głosem. - Przysięgam ci to, synu. Razem z twoją mamą dopilnujemy tego.

Mała bródka zadrzała i na jasnych rzęsach nagle zabłysły łyzy.

- Musi wyzdrowieć... - odezwał się drżący głosik - bo... bo obiecał, że nauczy mnie jeździć na łyżwach.

Rye poczuł, że też chce mu się płakać. Przyklęknął obok łóżka, podciągnął kołdrę pod brodę chłopca i przez chwilę przytrzymał dłoń na jego piersi. Przez pościel czuł, że wznosi ją trwożny, urywany oddech. Serce wezbrało mu miłością i pochylił się, żeby zrobić to, o czym marzył od dawna: złożyć pocałunek na czole swego syna.

- Przysięgam ci, że wyzdrowieje - szepnął z ustami wtulonymi w rozgrzane włoski, których zapach różnił się od wszystkich dotąd mu znanych, był mleczny i łagodny, zmieszany z wszechobecnym aromatem woskownicy. - A tymczasem możesz sobie popłakać - dodał. - To dobrze ci zrobi i pomoże zasnąć.

Zanim skończył mówić, Josh już płakał. Zdając sobie sprawę, że chłopcu jest wstyd,

Rye dodał poufnym tonem:

- Sam nieraz płakałem, więc się na tym znam.

- Pła... płakałeś? - Josh podciągnął kołdrę do oczu.

- Pewnie. Płakałem, gdy dowiedziałem się, że moja mama umarła, i kiedy... mniejsza z tym, było wiele takich sytuacji. Dziś też omal nie rozplakałem się tam, na schodkach, ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, łyzy mi zamarzną i będę w kłopotcie.

Jakoś w ciągu tej rozmowy łyzy Josha obeschły. Rye jeszcze raz pogłaskał go po głowie.

- Śpij, synku.

- Dobranoc. Kiedy się wyprostował, spostrzegł, że Laura przez cały czas go obserwuje. Ręce miała kurczowo splecione, zębami przygryzła dolną wargę. Panowała nad sobą, lecz na jej twarzy malowała się bolesna czułość. Rye zerknął w stronę sypialni, skąd przyglądał im się McColl. Laura obróciła się za jego wzrokiem i zmieszana zakrzętała się wokół kuchni. Zdjęła z haczyków trzy kubki i postawiła je na stole.

- Gdzie jest Łajba? - rozległo się z kąta. Rye obejrzał się.

- Na dywaniku pod drzwiami.

- A mogłaby do mnie przyjść? Na cichą komendę pies podbiegł do Rye'a stukając pazurami.

- Waruj - rzekł Rye i pies posłusznie ułożył się przy łóżku Josha.

Malec wychylił się, żeby go pogłaskać, i błagalnie zerknął na matkę.

- Mamo, a mogę ją wziąć tu, do siebie?

Mina Laury świadczyła, że ten pomysł wcale się jej nie podoba, toteż Rye wtrącił szybko:

- Łajba nie jest przyzwyczajona spać w łóżku, tylko obok, Josh. Będzie tuż przy tobie.

- A będzie tu, kiedy się obudzę? Błękitne oczy Rye'a pochwyciły spojrzenie ciemnych oczu Laury.

- Tak, będzie tu. Stojący w drzwiach aptekarz odchrząknął dyskretnie.

- Będzie mi potrzebna gorąca woda - oznajmił. Laura zaparzyła herbatę i wręczyła mu czajnik.

- Jeśli potrzeba więcej, zaraz dogotuję. McColl mruknął coś pod nosem i znów zniknął w sypialni. Laura nalala herbaty do dwóch kubków i usiadła przy stole naprzeciw Rye'a. Ogień trzaskał, wiatr wył za oknem, z sypialni dobiegał chlupot nalewanej wody.

Rye po raz drugi uniósł kubek do ust, gdy ostrzegł go jakiś szósty zmysł. Skoczył na równe nogi, potrącając ławę, i rzucił się do bokówki, gdzie stanął jak wryty.

- Co ty, do licha ciężkiego, wyprawiasz, McColl? - syknął z furją.

Laura podbiegła do nich i spojrzała ze zgrozą na parującą bańkę, którą aptekarz umieścił na odkrytej piersi Dana.

- Trzeba przywrócić mu krążenie... - McColl wyjął żelaznymi szczypcami następną bańkę z wypełnionej wrzątkiem miski. Niemal w tej samej chwili zarówno szczypce, jak i bańka zostały mu wytracone z rąk.

- Wynoś się stąd! - ryknął Rye - I zabierz ze sobą te przekłete bańki!

Rozejrzał się pospiesznie, szukając czegoś, czym mógłby podważyć przyssany do ciała brzeg. W końcu użył szydła i chwytając szklaną półkulę przez ścierkę, zdjął ją delikatnie. Spod bańki wydostał się obłoczek pary. Na widok kolistego oparzenia, Rye zaklął:

- Cholerny dureń!

- Dureń? - rozwścieczony aptekarz zgromił go wzrokiem. - Śmiesz nazywać mnie durniem?

Stawianie baniek było powszechną praktyką, wierzono bowiem, że powstała próżnia wyciąga złą krew na powierzchnię i w efekcie leczy płuca. McColl fuknął zatem z pogardliwą wyższością:

- Prostaczkom często się wydaje, że o medycynie wiedzą więcej od uczonych!

- Ładny mi uczoney! Poparzyłeś go, głupcze! Do tego niepotrzebnie! - Twarz Rye'a była biała z wściekłości, a od jego głosu trzęsły się ściany.

- Ja nie wymyśliłem tej kuracji, Dalton. Ja ją tylko stosuję.

- I czerpiesz z tego niezmierną przyjemność! - Rye z trudem panował nad sobą, bo zdawał sobie sprawę, że gdyby nie pojawił się w porę, McColl zdążyłby pokryć całą pierś Dana bolesnym panaceum. Gdyby jeszcze przejawiał cień współczucia w stosunku do pacjenta!

Zamiast tego z urażoną miną podniósł upuszczoną bańkę, chroniąc dłoń chusteczką, po czym podszedł do wezglowia, żeby spakować torbę.

- Oparzenia to niekorzystny efekt uboczny, ale w sumie pacjent tylko na tym zyskuje - rzekł wyniośle.

Takiej głupoty i bezduszości Rye już nie ścierpiał. Szybko przyłożył bańkę do policzka McColla.

Aptekarz szarpnął się, krzyknął i delikatnie dotknął palcami oparzenia, które z wolna przybierało czerwony kolor. Zmierzył Rye'a nienawistnym wzrokiem.

- Jesteś szalony, Dalton! - warknął. - Najpierw wzywasz mnie na pomoc, a potem odczyniasz te swoje gusła i nie pozwalasz mi zastosować ogólnie przyjętych metod!

Dopilnuję, żebyś zapłacił mi za... za tę zniewagę!

- Na ile jeszcze sposobów chciałeś go torturować? Kto tu zwariował: ja czy ty i tobie podobni, którzy dopuszczają się okrucieństw w imię medycyny? I nie wzywałem ciebie, a doktora Foulgera, choć zaczynam wątpić, czy jego metody nie są równie ponure, jak twoje. I jak ci smakowało, McColl, co? Miło zostać oparzonym? Wyobraź sobie, że Dan lubi to nie bardziej od ciebie!

- Z każdym zdaniem Rye następował na aptekarza, który cofał się aż do drzwi bokówki. - A teraz zabieraj swoją cenną torbę, zmiataj stąd i nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy!

- Ale... moje bańki! - McColl zerknął na komodę, gdzie wciąż stał gorący czajnik.

- Zostaną tam, gdzie są! - dokończył za niego Rye. - Precz!

- Trzęsącym się ze złości palcem wskazał drzwi. Aptekarz złapał płaszcz i czmychnął.

Laura, wstrząśnięta, pochyliła się nad mężem. Jak można było dręczyć pacjenta, który był za słaby, żeby sam zaprotestować przeciw takiemu leczeniu! Koliste oparzenie było krwistoczerwone i już zaczynało podbiegać osoczem.

- Chryste, patrz, co ten głupek narobił! - Rye wypadł na zewnątrz i wrócił z garścią śniegu.

Na piersi Dana śnieg zaraz zaczął topnieć. Laura ścierała spływające strumyczki szmatką poplamioną brandy.

- Och, Rye, jak on mógł to zrobić? - w oczach Laury pojawiły się łzy.

Rye nadal trząsał się z wściekłości.

- Ten człowiek to osioł, on i jemu podobni! To, co robią - wszystkie te bańki, pijawki, puszczanie krwi - to po prostu zbrodnia! Powinni najpierw wypróbować te metody na sobie, zanim zaczną katować pacjentów!

- Zaraz zrobię maść. Co z jego palcami? Rye z wolna ochłonął. Obejrzał palce Dana, które były już cieplejsze i zaczynały krwawić. Podniósł na Laurę udręczony wzrok.

- Nie będę cię okłamywał, kochana. Dan wiele się nacierpi, zanim z tego wyjdzie.

Spojrzeli bezradnie na nieprzytomnego, potem na siebie.

- Wiem - powiedziała szybko Laura. - Ale będziemy tu, by się o niego troszczyć. Oboje.

Światło świec podkreślało bruzdy znużenia na twarzy Rye'a. Ślad po ospie kładł się równym okrągłym cieniem. Laura cicho odwróciła się i wyszła z sypialni.

Dłonie Dana owinęli lnianym bandażem i wdziali na nie rękawiczki, na oparzenie zaś nałożyli balsam z czarnej leszczyny i okryli je kawałkiem miękkiej flaneli. Potem otulili

chorego puchową pierzyną i wycofali się do głównej izby.

Laura postawiła dzbanek z herbatą na piecu, lecz ściągnęły ją ciche słowa Rye'a:

- Popatrz tylko... Rye stał przy łóżku Josha. Podeszła do niego i zobaczyła, że małe śpi jak zabity, Łajba zaś pochrapuje zwinięta w kłębek na jego nogach.

Na twarzy Laury po raz pierwszy od dawna odmalował się spokój. Wiatr tłukł okiennicami, polano w piecu osunęło się z cichym szelestem. Rye miał ochotę otoczyć Laurę ramionami, oprzeć policzek na jej głowie, zamknąć na chwilę oczy, napawając się jej bliskością. Zamiast tego zatknął dłonie za pas i rzekł ze skrzepowaniem:

- Przepraszam cię, Lauro. Wiem, że nie lubisz, kiedy psy wylegają się w łóżkach. Zaraz każę jej zejść.

- Nie. Josh potrzebuje jej tak samo, jak... - omal nie dodała „jak ja siebie”.

Ostre spojrzenie Rye'a uświadomiło jej, że domyślił się reszty.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedziała, żeby przerwać ciszę.

- Nie musisz mi dziękować, Lauro, przecież wiesz. Nic nie jest ważne, kiedy ty albo Dan mnie potrzebujecie. - Zadumał się na chwilę, kącik jego ust wygiął się w niewesołym uśmiechu. - Zabawne, prawda? Najwyraźniej wie o tym cała wyspa. Kiedy go znaleźli, poszli prosto do mnie... Podobnie wieść o moim utonięciu została przekazana w pierwszej kolejności właśnie jemu...

Milczeli przez chwilę. Laura rozmyślała nad tym, jak rzeczywiście splatały się i odwracały role obu mężczyzn w jej życiu. Potem przyznała:

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Nie odważyłabym się sprzeciwić McCollowi. Poza tym, skąd mam wiedzieć, co jest dobre dla Dana?

Rye westchnął i zerknął w stronę bokówki.

- Miejmy nadzieję, że zrobiliśmy wszystko dla jego dobra - rzekł i zapytał: - Masz jeszcze herbatę?

Po chwili Laura postawiła na stole dwa kubki. Rye ze znużeniem opadł na ławę. Zajrzał do garnuszka.

- Pamiętałaś, że lubię z miodem?

- Oczywiście. Chyba setki razy robiłam ci herbatę z miodem i gałką muszkatołową.

Gorący, korzenny płyn przywoływał wspomnienia, które niebezpiecznie było wskrzeszać.

- Na statku - rzekł Rye - nocą, w burzy śnieżnej nieraz wspominałem, jak siadywaliśmy przy ogniu. Oddałbym całą swoją dolę za herbatę podaną przez ciebie.

- A ja oddałabym wszystko, żeby móc ci ją przyrządzić - odparła z prostotą Laura.

Po raz pierwszy tak jawnie wyraziła żal. Próbowwała nie patrzeć na Rye'a, lecz oczy nie chciały jej słuchać, i od czasu do czasu ich spojrzenia się stykały. Z powagą unosili garnuszki do ust i pili herbatę długimi łykami. Rye wyciągnął wygodniej nogi i trącił pod stołem jej kolano. Pospiesznie siadł prosto i cofnął nogę. Zerknął w stronę pieca, gdzie piętrzyły się formy na świece, koszyki jagód, z których jeden był rozsypany, kociołek i chochla na długiej rączce do nalewania wosku.

- Robiłaś świece?

Kiwnęła głową, spoglądając na niego spod rzęs.

Rye przymknął oczy, głęboko wciągnął w płuca aromat woskownicy i odchylił głowę w tył.

- Ach... - mruknął z zadowoleniem - ileż wspomnień przywodzi ten zapach.

Gęsta jak kadzidło woń przypominała dawne, ukradkowe spotkania w jagodniku. Potem, już po ślubie, urządzili sobie kiedyś orgię luksusu: rozstawili wokół łóżka sześć wonnych świec, których zapach przesycił ich ciała, i kochali się w kręgu chybliwych świateł.

Teraz, wdychając tę samą woń, byli bardziej świadomi zmysłowego napięcia, niż kiedykolwiek w życiu. Odblaski płomieni tańczyły na ich twarzach, różowy szlafrok Laury wydawał się łososiowy. Herbata, do której oboje uciekali się co chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć, już się skończyła, Laura zatem postanowiła jeszcze raz nastawić czajnik, zanim ten nastrój odurzy ją do reszty. Nim jednak zdążyła wstać, Rye wyciągnął do niej rękę. Spojrzała na nią niepewnie, chwytając garnuszek.

- Nie bój się - rzekł cicho. - Nie zrobiłbym tego Danowi, gdy leży nieprzytomny. Po prostu chciałem potrzymać cię za rękę.

Powoli położyła mu rękę na dłoni. Jego palce objęły ją delikatnie. Szukała w głowie odpowiednich słów, lecz zamiast tego przychodziły jej na myśl same czułościowe wyznania.

- Rye, dostałam twoją wiadomość o Joshu - powiedziała w końcu, siląc się na rzeczowy ton. - Chciałam ci podziękować, kiedy byłam w warsztacie, ale wpadłam w złość i...

- Lauro, to ja cię przepraszam za to, co wtedy powiedziałem, i za to, że nie zszedłem na dół, gdy przyszedłaś odebrać pokrywę. Wiedziałem, że tam jesteś. Słyszałem, jak mówisz ojcu, że chcesz się ze mną widzieć.

- Och, nie, Rye, to ja powinnam cię przeprosić za wszystko, co mówiłam o DeLaine Hussey. Później zdałam sobie sprawę, jakie to nieuczciwe z mojej strony nakładać ci ograniczenia, gdy tymczasem ja sama... - nie dokończyła myśli, a w zamian zapytała: - Skąd

wiedziałaś, że Josh zna prawdę?

- Przyszedł do warsztatu, oświadczył, że nie jestem jego ojcem, potem wyrznął mnie w żołądek i uciekł z płaczem.

Laura odruchowo pogładziła jego dłoń.

- Och, Rye, biedaku...

- Był strasznie wzburzony, martwiłem się potem o niego przez cały dzień i noc. Nie wiedziałem, co dzieje się w tej małej główce, i co ty o tym sądzisz. Potem, kiedy do nas przyszedłaś, ja... nawet cię nie zapytałem, skąd się dowiedział i jak to zniósł.

- Dowiedział się od Jimmy'ego - Laura zrelacjonowała wydarzenia tamtego dnia, a gdy skończyła, Rye pogłaskał kciukiem kostki jej palców.

- Opowiedziałaś mu wszystko? Od samego początku?

- Tak. Próbowалам wyjaśnić to tak, by zrozumiał. Mówiłam mu o naszym dzieciństwie i o tym, dlaczego wypłynąłeś w rejs, i jak to było, kiedy myślałam, że nie żyjesz... wszystko, aż do twojego powrotu.

- I jak zareagował?

- Był ciekaw, czy obaj jesteście moimi mężami i czy... - Laura uznała, że mądrzej będzie nie kończyć zdania.

Rye spojrzał na nią przenikliwie i znów wyczuła, że czyta w jej myślach. Zdawała sobie sprawę, że chwyta się nadziei, iż Josh w końcu uzna go za ojca. Zatraskana, zmarszczyła brwi.

- Widzisz, Rye, jego poczucie bezpieczeństwa legio w gruzach. Dostrzegam pewne zmiany i wierzę, że powoli godzi się z faktami, ale naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć, co czuje w głębi serca. Chyba wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku.

Rye westchnął, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w kubek, który przesuwiał po stole kolistymi ruchami.

Laura uwolniła dłoń i poszła jeszcze raz nastawić czajnik. Gdy znów usiadła naprzeciw Rye'a, celowo ujęła kubek w obie ręce, i patrząc na unoszące się z niego smugi pary, powiedziała cicho:

- A zatem spotykasz się z DeLaine Hussey.

Rye milczał przez chwilę jak gdyby zastanawiał się, ile jej powiedzieć. W końcu rzekł:

- Spotkałem się z nią kilka razy.

Laura spuściła wzrok. Skoncentrowała się na jego dłoni, na której widniały dwie żyły, rozgałęzione pod jędrną, opaloną skórą.

- Było mi przykro, kiedy się dowiedziałam - wyznała.

- Nie robiłem tego, żeby sprawić ci przykrość. Czułem się osamotniony.

- Wiem.

- Często przychodziła do warsztatu...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć, Rye. Jesteś wolnym człowiekiem.

- Nie czuję się wolny. Nigdy nie zdołam uwolnić się od ciebie. Serce Laury uderzyło mocniej i choć przed chwilą powiedziała, że nie żąda wyjaśnień, nie mogła powstrzymać się od zapytania:

- Lubisz jej towarzystwo?

- Z początku nie, ale... do licha, czy musimy na ten temat rozmawiać? - Rye odwrócił wzrok. - Ona nic dla mnie nie znaczy, zupełnie nic. Kiedy ją pocałowałem...

- Pocałowałeś ją? - Laura spojrzała na niego zaskoczona.

- Daj mi skończyć. Kiedy pocałowałem DeLaine, uświadomiłem sobie, że porównuję ją z tobą, i nagle poczułem się... jak to określić? Chyba nielojalny.

- Widzieliście się później?

- Oj, Lauro, dlaczego wypytujesz mnie o takie rzeczy?

- Bo DeLaine Hussey ostrzy sobie na ciebie zęby od lat.

- Przyjmij do wiadomości, że nie wiążę z nią żadnych planów, chociaż omal... - Rye urwał i napił się herbaty.

- Omal co?

- Nic.

- Co, Rye? - nalegała. Rye zacisnął usta i nachmurzył się, klnąc się w duchu za zbytnią otwartość. Na twarzy Laury wyraźnie malowała się dezaprobata.

- Co: „omal”, Rye?

- No, dobrze, powiem ci. Omal mi się nie oświadczyła! - wykrzyknął z irytacją.

W tym momencie Laura poznała smak goryczy, której Rye zmuszony był kosztować za każdym razem, kiedy widział ją z Danem, albo choćby o nich myślał. Zazdrość mieszała się w niej z gniewem, że inna kobieta śmiała rościć sobie prawa do mężczyzny, którego Laura przez całe życie uważała za swego. Poczzerwieniała z gniewu.

- Powtarzam, ona nic dla mnie nie znaczy - rzekł Rye.

- I dlatego planujesz wyjechać z Nantucket i zacząć z nią nowe życie gdzieś w dziczy? Dlatego, że nic nie znaczy? - Laura szukała po omacku, bacznie obserwując reakcje Rye'a. Czowała, że kręci jej się w głowie.

Rye tymczasem ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Wypił herbatę do końca, przejechał dłonią po włosach i zerwał się na nogi.

- Jesteś zmęczona, Lauro. Połóż się, a ja posiedzę z Danem. Jeśli coś się będzie działo, obudzę cię. - Okrzyknął stół i ujął ją za łokieć, pomagając jej wstać.

Cała krew uciekła Laurze do nóg. Powiedz, że się mylę - błagała go w duchu. - Och, Rye, jak możesz w ogóle rozważać coś takiego!

Nie musiała go pytać o motywy. Jane miała rację: wyspa była za mała dla nich trojga i w końcu to Rye zdecydował się usunąć.

Nawiewany na ścianę śnieg z cichym sykiem osypywał się w dół.

- Połóż się obok Josha - rzekł Rye. - Jakoś się pomieścicie. Nie było innego miejsca, gdzie mogłaby się położyć. Nie miała ochoty spać, ale jeszcze bardziej nie miała ochoty myśleć, i z pewnością nie chciała czytać w niebieskich oczach Rye'a niechcianych prawd. Gdy więc obrócił ją ku alkówce i lekko szturchnął w plecy, nie opierała się.

- Ty też jesteś zmęczony - zaprotestowała słabo.

- Obudzę cię, żebyś mnie zmieniła, kiedy zachce mi się spać - obiecał i delikatnie popchnął ją w stronę łóżka. Potulnie wśliznęła się pod kołdrę. Pies ciążył jej na nogach, więc zwinęła się w kłębek obok Josha. Rye przeniósł fotel do sypialni. Usłyszała ciche stuknięcie o podłogę, a potem głębokie, przeciągłe westchnienie.

Próbowała nie myśleć o DeLaine Hussey i agencji nazwiskiem Throckmorton, ale pod powiekami tworzyły się obrazy. Ostatnim był dziwny widok Rye'a, czuwającego nad Danem, którego życie spoczywało teraz w jego rękach.

ROZDZIAŁ 19

W nocy szalała wichura, gniew Atlantyku wyładowywał się na steranych chatach Nantucket. Rye Dalton siedział na fotelu w sypialni, na zmianę to drzemiąc, to znów czuwając. Dan wciąż był nieprzytomny. Leżał bez ruchu, tylko czasem spazmatycznie drgały mu owinięte ręce. Rye nachylił się i położył mu dłoń na czole; wydawało się gorętsze. Zastanawiał się, jak długo potrwa, nim chory się ocknie, i jak zniesie straszliwy ból. Jeśli będzie krzyczał, śmiertelnie przestraszy malca. Również Laurze Rye wolałby zaoszczędzić widoku jego cierpień.

Rye pochylił się do przodu, oparł łokcie o kolana, a brodę na pięściach. Dan oddychał teraz ciężiej i gdy Rye patrzył na jego pierś, która unosiła się i opadała pod pierzyną, po głowie snuły mu się oderwane, niespójne myśli...

Pamiętasz, stary, jak w dzieciństwie spaliśmy na jednej koi?... Powinieneś przestać pić, do licha, dlaczego nie weźmiesz się w garść? Kocham twoją żonę... Wiedziałeś, że byliśmy razem w dniu śmierci Zacharego, prawda? Jezu, chłopie, popatrz, do czego sam się doprowadziłeś... Tak naprawdę wcale nie mam ochoty tu siedzieć, ale chyba muszę... Wyjadę stąd, niech no tylko przyjdzie wiosna... nie ma innego rozwiązania... Spokojnie, przyjacielu, nie nadwerężaj rąk... Boże, kiedy wreszcie będzie rano!? Muszę zawiadomić Hildę... Laura się domyśla... Chyba umrę bez niej... Jak ładnie pachnie Josh... Jezu, jak ty ciężko oddychasz, człowieku... Gdybyś umarł...

Rye przerażony zerwał się z krzesła. Zerknął na zegarek. Była piąta rano. Drzemał, nie był więc w pełni odpowiedzialny za mgliste twory swego umysłu. Przeciągnął się i cicho wszedł do głównej izby, żeby dołożyć polano do pieca. Gdy się rozpałiło, przykucnął przed ogniem. Znow ta potworna myśl. Gdyby Dan umarł...

Po kilku długich minutach wyprostował się, westchnął, przeczesał ręką włosy i zajrzał do alkówki, rozcierając zeszywniały kark.

Cała trójka spała mocno. Łajba wyczuła pana, uniosła ociężały łeb, wyprężyła łapy i znów zapadła w sen. Wzrok Rye'a prześliznął się pieszczotliwie po owiniętych kołdrą plecach Laury. Jej potargany warkocz leżał na poduszce, ale Rye zwalczył pokusę, by go dotknąć. Poglaskał tylko psa i wrócił na swój fotel.

Kiedy piec przygasł, w bokówce zrobiło się chłodno, toteż Rye objął się ramionami i oparł skrzyżowane stopy na krawędzi łóżka. Pierś Dana nadal podnosiła się i opadała. Czy to złudzenie, czy oddycha teraz szybciej? Nowe polano jednak podsyciło ogień i z głównej izby powoli zaczęło sączyć się ciepło. Powieki Rye'a kleiły się, broda opadła mu na pierś i już po

chwili spał jak zabity.

Laura przebudziła się i rozejrzała niespokojnie. W piecu wciąż tlił się żar, a za oknem nadal szalała śnieżycą. Odrzuciła kołdrę i cicho wstała z łóżka. Z szelestem śniegu mieszał się inny, obcy dźwięk. Włożyła pantofle i podeszła do drzwi sypialni.

Dan leżał jak przedtem na wznak, okryty po szyję pierzyną, spod której wystawały tylko odziane w rękawice dłonie. Rye spał na fotelu ze zwieszoną głową. Laura nagle uświadomiła sobie, że ów dziwny, przenikliwy odgłos wydobywa się z krtani Dana. Podeszła do łóżka, zaglądając w twarz chorego, mieniającą się w migotliwym świetle dopalającego się ogarka świecy, który stał na nocnej szafce.

Prawie przez minutę nasłuchiwała bez ruchu. Usiłowała sobie przypomnieć, czy Dan poprzednio oddychał w ten sam sposób. Porównała jego oddech z oddechem Rye'a. Nie, Rye oddychał wolniej i bez tego świstu...

- Rye! - Szarpnęła go za ramię. - Obudź się!

- Co? - Zdezorientowany otworzył oczy i uniósł głowę, która opadła mu ponownie, lecz po chwili wyprostował się i przetarł rękami twarz. - Co się stało?

- Posłuchaj, Dan tak dziwnie oddycha.

Rye natychmiast pochylił się nad Danem i położył mu dłoń na czole.

- Ma gorączkę.

- Gorączkę... - powtórzyła bezmyślnie, patrząc, jak Rye przykładą rękę do szyi Dana, potem do jego piersi.

- Jest cały rozpalony. Przygotuj mu kompres z octu na głowę, dobrze?

Bez zwłoki wyszła z sypialni, żeby zrobić to, o co prosił. Kiedy wróciła z mokrym okładem, stan chorego był taki sam. Świeca już dogasała, więc przyniosła nową, zapaliła i osadziła w lichtarzu. W pokoju zrobiło się jaśniej.

- Teraz ja z nim posiedzę. Połóż się, Rye. Rye jednak zdążył całkiem oprzytomnieć.

- Już się przespałem. Zresztą i tak nie ma się gdzie położyć. Zostanę tutaj.

Wyszedł do izby i przyniósł drugie krzesło, które postawił po przeciwnej stronie łóżka. Usiedli, wpatrzeni w leżącego między nimi mężczyznę. W miarę jak zbliżał się świt, Dan coraz ciężiej walczył o każdy łyk powietrza. Wkrótce jego oddech zaczął przypominać wysiłony chrzęst kowalskiego miecha, w którym uwiązał kawałek papieru.

Rye siedział zgarbiony, przyciskając usta do pięści wspartej na kolanie ręki, i wpatrywał się intensywnie w pierś Dana. Kiedy poczuł wzrok Laury, podniósł głowę. Umknęła spojrzeniem w bok, bała się patrzeć mu prosto w oczy.

Przez okiennicę wkradła się do pokoju blada smużka szarego brzasku. Chory już nie

oddychał zwyczajnie, a rzeził.

Tym razem Rye patrzył na nią dotąd, aż napotkał jej wzrok. Oczy Laury wydawały się nienaturalnie powiększone, skamieniałe.

- Chyba ma zapalenie płuc - ochryply szept Rye'a ledwie doleciał na drugą stronę łóżka.

- Mnie się też tak wydaje - odparła drżącym głosem. Siedzieli jak posągi, patrząc sobie w oczy, a z każdą chwilą świst, dobywający się spomiędzy spieczonych warg Dana stawał się coraz bardziej przenikliwy. Na zewnątrz gałąź tłukła się o okap, a w drugim pokoju ich syn przewrócił się z boku na bok i wymruczał coś przez sen. Świeca rzucała na ścianę dwa cienie, nasycając słodko - gorzkim, nostalgicznym zapachem powietrze nad łóżem, które niegdyś należało do nich. Na krótką chwilę przypomnieli sobie przeszłość, kiedy nikt ich nie rozdzielał. Potem przenieśli się w przyszłość, w miejsce zwane Michigan, gdzie na Laure Morgan i Rye'a Daltona czekało nowe życie. W krainę zielonych, niebosiężnych lasów, w których bednarz bez uszczerbku mógł pracować i sto lat; gdzie chłopiec dorastał i stawał się mężczyzną nie dbając o dawne dzieje; gdzie nikt nie znał ich nazwisk ani losów; gdzie mąż i żona budowali chatę z pni drzew, spalali w tym samym łóżku i pławili się w miłości.

Z przerażającą jasnością uświadomili sobie, że to wszystko leży w zasięgu ręki.

Wystarczyło tylko, by... nie zrobili nic.

Problem rozwiązany. Przeszkoda usunięta. Los zwraca im to, z czego ich ograbił.

Świadomość tego spłynęła na nich jak grom. Każde dostrzegало ją w oczach drugiego. Siedzieli bez ruchu, przeżywając ów przełomowy moment.

Kto mógłby ich winić? Ephraim Biddle zaświadczy, że znalazł w śniegu nieprzytomnego Dana, a gdyby ktoś nie chciał wierzyć słowom pijaka, potwierdzi je Hector Gorham, oberżysta. Nawet awantura z McCollem stanowiła dowód, jak bardzo Rye dbał o dobro przyjaciela. I czyż nie było wiadomo, że zawieja zatrzymała doktora Foulgera na drugim końcu wyspy?

Siedzieli naprzeciw siebie niczym woskowe manekiny, przepowiadając w duchu tę listę wymówek, świadomi, iż ta właśnie chwila może całkowicie odmienić całe ich przyszłe życie.

Kocham cię, Lauro - mówiły surowe błękitne oczy.

Kocham cię - odpowiadały zatroskane brązowe.

Chwila ta trwała tylko kilka sekund.

Porażeni nagłym objawieniem, chylili się ku sobie z przeciwległych stron łóżka.

I nagle, jakby niespodziewanie prysnął zły czar, równocześnie zerwali się na nogi.

- Musimy go przenieść bliżej ognia.
 - Pomogę ci.
 - Nie, ty przynieś tu Josha. Zamienimy ich miejscami. Masz czyste prześcieradła?
 - Tak.
 - A jagody do przetopienia?
 - Całe stosy!
 - A cebulę na kompres?
 - Tak, a jeśli nie podziała, jest jeszcze olejek eukaliptusowy, mięta i gorczyca, i...
- Nagle zatrzymali się w biegu. W ich oczach płonął teraz święty ogień oddania.
- Będzie żył, na Boga! - poprzysiął Rye. - Będzie żył!
 - Musi żyć!

Dwóch śpiących zostało sprawnie zamienionych miejscami. Zamykane łóżko Josha idealnie nadawało się na łaźnię parową. Położyli w nim Dana, a gdy Laura wcierała w jego pierś olejek eukaliptusowy, Rye zrobił z prześcieradeł rodzaj komina, którym para z gotujących się jagód woskownicy kierowana była do alkówki. Ogrzali cegły, zawinęli je w koce i włożyli do łóżka, żeby utrzymać ciepło.

Kiedy Dan spoczął w gęstych obłokach pary, przez omdlenie zaczął przesączać się ból. Chory jęknął i rzucił się w pościeli.

Laura z troską ściągnęła brwi.

- Jak on to zniesie?

- Będziemy go poić brandy - odparł Rye, nawet nie unosząc głowy. - Przynajmniej raz w życiu wyjdzie mu to na dobre.

I tak zrobili.

Wczorajsze przekleństwo dziś stało się błogosławieństwem. Uśmierzające właściwości alkoholu otepiły chorego, a długotrwałość procesu przygotowywania świec pozwoliła na stały dopływ aromatycznej pary, rozluźniającej zastoje w płucach Dana. Co godzinę dawali mu do picia brandy, pospiesznie zamykając za sobą drzwi alkówki, żeby utrzymać wewnątrz ciepłą wilgoć. Kombinacja alkoholu i gorącej parówki podziałała jak narkotyk: Dan pozostał uśpiony przez długie godziny, zamiast znosić tortury zmasakrowanych palców. Jego oddech brzmiał teraz jak chrapliwy grzechot, przerywany atakami wyczerpującego kaszlu, który unosił Dana z pościeli i związał go w pół. Inhalacja spełniała swe zadanie.

Czekali na pierwsze ponure symptomy obumierania skóry: łuszczenie się cienkich warstw naskórka. Nic takiego nie nastąpiło. Końce palców były opuchnięte i czerwone,

najwyraźniej krążyła w nich zdrowa krew. Kiedy ich najgorsze obawy się nie potwierdziły, Rye rzekł do Laury:

- Pójdę do miasta zawiadomić Hildę. Ojca też, bo na pewno się martwi.

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Cień nocnego zarostu pokrył jego brodę i górną wargę. Włosy miał potargane, a oczy przekrwione.

- Najpierw musisz coś zjeść - oświadczyła. - Sam wyglądasz jak siedem nieszczęść.

- Przegryzę coś u ojca.

- Nie bądź śmieszny, Rye. Pod kuchnią się pali, zresztą odmroziłam już rybę.

Usmażyła mu okonia panierowanego w kukurydzianej mące, tak, jak lubił. Nigdy nie przypuszczał, że pierwszy od powrotu posiłek przy własnym stole spożyje w takich okolicznościach. Josh siedział naprzeciw, przyglądając się z uwagą wszystkim zmianom, ale wobec Rye'a nadal wyraźnie zachowywał dystans. Laura stała przy kuchni mieszając czarną, bulgoczącą maź, której nie można było długo zostawiać bez dozoru. Z alkowy dochodził ciągły kaszel Dana, przerywany od czasu do czasu słabym jękiem lub mamrotaniem zbyt cichym, by można je było zrozumieć.

Rye ubrał się do wyjścia.

- Niedługo wrócę. Potrzeba ci czegoś?

Łyżka na chwilę znieruchomiła w garnku, a oczy Laury uniosły się ku niemu.

Przecież wiesz, czego mi potrzeba - pomyślała.

Świadoma, że Josh im się przygląda, uśmiechnęła się i pokręciła głową, podejmując mieszanie.

W przeblysku wspomnienia znów była wiosna, Rye wrócił z rejsu i zastał ją tak jak teraz - z łyżką w dłoni.

Nie był wcale pewien, czy ma dość silnej woli, by opuścić wyspę.

Kiedy otworzył drzwi, nawiany do wysokości bioder śnieg załamał się i wpadł do izby. Josh nie posiadał się z zachwyty. Rye przystanął i spojrział na podłogę.

- Nabałaganilem...

- Ja się tym zajmę - Laura szła już z miotłą. Przy okazji zajrzała mu w oczy i szepnęła:
- Trzymaj się.

- Bez obaw.

Łajba błyskawicznie dała nurka w śnieżną biel. Za nią wyszedł Rye, zamykając za sobą drzwi.

Okna pokryte były parą, która zbierała się w narożach i zamarzała, tworząc zgrubiałe trójkąty lodu. Laura przetała kawałek szyby, żeby spojrzeć, jak Rye i Łajba brną przez

śnieżne zaspę. Rye sadił wielkie kroki, pies natomiast jak delfin pływningimi skokami wynurzał się na powierzchnię. Laura cichutko odmówiła modlitwę dziękczynną za to, że Rye był przy niej, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Potem odwróciła się, żeby zamieść śnieg.

Josh przez cały czas warował przy oknie, nie mogąc się doczekać powrotu Łajby. Godzinę później zawołał:

- Mamo, idą! Jest ich dwoje!

- Dwoje?

- To chyba babcia! Laura stanęła za nim i wyjrzała na zewnątrz. Rzeczywiście, Hilda Morgan wypuściła się na mróz w towarzystwie Rye'a i jego psa. Laura otworzyła drzwi i powitała ją krótkim muśnięciem w policzek. Śnieg i wiatr wpadły do środka, porywając do tańca płomień na piecu i wdmuchując wirujący popiół do komina.

- Jak on się czuje? - zapytali chórem Rye i Hilda, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

- Bez większych zmian. Otrząsnąwszy śnieg z butów, Hilda obejrzała prowizoryczny namiot, w którym leżał Dan.

- Widzę, że nie próżnowaliście - zauważyła, podała płaszcz Laurze i podeszła do syna.

Została aż do zmroku, okazując się przy tym ogromnie pomocna. Zastępowała Laurę przy topieniu jagód, naciągała knoty w formach i nalewała wosk. Była to bystra kobieta, która potrafiła błyskawicznie i trafnie ocenić sytuację. Laura i Rye zaoszczędziliby jej opowieści, w jaki sposób Danowi przytrafił się wypadek, Hilda jednak była przeciwieństwem Dahlii Traherne. Domyśliła się, że zawinił pociąg do kieliszka, zanim jeszcze Josh poinformował ją o wszystkim, co zaszło zeszłej nocy. Zauważyła również, jak starannie Laura i Rye unikali wszelkich zbliżeń, krzątając się po domu.

Kiedy wieczorem wszyscy troje zasiedli nad kubkami gorącego jabłecznika, Hilda zaskoczyła ich, mówiąc bez ogródek:

- Mój syn jest głupcem. Nikt lepiej ode mnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Wie, że wy dwoje jesteście dla siebie stworzeni, ale sam przed sobą nie chce tego przyznać. Powiedziałam mu w dniu twojego powrotu, Rye, że jeśli zatrzyma Laurę, zrobi to wbrew jej woli. Ostrzegłam go. „Dan - powiedziałam - spójrz prawdzie w oczy. Josh jest jego synem, a kobieta także należy do niego i im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej dla ciebie”.

Widząc ich zaskoczone miny, stwierdziła rzeczowo:

- Nie jestem ślepa. Widzę, co się dzieje. Nie jestem też tak głupia, by nie zdawać sobie sprawy, że mogliście pozwolić, aby stracił palce albo zadusił się na śmierć. Mam tylko nadzieję, że kiedy się ocknie, uświadomi sobie, ile miłości trzeba było z waszej strony -

twojej, Lauro, oraz twojej, Rye - żeby zdobyć się na to, co dla niego zrobiliście. - Sięgnęła przez stół, uściśnęła im obojgu ręce i dodała: - Dziękuję wam z całego serca.

Z nieprzeniknioną miną wychyliła kubek do reszty i dźwignęła się na nogi.

- No, muszę przetransportować stare kości przez zasy, zanim zrobi się całkiem ciemno. Młodzieńcze - w jej głosie zabrzmiał sarkazm - zamierzasz siedzieć tu do rana, czy też doholujesz mnie bezpiecznie do domu?

Pobrnęli przez śnieg, pochylając głowy pod naporem wiatru, a gdy dotarli do domu Morganów, Hilda zaskoczyła Rye'a jeszcze raz. Wiatr szarpał jej szalik i malował nos na czerwono, kiedy zawołała, przekrzykując wiatr:

- W razie, gdybyś nie wiedział, to od razu ci mówię, że ta Hussey też nie jest dla ciebie. - Po czym otworzyła drzwi i zniknęła w sieni.

Rye patrzył za nią oszołomiony. Czy choć jedna osoba na wyspie była zdania, że związek Laury z Danem to nie pomyłka?

Rye postanowił wstąpić po drodze do warsztatu i zawiadomić Josiaha, jak wygląda sytuacja. Skoro jednak już tam był, skorzystał z okazji, żeby się umyć, ogolić i włożyć czystą odzież. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nieodstępny dotąd pies pozostał z jego synem.

Kiedy otworzył drzwi domu na wzgórzu, zauważył od razu, że Laura również wykorzystała ten czas, by się ogarnąć. Włosy ściągnęła na karku w schludny węzeł i przebrała się w czystą prostą sukienkę z szarego samodziału, na której zawiązała sięgający kostek biały fartuch. Rye powiesił kurtkę na wieszaku i strzepnął śnieg ze spodni. Stół nakryty był na trzy osoby. Josh i Łajba wrywali sobie jakiś gałgan, a Laura właśnie wytrząsała bułeczki z żelaznej formy. Przez chwilę wyobrażał sobie, że jest właśnie tak, jak wskazują pozory - wraca do domu, do syna, psa, żony, która krząta się po kuchni, podając kolację. Co za ironia - pomyślał. - To rzeczywiście jest mój dom, żona, syn, choć równocześnie nie należą do mnie.

Niespokojne poruszenie w łóżku przypomniało mu, że Dan też tu jest.

- Co z nim?

- Kaszle częściej, ale nie tak sucho.

- To dobrze. Dobrze - Rye podszedł do pieca, wyciągnął nad nim ręce i roztarł je. Laura stała tuż przy nim, robiąc coś przy kuchni. Oboje mieli świeżo w pamięci uwagi Hildy i nagle stwierdzili, że krępują się spojrzeć sobie w oczy.

- Wiatr chyba trochę słabnie - bąknął Rye.

- O, to dobra nowina! - Laura radośnie uniosła głowę i spuściła ją zaraz, gdy tylko napotkała jego spojrzenie.

Laura odstawiła gotujące się jagody, żeby zrobić miejsce na piecu. Rye wpatrzył się w

ogień. Po chwili zerknął przez ramię na trzy nakrycia i w duchu policzył lata, miesiące, dni, które czekał na ten wieczór.

- Josh, chodź do stołu. Kolacja gotowa! - zawołała Laura. Rye odwrócił się od pieca i stanął niepewnie, przyglądając się, jak Laura sadza synka przy stole i sięga po wazę.

Podniosła głowę i zobaczyła, że na nią patrzy. W przyćmionym świetle świecy i żaru z pieca jego bladobłękitne oczy miał barwę lśniących szafirów.

- Siadaj, Rye - ponagliła go łagodnie.

Kiedy wszyscy usiedli, podsunęła znajomy półmisek, który odziedziczył po babce. Uniósł pokrywę i zobaczył jedno ze swych ulubionych dań: grube plastry dziczyzny w gęstym brązowym sosie.

To, że mama zupełnie inaczej spogląda na Rye'a niż na tatę, nie uszło uwagi Josha. Chłopczyk rozumiał już, że Rye jest jego prawdziwym tatą, ale tytuł ten wciąż zarezerwowany był wyłącznie dla Dana. Josh przyjrzał się dorosłemu, lecz nadal nie mógł pojąć, dlaczego mama ciągle się rumieni, bednarz zaś wylewnie chwali każdy kęs, który wkłada do ust.

Posiłek przebiegał w napiętej atmosferze, sztuczna rozmowa w końcu zamarła całkiem. Po kolacji Rye zmienił Danowi okład i przy okazji zauważył, że chory odpluwa teraz zieloną flegmę - dobry znak. Rozpostarł mu pod głowę kawałek flaneli, obrócił na bok i kilkoma poduszkami podparł mu plecy.

- Dlaczego to robisz? - zainteresował się Josh.

- Żeby się nie udławił - odparł Rye i Josh nie mógł wyjść z podziwu, skąd on tyle wie. Wszystkie czynności świadczyły o tym, z jaką troską mama i Rye opiekują się tatą. Wiele cech wysokiego bednarza wprawiało go w zakłopotanie, wiele też intrygowało. Czasami z trudem przychodziło mu milczenie, ale w dziecięcym zaciętrzewieniu wciąż uważał, że odzywając się do Rye'a jest nielojalny wobec taty. Ponadto nękał go wstyd z powodu wizyty w bednarni. Dlatego też ilekroć Rye usiłował wciągnąć go do rozmowy, napotykał mur milczenia.

Teraz Łajba zajęta była miską i Josh nie mógł nakłonić jej do zabawy. Nie mając nic innego do roboty, przyglądał się ukradkiem, jak Rye podchodzi do wieszaka i z kieszeni kurtki wyciąga kawałek drewna i kozik. Potem Rye przysunął sobie krzesło do kominka, usiadł, wyciągnął nogi i oparł je na brzegu paleniska. Pogwizdując przez zęby zaczął dłużyć w drewnie; pierwszy spiralny zrzynek spadł mu na kolana. Zainteresowanie Josha wydatnie wzrosło, nie na tyle jednak, by puścił parę z ust.

Nad paleniskiem zawisł następny garnek jagód, Laura i Rye mieszali w nim na

zmianę. W wolnych chwilach Rye siedział przy piecu i strugał.

Kiedy Laura całowała synka na dobranoc, spytał:

- Czy Rye zostanie tu do rana?

- Tak. Będziemy kolejno pilnować taty.

- Aha - Josh zamyślił się i dodał: - Co on struga? Laura odgarnęła mu włoski z czoła i uśmiechnęła się:

- Dlaczego sam go nie zapytasz?

Josh trawił przez chwilę tę możliwość, po czym spytał:

- Dlaczego ty tak dziwnie na niego patrzysz? Zaskoczona, Laura wykrztusiła pierwsze słowa, które przyszły jej na myśl:

- Nie przypuszczałam, że to wygląda dziwnie!

Kiedy wróciła do izby, Rye stał nad Danem, badając jego stan. Nieświadom, że jest obserwowany, jedną ręką roztarł kark, drugą plecy, i wygiął się do tyłu z przeciągłym westchnieniem.

- Rye, nie spałeś od czterdziestu ośmiu godzin... Wyprostował się szybko i odwrócił.

- Nic mi nie jest. Poza tym zeszedł nocy zdrzemnąłem się trochę.

- Na krześle przy łóżku?

- Są jeszcze jagody. Powinniśmy go utrzymywać w parówce co najmniej do jutra.

- Musisz odpocząć.

- Za chwilę.

Dan zakaszłał. Rye pochylił się, otarł mu usta i ponownie zamknął drzwi alkówki. Laura podeszła do pieca i niechętnie ujęła łyżkę, żeby zamieszać w garnku. Wyczuła, że Rye cicho stanął za nią.

- Wiesz... - roześmiała się z wysiłkiem. - Kiedyś uwielbiałam robienie świec. Ale teraz wątpię, czy do końca życia zrobię jeszcze choć jedną.

Dłonie Rye'a zaczęły masować obolałe mięśnie jej szyi i pochylonych pleców. Laura przymknęła oczy. Westchnęła ze znużeniem, przechylając głowę w tył, aż oparła ją na twardej męskiej piersi.

- Lauro... - szepnął, delikatnie odwracając ją do siebie.

- Och, Rye... - Na moment spojrzała mu w oczy, potem z powrotem oparła się o jego tors. Rye lekko otoczył ją ramieniem i oparł policzek na jej głowie. W ich uścisku więcej było zmęczenia niż uczucia. Czerpali z niego siłę, pociechę i świadomość, że jest ktoś, na kim można polegać.

Przez długą chwilę nie odzywali się do siebie. Laura objęła plecy Rye'a. Czowała pod

policzkiem szorstką fakturę swetra. Wełna zachowała lekki aromat cedru i biło przez nią ciepło jego ciała.

Rye wdychał z włosów Laury zapach woskownicy, delikatnie masując jej ramiona.

- Będzie żył - wymruczał z ustami na jej ciemieniu.

- Dzięki Bogu - - westchnęła z ulgą. Nagle poczuła, że Rye chwieje się ze zmęczenia.

Zerknęła w jego zaczerwienione oczy.

- Proszę cię, odpocznij. Wytrzymam jeszcze co najmniej parę godzin. O północy cię obudzę, przyrzekam. Idź, wyciągnij się obok Josha.

Umysł Rye'a już ledwie funkcjonował. Nie potrafił oprzeć się kuszącej perspektywie, że zamknie oczy i odpłynie w zapomnienie. I tak po raz pierwszy od pięciu lat zasnął we własnym łóżku, choć nie u boku Laury, jak sobie wymarzył. W zamian za to jego wyciągniętą na poduszce rękę lekko muskał spokojny oddech syna.

Obudził się w środku nocy, nasłuchując słabnącego wycia wichru, oddechu Josha i głośnego kaszlu Dana. Usiadł, oprzytomniawszy zerknął na syna i w samych skarpetkach podszedł cicho do drzwi. Było grubo po trzeciej. Węgłe w piecu jarzyły się rubinowym żarem; nowa partia świec wisiała uwiązana knotami na kiju opartym o dwa krzesła. Na stole paliła się świeca, a obok spała Laura z głową opartą na blacie i jedną ręką wyciągniętą w poprzek stołu.

Dan przestał na chwilę kaszleć, wymamrotał coś niezrozumiale i ucichł. Rye podszedł do niego i położył mu dłoń na czole. Wydawało się chłodniejsze. Wrócił do Laury, wziął ją na rękę i zaniósł do sypialni.

Jej powieki uchyliły się i natychmiast zamknęły, jakby były z ołowiu. Głowa opadła mu na szyję.

- Rye... - mruknęła bardziej przez sen niż świadomie. - Wiesz, kocham cię.

- Wiem - delikatnie położył ją obok Josha i nakrył pierzyną aż po same uszy.

Resztkami świadomości Laura czuła na czole dotyk warg Rye'a, gdy mościła się w pościeli, która wciąż zachowała ciepło jego ciała.

Nazajutrz Laura i Rye z nowymi siłami podjęli dyżury przy chorym. Rye od razu wyłożył nogi w górę i wyciągnął kozik, udając, że nie zauważa ciekawych spojrzeń Josha.

Jako że tajemniczy przedmiot zaczynał przypominać łyżwę, stoicki upór Josha legł w gruzach. Chłopiec podkradał się coraz bliżej, aż w końcu, gdy ciekawość przepełniła czarę, zagadnął:

- Co robisz?

- Chodzi ci o to? - Rye machnął w powietrzu niemal wykończoną łyżwą.

Josh pięć razy energicznie kiwnął głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- To łyżwa.

- Dla ciebie? - Zahipnotyzowane oczy Josha otworzyły się jeszcze szerzej.

- Nie, ja już mam.

- Masz łyżwy? - Josh zmusił się, żeby na niego spojrzeć.

- Tak tylko dłubię, dla zabicia czasu, jak dawniej na statku. Majsterkuję. - Rye jeszcze raz skrobął nożem drewno, po czym krytycznie przyjrzał się swemu dziełu i nagle wykrzyknął:

- Ale, ale, ta łyżwa wygląda mi na twój rozmiar, chłopcze! Rye z trudem zachował powagę, gdy Josh badawczo obejrzał swoją małą stopkę, a następnie łyżwę.

- Sprawdźmy... - Rye nachylił się, by porównać łyżwę z bucikiem Josha, a gdy okazało się, że pasuje niemal idealnie, zadumał się.

- Hm... - mruknął. - Czy dobrze słyszałem, że w tym tygodniu są twoje urodziny?

Nie patrząc czuł, że Laura się uśmiecha.

Potem Josh już bez przerwy wisiał na krześle Rye'a, zadawał setki pytań i chłonał wszystko, co Rye miał do powiedzenia o swoim pobycie na morzu. Bednarz opowiadał mu o ciszy morskiej, która wielu żeglarzy uczyła dłubać w drewnie dla zabicia czasu. Opisał marynarski „kulig”, zapierającą dech w piersiach jazdę łodzią wielorybniczą za potworem, w którego ciało wbił się już pierwszy harpun. Zwierzę ciągnie za sobą myśliwych poprzez kipieli w walce na śmierć i życie, trwającej czasem przez parę dni. Na koniec Rye dorzucił kilka opowiadań z repertuaru honorowych członków Wielorybniczego Klubu Łgarzy Nowej Anglii. Josh z wytrzeszczonymi oczyma słuchał fantastycznych bajek o żyjącym pod wodą żeglarzu, zwanym Starym Sztormowcem, który ma aż cztery sążnie wzrostu, licząc do czubka nosa, pija zupę wielorybią z odwróconej szalupy, zżera rekiny wraz ze skórą i strusie jaja w skorupach, a w czasie sjęsty dłubie w zębach dębowym wiosłem - „długim na dwadzieścia stóp”, mówił z powagą Rye.

- Eee, na pewno sam to wymyśliłeś! - powiadał na to Josh i z zapartym tchem słuchał następnej wyssanej z palca historii.

Zabawiając w ten sposób syna, Rye celowo zwolnił tempo pracy, chcąc wydłużyć czas, który spędzał z Joshem.

Pod koniec trzeciego dnia zdjęli prześcieradła i odstawili brandy. Zawierucha ustała, pozostawiając za sobą czternastocalową warstwę śniegu, po której sanie doktora Foulgera bezpiecznie dotarły do miasteczka. Doktor zbadał Dana i oświadczył, że sam nie byłby w stanie zrobić nic więcej, a co najważniejsze - że niebezpieczeństwo minęło.

Laura i Rye starannie unikali wszelkich rozmów na tematy osobiste. Teraz, czwartej nocy czuwania, siedzieli na fotelach przysuniętych do pieca. Josh spał w bokówce, a Dan leżał w otwartej alkowie i wydawało się, że oddycha lżej.

Laura robiła na drutach wełniane skarpety dla Josha. Rye patrzył w ogień, założywszy nogę na nogę. W blasku ognia jego bokobrody przybrały rudawy odcień.

W ciszy rozlegał się tylko ledwo słyszalny klekot drutów. Po jakimś czasie Rye pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Co się tyczy wyjazdu... - zaczął. Laura wstrzymała oddech. Opuściła robótkę i spojrzała na niego.

- Nie zabiorę ze sobą DeLaine Hussey - oświadczył cicho.

- Nie? - Serce Laury zakołatało tak mocno, że cud, iż nie połamało jej żeber.

- Zabiorę ciebie. Laura oblała się rumieńcem. Zaczerpnęła głęboki oddech, po czym z nową, gorączkową energią zaczęła poruszać drutami.

- O ile zechcesz wyjechać - ciągnął Rye, przyglądając się jej z ukosa. Druty migąły jak szalone. - Może byś tak na chwilę odłożyła tę przeklętą robótkę - rzucił z irytacją.

Dłonie Laury opadły na kolana. Rye oparł się wygodniej.

- Lauro, spłaciliśmy dług wobec Dana. Będzie żył. Teraz musimy pomyśleć o sobie.

Podniosła wzrok. Rye wpatrywał się w nią z napięciem.

- Jestem tu od trzech dni i nocy i wiem już na pewno, że byliśmy głupi, pozwalając, by kierował nami tylko obowiązek i poczucie winy. Należymy do siebie. Nie obchodzi mnie, gdzie będziemy mieszkać: tu w Nantucket czy na końcu świata. Dla mnie ty jesteś światem. Mój dom jest tam, gdzie ty i nie mam zamiaru się tego wstydzić. Nie chcę żadnych niedomówień między mną a Danem. Kiedy odzyska przytomność, powiem mu całą prawdę, żebyśmy wszyscy mogli wreszcie zacząć myśleć o przyszłości. Widzisz, napisałem już do Throckmorta i zgodziłem się dołączyć do wyprawy. Wyruszamy z Albany piętnastego kwietnia, co oznacza, że musimy wypłynąć stąd parowcem w końcu marca. Zostały zaledwie trzy miesiące, a przygotowań jest dużo. Pytam cię po raz pierwszy i ostatni, Lauro: pojedziesz ze mną na wiosnę do Michigan?

Nie uśmiechał się. Patrzył jej prosto w oczy. Jego głos, choć cichy, brzmiał stanowczo i twardo. Laura czuła, że mówi to, co myśli. Zrozumiała także to, czego nie dopowiedział: że odjedzie na wiosnę z nią czy też bez niej. W głębi serca wiedziała, że Rye ma słuszość. Uratowali Danowi życie. Zresztą, czy mieli inne wyjście? Oboje go kochali i tak miało pozostać. W ciągu ostatnich dni Laura nauczyła się jednak, że miłość wymaga czasem rzeczy strasznych.

Przypomniała sobie szydło, zagłębiające się w ciele Dana, a potem rozdygotaną postać, skuloną na schodkach. Pamiętała gniew Rye'a i jego litość na widok niepotrzebnej rany na piersi przyjaciela. Znów przeżyła grozę tej brzemiennej chwili, gdy będąc o krok od zbrodni odkryli prawdę: że muszą ocalić Dana, by ocalić siebie.

Rye wciąż czekał. Patrzył na nią oczyma, w których było zmęczenie długą walką o czyjeś życie. Tak, Dan będzie żyć. Oni też muszą żyć. Istniała tylko jedna odpowiedź.

- Pojadę z tobą - rzekła cicho. - Oboje pojedziemy, ja i Josh. Ale do tego czasu w żaden sposób nie zhańbimy Dana.

- Oczywiście, że nie.

Co dziwne, uzgodnili te warunki tonem dwojga kupców dobijających targu. Pora, by ich serca zaczęły śpiewać, jeszcze nie nadeszła, póki Dan leżał chory. Na to będzie czas później, gdy przyjdzie wiosna, czas powrotu do życia.

ROZDZIAŁ 20

Dan ocknął się rankiem czwartego dnia. Otworzył oczy i ze zdumieniem stwierdził, że leży w łóżku Josha. Ręce go bolały; przemknęło mu przez myśl pytanie, czy przypadkiem nie przyciął sobie drzwiami wszystkich palców. Miał wrażenie, że próbuje oddychać na głębokości dwudziestu pięciu stóp i woda boleśnie uciska mu płuca. Język przysechł do podniebienia, jak na koszmarnym kacu, w głowie zaś huczała boja dzwonowa rozkołysana na wzburzonym morzu.

Z wysiłkiem odwrócił głowę. Przy jego łóżku jak gdyby nigdy nic siedział Rye, rozparty w fotelu z nogą przełożoną przez kolano.

- Dzień dobry - rzekł.

- Rye? - wychrypiął Dan, usiłując bez powodzenia podnieść się na łokciu.

- Leż spokojnie, przyjacielu. Masz za sobą ciężkie przejścia. Dan przymknął powieki, bo światło dzienne wzmagało jeszcze pulsujący ból głowy.

- Co ty tu robisz? - spytał.

- Czekam, aż się obudzisz. Dan podniósł rękę, ciężką jak nasiąknięta kłoda, i dotknął nią czoła, na nowo budząc piekielny ból w palcach.

- Nie znalazłoby się trochę wody? - wychrypiął.

Rye natychmiast schylił się, podłożył mu dłoń pod głowę i przytknął kubek do ust. Cudownie chłodna woda spłynęła kojąco w spieczone gardło. Z wysiłku Danowi zabrakło tchu.

- Co się stało? - spytał, gdy słabość minęła. - • Schlałeś się jak świnia, przewróciłeś na ulicy w największej zawierusze, jaka dotknęła Nantucket od lat, rozbiłeś sobie czerep o bruk i leżałeś tam, aż odmroziłeś ręce i nabawiłeś się zapalenia płuc.

Dan z niedowierzaniem otworzył oczy i spojrzął na Rye'a, który znów usadowił się w fotelu, splótłszy dłonie na brzuchu. Mimo ostrej przygany jego głos brzmiał tak, jak za dawnych czasów. Wrogość rozwiała się.

- Narozrabiałem, co?

- I to jak!

- Kiedy to się stało?

- Cztery dni temu.

- Cztery dni! - Dan obrócił głowę na poduszce i skrzywił się z bólu.

- Na twoim miejscu nie ruszałbym się tak gwałtownie. Przez cały czas trzymaliśmy cię w gorącej parze. Teraz będziesz miał kaca, który przyćmi wszystkie poprzednie.

- Gdzie jest Laura?

- Poszła na targ. Zaraz wróci. Dan uniósł prawą rękę i przyjrzał się palcom.

- Coście ze mną zrobili? Boli jak diabli. Rye zachichotał.

- Ciesz się, że masz palce. Zagoją się.

- Rozumiem, że nie masz zamiaru mi współczuć, co, Dalton? Kącik ust Rye'a wygiął się w górę.

- Ani trochę. Omal nie straciłeś palców u rąk i nóg. Co ja mówię, w ogóle powinienes był spocząć sześć stóp pod ziemią, ale cmentarz zamarzał na kość i nie wiedzieliśmy, gdzie cię pochować.

Mimo bólu Dan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Przyjrzał się uważnie przyjacielowi.

- Byłeś tu przez cały czas?

- Laura też. Dan dostał nagle ataku kaszlu. Rye podał mu chustkę, a potem gorącą herbatę z imbirem, octem i miodem. Pozwolił choremu przez chwilę odpocząć, nim odezwał się rzeczowo:

- Słuchaj, Dan, jest parę rzeczy, które chcę ci powiedzieć, zanim wróci Laura. Wiem, że okoliczności są niesprzyjające, ale być może jest to jedyna szansa, żebyśmy porozmawiali bez świadków. - Rye pochylił się w przód, splótł dłonie, zmarszczył brwi i spojrzał Danowi prosto w oczy. - Byłeś jedną nogą w grobie, stary, i to wyłącznie z własnej winy. Przyglądałem się, jak powoli staczasz się na dno. Ręczę ci, na tej wyspie nikt nie byłby zaskoczony, gdybyś zamarzał na śmierć tam, gdzie upadłeś, opoju. Przejrzyj na oczy! - dodał niecierpliwie.

- Marnujesz życie. Użalasz się nad sobą i trwonisz najcenniejszy dar, jaki masz od Boga: twoje zdrowie. - Rye pochylił się do przodu.

- Zgoda, miałeś powody do zmartwień, ale czy wiesz, jak dręczyłeś Laurę? Wyrzuty sumienia zabijały ją za każdym razem, gdy półprzytomny wtaczałeś się do domu, chociaż wcale nie była to jej wina!

Rye zamilkł na chwilę.

- Chcę być z tobą szczery i ufam, że zrozumiesz, iż mówię to wszystko nie z wrogości do ciebie, a dlatego, że chciałbym zobaczyć, jak bierzesz się w garść i na powrót stajesz się człowiekiem.

Rye przyjrzał się swoim dłoniom, złożonym między rozstawionymi kolanami.

- Na wiosnę wyjeżdżam na Terytorium Michigan. Laura zgodziła się jechać ze mną. Oczywiście dotyczy to również Josha. Masz trochę czasu, żeby się z tym pogodzić. Możesz

znieść to jak mężczyzna albo wrócić pod Niebieską Kotwicę i dalej chlać na umór. Zrobisz, co zechcesz; to nie moja sprawa. Chodzi mi o Laure, bo jeśli wyjedzie stąd przekonana, że zniszczyła ci życie, do końca swoich dni nie pozbędzie się tego brzemienia. Proszę cię, żebyś ją oszczędził. A jedyny sposób, w jaki możesz to uczynić, to przestać pić i... i...

Rye nagle ze świstem wypuścił powietrze i ukrył twarz w dłoniach.

- Zaraza! - warknął. - Myślałem, że to będzie łatwiejsze.

- Zerwał się, wsunął dłonie za pas i obrócił się plecami. Dan patrzył na niego z tą samą tkliwą nostalgią, jakiej doznał pięć lat temu, żegnając w porcie „Massachusetts”.

- Do licha, Dan! - Jasnowłosy bednarz obrócił się w jego stronę.

- Nie chcę cię ranić, ale kocham Laure. Oboje próbowaliśmy to w sobie zwalczyć, ale pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Przysięgam ci na wszystkich świętych, że nie tknąłem jej będąc w tym domu i nie zrobię tego aż do wiosny. Na wiosnę zabiorę ją ze sobą, poślubioną czy nie. Chciałbym jednak, żebyśmy odjechali... jeśli nie z twoim błogosławieństwem, to przynajmniej bez gniewu.

W ich wzajemnym stosunku nastąpiła nieokreślona zmiana. Być może zdali sobie sprawę, że nawet rywalizacja o kobietę nie jest w stanie zniszczyć długoletniej przyjaźni. Kochali Laure, ale również szanowali się nawzajem. Gdyby pozostali na tej samej wyspie, cierpieliby obaj. Dlatego też nadszedł czas rozstania. Błękitne oczy Rye'a, w których nie było już gniewu, zaszklily się podejrzenie.

W tej samej chwili weszła Laura z Joshem, wnosząc ze sobą zimny podmuch.

Josh przypadł do łóżka, przewiesił się brzuszkiem przez krawędź pościela i krzyknął:

- Tato! Już nie śpisz?

Laura podbiegła tuż za nim. Pochyliła się, by dotknąć czoła Dana.

- Dan, dzięki Bogu, najgorsze za tobą. Tak się martwiliśmy... - Na jej czole wciąż malowała się troska, lecz widząc, że chory wraca do siebie, uśmiechnęła się tkliwie. - Chodź, Josh. Nie możemy kręcić się koło taty w tych zimnych paltach. Najpierw ogrzej się przy ogniu. Później porozmawiasz z tatusiem, tylko nie za długo. Nie wolno go męczyć.

- Ale, mamó, muszę opowiedzieć tacie o łyżwach, i jak pan McColl chciał...

- Później, skarbie - ucieła pospiesznie.

Laura nie zamierzała podkreślać zasług swoich czy Rye'a, jednak w ciągu najbliższych dni Dan dowiedział się od Josha o wszystkim. Dziecięca opowieść - ciąg niezmiernie plastycznych, przejmujących obrazów - dała mu pojęcie o tym, co zrobili dla niego Laura i Rye, gdy leżał bez zmysłów.

Rekonwalescencja Dana była powolna i bolesna. Przez dwa tygodnie leżał przykuty

do łóżka, targany kaszlem, który omal go nie zadusił. Z biegiem dni nabierał sił, a przede wszystkim - miał teraz czas na przemyślenia.

Pierwsze rzuciło mu się w oczy to, że gdy znalazł się w potrzebie, mieszkańcy miasteczka niemal odruchowo zwrócili się po pomoc do Rye'a. Wiedział, że Rye walczył o niego jak lew, że przez trzy dni i cztery noce ratował mu życie...

Teraz Rye przychodził codziennie, aby narąbać drewna i nanieść wody, przynosił z miasteczka świeże mleko, lekarstwa i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia od licznych znajomych. Leczenie brandy odeszło w przeszłość. Rye zadbał, by w całym domu nie było ani kropli alkoholu.

Codziennie odwiedzała go też matka. Od niej Dan zdobył kilka fragmentów układanki, których brakowało mu w opowieści Josha.

Dan nie mógł ignorować tego, że Josh w końcu zaakceptował codzienną obecność Rye'a, i choć to Dana wciąż nazywał tatą, między nim a bednarzem zarysowała się nić koleżeństwa, które niewiele ma wspólnego z więzami krwi.

W połowie grudnia Josh usadowił się po turecku w nogach łóżka, Laura zaś siedziała obok na krześle, obrębiając pościel.

- Tato, kiedy nauczysz mnie jeździć na łyżwach? - zagadnął chłopczyk.

Laura odezwała się z wyrzutem:

- Josh, przecież wiesz, że tatuś nie jest jeszcze na tyle zdrowy, żeby wychodzić na mróz.

Dan nie wypytywał jej o planowaną wyprawę do Michigan, ale wedle jego pobieżnych obliczeń obrębiała w tej chwili siódme prześcieradło. Przez chwilę patrzył na migającą igłę, potem obrócił się do Josha:

- Poproś Rye'a, żeby cię nauczył. Jest bardzo dobrym łyżwiarzem.

Laura poderwała głowę, zaskoczona.

- Naprawdę? - Josh zapiszczał z emocji, jak zawsze, gdy mowa była o łyżwach.

- Na pewno nie gorszym ode mnie. Ślizgaliśmy się razem, gdy byliśmy mali.

- Mama też? Wzrok Dana powędrował w stronę Laury.

- Tak. Wszędzie z nami chodziła, z Ryem i ze mną. W jego głosie nie było uszczypliwości. Gawędziarskim tonem opowiedział chłopcu, jak pewnego razu rozpalili ognisko na zamrzniętej powierzchni stawu; lód się stopił i ognisko wpadło do wody, a oni omal nie skąpali się wraz z nim.

Serce Laury rozsadzała wdzięczność. Och, Dan - myślała - rozumiem, jaki dar nam dajesz, i wiem, ile cię on kosztuje.

Dan nie patrzył na nią, lecz czuł, że go obserwuje. Kiedy po południu do izby wszedł Rye, Josh w mgnieniu oka był przy nim.

- Rye, nauczysz mnie jeździć na łyżwach? Rye zerknął kolejno na Laurę i Dana. Machinalnie przyglądał sterczący kosmyk na czubku głowy malca.

- Kto wpadł na ten pomysł?

- Tato. Powiedział, że jeździliście razem, kiedy byliście mali.

- Aha, tato... - Rye rzucił okiem w stronę łóżka. - Jesteś pewien? - zapytał, zdejmując kurtkę.

- Sam go spytaj! Dan odkaszlnął.

- Hm... obiecałem, że go nauczę, ale... przez jakiś czas nie będę mógł wychodzić na dwór, więc pomyślałem, że może ty... - dokończył ruchem dłoni.

Rye podszedł do niego.

- Nie mów tyle, to cię męczy. Dobrze, jeszcze w tym tygodniu zabiorę go na ślizgawkę.

Nim jednak minęła godzina, okazało się, że Josh nie popuści. Rye w końcu poszedł z nim do bednarni po własne łyżwy, potem zaś mieli udać się nad jeden z licznych na wyspie stawów i tam wykorzystać resztkę dziennego światła. Laura i Dan zostali sami.

W domu panowała cisza. Laura krzątała się bez ustanku, składając pościel, igłę i nici, dorzucając do ognia. Po raz pierwszy od tygodni znaleźli się we dwoje. Dan dostał ataku kaszlu i Laura jak zwykle podała mu kojący napar. Dan uniósł się na poduszkach i złapał ją za rękę.

- Usiądź - rzekł.

Przysiadła na brzegu łóżka. Przez chwilę trzymał jej dłoń, pocierając ją w roztargnieniu kciukiem, potem puścił i obiema rękami ujął kubek.

- Rye mówił mi, że po pierwszych roztopach wyjeżdżacie razem do Michigan.

Laura od dawna przygotowywała się do tej chwili. Była przekonana, że wyrzuty sumienia nie pozwolą jej spojrzeć Danowi w oczy. Dziwne, lecz teraz odczuła niezwykle spokoj.

- Tak. Żałuję, że tak wyszło, ale... chyba już czas, żebyśmy byli ze sobą szczerzy. Być może powinnam była ci o tym powiedzieć dwa tygodnie temu, kiedy podjęliśmy tę decyzję. Czekałam, aż nabierzesz sił.

- Mam oczy, Lauro. Przecież widzę, że bez przerwy szyjesz rzeczy na drogę.

Spuściła wzrok.

- Podobno o tej porze roku w Michigan jest strasznie zimno, a... a osady są bardzo od

siebie oddalone.

- Tak mówią - ochrypli od ciągłego kaszlu głos Dana był ledwie słyszalny.

Spojrzała mu w oczy.

- Josh też jedzie z nami.

- Wiem.

W pokoju zaległa cisza. Na zewnątrz zaczął padać miękki śnieg, lecz tu panowało przyjemne ciepło; w piecu płonął złotoróżowy ogień. Dan był blady; stawienie czoła prawdzie wymagało od niego nie tylko sił fizycznych.

- Domyślam się, dlaczego wysłałeś go z Ryem. Żeby mogli się do siebie zbliżyć - Laura dotknęła jego dłoni, spoczywającej na kołdrze. - Dziękuję ci.

Przez moment na twarzy Dana malowała się męka, lecz szybko się opanował.

- Wiem o wszystkim - powiedział. - Wiem, że Rye mnie tu przyniósł, uratował mi palce i omal nie pobił się o mnie z McCollem. Wiem, że oboje pielęgowaliście mnie dzień i noc, żebym nie umarł na zapalenie płuc. - Jego głos przeszedł w szept. - Dlaczego to zrobiliście?

W oczach Laury błysnął odblask ognia z kominka. Ich spojrzenie mówiło więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

- Nie wiesz? Nie chciała go ranić, mówiąc o miłości. Spostrzegła jednak, że jego ściągnięta twarz łagodnieje.

- Tak... - szepnął. - Chyba wiem. Nie musieli sobie nic wyjaśniać, rozumieli się i tak. Dan uścisnął jej dłoń z zadziwiającą u chorego siłą.

- Dziękuję ci - rzekł cicho.

- Nie dziękuj. Proszę cię tylko... proszę, żebyś nie narażał już życia w ten sposób. - Spojrzała na niego błagalnie. - Nie pij.

- Przyrzekłem już Rye'owi, że nie będę. Laura westchnęła z ulgą. Potem delikatnie wycofała dłoń.

- Dan, jest jeszcze parę spraw, innych spraw, o których musimy porozmawiać, chociaż to będzie trudne.

- Domyślam się, o co chodzi. Nie jestem głupcem. Nie muszę już sypiać w parówce. Wiem, dlaczego ty i Josh śpicie razem - skinął głową w stronę bokówki.

Laura poczuła, że oblewa ją rumieniec. Zaczęła nerwowo składać w fałdy spódnicę na kolanach, niezdolna spojrzeć w oczy Danowi, który ciągnął:

- Już dawno temu znalazłem tę brykę.

- Niemożliwe! - Zerknęła na niego spłoszona, rumieniąc się jeszcze mocniej.

- Cóż...

- Och, Dan, tak mi przykro! Przerwał jej ruchem ręki.

- Nie sądzisz, że możemy już przestać się uzalać? Tobie było przykro przez wzgląd na mnie, Rye'owi przez wzgląd na ciebie, ja roztkliwiałem się nad samym sobą i Bóg świadkiem, że to było najgłupsze. Kiedy Rye wrócił z rejsu, nie miałem odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Potem, gdy znalazłem brykę, chyba uświadomiłem sobie, że to nieuniknione.

- To?...

- Że on mi cię zabierze. Prawda, ubrana w słowa, była dla niej bolesna. Dan wyglądał tak mizernie, że przez chwilę znów górę wziął w Laurze instynkt opiekuńczy.

On także patrzył na jej zmęczoną twarz.

- Musiało ci być ciężko między młotem a kowadłem. Nie chciałem tego dostrzec; myślałem tylko o sobie.

- Dan, chcę, żebyś wiedział, że ja... bardzo się starałam unikać Rye'a. Byłeś dla mnie taki dobry i zasługiwałeś...

Znów uciszył ją gestem.

- Wiem. Rye mi powiedział. Wyłożył kawę na ławę tego samego dnia, gdy się ocknąłem. Od tamtej chwili wiele o tym myślałem i zrozumiałem, że nie możesz zabić swoich uczuć, tak, jak ja nie mogę zabić swoich. Walka z nimi zajęła mi wiele czasu. Ale kiedy zobaczyłem tę brykę - dowód waszej miłości... Poszedłem prosto do Ezry Merrill i złożyłem wniosek o rozwód.

Laura przygryzła wargę, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

- Byłeś... byłeś u Ezry? Dan skinął głową.

- Już we wrześniu. Byłem wściekły... na ciebie i na Rye'a. Och, do licha, tylko złość mogła mnie zmusić do rozmowy z Ezrą. Ale kiedy już to zrobiłem, okazało się, że... że to ponad moje siły i odtąd... zacząłem przesiadywać pod Niebieską Kotwicą. Potem rozniosły się plotki o Rye'u i DeLaine Hussey, więc znów nabrałem nadziei i poszedłem do Ezry wycofać sprawę.

Serce Laury biło mocno. Przypomniała sobie, jak Dan ją zniewolił, wyładowując na niej swoją złość. Tak, musiał wpaść we wściekłość, żeby zacząć działać.

- Ezra, oczywiście, zna naszą historię - ciągnął Dan - i jest na tyle przenikliwy, że doskonale ocenił sytuację. Powiedział, że złożył już odpowiednie papiery i wyjaśnił wszystko sędziemu Bunkerowi, ale radzi mi wstrzymać się od pochopnych działań i poczekać, aż... no, aż się coś wyjaśni. Powiedział, że dla jakichkolwiek rozstrzygnięć niezbędna jest rozprawa, w której oboje musimy wziąć udział, więc...

Przerwał mu atak gwałtownego kaszlu, który zgiął go wpół. Kiedy opadł na poduszki, był całkiem wyczerpany. Dziesiątki pytań cisnęły się Laurze na usta, ale w końcu Dan pierwszy przerwał milczenie:

- Papiery wciąż są w ratuszu, Lauro. Laura na pół świadomie policzyła miesiące do wiosny.

- Nawet moja matka twierdzi - Dan mówił z coraz większym trudem - że zatrzymywałem cię wbrew twojej woli.

Nie umiała go pocieszyć. Doskonale pamiętała słowa Hildy.

- I wiesz, co jeszcze powiedziała? Laura spojrzała na niego bez słowa.

- Powiedziała, że skoro ty i Rye zwróciliście mi życie, ja powinienem zwrócić ci wolność.

Zapadła bolesna cisza. W dali zabrzmiał wieczorny dzwon. W oświetlonej izbie słychać było tylko ciche słowa Dana:

- Boże Narodzenie to pora, w której ludzie obdarowują się nawzajem. Pomyślałem, że byłby to odpowiedni moment, aby dać ci to... to, czego najbardziej pragniesz, Lauro - twoją wolność.

Wzruszenie ścisnęło ją w gardle. Przełknęła ślinę, lecz emocji nie dało się tak łatwo zdusić. Bardzo pragnęła odzyskać wolność, ale nigdy nie przypuszczała, że otrzymując ją dozna takiej rozterki.

Widząc, co się z nią dzieje, Dan rzekł pospiesznie:

- Jak już powiedziałem, papiery są w sądzie, a w tych okolicznościach Bunker nie będzie nam robił żadnych trudności. On też zna nas od urodzenia. - Dan odchrząknął i podjął z udawaną obojętnością: - Poza tym, moja matka powiada, że brak jej w domu mężczyzny, koło którego mogłaby skakać, więc gdy tylko wydobrzeję, przeniosę się do niej. Zostanę tam do otrzymania rozvodu.

Laurze odjęło mowę. Cóż zresztą mogłaby powiedzieć? Dziękuję? Ten szlachetny gest kosztował go dostatecznie dużo, by obrażać go jeszcze wyrazami wdzięczności. Cierpiała teraz równie mocno, jak on. Łzy, które daremnie starała się powstrzymać, spłynęły jej po policzkach. Ukryła twarz w dłoniach, a ramionami targnął szloch. Nie spodziewała się, że tak zareaguje, a jednak była to reakcja ze wszech miar właściwa. Kres pięciu lat małżeństwa - harmonijnego i pełnego oddania - zasługiwał na te kilka łez.

Dan delikatnie pociągnął ją ku sobie. Padła w jego ramiona, szukając w nich pociechy. Leżeli w milczeniu, w myślach snując requiem nie tylko dla przeżytych razem pięciu lat, ale i dla ubiegłych dwóch dziesięcioleci.

Po powrocie Rye wyczuł napiętą atmosferę. Zauważył od razu, że Laura płakała, i przez chwilę strach ścisnął go za gardło. Josh podbiegł prosto do Dana, z podnieceniem relacjonując pierwszą lekcję jazdy na łyżwach. Rye starał się pochwycić wzrok Laury, lecz rozmyślnie go unikała. W końcu, zmieszany, skierował się do wyjścia.

Głos Dana zawrócił go od drzwi:

- Rye, chciałbym cię poprosić o przysługę.

- Oczywiście. Co tylko zechcesz.

- Głupio mi prosić po tym, co dla mnie zrobiłeś, ale Laura co roku kilka dni przed świętami jeździ do Jane. Składa życzenia, a przy okazji podrzuca jej świece z woskownicy i takie tam drobiazgi. Ja... - Dan bezradnie uniósł ręce - oczywiście w tym roku nie będę mógł jej zawieźć, no i zastanawiałem się, czy mógłbyś mnie wyręczyć?

Rye zerknął na Laurę. Patrzyła na Dana z taką miną, jak gdyby znów miała się rozpłakać.

- Naturalnie - odparł. - Wynajmę sanie i jestem do dyspozycji. Kiedy?

Laura pomyślała, że jeśli ten dzień szybko się nie skończy, jej serce z pewnością pęknie. Gwałtowne fale uczuć zalewały je raz za razem, a ta zdawała się być ostatnim ciosem, który mógł je zgruchotać. Miała ochotę krzyknąć: „Dan, to ty straciłeś wszystko, więc przestań być tak cholernie szlachetny!”.

- Obojętne... - powiedziała cicho. - Kiedy będziesz miał czas.

- Jutro po południu?

- Będziemy gotowi.

Nazajutrz o wyznaczonej porze Rye przyjechał po nich smukłymi czarnymi saniami, zaprzężonymi w srokatą klacz. Zaopatrzeni w rozgrzane cegły pod nogami i focze skóry na kolanach wyruszyli przez pokryte śniegiem wrzosowiska. Oddech konia unosił się chmurą tej samej barwy co ziemia i niebo. Płozy sań ślizgały się skrzypiąc po suchym śniegu, zostawiając podwójny ślad, środkiem którego biegły odciski końskich kopyt.

W saniach było miejsce tylko dla dwóch osób, Josh zatem siedział na kolanach matki. Paplał za całą trójkę, a gdy zapytał, czy może powozić, Rye ze śmiechem posadził go między swoimi nogami i włożył lejce w małe rączki. Koń wyczuł różnicę, odwrócił łeb, lecz po chwili uspokoił się i dalej biegł równym klusem pod baczynym okiem Rye'a.

Odchylone udo Rye'a opierało się teraz mocno o nogę Laury. Dotyk podniecał ich oboje, lecz wciąż nie patrzyli na siebie.

Kiedy dojechali na miejsce, Josh natychmiast wyskoczył z sań. Rye uczynił ruch, jak gdyby również chciał wstać, Laura jednak położyła mu dłoń na ramieniu.

- Josh, biegnij i powiedz cioci Jane, że jesteśmy. Rye i ja musimy chwilę porozmawiać.

Kiedy zostali sami, wreszcie spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Witaj - szepnął Rye. Czy kiedykolwiek znudzi mi się wpatrywanie w niego? - myślała Laura. - Nigdy... nigdy...

- Witaj - odpowiedziała cicho.

- Byłaś wczoraj smutna.

- Tak.

- Dlaczego? Był przy niej, ciepły, opiekuńczy, kojący.

- Powiedziałam Danowi, że jadę z tobą, a on oznajmił, że ma dla mnie prezent świąteczny - zawiesiła głos, pewna, iż Rye już zgadł, o co chodzi. - Zwraca nam wolność: mnie i Joshowi.

Obłoczek pary na długą chwilę zniknął sprzed ust Rye'a. Potem ukazał się wraz z przeciągłym westchnieniem, większy niż poprzednio.

- Kiedy?

- Gdy tylko wyzdrowieje na tyle, by mógł chodzić, przeniesie się do matki. Co do kwestii prawnych, rozmawiał z Ezrą Merrillem już we wrześniu i wtedy też wniósł o rozwód. Znalazł brykę.

Rye powoli odwrócił głowę. Patrzył przed siebie, lecz nie miał triumfalnej miny. Nawet nie zauważył, że wciąż trzyma lejce, zamotane na przegubach dłoni.

- Wysłał nas tutaj, byśmy mogli razem oznajmić to Joshowi - dodała Laura.

Rye milczał. Po chwili westchnął i opuścił głowę. Koń rzucił łbem, uprząż brzęknęła i to wyrwało go z zadumy.

- Dlaczego wcale nie mam ochoty skakać z radości? - spytał. Uścisnęła tylko jego ramię, bo oboje znali odpowiedź. Wizyta u Jane minęła jak we mgle; wszystkie myśli Laury skupiały się wokół drogi powrotnej. Kiedy ponownie zasiedli w saniach, zebrała całą odwagę. Nastawienie Josha miało dla niej kluczowe znaczenie i patrząc na główkę w grubej włóczkowej czapeczce z pomponem, który kołysał się w rytm końskiego galopu, przymknęła oczy, mając w duchu nadzieję, że malec to zaakceptuje.

- Joshua, Rye i ja mamy ci coś do powiedzenia. Josh odwrócił się, prezentując policzki rumiane jak dojrzałe jabłka i zaczerwieniony nosek. Pod futrem Laura czuła dotknięcie Rye'a, które podtrzymywało ją na duchu.

- Rye i ja - podjęła - bardzo się kochamy i nigdy nie chcieliśmy... - urwała.

Rye przyszedł jej z pomocą.

- Na wiosnę zamierzam się ożenić z twoją mamą. Później wszyscy troje wyjedziemy na Terytorium Michigan.

Mina Josha świadczyła, że niewiele z tego rozumie. W końcu dotarł do niego sens tej informacji, lecz nie wydawał się nią uradowany.

- Czy tatuś też pojedzie z nami?

- Nie, Dan zostaje.

- To ja nie jadę - oświadczył stanowczo Josh. Laura zerknęła na Rye'a, potem znów na syna.

- Wiem, że ciężko ci to pojąć, kochanie, ale Rye jest twoim prawdziwym ojcem, a niedługo zostanie również moim mężem. Dziecko musi mieszkać z rodzicami.

- Nie chcę, żeby on był moim tatą! - Nadęta dolna warga Josha zadrżała. - Chcę mieć dalej tego samego tatę i mieszkać tutaj.

Rozpacz legła kamieniem na sercu Laury.

- Czy nie chciałbyś przeżyć przygody w Michigan, gdzie jeszcze nigdy nie byłeś?

- Czy to daleko?

Laura bała się wyznać prawdę, lecz zdawała sobie sprawę, że kłamstwo co najwyżej pogрузy ją jeszcze głębiej.

- Tak, daleko - odpowiedziała.

- Trzeba płynąć promem?

Nie tylko promem - pomyślała, lecz odrzekła jedynie:

- Tak.

- To jak będę się spotykał z Jimmym?

- No... nie będziesz się z nim spotykał, ale poznasz nowych przyjaciół tam, gdzie zamieszkamy.

- Nie chcę nowych przyjaciół. Chcę zostać tutaj z Jimmym, tatą i tobą! - Bojowy wyraz znikł z buzi Josha, a łzy, które bohatercko starał się powstrzymać, zawisły mu na rzęsach.

Laura przytuliła malca do siebie, nie wiedząc, jak go przekonać.

- Josiah się zdecydował? - zwróciła się do Rye'a.

- Tak. Powiada, że jego stare kości mają już dosyć mgły i wilgoci. Chociaż podejrzewam, że przede wszystkim ciągnie go żądza przygód.

Miło było pomyśleć, że będzie z nimi Josiah, lecz i to nie rozwiązywało kwestii Josha.

- Chcesz jeszcze powozić? - spytał przymilnie Rye.

Ale chłopiec tylko potrząsnął głową i wtulił się w objęcia matki. Całe pieczołowicie

budowane zaufanie między ojcem a synem rozwiało się w mgnieniu oka. Boże - myślała Laura - czy cokolwiek jeszcze okaże się łatwe? Czy zawsze coś będzie musiało dzielić ją i Rye a.

ROZDZIAŁ 21

Pewnego mroźnego popołudnia w końcu stycznia pod dom przy Crooked Record Lane zajechał wóz zaprzężony w starą kobyłę. Załadowano na niego odzież oraz sprzęty, będące własnością Dana Morgana. Laurze byłoby łatwiej, gdyby wcześniej zaplanowała sobie wyjście z domu, ale uznała to za tchórzostwo. Stała więc przed domem, gdy pakowano resztę rzeczy. Dan obszedł wóz dookoła, stanął przed nią i poprawił rękawice. Spojrzał na dom, na pokrytą lodem zatokę i znów niepotrzebnie skubnął rękawiczkę.

- Cóż... - słowa zawisły w powietrzu niczym echo dzwonu w zimowym lesie.

- Ano... - Laura nerwowo rozpostarła ręce, po czym splotła je na powrót.

- Nie jestem pewien, co się mówi przy takich okazjach.

- Ja też nie - przyznała.

- Pozwól, że jeszcze raz ci podziękuję za uratowanie mi życia - w głosie Dana brzmiała rezygnacja.

- Och, Dan... - Laura nagle zdała sobie sprawę, że stoją jak drewniane żołnierzyki, więc wyciągnęła dłoń i położyła mu ją na ramieniu. - Podziękowania są zbędne, przecież wiesz.

Kiwnął głową i odezwał się ze sztucznym ożywieniem:

- Naprawiłem ten obluzowany zawias w tylnych drzwiach i podłożyłem klocek pod nogę zlewu, więc nie będzie się już kiwać.

- Dziękuję.

- I pamiętaj, gdybyś czegokolwiek potrzebowała, to... - urwał. Wiedział równie dobrze jak ona, że jeśli będzie czegoś potrzebować, Rye się o to zatroszczy.

- Będę pamiętać.

- Przepraszam ode mnie Josha. Kiedy wróci od Jane, wstąpię, żeby się z nim pożegnać.

- Powtórzę mu.

- Dobrze... - Dan milczał przez kilka długich sekund, po czym powtórzył ledwie dosłyszalnie: - Dobrze...

W tej samej chwili złapał go atak kaszlu, pozostałość po chorobie.

- Nie powinieneś wystawać na mrozie ani chwili dłużej niż to konieczne, Dan. Lepiej już jedź.

- Masz rację. - Spojrzał na nią i przez chwilę myślała, że chce ją pocałować. Ostatecznie skinął tylko oficjalnie głową, wdrapał się na wóz i rzekł po prostu: - Żegnaj, Lauro.

- Dbaj o siebie, Dan.

Wóz ruszył. Laura patrzyła za nim, póki przenikliwy deszcz nie uświadomił jej, że wyszła na dwór bez rękawiczek i kapelusza. Otuliła się płaszczem i zawróciła, wbijając wzrok w skrzące się lodem muszle na ścieżce. Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, westchnęła i oparła się o nie, zamykając oczy, przygnębiona uczuciem, którego nie dało się nazwać. Panująca w domu cisza przytłoczyła ją do reszty; otworzyła oczy i rozejrzała się po izbie. Brakowało surduta Dana, kapelusza na wieszaku, jego brzytwy...

Zaraz potem doznała jednak ulgi. Była sama. Kiedy ostatni raz była sama? Jakież to cudowne, ożywcze: mieć czas dla siebie. Nie musiała gotować, odpowiadać na pytania, robić okładów, zawiązywać butów, całować siniaków. Nie musiała patrzeć w oczy ani ich unikać.

Była wdzięczna losowi, że Josha też nie było - że nie było nikogo! Niezliczoną ilość razy zastanawiała się, jak będzie się czuła w takiej chwili. Jako młoda dziewczyna miała wiele swobody, z której korzystała praktycznie bez ograniczeń, ale dopiero teraz uświadomiła sobie jak dalece jej życie zmieniło się po ślubie. Zawsze ktoś był przy niej i albo on na niej polegał, albo ona musiała polegać na nim. Teraz, choćby przez krótki czas, była sama sobie panią.

Poczuła się jak nowo narodzona.

W porywie ekstrawagancji dołożyła do pieca trzy polana naraz, naląła sobie dużą porcję jabłecznika i postawiła go na kominie, żeby się zagrzał. Zamknąwszy drzwi do bokówki, przez co w pokoju zrobiło się przytulniej, przywlokła przed kominek wyścielany fotel, na który położyła jeszcze puchową poduszkę. Potem zdmuchnęła świecę z olbrotu i zapaliła nową, z woskownicy, zrzuciła fartuch i rozejrzała się za czymś do czytania. Po chwili zasiadła przy ogniu z „Magazynem Domowym” sprzed trzech miesięcy, którego dotąd nie miała nawet czasu otworzyć.

Gdy w dwie godziny później rozległo się pukanie do drzwi, Laura drzemała słodko w swym puchowym gniazdku. Bardzo niechętnie opuściła fotel i w samych pończochach podeszła do drzwi.

Na schodkach stał Rye, ubrany jak zwykle w sukienną kurtkę i włóczkową czapkę.

- Jak się masz. Przyszedłem odrobić pańszczyznę.

- O! - zdumiała się.

- No jak, wpuścisz mnie? Na dworze jest zimno.

- Oczywiście! - cofnęła się od drzwi i zamknęła je za Ryem, który skierował się po wiadro na wodę. W połowie drogi przystanął, mierząc wzrokiem fotel, poduszkę i pismo, zrzucone buty Laury, stół przesunięty tak, by świeca i garnuszek były w zasięgu ręki.

Bez słowa ujął wiadro i wyszedł przez tylne drzwi. Kiedy wrócił, wstawił wiadro do zlewu, zerknął na alkówkę, potem na zamknięte drzwi do sypialni, i zapytał:

- Gdzie Dan?

- Poszedł.

- Poszedł? - spojrzał ostro na Laure. Zdawała się nerwowa, stała po przeciwległej stronie stołu, jakby celowo chciała się od niego odgrodzić.

- Do matki - wyjaśniła.

- Z wizytą?

- Nie, na stałe. Rye bezczelnie podszedł do drzwi sypialni i otworzył je na oścież.

Po chwili odwrócił się do niej.

- Wyprowadził się? Laura skinęła głową.

- A Josh?

- Jest u Jane. Rye bez słowa zamknął drzwi sypialni i wyszedł z domu. Po dwóch minutach wrócił z wielkim naręczem drewna, wrzucił je do skrzynki przy piecu i wyszedł ponownie. Za trzecim okrążeniem skrzynka była pełna. Rye otrzepał rękawy z okruchów kory.

- Trzeba odgarnąć śnieg z tylnej ścieżki - rzucił szorstko. - To zajmie tylko chwilę.

Kiedy wyszedł, Laura dołała jabłecznika do dzbanka na piecu, podrzuciła do ognia i włożyła do garnka pęto pikantnej czosnkowej kiełbasy.

Od tylnych drzwi doleciał głos Rye'a:

- Coś jeszcze trzeba zrobić?

- Nie, to już wszystko.

Zawahał się, widząc, jak Laura sięga na gzyms nad kominem, wciąż obrócona do niego plecami.

- Gotuję kiełbasę, gdybyś miał ochotę.

- Czy to zaproszenie?

- Tak - odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Na kolację.

Implikacje były jasne. Przez moment oboje stali bez ruchu. Potem Rye nonszalancko podszedł do ognia, rozpiął kurtkę i rzucił ją na stół.

- Widzę, że ktoś tu leniwie spędził popołudnie - zauważył, podnosząc czasopismo z poduszki.

- Przyznaję się bez bicia. Było cudownie.

Rye obejrzał kolejno świecę, garnuszek i porzucony fartuch.

- Widzę - kącik jego ust wygiął się w uśmiechu. - Mogę też spróbować?

- Oczywiście. Tylko się nie przyzwyczajaj.

Rye podniósł poduszkę, usiadł na jej miejscu i strzepnął ją kilkakrotnie, trzymając na kolanach.

Laura nalała do garnuszka gorący jabłecznik.

- Pomyślałam, że będziesz miał ochotę napić się czegoś ciepłego - podała mu kubek.

Rye jedną ręką chwycił uszko, drugą jej przegub. Garnuszek postawił na stole, Laure zaś pociągnął sobie na kolana. Klapnęła miękko na puchową poduszkę.

- Powiem ci, na co mam ochotę. Nie jest to jabłecznik. - Nie zdjęwszy nawet czapki, objął ją w pasie.

- A na co? - spytała głosem cichszym od szmeru ognia. Jego wargi rozchyliły się. Spojrzał na jej usta. Z wolna przesunął dłonie wzdłuż jej ramion na plecy i przygarnął ją do piersi. Zanim jeszcze wargi Rye'a dotknęły jej ust, wyczuła przez grubą sweter gwałtowne bicie jego serca. Z początku nie był to nawet pocałunek, raczej powitanie po długim rozstaniu - leciutkie, leciuteńkie. Czubek jego nosa otarł się o jej policzek. Był chłodny podobnie jak wargi, które przesunęły się delikatnie wzdłuż jej ust, choć jego oddech ogrzewał twarz Laury. Dotykali się tylko wargami, jak gdyby stopniowo poznawali się od nowa. Potem czubki ich języków spotkały się i minęły, pocałunek stawał się coraz gorętszy. Laura przekręciła się nieco i wsunęła mu rękę za golf, na szyję. Rye uniósł jej nogi i przełożył je przez poręcz fotela. Jego język otarł się o wewnętrzną powierzchnię jej policzka.

Spoczywając w jego ramionach niczym w kolebce, poczuła, jak podtrzymująca jej kolana dłoń rozcapierza się, wędruje wzdłuż uda na pośladek i ściska go, ciepła i stanowcza. Po omacku zdjęła czapkę z głowy Rye'a i wplotła palce w jego włosy.

Po chwili, gdy oboje byli już podnieceni, Rye uniósł głowę, spojrzał jej w oczy i wyszeptał ochryple:

- Nie mogę uwierzyć, że wreszcie jesteśmy sami. Rozgarnęła ciepłe, pachnące cedrem włosy.

- Pięć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni - powiedziała.

- Tylko tyle?

- Rye, zanim przyszedłeś, ja...

- Później porozmawiamy - zamknął jej usta pocałunkiem i przesunął ją tak, że mógł pieścić jej piersi. Laura wstrzymała oddech, gdy jego ciepła dłoń powędrowała w górę, ocierając się w przelocie o jej biodro, a potem odnalazła sterczący sutek i potarła go, aż nabrzmiął z pożądania.

- Chodźmy do łóżka, kochana - mruknął Rye, nie odrywając ust od jej ust.

Potrząsnęła głową o tyle, o ile mogła to zrobić, uwięziona w uścisku.

- Próbowałam ci powiedzieć... - jego usta zdusiły dalszy ciąg i wzięły ją w posiadanie mokrym, śliskim językiem.

- Jeśli nie powiesz „tak” - mruknął po chwili, unosząc głowę - przysięgam, że zrobimy to tu, na tym fotelu. - Rye zasypał całusami jej nos.

- Brzmi intrygująco - przyznała i poczuła, że Rye uśmiecha się z twarzą wtuloną w jej szyję. - Ale nie zrobimy tego nigdzie, dopóki nie zostanę twoją żoną.

- Jesteś moją żoną - stwierdził nie zbity z tropu, przesuwał się tak, by dotrzeć ustami drugiej piersi.

- Nie jestem.

- Mmm... Pachniesz tak, że chętnie bym cię zjadł. Czy wiesz, że odkąd pamiętam, zawsze pachniałaś jagodami woskownicy? - rzekł, ignorując jej sprzeciw. Złapał zębami jej sutek i potarł go żartobliwie, aż pomiędzy warg Laury wydarł się gardłowy jęk.

- Rye, nie będę się dziś z tobą kochać - powtórzyła w chwilę później.

Głowę miała odchyłoną do tyłu, protest więc zabrzmiał słabo. Podciągnęła się w górę i usiadła prosto, odkrywając w sobie nie znane dotąd źródło oporu.

- Kogo próbujesz zwieść? - spytał, pieszcząc stwardniały sutek wierzchem dłoni. Nawet przez sukienkę widać było, jak sterczy. Nie mogła zaprzeczyć, że jest podniecona.

- Jestem tylko człowiekiem, podobnie jak ty, Rye. Nie mogłam się oprzeć twoim pocałunkom, kiedy miałam lat szesnaście, i nadal nie mogę. Ale mam zamiar postąpić honorowo.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Skoro chcesz być honorowa, to co robi między nami ta poduszka? - Podniósł ją, jakby była szmacianą lalką, wyrwał jej poduszkę spod siedzenia i rzucił na podłogę. Potem bezceremonialnie złapał jej nogę i przełożył ją sobie przez brzuch. W ten sposób Laura siedziała na nim okrakiem, a jej kobiecość znalazła się tuż nad jego nabrzmiałym członkiem.

- O czym to mówiliśmy? - spytał chłodno. - Ach, tak, o honorze i o tym, że nie będziesz się ze mną kochać, dopóki nie otrzymasz rozwodu z Danem, czy tak? - mówiąc to, Rye szarpnął spódnicę i halkę, po trosze wyciągając je spod pośladków Laury. Po chwili dzieliły ją od Rye'a tylko jego spodnie i jej pantalon.

- Wystarczy - powiedziała najzupełniej poważnie. Ale Rye przesunął biodra, układając je wygodniej w fotelu, tak że jego twardość i jej miękkość pasowały teraz do siebie jak dwa fragmenty układanki.

- Mmm... - Złapał ją za kostki i przyciągnął je do swoich bioder, głaszcząc jej nogi

przez szorstkie wełniane pończochy. - I masz zamiar trzymać mnie o suchym pysku aż do marca?

- Właśnie - odparła najspokojniejszym tonem, na jaki się mogła zdobyć.

W oczach Rye'a zamigotał złośliwy ogień.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, że wypróbuję pani silną wolę, szanowna pani Morgan?

- Próbuje - odparła. - I tak nici z tego, dopóki nie będziemy małżeństwem. - Splotła palce na jego karku, siedząc w tej wyuzdanej pozycji z beztroską, jakiej Rye nie wyobrażał sobie u żadnej innej kobiety.

- Wiesz, że nigdy nie zmusiłbym cię do czegoś wbrew twojej woli. - Ciepłe dłonie Rye'a wpełzły pod jej kolana i powędrowały w dół, ściągając po drodze pończochy. Rye dwoma palcami ucisnął jej piętę.

- Wiem. - Wzdłuż nóg Laury biegły rozkoszne dreszcze. Rye jak zwykle był wspaniałym kochankiem, pomysłowym i nieodgadzionym. Potrafił za każdym razem poruszyć jej zmysły czymś nowym, tak jak w tej chwili. - Och, Rye, też chciałabym więcej... ale nie mogę. Nie zrobię tego, dopóki Dan ostatecznie nie przestanie nas dzielić.

Rye przekrzywił głowę i odchylił ją na oparcie fotela.

- Powiedz mi w takim razie, po co mnie zaprosiłaś. Jego dłonie ujęły biodra Laury pod halką i pchnęły je nieco w tył, aż poczuła, że jego twardy członek styka się z najczulszym punktem jej kobiecości.

Przymknęła oczy, oddychając głośno, poddając mu się tak, jak się spodziewał.

- Kielbasa! - powiedziała nagle.

- Ależ częstuj się. Nie czujesz, że się gotuje?

- Rye, jesteś obrzydliwy - uśmiechnęła się.

- Przecież lubisz takich. Chodź tu. - Z całkowitym brakiem poszanowania dla jej odzieży pociągnął ją do siebie, wsuwając jej język do ust. Jego ciało uniosło się zapraszająco, ona w odpowiedzi przycisnęła się do niego. Ręce Rye'a krążyły po jej plecach, pieszcząc je przez szorstkie płótno, potem zsunęły się na krągłe pośladki, a Laura nachyliła się nad nim, całując go z zapamiętaniem, od którego puls huczał jej w skroniach.

Kiedy pożądanie stało się torturą, oderwali się od siebie i odezwali równocześnie:

- Lauro, chodź do łóżka...

- Rye, musimy przestać... - odepchnęła go lekko. Ich oczy były tak blisko, że niemal ocierały się rzęsami.

- Mówisz poważnie? - spytał. - Naprawdę odsuwasz mnie od łóżka do czasu, gdy znów

będziesz legalną panią Dalton?

- Przecież od początku próbuję ci to powiedzieć.

- Dlaczego?

- Częściowo z powodu tego, co stało się ostatnim razem, kiedy się kochaliśmy, częściowo zaś...

- Masz na myśli śmierć Zacha? Skinęła głową. Twarz Rye'a pociemniała z gniewu.

- Lauro, to śmieszne!

- Może dla ciebie, ale...

- Przestań dzielić włos na czworo! - przerwał jej. - Co za różnica, skoro i tak mamy na to ochotę! Szukasz usprawiedliwienia i tyle.

Zażenowana, ponieważ trafił w dziesiątkę, natychmiast zeskoczyła mu z kolan i obciągnęła spódnicę, rumieniąc się po korzonki włosów.

- Śmiesz mnie oskarżać, kiedy staram się być uczciwa?

- Uczciwa! Ha! - gniewnie wyprostował się w fotelu.

- Tak, uczciwa! Przyrzekliśmy nie robić tego przez wzgląd na Dana!

- Dopóki był w tym domu!

- Nie, dopóki wciąż prawnie jest moim mężem. Jak to wygodnie teraz o tym zapomnieć!

- Doprowadziłaś mnie do stanu... ślepej kiszki, która lada moment pęknie. Wszystko mnie boli, do diabła!

Frustracja Laury, narastająca w ciągu ubiegłych dziewięciu miesięcy, eksplodowała. Laura nie zdawała sobie sprawy, iż napięcie, w jakim żyli, zarówno emocjonalne, jak i seksualne, w naturalny sposób szuka sobie ujścia. Jej złość znalazła ujście w krzyku:

- Och, ty... ty napalony... - szukała odpowiednio miażdżące słowa - capie! - Trzęsącym się palcem wskazała drzwi. - Dana nie ma ledwie przez pół dnia, a pan Dalton już puka do drzwi, gotów zająć jego miejsce! Nigdy nie wpadło ci do łba, że może chciałabym trochę pobyć sama, nie oglądać ani tego chłopa, który naciska mnie, żebym z nim została, ani drugiego, który zmusza mnie do odejścia. Wyrywacie mnie sobie jak jakąś nagrodę z jarmarcznej strzelnicy. Zresztą kto cię prosił, żebyś tu przychodził? Siedziałam sobie rada jak cieleń na łące, ale ty oczywiście musiałeś tu wtargnąć i... i... uff! - Awantura sprawiła jej taką przyjemność, że posunęła się jeszcze o krok dalej i chwyciła go za przód swetra. - Zjeżdżaj z mojego krzesła! Było mi w nim dobrze, dopóki byłam sama, więc zabieraj manatki i wynoś się stąd!

Rye zerwał się na nogi. Stali niemal nos w nos.

- Napalony cap?

- Stary i śmierdzący!

- Jakoś dotąd ci to nie przeszkadzało! A przyszedłem ci pomóc w domowej orce, ty niewdzięczna, zdradliwa wiedźmo!

Podparta pod boki, Laura rzeczywiście wyglądała jak wiedźma.

- Zdradliwa? I kto to mówi? Cap, który zadawał się z tą wydrą Hussey w czasie, gdy ja byłam nieosiągalna!

- Nie zadawałem się z DeLaine Hussey - Rye wykrzywił się szyderczo.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę? Mężczyzna z takim pociągiem do bab? - Laura podniosła poduszkę i wyrznęła w nią pięścią.

- Teraz żałuję! Była całkiem chętna! Laura gapiła się na niego z otwartymi ustami.

- A więc rzeczywiście zadałeś się z nią! Niech cię diabli porwą, Rye'u Daltonie! - rzuciła w niego poduszką.

Rye uchylił się, ale zbyt późno. Złapał poduszkę i przeszedł do ataku. Trafił Laurę w bok głowy, zmuszając ją do cofnięcia się o krok.

- Prawie nie dotknąłem tej kobiety i teraz widzę, jaki byłem głupi! Chciałem być honorowy przez wzgląd na ciebie, i co z tego mam? Ostrzysz sobie na mnie ten niewyparzony jęzor! - Pchnął ją poduszką w pierś i pochylił się, żeby podnieść czapkę.

Laura odzyskała równowagę na czas, by dopaść jego kurtki, zanim on to zrobił. Zamiast podać, rzuciła mu ją w twarz.

- Z takim jęzorem zapewne nie przyjmą mnie w Michigan! Rye znieruchomiał.

- Czy to znaczy, że nie chcesz jechać!

- Dobrze by ci zrobiło, gdybym nie pojechała! Włożył kurtkę.

- Rób, co chcesz. Daj mi znać, kiedy się zdecydujesz - rzekł, ruszając do drzwi. - W międzyczasie znajdź sobie kogoś innego, kto będzie ci nosił wodę i rąbał drewno. Mam dość roboty. Nie muszę tracić czasu tutaj, gdzie jestem niemile widziany.

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Laura przez minutę stała jak wryta, zastanawiając się, co się właściwie stało. Potem niczym dziecko wystawiła język w stronę drzwi. W chwilę później upadła na kolana i ukryła twarz w poduszce, wciąż pniąc się z gniewu. Nie rozumiesz, co przesłama, ty głupcze! - syczała. - Nie masz zielonego pojęcia, czego mi potrzeba!

Zawyła przez zęby i huknęła pięścią w poduszkę z oczyszczającą furia, która podziałała na nią jak balsam.

Ale nawet przez chwilę nie miała wątpliwości, że za dziewięć tygodni opuści wyspę

wraz z Ryem.

Rye popędził do domu klnąc na głos i obrzucając Laurę epitetami, których w gruncie rzeczy nie traktował poważnie. Pomstował na wszystkie kobiety, a na nią w szczególności. Słusznie urażony w swej męskiej dumie, paradoksalnie czuł się trochę lepiej. Kopiąc bryły śniegu na drodze wzywał Wszechmogącego na świadka, że Laura Dalton już nigdy nie zazna jego pieszczot, choćby go błagała do końca życia - a w każdym razie dopóki zostanie w nim choć iskra męskiego wigoru. Nim doszedł do bednarni, wiedział już, że nie dotrzyma żadnej z tych obietnic i że po ślubie Laura przekona się, na co go stać!

Jeszcze przed końcem dnia oboje zrozumieli, co spowodowało ten irracjonalny gniew. Seksualna frustracja narastała w nich od dawna, w grę wchodziły także i inne emocje: miłość, pożądanie, poczucie winy, nadzieja, strach, zniecierpliwienie... W ciągu dwóch nadchodzących miesięcy, zanim sytuacja wreszcie się rozwiąże, naturalnym wentylem stawała się złość.

Laura przez tydzień kipiała ze złości. Rye także.

Potem nagle kamień spadł jej z serca. I on poczuł się jak nowo narodzony.

- Do licha, ależ ja kocham to paskudne babsko - sarknął Rye.
- Boże w niebiesiech, co ja widzę w tym wstrętnym capie? - fuczała pod nosem Laura.
- Dam jej dwa tygodnie, żeby uświadomiła sobie, co traci.
- Dam mu dwa tygodnie; na pewno przyzna, że miałam rację.
- Niech sama sobie nosi wodę!
- Wkrótce mu zbrzydnie to, co gotuje jego ojciec!
- Za trzy tygodnie marzec.
- Za trzy tygodnie marzec.
- Ciekawe, co ona robi.
- Ciekawe, co on porabia.
- Kielbasa... - Rye uśmiecha się. - Ech, co za kobieta!
- Gotuj się, gotuj - Laura uśmiecha się - aż para pójdzie ci uszami!
- Jeszcze dwa tygodnie.
- Jeszcze tydzień.
- Zaraza, jak mi jej brakuje!
- Zaczekaj, aż będziemy po ślubie, Rye'u Daltonie. Zapłacisz mi wtedy za wszystko!

Laura czekała, aż sąd zwróci jej wolność. Josh tymczasem był stale zbuntowany i zły, że Dan już z nimi nie mieszka. Laura miała dość patrzenia na jego chmurnie wydęte usteczka i często z trudem powstrzymywała się, by nie zacząć się usprawiedliwiać - zwłaszcza gdy

Josh przyglądał jej się z taką miną, jak gdyby każdym wykonanym szwem, każdym odłożonym do zabrania przedmiotem wyrządzała mu straszliwą krzywdę.

Przygotowała sporo tkanin i odzieży, bo z dala od tkalni Nowej Anglii artykuły te były bardzo cenne. Kupiła kilka wielkich motków włóczki na skarpety i rękawice, a także grube sukno, z którego w przyszłym roku planowała uszyć dłuższe spodnie dla Josha. Nasiona ogrodowe w płóciennych woreczkach wetknęła między odzież, żeby nie przemarzły. Przejrzała też wszystkie sprzęty domowe, decydując, które zabrać, a które zostawić. Drewnianymi nie musiała zaprzętać sobie głowy, ponieważ wiedziała, że Rye bez trudu zrobi nowe w Michigan. Na pograniczu trudno było natomiast zdobyć szkło i metal. Lista rzeczy niezbędnych ciągle się wydłużała: igły, papier, atrament, książki do nauki, moskitiera, mydło - tyle, żeby starczyło na całą podróż - lanolina, przyprawy, zioła, medykamenty, knoty do świec, pościel, miękka bawełna na opatrunki, a także drut, niezastąpiony w drobnych domowych naprawach.

Rye też przygotowywał się do wyjazdu. Wraz z Josiahem zrobił wielki zapas beczek, albowiem po ich wyjeździe wyspa zostawała bez bednarza do czasu, gdy sprowadzi się kogoś nowego z łądu. Dla własnego użytku zmajstrowali specjalnie wodoodporne baryłki na proch strzelniczy - jeden z najważniejszych artykułów w głuszy. Większe miały pomieścić odzież, a mniejsze - narzędzia bednarskie. Rye kupił nową strzelbę Johna H. Halla i formy do wytopu kul. On również sporządził listę niezbędnych rzeczy, choć troskał się raczej o obronę życia, zdobywanie żywności i dach nad głową. Były więc na niej noże, łopaty, metalowe części uprzęży, narzędzia do przycinania końskich kopyt, bo w Michigan nie obędą się bez koni, maści i smary.

Mimo natłoku zajęć zamartwiał się, co się stanie, jeśli sąd nie zdąży udzielić Laurze rozwodu przed wyjazdem, co stawiałoby ich w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wkrótce jednak Laura otrzymała wiadomość, że termin rozprawy został wyznaczony - w równe sześć miesięcy po tym, jak Dan Morgan złożył podanie o rozwód.

Sąd rozjemczy hrabstwa Nantucket we Wspólnocie Massachusetts istniał od tysiąc sześćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. W czasie swej działalności rozwiązał wiele małżeństw, orzekając o śmierci zaginionych na morzu marynarzy. Sędzia James Bunker nie przypominał sobie wszakże, by kiedykolwiek unieważniono tam związek małżeński, ponieważ okazało się, iż zaginiony żeglarz żyje.

Pewnego wietrznego dnia w połowie marca tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku, w sali na drugim piętrze ratusza przy Union Street, sędzia Bunker rozpatrzył przedstawioną mu sprawę, starając się oddzielić osobistą znajomość Rye'a Daltona, Dana

Morgana i Laury Dalton - Morgan od prawnych aspektów tejże sprawy. Purytański światopogląd stawiał sędziego w rzędzie przeciwników rozvodu. W tym przypadku jednakże, znając historię całej trójki i dziwaczny splot okoliczności, jaki zdeterminował ich losy, sędzia Bunker rozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko rozłączyć to, co Bóg złączył.

Gdy młotek sędziego opadł, jego echo zadudniło pod wysokim sufitem. Ezra Merrill schował nieliczne dokumenty do skórzanej aktówki i sięgnął po płaszcz. Dan uściśnął mu dłoń i zamienił z nim parę słów, których Laura nie dosłyszała, po czym adwokat zwrócił się do niej, złożył życzenia wszystkiego najlepszego i wyszedł.

W zapadłej ciszy patrzyli na siebie, uśmiechając się blado.

- Zatem już po wszystkim - rzekł Dan z westchnieniem.

- Tak. Wiesz...

- Nie dziękuj mi, Lauro. Na miłość boską, tylko mi nie dziękuj.

- Nie miałam zamiaru. Chciałam powiedzieć, że wątpię, by sędzia Bunker kiedykolwiek w życiu miał od czynienia z podobną sprawą.

- Najwyraźniej nie. - Znow zapadła cisza. Dan włożył palto, zapiął je powoli i spojrzał na czubki swych butów. - Kiedy wyjeżdżacie?

- Pod koniec miesiąca. Zdziwiony podniósł głowę.

- Tak szybko?

- Tak. Dam ci znać, kiedy - dodała pospiesznie. - Wiem, że chciałbyś spędzić trochę czasu z Joshem.

- Dobrze. Dziękuję. Znowu zapadło niezręczne milczenie.

- Cóż, chyba nie pozostaje nam nic innego, jak rozejść się każde w swoją drogę. - Dan dwornie ujął ją pod ramię, ale puścił je na długo przedtem, nim wyszli na ulicę.

Pożegnali się i Laura zawróciła do domu. Z portu doleciał przenikliwy gwizdek parowca „Telegraf. Po chwili rozległ się ponownie i serce Laury zakrzyknęło nagle: - „Jestem wolna! Jestem wolna! Jestem wolna!”

Obejrzała się na środku ulicy w nadziei, że zobaczy statek. Zasłaniały go domy, lecz wiedziała, że jak w każdy poniedziałek, środę i sobotę zabiera pasażerów z nabrzeża dla parowców. Wkrótce zabierze także ją i Rye'a. Nagle dotarło do niej, że teraz nic nie stoi im już na przeszkodzie. Uśmiechnęła się na wspomnienie niedawnej kłótni. Ech, Lauro, ty głuptasie! Nawet nie zapytałaś go, kiedy wyjeżdżacie!

Odwróciła się i pobiegła w stronę domu, ledwie dotykając stopami ziemi. Rondo jej czepka łopotało w porywistym marcowym wietrze, a tysiąc nie zadanych pytań tańczyło jej w głowie. Zawsze krępowała się omawiać te sprawy, dopóki była jeszcze Laurą Morgan. Ale

teraz mogła pytać go o wszystko. Kiedy pędziła do domu muszelkową ścieżką, jej tętniące serce wypełniało jedno - tylko jedno - najważniejsze pytanie.

Wiadomość przyniesiono do bednarni późnym popołudniem. Rye rzucił Jimmy'emu miedziaka, poznając na liściku pismo Laury. Wszedł po schodach na górę, niecierpliwie przysiadł na brzegu łóżka i złamał pieczęć.

Drogi Rye'u!

Przepraszam. Czy mimo wszystko ożenisz się ze mną?

Laura

Na twarzy Rye'a wykwitł szeroki uśmiech. Już jest wolna! Wydał triumfalny okrzyk i natychmiast posłał przez Chada odpowiedź.

Droga Lauro!

Ja też przepraszam. Oświadczyny przyjmuję.

Może naczepać ci wody ze studni?

Pozdrowienia Rye

Drogi Rye'u!

Trzymaj się ode mnie z daleka, napalony capie.

Wiem, że wcale nie chodzi ci o wodę.

Ucałowania Laura

Droga Lauro!

Może wobec tego narząbać ci drewna? A może wspólnie zagrzejemy kielbasę?

Gorące ucałowania Cap

Drogi Rye'u!

Zaczekaj z tym do ślubu. Kiedy wyjeżdżamy?

Zaczynam się pakować.

Uściski Niewdzięczna wiedźma P.S. Potrzebne mi trzy, może cztery duże beczki. Tylko nie przynoś ich osobiście!

Droga Lauro!

Posyłam ci przez Chada pierwszą z czterech beczek. Odpływamy parowcem do Albany w czwartek, trzydziestego marca. Co powiesz na to, żeby ślubu udzielił nam kapitan?

Kocham cię Rye

Drogi Rye'u!

Tak, tak, tak. Wszystko już gotowe. Zostało mi trochę miejsca w jednej z beczek, więc możesz do niej dołożyć jakieś swoje drobiazgi. Kiedy znów cię zobaczę?

Ja też cię kocham Laura

Na dwa dni przed odjazdem Laura otrzymała ostatnią wiadomość. Tym razem Rye przekazał ją osobiście.

Usłyszała pukanie i poszła otworzyć drzwi. Zobaczywszy Rye'a na ścieżce dziesięć stóp dalej, stanęła jak wryta. Miał na sobie wystrzępiony sweter z surowej owczej wełny i marynarskie spodnie z klapką na brzuchu i rozszerzonymi nogawkami. Na jego głowie tkwiła czarna szewiotowa czapka, jaką noszą greccy rybacy, zsunięta pod zawadiackim kątem na opalone czoło, co jeszcze dodawało mu uroku. Twarz Laury pojaśniała, a jej uśmiech natychmiast odbił się w oczach Rye'a.

- Witaj ukochana! - rzekł i nagle zamilkł. Patrzył na nią zachłannie. Jego uśmiech złagodniał i stał się nader wymowny.

- Strasznie za tobą tęskniłam - powiedziała impulsywnie.

- Ja za tobą też.

- Przepraszam, że nagadałam ci takich głupstw.

- Ja także.

- Jesteśmy niemożliwi, prawda?

- Po prostu zakochani, nie sądzisz?

- Tak właśnie sędzę - uśmiechnęła się łobuzersko. Ponieważ się nie ruszał, więc spytała: - Może zechciałbyś wstąpić na chwilę?

- Bardzo bym chciał - nadal jednak tkwił w miejscu, jak gdyby buty wrosły mu w ścieżkę.

- A zatem...

- Nie wejdę.

- Dlaczego? Powoli potrząsnął głową.

- Jeszcze tylko dwa dni. Zaczekam. Odetchnęła z napięciem i zerknęła na morze, potem znów na niego.

- Jeszcze dwa dni - powtórzyła. - Trochę się boję, Rye.

- Ja też. Ale już nie mogę się doczekać. Jej spojrzenie zatrzymało się na jego oczach.

- Ja także - przyznała, nie zauważając, jak monotonna staje się ta rozmowa.

Rye odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

- Josiah jest już gotowy do wyjazdu. A co z Joshem?

- Na razie traktuje mnie niczym osobę, która znęca się nad zwierzętami. Nie wiem, jak się zachowa, gdy przyjdzie do pożegnań.

Cień przemknął po ich twarzach. Malec nie chciał pozostawić Jimmy'ego, Jane, Hildy... a przede wszystkim Dana.

- Tak, pożegnania będą smutne. Laura kiwnęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- A zatem... - Rye cofnął się o krok. Im bliżej wyjazdu, tym bardziej przerażała ich nieodwracalność tej decyzji. Jechali w niepewne; mieli przebyć wiele mil, być może stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem. Jak odniesie się do tego Josh? Laura i Rye patrzyli sobie w oczy, krzepiąc się myślą, że razem mogą stawić czoła wszystkiemu, co przyniesie im przyszłość.

- Przyjadę po was w czwartek około dziewiątej.

- Będziemy czekać. Dalej stał na ścieżce, zaglądając jej w oczy, jakby nie mógł się zmusić do odejścia. W końcu chrząknął pod nosem, podszedł i uniósł jej dłoń do ust.

- Josh da się przekonać - rzekł pocieszająco. Potem odwrócił się i kłusem zbiegł ze wzgórza.

W tym samym czasie, na innym podwórku przy tej samej drodze, Josh tkwił na kolanach nad dołkiem w ziemi. Zmrużył oko, celując trzymanym na kciuku kamykiem.

- Hej, Jimmy?

Jimmy Ryerson podniósł głowę znad swoich kamyków.

- Przerwałeś mi i będę musiał liczyć jeszcze raz. Czego chcesz? Josh podrapał się po głowie, zostawiając na niej szarą smugę, i wreszcie zadał pytanie, które nurtowało go od bardzo dawna.

- Co to jest przygoda?

ROZDZIAŁ 22

W czwartek rano Szara Pani Mórz w pełni zasługiwała na swą nazwę. Brzeg morza okrywała cienka warstwa mgły, a niebo nad wyspą miało barwę stali. Nad miastem rozległa się codzienna pobudka - poranny dzwon kościoła Kongregacji, uderzenia kowalskiego młota, łopot żagli chwytających wiatr, plusk wody pod falochronem i turkot drewnianych kół na bruku.

Przy otwartych drzwiach bednarni zatrzymały się dwa wozy. Wozacy weszli do środka i zaczęli wytaczać z warsztatu ciężkie beczki. Wewnątrz tylko stół roboczy i piec zostawiono na miejscu. Stary zgarbiony bednarz o siwych kędziarach stał obok młodego, którego jasna grzywa spadała na czoło jak splątane wodorosty. Błękitny dym unosił się w górę powolną spiralą; młody człowiek objął ramieniem plecy ojca.

- Cóż, staruszkule... Chwilę trwała znacząca cisza.

- Tak, synu - rzekł w końcu Josiah. - Dobrze się tu mieszkało.

Patrzyli na belki stropu, na okienko nad stołem, wytarte schody na piętro. We wspomnieniach zabrzmiał głos tak drogiej im kobiety, który przez tyle lat wzywał ich na śniadania, kolacje, do łóżek. Ściany pachniały cedrem i tytoniem fajkowym, który przesiąkł je chyba na zawsze.

Josiah wyjął z ust wonny cybuch i odezwał się cicho:

- Chciałbym zostać na chwilę sam z twoją matką. Idź po swoją kobietę, chłopcze.

Rye wciągnął głęboki, drżący oddech i po raz ostatni rozejrzał się wokoło.

- Spotkamy się na nabrzeżu - rzekł ochryple, jeszcze raz uściśnął barki ojca i szybko wyszedł na ulicę.

Długim susem wskoczył na wóz, gwizdnął głośno i obejrzał się w chwili, gdy żółty labrador dał susa za nim. Pies przebiegł po zniszczonych deskach na przód wozu, oparł pysk na siedzeniu woźnicy, machnął parę razy ogonem i ruszyli.

U stóp wzgórza wóz zatrzymał się. Mężczyzna zmrużył oczy, patrząc na maleńką chatynkę ze srebrzystobrunatnych, nieheblowanych desek. Na próg wyszła kobieta ubrana w podróżną pelerynę z gołąbkowoszarej wełny, prostą sukienkę w żółtą kratę i żółty czepek z satynową kokardą tuż nad lewym uchem.

Podniosła dłoń na powitanie. Obok niej pojawił się mały chłopczyk. Zobaczył smukłego bednarza i nachmurzył się. Za to stara suka na widok chłopca zeskoczyła z wozu i pognęła do niego, ile sił w sztywnych łapach. Ponura mina zniknęła z twarzy dziecka, oczy zabłyśły, buzia rozchyliła się z zachwytem i Josh wybiegł psu na spotkanie. Chwytał go w

objęcia, mrużąc oczy, gdy labrador przejechał mu po twarzy mokrym jęzorem.

Josh odruchowo zwrócił się do Rye'a:

- Czy Łajba... - urwał, jakby coś sobie przypomniał, obejrzał się na matkę i dokończył:

- Czy Łajba pojedzie z nami?

- Dlaczego nie spytasz Rye'a?

Josh spojrzął na wysokiego mężczyznę, którego kiedyś tak bardzo lubił. Widać było, że walczy z sobą.

- Czy Łajba pojedzie z nami? - spytał w końcu.

Rye podszedł bliżej, przyklęknął i pieszczotliwie targnął psa za ucho.

- Oczywiście, że jedzie. Ktoś musi pilnować, żeby wilki, niedźwiedzie i szopy nie zakradły nam się do spiżarni.

- W... wilki i niedźwiedzie? - Josh szeroko otworzył oczy. - Naprawdę?

- Tak, ale z Łajbą nie mamy się czego bać.

- To rzeczywiście będzie przygoda?

- Tak, synu. I lepiej szybko się zdecyduj, czy masz zamiar się do mnie odzywać, czy do końca podróży będziesz milczał jak głaz. - Rye zniżył głos. - Wiesz, że sprawiasz tym wielką przykrość mnie i twojej mamie, zwłaszcza jej. Chciałaby, żebyś znów się uśmiechał, ale sama też chce być szczęśliwa... - urwał, po czym dodał cicho: - Oboje bardzo cię kochamy, Josh.

Josh spuścił oczy.

- Jimmy mówi - rzekł cichutko - że twój tato... no, wiesz, jeśli z nami pojedzie, będzie moim dziadkiem.

- Tak, synu - twarz Rye'a złagodniała.

- A ty... ty będziesz moim ojcem?

Laura patrzyła ze wzruszeniem, jak wysoki mężczyzna w zawadiackiej marynarskiej czapce pochyla się nad swoim synem.

- Tak, kochanie. Wiesz, że jestem twoim ojcem. Josh zerknął na niego niepewnie niebieskimi oczkami, które były wierną kopią oczu Rye'a.

- Czy będę musiał mówić do ciebie „tato”? Rye przełknął ślinę. Nagle zrozumiał, jak trudno było dziecku akceptować zmiany zachodzące w jego życiu. Odpowiedział łagodnie:

- Nie, Joshua. Myślę, że jest tylko jeden człowiek, który dla ciebie na zawsze pozostanie tatą. Nic tego nie zmieni. Możesz przecież nadal kochać go tak samo, jak przedtem.

- Ale już go nie zobaczę, prawda?

- Obawiam się, że nie. Michigan jest bardzo daleko stąd. Ale kto wie, może kiedy dorosisz, przyjedziesz do niego z wizytą?

Laura czekała bez ruchu, mając nadzieję, że dziecko ostatecznie pogodzi się z ojcem i w ich życiu wreszcie zapanuje spokój.

Josh milczał przez dłuższą chwilę, kucając przed Ryem. Pies liznął go w brodę, ale Josh zdawał się tego nie zauważać. W końcu podniósł wzrok i oznajmił bardzo urzędowym tonem:

- Postanowiłem, że będę mówił do ciebie „ojcze”. Spojrzeli sobie w oczy; serce Rye'a omal nie wyrwało się z piersi.

Nagle Josh zerwał się na nogi, a Rye rozpostarł ramiona i w ułamku sekundy miłość zwyciężyła: padli sobie w objęcia.

Na widok ojca i syna w uścisku oczy Laury zamglily się. Uznała, że jest to najodpowiedniejsza pora, by wkroczyć.

- Macie zamiar stać tam przez cały dzień, czy może jednak pomożecie mi załadować rzeczy?

Rye zerknął w jej stronę i wyprostował się. Ruszył ku niej długim, powolnym krokiem.

- Twoja mama wygląda dziś bardzo szykownie - rzekł do syna.

Dziecko spojrzało na niego. .

- Co to znaczy szykownie? Odpowiedział mu tylko głośny śmiech Rye'a. Razem weszli na wzgórek. Rye podszedł do Laury, postawił nogę na schodku, wsparł na niej obie dłonie i zmierzył wzrokiem długą do ziemi pelerynę i wystający spod niej trójkąt złotego materiału.

- Z czego się tak śmiejesz?

- Czy to tak wita się pana młodego w dniu ślubu? Laura otworzyła usta.

- To dzisiaj!

- Zgadza się, dzisiaj. Choćbym miał wywołać bunt na okręcie. O ile oczywiście zdążymy na parowiec do Albany, bo na razie nie zanoszą się na to.

Z wesołym uśmiechem wkroczył do środka, a za nim Josh.

Dom odarty był teraz z całego swego ciepła i już zdawał się opustoszały. Od pewnego czasu Laura systematycznie pozbywała się mebli, sprzedaż reszty miał zająć się Ezra Merrill. Pozostałe sprzęty smętnie tkwiły w małych pokojkach, z których usunięto wszystkie osobiste drobiazgi. Rye celowo nie rozglądał się zbyt dokładnie, szybko wytoczył beczkę i zniósł ją ze schodków. Taki dzień pograżał człowieka na przemian to w radości, to znów w

nostalgii. Powinni jak najszybciej odsunąć od siebie wspomnienia i patrzeć tylko w przyszłość.

Kiedy jednak ostatnia beczka została załadowana na wóz i Rye wrócił do domu po dwie walizeczki, zastał Laurę z ręką na gzymsie komina. Z alkówki zniknęła pościel, pozostała tylko drewniana skrzynia. Laura wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Potem podeszła do drzwi sypialni. Rye cicho stanął obok niej. Zerknęła na niego bez uśmiechu i przeniosła wzrok na małżeńskie łóżko.

- Zrobię ci nowe łóżko - obiecał miękko, pojmując, że nie żał jej samego sprzętu, lecz związanych z nim wspomnień. Na tym łóżku po raz pierwszy skonsumowali swój związek. Na nim urodził się Josh. I na nim rzucał się w gorączce Dan.

- Chodź - rzekł cicho. - Musimy już iść.

Kroki rozbrzmiały echem w pustych pomieszczeniach, w których ongiś unosił się ich śmiech. Po raz ostatni wychodząc z tego domu, zamknęli w nim wspomnienia, te dobre i te złe. Śnieżnobiałe muszle wydawały dobrze znany chrzęst, który przez tyle lat oznaczał bliskość rodzinnego ogniska. W połowie drogi odwrócili się jeszcze raz, by na zawsze zachować w duszy obraz domku na wzgórzu.

Ciężko było rozstać się z domem, ale jeszcze ciężiej z ludźmi. Przyszli wszyscy - Jane i John Durning z sześciorgiem pociech, Jimmy Ryerson z rodzicami, Dahlia Traherne, Hilda Morgan w towarzystwie Toma i Dorothy, Chad, jego rodzice i cała familia Daltonów - nawet kuzyn Charles z żoną i trójką dzieci. Przyszedł też Joseph Starbuck, Ezra Merrill i Asa Pond.

Z tyłu za murem mężnie uśmiechniętych twarzy stała DeLaine Hussey. Wyglądała tak, jakby wszystkimi siłami starała się powstrzymać łzy.

I, oczywiście, pojawił się Dan.

Przyszedł ostatni i z początku trzymał się z tyłu, obok DeLaine. Laura i Rye nie zauważyli go. Laura padła w objęcia matki, która wcisnęła jej do ręki plik domowych przepisów. Laura zaczęła płakać, najpierw cicho, potem coraz gwałtowniej, gdy jako kolejna uścisnęła ją Jane, rozdzierająco chlipiąc jej do ucha. Wujkowie i ciotki przekazywali sobie Rye'a z rąk do rąk, a Josh i Jimmy klęczeli obok Łajby, otoczeni przez rój kuzynów i kuzynek, z których każde w tej chwili dałoby się pokroić, żeby też móc przeżyć przygodę - zwłaszcza, jeśli brały w niej udział wilki i niedźwiedzie.

Kapitan Silas przegonił ich na bok, żeby zrobić miejsce dla wozów, które podjechały do trapu. Tłum się rozstał, odsłaniając Dana w meloniku na głowie, z palcami w kieszeniach kamizelki i z wyrazem kurczowego opanowania na twarzy.

Patrzyli na siebie. Tłum nagle zaniemówił, po czym znów podniosła się wrzawa.

Na pokład „Clintona” załadowano ostatnią beczkę i uszy zgromadzonych rozdarł przeciągły gwizd, który podniósł się nad nabrzeżem.

Serce Laury załomotało - nie wiadomo, czy zawinił tu ogłuszający dźwięk, czy widok Dana. Wciąż stał z wahaniem dwadzieścia stóp od niej, powściągliwy jak zawsze.

Ale wtedy zauważył go Josh. Zerwał się na nogi i popędził ku niemu. Dan ukląkł i po raz ostatni porwał go w objęcia.

Nad nabrzeżem poniósł się żalospny okrzyk:

- Tato!... Tato!...

- Wszyscy na pokład! - zakomenderował kapitan Silas. Gwizdek parowca rozległ się ponownie. Dan przymknął oczy, powstrzymując łzy.

Laura rzuciła błagalne spojrzenie na Rye'a, lecz on już popychał ją do przodu, w stronę Dana. Dan postawił Josha na ziemi i wyszedł jej na spotkanie. Rzuciła mu się na szyję, strącając melonik, który potoczył się po szarych deskach pomostu. Rye patrzył na DeLaine Hussey. W milczeniu skinął jej głową, ona zaś uniosła drżącą dłoń do ust.

Laura przyłgnęła do Dana, czując jak bije mu serce, po czym odchyliła się i spojrzała w twarz. Usta miał zaciśnięte, ale nozdrza drżały i podejrzenie często mrugał oczyma. Pieszczotliwie dotknęła jego policzka.

- Żegnaj, Dan - wyjąkała.

Dan chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydusić słowa. Przyciągnął ją jeszcze raz do siebie i ku jej zaskoczeniu pocałował mocno w usta. Kiedy ją wypuścił, policzki miał mokre od jej łez.

Rye mocno uściskał mu dłoń.

- Dbaj o nich, przyjacielu - szepnął Dan.

- Jak o źrenicę oka.

Ich głosy były zmienione ze wzruszenia, a dłonie zaciśnięte tak mocno, że palce pobielały.

Kapitan Silas zawołał z trępu:

- Wszyscy na pokład! Musimy trzymać się rozkładu!

Rye wziął Josha na ręce. Łzy płynęły po piegopatych policzkach chłopca, kiedy ponad muskularnym ramieniem nowego ojca patrzył na swego tatę. Sterczący kosmyk na czubku głowy podrygiwał w takt zamaszystych kroków Rye'a. Laura, podtrzymywana przez Rye'a pod rękę, bo łzy zupełnie ją oślepiły, ruszyła za nimi, mijając morze niewyraźnych twarzy.

Stali przy relingu - Rye z Joshem na ręku, dalej Laura i Josiah, a pomiędzy nimi

sterczał wszędobylski nos zaniepokojonej Łajby. Statek zakołysał się, szarpnął i ruszył do przodu, powoli nabierając prędkości. Rytmiczny łomot przybrał na sile niczym nieprzerwane tętno statku.

Każde z nich wpatrywało się w jedną, wybraną twarz. Dla Josha był to Jimmy Ryerson, który machał nad głową jedną ręką, a drugą ocierał oczy. Dla Laury była to Jane, stojąca z policzkiem wtulonym we włosy najmłodszego dziecka. Dla Rye'a był to Dan, który podniósł w końcu kapelusz, ale zapomniał włożyć go na głowę. Josiah natomiast spoglądał ponad dachami na ledwie widoczny w dali drewniany domek. Opuścił rękę i machinalnie pogłaskał Łajbę po łbie. Pies zaskomlał, podniósł smutne oczy na starca. Brzeg odpłynął i zszarzał we mgle otulającej przystań.

Przez długi czas patrzyli na ten ukochany skrawek lądu. Gdy mijali płycizny, wystające palce cypla Branta i Coate zdawały się przywoływać ich z powrotem. Ale „Clinton” pruł naprzód, aż Nantucket zaczęła przypominać guziczek, unoszący się na powierzchni wody, a potem rozplynęła się całkiem we mgle.

Laura zadrzała. Podniosła głowę i zobaczyła, że Rye jej się przygląda.

- Chcesz obejrzeć naszą kajutę? „Nasza kajuta”. Jeśli cokolwiek mogło oderwać jej bolesne myśli od wyspy, którą właśnie pożegnali na zawsze, to tylko te dwa słowa.

- Chyba powinnam, skoro mamy w niej spędzić dwa tygodnie - powiedziała. Wszyscy czworo udali się pod pokład. „Clinton” był o wiele mniej luksusowy niż „Telegraf, choć bowiem mieścił trzydziestu pasażerów, jego głównym zadaniem był transport ładunku, toteż pomieszczenia dla ludzi z trudem można było nazwać kabinami. Rye poprowadził ich do dwóch klitek, przedzielonych cieniutkim przepierzeniem.

Otworzył drzwi i cofnął się w wąskim przejściu. Laura zajrzała do środka. Ku swemu rozczarowaniu zobaczyła wewnątrz piętrową koję, wąską ławę przymocowaną do ściany, malutką półeczkę i latarnię olejową, kołyszącą się u sufitu. Jej walizka już stała obok marynarskiego kufierka Rye'a.

- Puść mnie, chcę zobaczyć! - zanim zdążyła zareagować, Josh precisnął się obok niej. Męska dłoń spadła mu na ramię.

- Nie tak szybko, młodzieńcze! Ty mieszkasz obok. Serce Laury zadrzało. Bała się, że Josh będzie protestować, kiedy zechcą go z nią rozdzielić w obcym miejscu. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo musiała wejść do środka kabiny, żeby przepuścić całe towarzystwo do następnych drzwi.

- Ty rozgościsz się tutaj razem z dziadkiem - usłyszała. Wetknęła nos do sąsiedniej kajuty, identycznej jak pierwsza.

- Z dziadkiem? - Josh skrzywił się z powątpiewaniem.

- Zgadza się.

- A gdzie będzie mama?

- Tuż za ścianą - Rye skinął głową w kierunku ich kabiny.

- Ale... Słyszac brak entuzjazmu w głosie wnuka, Josiah uznał za stosowne się wtrącić.

- Chodź no tutaj - rzekł swą rozwlekłą nowoangielską gwara.

- Chcę ci coś pokazać. Josh spoglądał sceptycznie na Rye'a i matkę. Była to jedna z najcięższych chwil w życiu Laury: zabiegała o zgodę syna na to, że będzie spać z jego ojcem! Josiah schylił się i wyciągnął spod koi drewnianą skrzynkę z rzędem otworów na boku. Usiadł na niższej koi i delikatnie położył na niej ręce, jak gdyby był to kapelusz magika. Josh dał się złapać.

- Co to jest? - spytał, przysuwając się bliżej.

- Nic wielkiego. Dwoje współtowarzyszy na długą podróż. Wieko skrzynki uniosło się i z wewnątrz doleciał świergotliwy duet.

- Kurczęta! - Josh już wyciągał ręce, podniecony i rozpromieniony. - Możemy je trzymać na statku?

- Nawet powinniśmy. Z tego, co słyszałem, w Michigan nie ma wielu kur. Postanowiłem od razu założyć hodowlę, żeby twoja mama miała jajka do potraw.

Łajba wyciągnęła nos i zaczęła obwąchiwać skrzynkę. Josh już zapomniał o Rye'u i Laurze. Josiah sięgnął do kieszeni na piersi, wydobyl z niej zimną fajkę i wsadził ją w zęby, spoglądając na przemian to na chłopca, to na kurczęta, to na psa. Po chwili zerknął ukradkiem na Laurę i odezwał się żartobliwie:

- Wiesz, Joshua, będzie mi potrzebna pomoc przy tej menażerii, więc mam nadzieję, że twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś spał tutaj.

Josh błyskawicznie rzucił się do nóg Laury, nieomal wspinając się po jej spódnicy.

- Mogę, mam? Mogę? Razem z... dziadkiem będziemy karmić kurczęta, trzymać je w cieple i pilnować, żeby Łajba ich nie zjadła!

Laura wybuchnęła śmiechem. W oczach Josiaha również pojawił się wesoły ogień. Miała nadzieję, iż bez słów zrozumie, jak bardzo jest mu wdzięczna.

- Oczywiście, że możesz mieszkać z dziadkiem, Josh. Josh już zaglądał do skrzynki.

- Jak je nazwiemy, dziadku?

- Kurczaki? W życiu nie słyszałem, żeby kurczęta miały imiona!

- Widzę, że nie jesteśmy tu potrzebni, więc chodźmy się rozpakować - Rye ujął Laurę za łokieć i gorący dreszcz przeszył jej ramię. Kiedy wychodzili, dziadek i wnuk byli tak

zajęci, że żaden nawet na nich nie spojrział.

Gdy zamknęli za sobą drzwi własnej kajuty, zapadła cisza, w której słychać było tylko pomruk maszyny, dobiegający spod podłogi. Nie było tu bulaja, tylko olejna lampa kołysała się na haku. Jej skąpe światło nie było jednak konieczne, by Laura widziała każdy rys twarzy Rye'a. Poczuli, że stanął za nią.

- Nie jest tu zbyt wykwinicie - rzekł przepraszająco, ale w jego głosie wyczuła napięcie.

- Czy kiedykolwiek prosiłam o luksusy? Dłonie Rye'a przesunęły się po jej plecach i dotknęły szyi.

- Nigdy - rzekł gardłowo. Potem, jak gdyby nie miał do siebie zaufania, opuścił ręce.

- Z tymi kurczakami to twój pomysł? - zapytała.

- Nie. Podziękowania należą się mojemu ojcu.

- Josiah jest bardzo domyślny.

- Też tak uważam. Chciała się odwrócić, ale nagle zabrakło jej odwagi. Serce Laury dudniło na wyścigi z maszyną, pulsując tak potężnie, że miała wrażenie, iż to od jej tętna drżą deski podłogi. Rye odchrząknął.

- Cóż... Muszę pomówić z kapitanem, więc tymczasem...

- Josiah nie wymyślił tych kurcząt bez powodu - przerwała mu, odwracając się wreszcie twarzą do niego. - Nie waż się wychodzić, zanim...

W tej samej chwili znalazła się w jego ramionach. Usta Rye'a wylewnie witały ją na pokładzie; wsunął ręce pod jej pelerynę i przycisnął ją do piersi. Zarzuciła mu ramiona na szyję, czując, że jej stopy odrywają się od podłogi. Zdjęła mu czapkę z głowy i głaskała po zmierzwionych włosach.

Rye opuścił ją odrobinę; ich brzuchy i biodra się zetknęły. Oparł ją o drzwi, tuląc tak mocno, że zabrakło jej tchu. Jego członek był już w pełnej gotowości, o czym się przekonała, gdy zaczął ocierać się o nią zmysłowo.

Laura zwilgotniała z pożądania. Jakżeż to było wytęsknione, rozkoszne! Przyciśnięta do drzwi, nie mogła mu dowieść, jak jest podniecona.

- Rye, postaw mnie - wykrztusiła.

- Jeśli cię postawię, będę miał wolne ręce, a wtedy już się nie cofnę.

- Nic nie szkodzi.

- Nieprawda. Najpierw chcesz wyjść za mąż, więc teraz postawię cię i pójdę w tej sprawie do kapitana, zgoda?

- Niech cię diabli, Rye - wymruczała, prowokacyjnie wsuwając mu język pomiędzy

wargi. - Właśnie teraz uparłeś się postępować właściwie!

- Zgoda? - powtórzył, cofając głowę na tyle, by uwolnić się od jej napastliwego języka.

- No dobrze, zgoda. Opuścił ją i pomógł utrzymać równowagę, po czym odstąpił o krok i jej spódnica przyzwoicie opadła do podłogi. Głos Rye'a zdawał się dudnić jak parowy silnik, a bezlitosne niebieskie oczy przenikały ją na wskroś, gdy rzekł:

- Uprzedzam cię, dzisiejszej nocy nie zrezygnuję tak łatwo. Laura wspięła się na palce i włożyła mu czapkę.

- Mam nadzieję - szepnęła. Pocałował ją znowu, a jego dłoń gestem posiadacza musnęła jej piersi.

- Wrócę, gdy tylko wszystko załatwię. Ty w tym czasie przygotuj się do ślubu. To już drugi raz... Tym razem kiedy powiesz: „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”, potraktuj to poważnie.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Laura spojrzała za nim z uśmiechem, po czym zakręciła się w miejscu. Wciągnęła cztery głębokie wdechy, żeby się uspokoić, ale niewiele to pomogło, więc w końcu przycisnęła dłoń do łona, w którym pulsowało echo jego pieszczot.

Która godzina? Dopiero dwunasta. Ileż jeszcze ma czekać? Do ósmej, kiedy będą mogli szacownie udać się na spoczynek? Boże drogi, jak wytrzyma tak długo?

Zdjęła czepek i pelerynę i zaczęła myszkować po małej kajucie, wypróbując materace, podsuwając bagaże pod ścianę. Nie było sensu ich rozpakowywać, bo w kabinie nie przewidziano miejsca na dodatkową odzież. Czas się dłużył.

Kiedy Rye wrócił, zastał ją siedzącą na brzegu koi. Na jego widok zerwała się na równe nogi. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie.

- O czwartej - oznajmił bez wstępów.

- O czwartej - powtórzyła jak słowa litanii.

- Tak. W kajucie kapitana. - Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

- No cóż... - uniosła ręce i rozejrzała się dokoła, jak gdyby spodziewała się znaleźć tu coś, co odwróci jej uwagę od tego, co bez reszty zaprzętało jej myśli.

Rye wciągnął głęboki oddech, wypuścił go i kciukiem zsunął czapkę na tył głowy. Potem otworzył drzwi.

- Chodźmy zobaczyć, jak mają się kurczaki. Z wielkiej ulgi pod Laurą ugięły się nogi.

Cała czwórka spędziła bardzo przyjemne pół godziny obserwując małe ptaszki i psa, który teraz pozwalał nawet stawiać je sobie na głowie.

Wkrótce potem okrętowy dzwon wezwał ich na obiad, który podano w długim salonie na dziobie - równie ciasnym jak wszystkie inne pomieszczenia. Ławy i stoły stłoczono tu do tego stopnia, że pomocnik kucharza musiał się przeciskać z gorącą zupą rybną i twardym czarnym chlebem, z którego składał się posiłek.

Laura siedziała obok Rye'a, czując każde muśnięcie jego uda. Przy stole z ożywieniem wymieniano informacje o portach przeznaczenia. Laura i Rye nie afiszowali się planowanym ślubem, bo i tak wszyscy brali ich za małżeństwo, zwłaszcza że towarzyszyło im w podróży dziecko.

Po południu Rye zostawił Laurę w kajucie, żeby odpoczęła, a sam zabrał swój kuferek i wyniósł się za ścianę. Laura była jednak tak podniecona, że nie mogła się odprężyć nawet na chwilę. Bez przerwy macała cienki złoty zegarek wpięty w gors sukni, a gdy wskazał trzecią, poszła do sąsiedniej kajuty po Josha. Ku jego oburzeniu, kazała mu się przebrać i przygotować do ceremonii.

Sama postanowiła zostać w żółtej sukience, uczesała tylko włosy w twarzowy kok i za nic nie mogła się zdecydować, czy włożyć kapelusz.

- Jak myślisz, Josh? Josh okazał się niezbyt pomocny. Wzruszył tylko ramionami, zastanawiając się w duchu, dlaczego jego matka miota się jak ryba wyjęta z wody.

Za dziesięć czwarta rozległo się pukanie do drzwi. Laura wzięła głęboki oddech i wyszeptała:

- Otwórz, Josh! Za drzwiami stał wymyty i świeżo uczesany Rye, ubrany w ten sam wspaniały frak, który miał na sobie u Starbucków. Zielone spodnie przylegały mu do nóg jak skórka winogron. Frak precyzyjnie podkreślał szerokość ramion i uwydatniał silną muskulaturę. Oliwkowa skóra kusząco kontrastowała z śnieżnobiałymi mankietami, sięgającymi aż do nasady palców, i takimż fontaziem, spowijającym jego szyję aż po bokobrody.

- Gotowa?

Od piętnastego roku życia, pomyślała, z wysiłkiem kiwając głową. Rye odstał od drzwi. Josh pierwszy rzucił się do wyjścia, ale silna dłoń ojca powstrzymała go w pół kroku.

- Najpierw dama.

Na korytarzu czekał już na nich Josiah i cała czwórka udała się na główny pokład rufowy do apartamentu kapitana.

Benjamin Swain był tęgim, z grubą ciosanym mężczyzną o czerwonych policzkach i ochryłym głosie. Otworzył im drzwi i odstał na bok, witając zgrzytliwie:

- Proszę do środka! Proszę! A któż to taki? - zdziwił się na widok najmniejszego z

czwórki.

Josh zadarł głowę.

- Joshua Morgan, proszę pana.

- Joshua Morgan, ach, tak?

Josh kiwnął głową, ale nie udzielił żadnych bliższych informacji. Czerwonolicy kapitan zamknął za nimi drzwi i odchrząknął głośno.

- To jest mój pierwszy oficer, Dardanelle McCallister - oznajmił. - Pomyślałem, że potrzebny wam będzie świadek.

Rye uściskał dłoń pierwszego oficera.

- Witam, panie McCallister, i dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Mój ojciec będzie świadkiem.

- Doskonale, wobec tego pozwolą państwo, że wrócę do swoich obowiązków.

Przedstawiono wszystkich po kolei: dłoń Laury omal nie została zmiażdżona w potężnym uścisku kapitana.

Jego kajuta była najbardziej luksusowym pomieszczeniem na statku. Ściany pokrywała boazeria z woskowanego drewna tekowego - łączonego na styk, w przeciwieństwie do desek tworzących ściany kabin pasażerskich. Jeden kąt pokoju zajmowało rzeźbione, zamykane drzwiczkami łóżko, w drugim stała podłużna sekretera i zamknięta szafa, przypuszczalnie na odzież. Środek pokoju wypełniał stół, na którym leżały mapy, dzienniki i kompas. Było tu o wiele więcej miejsca niż na dole, ale gdy do kajuty weszło pięć osób, zapanował tłok.

Kapitan Swain wskazał im, by stanęli z drugiej strony stołu, po czym wyjął Biblię z jego dolnej szuflady.

Laura stała między Ryem a Josiahem, Josh z przodu. Rye trzymał mu dłonie na ramionach. Kapitan zaczął wertować księgę, ale nim znalazł to, czego szukał, Josiah nachylił się do niego i szepnął mu coś do ucha. Rye i Laura wymienili zaciekawione spojrzenia. Nikt wszakże ich nie oświecił, szeptana rozmowa trwała przez dłuższą chwilę, potem kapitan skinął głową, zajął miejsce, podniósł wzrok i odchrząknął ponownie.

- Wszyscy gotowi?

Josh entuzjastycznie pokiwał głową, aż na jej czubku zakołysał się świeżo przyglądany kogucik. Kapitan wypiął pierś i zaczął czytać modlitwę. Laura czuła, że ocierający się o jej rękę łokieć Rye'a drży. Wbiła wzrok w złote guziki na brzuchu Swaina. Skończywszy modlitwę, przysadzisty żeglarz odłożył Biblię i rzekł.

- Stawiliście się przede mną trzydziestego dnia marca roku tysiąc osiemset

trzydziestego ósmego, abym połączył was węzłem małżeńskim. Czy jest to zgodne z prawdą, panie Dalton?

- Tak jest.

- Czy jest to zgodne z prawdą, panno Morgan?

- Pani Morgan. Tak, to prawda. Kapitan uniósł brew.

- Pani Morgan, oczywiście - poprawił się. - Czy znana jest wam jakakolwiek przyczyna, dla której Wspólnota Massachusetts nie miałaby zadośćuczynić waszemu życzeniu? - spojrzął kolejno na Rye'a i Laureę.

Odpowiedzieli zgodnie:

- Nie.

- Wstępując w stan małżeński, oboje musicie kierować się chęcią, by trwał on do końca życia. Czy takie są wasze intencje? Panie Dalton?

- Tak - rzekł Rye.

- Pani Morgan?

- Tak - odpowiedziała Laura.

- Jest to stan, w który nikt nie powinien wstępować bez miłości. Czy przysięgacie miłować się do końca swoich dni?

- Przysięgam - Rye zwrócił rozkochane oczy na Laureę.

- Przysięgam - powtórzyła jak echo. - Do końca moich dni.

- Kto będzie świadkiem tego związku?

- Ja - rzekł Josiah. - Josiah Dalton. Kapitan skinął głową.

- Kto oddaje tę kobietę?

- Ja - pisnął Josh. Kapitan zmrużył oko - widocznie tę część ceremonii podszeptał mu Josiah.

- A ty jesteś...

- Josh - wyjaśnił chłopczyk. - To jest moja mama - rzekł, oglądając się przez lewe ramię. Następnie zerknął przez prawe i dodał: - A on jest moim ojcem.

- Co takiego? - kapitan zapomniał o protokole.

Laura zagryzła usta, żeby się nie roześmiać. Obok niej Rye spłonął rumieńcem i przestąpił z nogi na nogę.

- To jest moja mama, a to jest mój ojciec i ja wyrażam zgodę, żeby się pobrali! - powtórzył cierpliwie Josh.

Kapitan opanował się i podjął:

- Znakomicie. Czy mamy obrączki? Nagle zrobił się ruch. Laura grzebała w maleńkim

woreczku, który miała na przegubie dłoni, a pan młody - ku ostatecznemu zdumieniu kapitana - zdjął z palca złotą obrączkę i podał ją towarzysze. Następnie zaś wszyscy stanęli przed nim jak gdyby nigdy nic.

Widząc, że pan młody będzie nosił znów tę samą obrączkę, kapitan mimowolnie otworzył usta.

- No, da im pan wreszcie ten ślub czy nie? - zniecierpliwiał się Josh.

- Tak, tak. Na czym to stanęliśmy?

- Czy są obrączki? - przypomniał mu malec. Kapitan chrząknął kilkakrotnie by pokryć zmieszanie.

- Ach, tak. Proszę, powtarzajcie za mną: Tą obrączką biorę sobie ciebie, Lauro Morgan, za małżonkę, wyrzekam się innych kobiet i będę kochał tylko ciebie aż do końca moich dni na tej ziemi.

Stwardniałe palce Rye'a drżały, podobnie jak jego głos, gdy powtarzał słowa kapitana. Potem - już po raz drugi w życiu - wsunął jej na palec obrączkę.

Zacisnęła w dłoni drugą obrączkę, tę, którą przed chwilą zdjął. Zachowała ciepło jego ciała, schwytane w wypolerowanym metalu. Kapitan Swain podyktował jej słowa, a ona powtarzała przyciszonym głosem:

- Tą obrączką biorę sobie ciebie, Rye'u Daltonie, za małżonka, wyrzekam się innych mężczyzn i ślubuję, że będę kochać tylko ciebie do końca moich dni na tej ziemi.

- Mocą powierzoną mi przez... - kapitan przerwał i zerknął przez okno, żeby przekonać się, gdzie się znajdują - przez Wspólnotę Massachusetts ogłaszam was mężem i żoną.

- Raz i na zawsze - mruknął pod nosem Josiah, uśmiechając się z satysfakcją, gdy jego wysoki przystojny syn pochylił się, całując ukochaną kobietę.

Państwo młodzi przyłgnęli do siebie z rozrzewniającym uśmiechem.

- Hej - Josiah trącił syna - zrób no trochę miejsca, niech stary też dostanie buziaka.

Czule objął Laure, Rye zaś uściśnął dłoń kapitanowi. Nagle zorientował się, że niski wzrost Josha wyklucza go z centrum wydarzeń. Pochylił się i wziął synka na rękę.

- Teraz panna młoda dostanie całusa od syna. Trzymane wysoko w górze dziecko pochyliło się, by ucałować matkę. Widząc jej radość, chłopczyk też się rozpromienił. Laura zaśmiała się lekko i powiedziała:

- Myślę, że pan młody też zasłużył na całusa. Josh zawahał się chwilę. Jedną ręką obejmował za szyję Rye'a, drugą Laure, jak na rodzinnym portrecie. Kiedy po raz pierwszy w życiu przytknął swe różane usteczka do policzka Rye'a, serce ojca wezbrało tkliwością.

Przyglądali się sobie oczyma, które były niemal wiernym odbiciem. Chwila zdawała się trwać wiecznie. Potem nagle Josh puścił matkę, zarzucił drugą rączkę na szyję Rye'a i schował buzię na jego silnej, pachnącej cedrem szyi. Rye przymknął oczy i odetchnął głęboko, by pokryć wzruszenie. Kapitan chrząknął.

- Uważam, że w tej sytuacji powinniśmy wznieść toast. Będę też zaszczycony, mogąc gościć państwa przy moim stole podczas kolacji. Mówiłem już kucharzowi, żeby z tej okazji upitrasił coś wymyślniejszego niż gulasz.

Laura i Rye mogliby równie dobrze jeść trociny. Rozmowa toczyła się z ożywieniem, a gdy kapitan Swain oznajmił wszystkim, że tego dnia udzielił ślubu, w mesie zrobiło się dużo weselej, niż przy obiedzie. Jednakże mimo rozgwaru Rye i Laura widzieli tylko siebie. Musieli się pilnować, by nie zatracić się w swoich oczach. Czas zdawał się wlec na ołowianych nogach. Otaczali ich ludzie i ciągle podchodził ktoś nieznajomy, żeby złożyć im gratulacje. Laura nie mogła patrzeć na zegarek, tak by nikt tego nie zauważył, ale nieco później spostrzegła, iż Rye często wyciąga z kieszonki swój pod osłoną stołu. Za każdym razem, kiedy zatrząskiwał wieczko, spoglądał jej prosto w oczy i Laura czuła, że robi jej się gorąco. Słuchając opowiadanej przez jedną z pasażerek anegdotki o modystce z Albany, zdała sobie sprawę, że przez cały czas nieświadomie szarpie wiszący na gorsie sukni zegarek. Szybko opuściła dłoń i skupiła uwagę na rozmówczyni. Nie słyszała jednak ani słowa, bo Rye, pozornie zatopiony w rozmowie z sąsiadem z drugiej strony, przycisnął pod stołem udo do jej uda.

W kilka chwil później znów poruszył nogą i poczuła, że niecierpliwie przytupuje pod stołem. Rytmiczny ruch wzbudził w niej tępe uczucie podniecenia.

W chwili gdy pomyślała, że nie wytrzyma już ani sekundy dłużej, Josh - chwiała mu za to! - pociągnął dziadka za łokieć.

- Dziadku, musimy iść zobaczyć, co z naszymi kurczętami.

- Masz rację, chłopcze. Zasiedzieliśmy się.

Noga Rye'a przestała podrygiwać. Z udawanym brakiem pośpiechu dźwignął się z ławy i podał Laurze dłoń, pomagając wstać.

Jak gdyby trzeba mnie było ponaglać - pomyślała.

Pożegnania i życzenia dobrej nocy ciągnęły się w nieskończoność, ale w końcu towarzystwo rozproszyło się i Daltonowie ruszyli korytarzem do swych kajut.

Pod drzwiami młodej pary Josiah przystanął i wycelował w nich cybuch fajki.

- Rano możecie spać do woli. Nie martwcie się o Josha ani o mnie... - Jego dłoń odnalazła ramię malca i uściśnęła je. - Będziemy zajęci karmieniem zwierzaków.

Josh ujął dziadka za poskręcaną dłoń i pociągnął go w stronę następnych drzwi.

- No chodź już! Łajba piszczy!

- Idę, idę - Josiah dał się odciągnąć z zadowoleniem, którego nie dane mu było zaznać od dnia, gdy jego syn wypłynął w morze na wielorybniku „Massachusetts”.

ROZDZIAŁ 23

Klamka szczęknęła, zamykając za nimi drzwi kajuty. Laura stanęła na środku, Rye przy drzwiach. Zza ściany dobiegło poszczekiwanie Łajby i entuzjastyczne okrzyki Josha. Po chwili zapadła cisza, przerywana tylko rytmicznym stukotem łopatek maszyny, pracującej bez wytchnienia w trzewiach statku. Latarnia kołysała się nad głową Laury rzucając jej cień to na ścianę, to znów na nogi Rye'a.

Laura zerknęła na wąskie koje, porównując w myśli ich długość ze wzrostem Rye'a. Brakowało dobrych sześciu cali. Zsunęła z ręki torebkę i usłyszała za sobą cichy głos Rye'a.

- Pani Dalton... Odwróciła się do niego powoli. Stał na rozstawionych nogach, rozwiązując krawat.

- Słucham, panie Dalton? - Rzuciła woreczek na ławę, nie troszcząc się, by spojrzeć, gdzie wylądował. Serce tłukło się jej w piersi. Brakowało jej tchu.

- Czy teraz mogę już panią posiąść? - Rye pozostawił na szyi rozwiązany krawat, rozpiął frak i oparł obie dłonie na biodrach. Stał przed nią, nie kryjąc tego, co sprawiało, że tak bardzo niecierpliwił się przy stole. Spojrzenie Laury ześliznęło się w dół, na napięty materiał spodni.

- Już myślałam, że nigdy o to nie zapytasz - wyszeptwała. Zatrzymali się na krawędzi świetlistej wieczności, napawając się oczekiwaniem aktu, równie podniecającym jak sam akt.

- No to chodź tu i zaczynamy - rzekł krótko. Spotkali się w pół drogi, serce przy sercu, usta przy ustach, mężczyzna i kobieta, związani od lat uczuciem, którego przeciwności losu nie zdołały zniszczyć. Niecierpliwe języki zetknęły się, imitując to, co miało się rozegrać za chwilę. Rye pochylił się nad nią, wdychając z jej odzieży zapach woskownicy.

On pachniał świeżo wyprasowanym lnem i drewnem, w którym pracował, przez wiele lat.

Laura wsunęła rękę między rozpięty frak a ciasną kamizelkę, rozpostarła palce na jedwabnej tkaninie, która napięła się na plecach Rye'a, gdy pochylił się, żeby ją objąć.

Długi czas oczekiwania minął. Nie musieli się już krępować ani trzymać rąk przy sobie. Rye objął jej wzniesioną pierś, ona powiodła dłonią po ciepłym zgrubieniu na jego podbrzuszu.

Rye jęknął namiętnie, Laura także, lecz jej głos utonął w pocałunku, stłumiony przez język, który głaskał śliskie wnętrze jej ust. Ręce obojga zaczęły się poruszać; narastała w nich rozkosz.

Dłoń Rye'a znalazła się na dłoni Laury, wzmagając jej nacisk.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie popieścisz - jego dłoń przesunęła się w dół po żółtej spódnicy - a ja ciebie.

Jego dotyk rozpałił ogień w żyłach Laury i sprawił, że tak prosta rzecz, jak oddychanie, przychodziła jej z największym trudem.

- Myślałem, że ta kolacja nigdy się nie skończy - rzekł, wtulając usta w jej szyję.

- Ciagle chciałam cię pytać, która godzina. Oczy tak niebieskie jak wody Atlantyku uśmiechnęły się do niej.

- Odpowiednia, żeby zrzucić wreszcie tę kieckę, pani Dalton.

- I ten frak, panie Dalton.

- Rzeczywiście. - Rye podrapał się po bokobrodzie. - Zrobiło mi się w nim trochę niewygodnie.

Odwrócił się do niej tyłem i zdjął frak. Rzuciła go na ławkę. Rye wyjął z kieszonki zegarek, odłożył go delikatnie, ona zaś niecierpliwie rozpięła mu guziki i zsunęła kamizelkę z ramion.

Sięgała właśnie do guzików koszuli, gdy stanowczo złapał ją za rękę.

- Po co ten pośpiech, kochanie? Nie nadażam za tobą. Powoli podniósł do ust najpierw jej lewą dłoń, potem prawą.

W jego oczach błysnęła niecierpliwość, która zadawała kłam słowom. Lekko powiódł językiem po wrażliwej skórze wewnątrz jej przedramion, gdzie błękitne żyły zdawały się napinać pod dotknięciem. Potem zaczął rozpinać rząd guziczków z przodu sukni, sięgający od szyi do wysokości bioder. Zsunął jej suknię z ramion. Oparła się o halki i tam pozostała, podczas gdy Rye delikatnie pocierał czubki uszu Laury, po czym powiódł palcami wzdłuż jej szyi do ramion, ściągając przy okazji ramiączka koszuli z kuszących krągłości.

Laura przymknęła oczy i wstrzymała oddech. Lekkie jak piórka muśnięcia przesywały płonącymi strzałami jej ciało, zdawały się rozlewać w niej ciepłe pożądanie.

Zadrzała i otworzyła oczy. Rye patrzył na nią, doskonale widząc, co dzieje się ze świeżo poślubioną małżonką, gdy jego palce kreślą niewidzialny deseń na jej szyi, na ciepłej, miękkiej piersi, zatrzymując się w wycięciu koszuli. Laura jednym szarpnięciem rozwiązała wstążkę i koszula miękko spłynęła jej do pasa. Sięgnęła po jego dłonie i nakryła nimi piersi, Ignąc do niego z siłą, która nie była w stanie ukoić bolesnego niepokoju ciała.

- Marzyłam o tym codziennie od sierpnia zeszłego roku - wyszeptła, odchylając głowę w tył. - Pocałuj mnie, miły, proszę.

Jego głowa nachyliła się, a wargi objęły białą półkulę piersi, unosząc ją, aż różowy czubek trafił wprost do ust. Rye possał go i delikatnie zacisnął na nim zęby. Laura jęknęła,

chwyciła go za ramiona, odchylając się w tył. Kiedy rozkosz zaczęła graniczyć z bólem, rzuciła się w przód. Sutek wymknął się z ust Rye'a.

Rye jęknął, złapał ją za biodra i wcisnął twarz w jej pachnące ciało, znów zachłannie chwytając pierś, podczas gdy jego dłoń odnalazła guzik w talii i zdarła z niej wszystko - koszulę, pantalony, halki i sukienkę - tworząc białe - żółte stosy u jej kostek.

- Usiądź. Zdejmę ci buty. Opadła miękko na stertę odzieży. Rye ukląkł przed nią i szybko rozluźnił sznurówki, zsunął but i pończochę.

- Druga - rozkazał niecierpliwie. Laura przesunęła pieszczotliwie bosą stopą po jego twardym udzie.

- Czy masz pojęcie, jak strasznie tego chciałam, kiedy trzymałeś mnie wtedy na fotelu?

Zaskoczony, podniósł głowę.

- Tego dnia, kiedy wyrzuciłaś mnie z domu?

- Tak - powiedziała i dodała zmysłowym szeptem: - Wieczorem w łóżku musiałam zaspokoić się sama.

Szczęka mu opadła, na oszołomionej twarzy odmalowało się niedowierzanie. But głucho stuknął o podłogę.

- Po pięciu latach wciąż mnie zaskakujesz - rzekł. Przewróciła się na bok i oparła na łokciu.

- Nie mów mi, że wielokrotnie nie robiłeś tego samego podczas rejsu - powiedziała, sięgając do guzików rozporka.

Rye uczynił to równocześnie, szczerząc do niej zęby.

- Nie zaprzeczę. Ale za każdym razem myślałem o tobie - niecierpliwym ruchem zdarł z siebie koszulę. - Nie sądzę, byś w przyszłości musiała się często do tego uciekać - jego uśmiech stał się jeszcze bardziej wyzywający.

- Och, mam nadzieję, że nie.

Rye klapnął na podłogę obok niej i zaczął ściągać buty. Jeden stawiał mu opór. Rye zaklął pod nosem, ciągnąc z całej siły. Laura zaś podniosła się na kolana, złapała oba końce wciąż zwisającego mu z szyi krawata, przyciągnęła go do siebie i powiodła językiem wzdłuż jego brwi.

- Przeklęty but... - sapnął z wysiłkiem Rye, lecz w tej samej chwili but zsunął się z nogi. Rye chwycił za drugi. Pieściła jego twarz czubkiem wilgotnego języka, potem przygryzła jego górną wargę.

- Może ci pomóc? - mruknęła, skubiąc zębami bokobrody. Koniec języka wśliznęła mu

się do ucha.

Rye wydał zduszony okrzyk i przygniótł ją do szorstkiej podłogi, nie ściągając nawet do końca spodni. Pod nimi tłoki maszyny rytmicznie poruszały się w cylindrach, wprawiając w drżenie drewniany kadłub statku.

Biodra Rye'a zaczęły się poruszać w takt owej mechanicznej litanii, którą oboje słyszeli i wyraźnie czuli jej echo w swych ciałach.

Dostosowując się do rytmu maszyn Laura uniosła nogę, zahaczyła nią o pasek spodni i pociągnęła w dół, pieszcząc równocześnie stopą odsłaniane stopniowo udo. Sięgnął ręką do tyłu, żeby jej pomóc. Palce nóg Laury poruszały się w zagłębieniach pod jego kolanami.

Uwolniwszy się ze spodni, Rye wsparł się łokciami o podłogę i ujął jej głowę w kolebkę obu dłoni, pokrywając jej twarz tysiącem pocałunków.

- Kocham cię, Lauro... przez te wszystkie lata... kocham cię... - jego biodra wpasowały się w jej ciało.

Laura objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Rye... zawsze byłeś tylko ty... Kocham cię... Rye... - Jej wilgotne wargi zamknęły mu powieki, złożyły hołd policzkom i znów odnalazły najdroższe usta, poznając ich zapach, ich ciepło, ich słodycz zanim jeszcze zamknęły się one na jej wargach.

Rye uniósł się.

Ciało Laury wygięło się w łuk.

Wycelował.

Ona rozwarła się przed nim.

Utonął w niej.

Poddała mu się bez reszty.

Do niezliczonych, nieustających rytmów świata dodali jeszcze jeden.

Jej ciało otwarło się jak muszla ostrygi, a jego miękkie ciosy znalazły i podrażniły zawartą w niej perłę, cenny klejnot zmysłów, spuściły z uwięzi czarodziejską moc, która sprawiła, że kończyny Laury zapłonęły ogniem. Z równą siłą wychodziła naprzeciw każdemu jego pchnięciu i razem sięgnęli po nagrodę, na którą zasłużyli w czasie długiej, samotnej zimy.

Przyciągała ich miłość, lecz napędzała żądza tak wielka i zachłanna, jaka tylko może się mieścić w zdrowych ciałach. Laura obnażyła zęby, nieświadoma wyciągnęła ręce nad głowę i wparła je w drzwi kajuty, gdy eksplozja doznań wypełniła jej ciało. Po skórze przebiegały tysiące drobnych dreszczy podobnych falom, którymi lekka bryza marszczy taflę stawu.

Z krtani Rye'a dobył się głuchy pomruk. Uniósł ją wyżej, jego dłonie ujęły jej biodra, potężne mięśnie ramion napięły się tak mocno, jak szoty żagla w pełnym wietrze. Z niezrozumiałym okrzykiem pchnął po raz ostatni i zadygotał, włosy spadły mu na czoło, a palce zacisnęły się na jej biodrach, pozostawiając na nich dziesięć bezkrwistych pieczęci posiadania.

Potem jego ramiona rozluźniły się, oczy przymknęły, a otwarte usta spoczęły na jej ramieniu.

Pod pokładem nadal pulsował silnik. Nad nimi wciąż kołysała się latarnia. Rye leżał na Laurze, ciężki i bezwładny. Potarła dłonią jego mokre od potu ramię, żeby wyrwać go z letargu.

- Rye...

- Mhm?

- Rye... i tyle. Zawsze chciałam móc powiedzieć to... potem. Wciśnięte w jej ramię usta rozchyliły się, poczuła wilgotne muśnięcie języka.

- Laura Adela Dalton - rzekł. Uśmiechnęła się. Rzadko wymawiał jej drugie imię, bo Laura go nie lubiła. Ale w ustach jej męża przybrało nowe brzmienie, doskonale komponując się z nazwiskiem.

- Laura Adela Dalton - powtórzyła. - Już na zawsze. Leżeli leniwie, pogrążeni w zadumie. W końcu szorstkie deski zaczęły dawać się Laurze we znaki.

- Rye?

- Hm? - otworzył oczy.

- Podłoga jest tu twardsza niż w szopie Hardesty'ego. Z uśmiechem przekreślił się, wciągając ją na siebie.

- Ale sprawdza się znakomicie, nie sądzisz? Zarzuciła mu ramiona na szyję...

- Cudownie.

- Ty jesteś cudowna. Więcej niż cudowna. Jesteś... oszałamiająca.

- Raczej oszołomiona - zaśmiała się cicho. - Zdaje się, że odgniotłeś mi kość ogonową.

Zaśmiał się, roztarł jej posiniaczoną pupę i ostrzegł:

- Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać. Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie.

- Jak myślisz, dlaczego zabrałam tyle lanoliny? Żeby Rye'a błysnęły bielą. Zachichotał z uznaniem.

- Trzymaj się, znajdziemy wygodniejsze miejsce - złapał ją za pośladki, a ona oplotła nogi wokół jego bioder. Rye dźwignął się na nogi i podszedł do koi. - Ściągnij koc - mruknął,

całując ją w brodę.

Pochyliła się w bok, żeby wykonać polecenie, ale nagle jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Rye! Upadniemy!

- I o to właśnie chodzi.

- Rye! Rye cofnął się ku niższej koi i padł, pociągając ją za sobą. Na nieszczęście kiedy się wyprostował, zabrakło mu miejsca na nogi. Podciągnął ją i przewrócił się na bok.

- Kiedy dotrzemy do Michigan, zrobię dla nas największe łóżko, jakie w życiu widziałas.

Przytuliła się do niego, zakopując nos w łatce złotych włosów na piersi.

- Mnie i to wystarczy.

- Nie, musimy mieć wielkie łóże, żeby w niedzielę rano pomieściły się w nim wszystkie nasze dzieci.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jakie dzieci?

- Te, które będziemy mieć - powiódł dłonią po jej gładkim pośladku. - Ponieważ zamierzam robić to z tobą bardzo często, spodziewam się, że w krótkim czasie będzie ich gromadka.

- A czy ja mam w tej sprawie coś do powiedzenia? Pocałował ją w czubek nosa, potem w miejsce nad górną wargą, wreszcie w usta.

- Jeśli tego nie lubisz, powiedz „nie”. Zważywszy jednak, jaki pokaz dałaś przed chwilą na podłodze, lepiej od razu zacznij dziergać kaftaniki.

- Pokaz! - Szturchnęła go w ramię. - Nie dawałam żadnego... Zamknął jej usta pocałunkiem. Uśmiechał się, mruczał, chuchał na nią ciepło.

- Mmmm... brykałaś jak dziki mustang, sama przyznaj. Już myślałem, że będę cię musiał zakneblować, żebyś nie gorszyła mojego ojca i Josha.

- Ja brykałam!... A ty nie?

- Masz rację, sam czułem się trochę jak ogier. Przytulił ją, ona mocno ścisnęła go nogami i zaśmiali się razem.

Gdy znów zamilkli, leżeli spleceni, nasłuchując stukotu maszyny, swych oddechów i trzeszczenia drewna. Światło latarni padło na twarz Rye'a, wyławiając z półmroku jego czoło, krzaczaste bokobrody, małżowinę uszną, usta. Serce Laury od nowa wezbrało miłością. Powiodła palcem po jego górnej wardze, patrząc na niego czule.

- Naprawdę chcesz mieć dużo dzieci? Nie odpowiedział od razu. Patrzył jej w oczy

tak, jak gdyby zaglądał w przeszłość.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - rzekł w końcu cicho. - Nie widziałem, jak nosiłaś moje dziecko. - Powiódł dłonią po jej brzuchu. - Nieraz wyobrażałem sobie, jak pięknie musiałaś wtedy wyglądać.

- Och, Rye - powiedziała nieśmiało - kobiety w ciąży wcale nie są piękne.

- Ty będziesz. Wiem, że będziesz. Pod powiekami nagle zakręciły się jej łzy.

- Tak bardzo cię kocham - szepnęła. - Jasne, że chcę mieć z tobą dużo dzieci.

Spostrzegłszy jej łzę, otarł ją czubkiem palca i dotknął nim swoich ust.

- Lau... - urwał, bo głos mu się załamał. Przyciągnął ją do piersi. Tuż pod głową czuła gwałtowne bicie jego serca. - Kocham cię, Lauro Dalton, choć czasem zdaje mi się, że słowami tego nie wyrażę. Nie potrafię... a chciałbym... - zamilkł pod naporem gwałtownej fali uczuć. Zamknął oczy, wtulił twarz w jej włosy i zakołysał ją w ramionach.

- Wiem, kochany, wiem - szepnęła. - Jeszcze do tej pory nie mogę uwierzyć, że jesteś tu ze mną, jesteś mój i już nigdy więcej się nie rozstaniemy. Tak mi spieszo, chciałabym nadrobić stracony czas, wtłoczyć milion uczuć w każdą chwilę, kiedy jestem z tobą... i... i...

- jej również zabrakło słów. Przygładził jej włosy ciężką dłonią.

- Czasami sam nie wiem, jak się z tym uporać. Zupełnie... zupełnie jakbym był pełny po brzegi. Jeszcze jedna kropla i czara się przebierze.

Słowa wydawały się blade i ubogie, żadne nie było w stanie oddać cudu, jaki wspólnie przeżywali w tej chwili.

Ale Laura i Rye byli ludźmi, a ich ciała stworzono idealnie do tego, by demonstrowały emocje, których nie sposób było ująć w słowa. Nie potrzebowali słów. Żadnych usprawiedliwień. To się po prostu działo.

Rozgorzeli od nowa, wciąż połączeni w jedność. Jej ciało rozplynęło się, obejmując go. Oczy, te zwierciadła duszy, wpatrzyły się w siebie. Ona była płocha i namiętna, on napięty i skupiony. Poruszali się harmonijnie, wyrażając miłość, której nic nie przewyższy. Akt ten - cudowny dar natury - uwidaczniał wszystko, co czuły ich serca. Wznosząc się i opadając jak parowiec, który wiozł ich przez Atlantyk do nowego domu, Laura zrozumiała, co miał na myśli Rye w dniu, gdy poprosił ją, by jechała z nim na pogranicze. Domem nie była Nantucket ani Michigan. Dom to istota miłości, jedno serce w drugim.

Rye po raz ostatni sięgnął w głąb jej ciała i jego skóra okryła się kroplami potu.

Drżeli razem.

Rozpływali się w sobie.

Byli w domu.